

**DANIELLE STEEL**

**NADZIEJA**

Danielle Steel jest pisarką, której książki czyta cały świat. Opublikowała ponad pięćdziesiąt powieści w nakładzie 300 milionów egzemplarzy. Każda z nich trafiła na listy bestsellerów. W Polsce ukazały się m.in. Tata, Kalejdoskop, Sekrety, Kochanie, Wszystko, co najlepsze. Żądza przygód. Zmiany, Album rodzinny, Dom Thurstonów, Gwiazda, Palomino, Pora namiętności. Przepawy, Raz w życiu. Pięć dni w Paryżu. Skrzydła, Jak grom z nieba. Nadzieja, Rosyjska baletnica. Skok w nieznane. Wiele z nich zostało przeniesionych na ekran. Pomysły do swych powieści Danielle Steel czerpie z życia. Na kartach jej książek czytelnicy znajdują optymizm, wiarę w człowieka, bogactwo obserwacji psychologicznych, i to, co najcenniejsze - świat trwałych wartości.

Tego samego dnia, w różnych częściach USA, brały ślub trzy pary. Dianę Goode, wychodząc za Andrew Douglasa, pragnęła jak najszybciej zostać matką. Niestety, badania lekarskie wykazały u niej bezpłodność. Wtedy zdecydowała się na adopcję dziewczynki. Charlie Winwood, wychowanek domu dziecka, marzył o założeniu szczęśliwej, wielodzietnej rodziny. Jego żona nie podzielała tych planów, jej celem była kariera filmowa. Rzutka prawniczka, Pilar Graham, dopiero gdy przekroczyła czterdziestkę i poślubiła swojego wieloletniego przyjaciela, zdecydowała się na dziecko. Dla kobiety w jej wieku nie było to łatwe. Przez pryzmat życia tych trzech małżeństw Danielle Steel ukazuje, w jakim trudzie dochodzi się do upragnionego szczęścia. Wzrusza nas radościami i smutkami, sukcesami i porażkami ludzi, którzy wytrwale zdążają do wymarzonego celu.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wymarzony cud, maleńki cud nadziei ten dar szczególny nieba najmniejsze z wszystkich marzeń, miłości wielkiej trzeba by zegar tykać zaczął, jak wielki ból rozstania jak mroczny żal po stracie jak jęk, co serce rani a potem znów od nowa liczenie na łut szczęścia na nowy uśmiech losu że uda się utrzymać wbrew wszystkim przeciwnościom dopóki sił wystarczy wykrzyczeć w twarz ciemnościom tęsknotę aż do nieba i szeptać coraz ciszej, bo długo czekać trzeba aż dobry duch usłyszysz i ześle ciemną nocą gdy ledwo śmiesz oddychać drobnutkie wnet paluszki twój rękaw będą chwytać i w sercu płynne złoto, bo nie jest wciąż za późno podziwiać cud stworzenia wśród niespokojnych szeptów i krzyków udręczenia, aż wreszcie w mych ramionach istotka kwili mała, o, chwilo upragniona, bodajbyś wiecznie trwała.

Dzień był upalny i bezwietrzny, a niebo błękitne i bezchmurne, gdy Diana Goode wraz z ojcem wysiadali z eleganckiego samochodu. Pod kremową mgiełką welonu łagodniały jej ostre rysy, a ciężka, aksamitowa suknia szeleściła, gdy kierowca pomagał pannie młodej uporządkować fałdy. Diana obdarzyła promiennym uśmiechem ojca i na chwilę przymknęła oczy, aby zachować w pamięci najdrobniejsze szczegóły tego dnia. Jeszcze nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa. Wszystko udało się nad podziw.

- Wyglądasz cudownie! - pochwalił ojciec przed wejściem do kościoła pod wezwaniem Wszystkich Świętych w Pasadenie. Matka, siostry, ich mężowie i dzieci przyjechali wcześniej. Diana urodziła się jako średnia córka, a więc usilnie starała się osiągnąć więcej niż siostry. Kochała je nad życie, ale wciąż uważała, że musi je w czymś przewyższyć, choć wcale nie ustawiły poprzeczki zbyt wysoko.

Najstarsza siostra, Gayle, wybrała się na studia medyczne, ale już na kursie przygotowawczym poznała swego przyszłego męża. Wzięła z nim ślub w czerwcu i prawie natychmiast zaszła w ciążę. W wieku dwudziestu dziewięciu lat była już matką trzech uroczych córeczek. Starsza od Diany o dwa lata, zawsze w jakiś sposób z nią rywalizowała, choć obie różniły się diametralnie.

Gayle nigdy nie żałowała, że nie zrobiła kariery jako lekarka. Jej szczęśliwe małżeństwo i macierzyństwo w pełni ją satysfakcjonowało, a zajęcia domowe wręcz uwielbiała. Jako kobieta inteligentna i zawsze dobrze poinformowana, świetnie nadawała się na żonę lekarza ginekologa, gdyż z wyrozumiałością odnosiła się do jego nienormowanych godzin pracy. Kilka tygodni temu Gayle zwierzyła się Dianie, że planują przynajmniej jeszcze

jedno dziecko, bo Jack marzył o chłopcu. Całe życie Gayle kręciło się wokół męża, dzieci i domu. Kariera zawodowa zupełnie jej nie pociągała, inaczej niż jej dwie siostry.

Dużo więcej łączyło Dianę z młodszą siostrą, Samantą. Sam zawsze odznaczała się ambicją, przebojowością i dążeniem do obracania się w wielkim świecie. W ciągu dwóch pierwszych lat małżeństwa usiłowała za wszelką cenę łączyć pracę zawodową z prowadzeniem domu, ale gdy w trzynastym miesiącu po pierwszym dziecku urodziło się drugie - uznała, że po prostu nie da rady. Zdecydowała się zrezygnować z pracy w galerii sztuki w Los Angeles, co bardzo ucieszyło jej męża. Jednak już po kilku miesiącach siedzenia w domu poczuła się sfrustrowana, tym bardziej że Seamus, jej mąż, zdobywał tymczasem coraz większy rozgłos jako artysta malarz.

Próbowała wykonywać projekty na zlecenie, ale przy dwójce tak małych dzieci i braku jakiegokolwiek pomocy nawet to okazało się niemożliwe. Właściwie była szczęśliwa w małżeństwie z Seamusem, a jej synek i córeczka - para rozkosznych, puciołowatych cherubinków - wzbudzali ogólny zachwyt, ale czasami zazdrościła Dianie jej pozycji zawodowej w „dorosłym” świecie, jak to nazywała.

Natomiast Dianie życie siostr wydawało się bardzo ustabilizowane. W wieku dwudziestu pięciu i dwudziestu ośmiu lat osiągnęły chyba to, czego chciały. Samanta czuła się swobodnie w sferach artystycznych, Gayle realizowała się w pełni jako żona lekarza. Diana jednak zawsze pragnęła czegoś więcej. Studiowała w Stanfordzie, ale trzeci rok zaliczyła w Paryżu, na Sorbonie. Wróciła tam potem jeszcze raz, po dyplomie. Wynajęła urocze mieszkanie przy rue de Grenelle, na lewym brzegu Sekwany i przez jakiś czas myślała poważnie o pozostaniu we Francji. Przepracowała półtora roku w redakcji „Paris-Matcha”, ale dłużej nie wytrzymała, bo stęskniła się za domem, rodziną i - o dziwo - siostrami! Gayle urodziła akurat trzecie dziecko, a Samanta spodziewała się pierwszego, więc Diana chciała w takiej chwili być przy nich.

Po powrocie jednak czuła się rozdarta wewnątrz i przez pierwsze miesiące cierpiała męki, bo nie mogła się zdecydować, czy lepiej zostać w Stanach, czy wrócić do Francji. Może nie po winna była w ogóle stamtąd wyjeżdżać?

Jednak, mimo niewątpliwych zalet Paryża, także w Los Angeles można było wieść ciekawe życie. Udało się jej od razu otrzymać posadę starszego redaktora w piśmie „Today's Home”, które dopiero co weszło na rynek czytelniczy, a więc roztaczały się przed nią wspaniałe perspektywy. Miała dobrą płacę, sympatycznych kolegów i luksusowo urządzone gabinet. Całymi miesiącami poszukiwała sensacji, angażowała fotoreporterów, redagowała artykuły lub opisywała ciekawie urządzone i usytuowane domy. Co jakiś czas zaglądała do

Paryża lub Londynu, ale potrafiła także wydawać specjalne numery poświęcone, na przykład; południowej Francji lub Gstaad. Oczywiście częściej szukała materiałów w amerykańskich miastach, takich jak Nowy Jork, Palm Beach, Houston, Dallas czy San Francisco. Lubiła tę pracę, której zazdrościli jej wszyscy, z siostrami włącznie. Istotnie, komuś, kto nie zdawał sobie sprawy, jaki to ciężki kawałek chleba, takie zajęcie mogło wydawać się równie atrakcyjne jak sama Diana.

Diana poznała Andyego na koktajlu dla przedstawicieli prasy, niedługo po tym, jak rozpoczęła pracę w redakcji. Prosto z przyjęcia przeszli do małej włoskiej knajpki, gdzie przegadali bite sześć godzin. Wkrótce ani się obejrzała, jak Andy zaproponował jej, aby zamieszkali razem.

Upłynęło pół roku, zanim się zgodziła, bo obawiała się utraty niezależności. W końcu jednak uległa, bo szalała za nim, podobnie jak on za nią. Pasowali do siebie idealnie. Andy był wysokim, przystojnym blondynem, członkiem tenisowej reprezentacji uniwersytetu Yale. Pochodził z zasiedziałej nowojorskiej rodziny, a na uniwersytet w Los Angeles przeniósł się, aby studiować prawo. Po dyplomie podjął pracę jako radca prawny w sieci przedsiębiorstw zajmujących się organizacją imprez artystycznych. Pasjonowała go zarówno ta praca, jak ludzie, z którymi się spotykał; Diana to imponowało. W oczach przełożonych cieszył się dobrą opinią ze względu na umiejętność obsługi prawnej skomplikowanych operacji. Diana chętnie chodziła z nim na przyjęcia, gdzie spotykały się gwiazdy show-biznesu, ich pełnomocnicy, reżyserzy i agenci. Obracanie się w takich sferach łatwo mogło przewrócić mu w głowie, ale Andy traktował to wszystko z odpowiednim dystansem. Miał mocny kręgosłup i nie imponował mu blichtr „światowego życia”, ale swoją pracę lubił i planował w przyszłości otwarcie kancelarii specjalizującej się w obsłudze prawnej przemysłu rozrywkowego. Na razie jednak chciał przede wszystkim nabrać doświadczenia. Wiedział, dokąd zmierza i czego pragnie od życia, a karierę zawodową zaplanował na długo naprzód.

Kiedy Diana stanęła na jego drodze, wiedział prawie od razu, że ta kobieta jest odpowiednią kandydatką na żonę i matkę.

Ich pragnienia okazały się zbieżne; gdyż oboje marzyli, by mieć czworo dzieci. Andy był jednym z czterech braci, pośród których znaleźli się także bliźniacy. Diana zastanawiała się już, czy to oznacza, że oni też mogą mieć bliźnięta. W ogóle tematowi dzieci poświęcali wiele rozmów. Ich niefrasobliwość w pożyciu intymnym, granicząca wręcz z kuszeniem losu, również wiązała się z pragnieniem posiadania potomstwa. Diana czuła, że wcale by się nie zmartwili, gdyby zaszła w ciążę, co wymusiło by wcześniejsze zawarcie ślubu. Przecież i tak coraz częściej rozmawiali o planach małżeńskich i zamiarach na dalszą przyszłość.

Zamieszkali razem w niewielkim, lecz eleganckim mieszkaniu w Beverly Hills. Okazało się, że reprezentują podobne upodobania artystyczne - kupili nawet dwa obrazy pędzla Seamusa. Za swoje połączone dochody mogli urządzić naprawdę gustowne gniazdko, a że zdecydowali się na współczesny wystrój - wszelkie nadprogramowe pieniądze przeznaczali na dzieła sztuki. Chcieli nawet zapoczątkować własną kolekcję, ale chwilowo nie mogli sobie jeszcze na to pozwolić, więc kupili tyle obrazów, ile mogli i bardzo się nimi cieszyli.

Najbardziej jednak ujęło Dianę to, że Andy utrzymywał przyjazne stosunki z jej rodzicami, siostrami i szwagrami. Mimo iż Jack i Seamus reprezentowali zgoła odmienne charaktery, Andy lubił obydwóch i często umawiał się z nimi na lunchy, jeśli nie kolidowało to z jego sprawami służbowymi. W światku artystycznym poruszał się równie swobodnie jak Seamus, a z Jackiem potrafił rozmawiać zarówno o medycynie, jak o interesach.

Andrew Douglas był w ogóle sympatycznym, kontaktowym facetem dającym się lubić, to też Diana z radosnym podnieceniem myślała o przyszłym wspólnym życiu. Po pierwszym roku trwania w związku pojechali razem do Europy, gdzie najpierw pokazała mu swoje ulubione zakątki w Paryżu, a potem odbyli wycieczkę doliną Loary. Odwiedzili jeszcze młodszego brata Andyego, Nicka, mieszkającego w Szkocji, a po powrocie do kraju zaczęli snuć luźne plany na najbliższe lato. Zareczyli się po półtora roku chodzenia ze sobą, a datę ślubu wyznaczyli na czerwiec. Zamierzali wybrać się w podróż poślubną po Europie - tym razem na południe Francji, do Włoch i Hiszpanii. Diana dostała w swojej redakcji trzy tygodnie urlopu. Andy wyprosił tyle samo u swoich szefów.

Rozglądali się za domem w Brentwood, Westwood i Santa Monica. Brali pod uwagę nawet możliwość dojeżdżania z Malibu, gdyby wypatrzyli tam coś naprawdę atrakcyjnego, w końcu jednak znaleźli dom swoich marzeń w Pacific Palisades.

Przez całe lata mieszkała tam wielka rodzina, utrzymująca dom w idealnym stanie, ale kiedy dzieci dorosły i wyfrunęły z rodzinnego gniazda, rodzice z bólem serca zdecydowali się sprzedać dom. Andy i Diana zakochali się w nim od pierwszego wejrzenia. Był przestronny, chaotycznie zaplanowany, ale przytulny i ciepły, otoczony drzewami, z dużym ogrodem, gdzie w przyszłości mogły się bawić dzieci. Na piętrze znajdował się apartament przeznaczony dla pana domu, oddzielne gabinety dla każdego z małżonków i gustownie urządzony pokój gościnny, a na facjacie - cztery sypialnie dla dzieci.

W maju dom był ostatecznie wykończony i Andy wprowadził się tam na trzy tygodnie przed datą ślubu. Jednak nie zdążył rozpakować wszystkiego, więc rodzice Diany zamówili kolację na jej paniński wieczór w restauracji „Bistro”. Diana zostawiła w holu swoje bagaże

przygotowane na podróż poślubną. Nie chciała spędzać nocy przed ślubem z narzeczonym, lecz zdecydowała, że tę ostatnią panieńską noc prześpi w domu rodziców. Położyła się w swojej dawnej sypialni, a kiedy obudziła się wczesnym rankiem, długo leżała z otwartymi oczami, wpatrując się w wyblakłą tapetę w niebieskie i różowe kwiatki. Próbowwała po godzić się z myślą, że za kilka godzin będzie już kimś zupełnie innym - czyjąś żoną!

Ciekawe, na czym to polega? Jaka jest różnica między małżeństwem a życiem w wolnym związku? Czy on lub ona się zmienia? Przez chwilę ta perspektywa wydała jej się przerażająca. Przecież jej siostry po wyjściu za mąż i wydaniu na świat dzieci też się zmieniały, początkowo niedostrzegalnie, ale z biegiem lat tworzyły ze swoimi mężami coraz większą jedność. Jej stosunki z nimi niby też nie uległy zmianie, ale jednak nie były takie same jak za ich panieńskich czasów. A pomyśleć, że mniej więcej za rok ona też będzie mogła mieć dziecko! Na samą myśl o tym poczuła mrowienie w podbrzuszu. Seks z Andym dostarczał zawsze niezapomnianych wrażeń, ale jeszcze bardziej podniecała ją perspektywa, że ich miłość kiedyś wyda owoce. Kochała Andyego, więc z radością myślała także o urodzeniu mu dzieci.

Nawet kiedy się już obudziła, nadal uśmiechała się na myśl o Andym i przyszłym wspólnym życiu. Zeszła do kuchni, żeby w samotności napić się kawy. Przewidywała bowiem, że niedługo wstaną wszyscy, najpierw matka, potem siostry i ich dzieci i przyjdą pomagać w przygotowaniach do ślubu. Ich mężowie, wyznaczeni na starszych drużbów, na razie zostali w domu. Trzy dziewczynki Gayle i córeczka Samanty miały sypać kwiatki, a młodszy, zaledwie dwuletni synek Samanty - podawać obrączki. W białym jedwabnym ubranku, które kupiła mu Diana, wyglądał tak uroczo, że i ona, i siostry miały łzy w oczach.

Matka Diany zawczasu wynajęła dziewczynę do opieki nad dziećmi, aby córki miały czas dla siebie.

- To było do przewidzenia! - rzuciła Gayle z ironicznym uśmiechem. Matka była zawsze świetnie zorganizowana i przy gotowana na wszelkie ewentualności. Planowała wszystko z takim wyprzedzeniem, że już w czerwcu wydzwaniała do córek, wpytując, jak mają zamiar spędzić Święto Dziękczynienia. Nie raz narzekały na tę jej nadopiekuńczość, ale teraz, w ferworze przygotowań do wesela, tak zapobiegliwa matka była dla Diany prawdziwym darem niebios. Sama, wciąż zajęta, z ledwością znajdowała czas na przymiarki.

Nie miała jednak wątpliwości, że wszystko pójdzie jak z płatka, bo matka panowała nad sytuacją. I rzeczywiście, jak dotąd, wszystko na to wskazywało. Siostry w sukniach z brzoskwiniowego jedwabiu, z dobranymi do nich bukietami brzoskwiniowych róż, prezentowały się nadzwyczaj wytwornie, podobnie jak ich małe córeczki, w białych



sukienkach przepasanych brzoskwiniowymi szarfami, trzymające koszyczki z płatkami róż. Pojechały do kościoła razem z babcią i matkami, a Diana miała jeszcze kilka chwil, żeby pogadać z ojcem.

- Wyglądasz naprawdę cudownie, kochanie! - Aż piał z za chwytu. Zawsze był z niej dumny, a przy tym tak życzliwy, szczerzy i wyrozumiały! Nie, Diana nie miała powodów do narzekania na rodziców. Nawet z trudnego okresu dorastania nie pamiętała żadnych niedomówień, pretensji czy nadmiernych wymagań. Natomiast między Gayle a matką częściej dochodziło do ostrej wymiany zdań. Sama tłumaczyła to później tym, że jako najstarsza musiała najpierw „wychować sobie” rodziców. Z kolei Samanta w zasadzie dzieliła pozytywną opinię Diany o „starych”, ale miała z nimi przepawę, gdyż nie byli zachwyceni perspektywą jej ślubu z artystą. W końcu sami jednak zaczęli go darzyć podziwem i szacunkiem, bo Seamus był wprawdzie oryginałem, ale trudno było go nie lubić.

Natomiast w stosunku do osoby Andrew Douglasa rodzice nie zgłaszali żadnych obiekcji. Od razu uznali, że to uroczy człowiek i nie mieli wątpliwości, że Diana będzie z nim szczęśliwa.

- Masz tremę, co? - podpytywał dyskretnie ojciec, kiedy zaczęła nerwowo przechadzać się po salonie na chwilę przed wyjściem z domu. Zostało jeszcze trochę czasu, ale wolałyby, żeby już było po wszystkim. Chciała znaleźć się już w Bel Air albo na pokładzie samolotu lecącego do Paryża.

- Coś w tym rodzaju. - Uśmiechnęła się jak za dawnych, dziecięcych lat. Z rudawobrazowymi włosami upiętymi w kok i schowanymi pod welonem wyglądała inaczej, ale nadspodziewanie młodo. Równie młodo czuła się w obecności ojca, do którego zawsze mogła się zwrócić ze wszystkimi kłopotami i obawami. Tym razem jednak nie miała obaw, tylko kilka pytań, na które nie umiała odpowiedzieć.

- Zastanawiałam się, czy coś się zmieni w moim życiu, kiedy wyjdę za mąż. Wiesz, to nie to samo, co niezobowiązujące bycie z kimś... - Westchnęła i uśmiechnęła się do ojca. - Wszystko teraz zrobi się takie dorosłe, prawda?

W dwudziestym siódmym roku życia czuła się chwilami jak młoda dziewczyna, chwilami jak osoba zupełnie stara. Wiek ten wydawał się jej jednak całkiem odpowiedni do zamążpójścia, zwłaszcza gdy wychodziła za kogoś, kogo tak kochała.

- No, bo to jest zabawa dla dorosłych - wyjaśnił z uśmiechem ojciec, muskając wargami jej czoło. Był wysokim, eleganckim mężczyzną o zupełnie białych włosach i żywych, niebieskich oczach. Znał dobrze córkę i cieszył się, gdy na jego oczach przeobrażała się w kobietę. Podobał mu się również kandydat na zięcia, więc nie martwił się o przyszłość

młodej pary. Był pewien, że zajdą daleko, czego im z całego serca życzył. - Ale jesteś przecież na to przygotowana i wiesz, co robisz. Myślę, że nie popełniasz błędu, bo wychodzisz za porządnego człowieka, a w razie czego zawsze możecie na nas liczyć. Mam nadzieję, że o tym wiecie.

- Tak, wiem. - Zamrugła, bo łzy napłynęły jej do oczu. Nagle poczuła żal, że musi opuścić zarówno ojca, jak ten dom, chociaż już od dawna tu nie mieszkała. Było jej trudniej zostawić ojca niż matkę, która wyżywała się w bardziej przyziemnych sprawach, jak poprawianie welonu Diany czy upominanie dzieci, aby nie nadepnęły na tren sukni. Teraz, kiedy stali obok siebie w salonie i nie rozpraszały ich tego rodzaju problemy, ogarnęła ich burza uczuć, szczególnie miłości i nadziei.

- Chodźmy, młoda damo, jedziemy do ślubu! - zachęcił ją głosem schrypniętym z emocji. Podał jej ramię i wraz z kierowcą pomógł usadowić się na tylnym siedzeniu samochodu tak, by nie pogniotła długiego trenu ani obfitego welonu. Kiedy już siedziała w środku, z bukietem białych róż na kolanach, wypełniała suknią cały samochód. W ślad za ruszającym samochodem biegły dzieci, machając rękami i krzycząc: „O, patrzcie, panna młoda! „... Trochę ją to denerwowało, ale też śmieszyło, wszak istotnie była dziś panną młodą. Świadomość ta przyprawiała ją o zawrót głowy i przyspieszone bicie serca. Poprawiła więc czym prędzej welon, obciągnęła koronkowy stanik i bufiaste, ałtasowe rękawy, po tylekroć dopasowywane w czasie niezliczonych przy miarek. Suknia była utrzymana w stylu wiktoriańskim.

Na przyjęcie weselne w Country Clubie zaproszono trzysta osób. Wśród nich mieli być jej koledzy i koleżanki z lat szkolnych, dalecy krewni, znajomi rodziców, koledzy z pracy jej i Andyego. Jego najlepszy przyjaciel, William Bennington, zamierzał przyjechać prosto do kościoła. Andy spodziewał się także kilku gwiazd estrady, z którymi zdążył się bliżej zapoznać, pracując nad ich kontraktami. Przyjechali także jego rodzice i trzech bracia.

Nick, który przedtem mieszkał w Szkocji, obecnie przeniósł się do Londynu. Bliźniacy Greg i Alex studiowali w Wyższej Szkole Biznesu w Harvardzie, ale nie darowali by sobie, gdyby mieli opuścić wesele brata, który był od nich o sześć lat starszy i szalenie im imponował. Szaleli również za Dianą, a i ona chętnie przebywała w ich towarzystwie. Lubiała, gdy przyjeżdżali na wakacje, a nawet namawiała ich; aby przenieśli się do Kalifornii Jednak w przeciwieństwie do Andyego, młodszy bracia Douglas brali pod uwagę raczej wschodnie wybrzeże, na przykład Nowy Jork albo Boston, ewentualnie Londyn, gdzie osiedlił się Nick.

- My nie jesteśmy tak „wpatrzni w gwiazdy” jak nasz brat - żartował Nick podczas

kolacji w dniu poprzedzającym ślub. Nie dało się jednak ukryć, że imponował im zarówno jego sukces zawodowy, jak i wybór partnerki. Wszyscy trzej byli najwyraźniej dumni z najstarszego brata.

Na zewnątrz kościoła dała się słyszeć muzyka organowa. Diana poczuła lekki dreszczyk podniecenia i schwyciła ojca za ramię. Spojrzała na niego równie niebieskimi oczami, jakie on miał, i ścisnęła go za rękę, kiedy zaczęli pokonywać schody wiodące do głównego wejścia.

- Już wchodzimy, tatusiu! - wyszeptała.

- Wszystko będzie dobrze. - Uspokajał ją tak samo, jak wtedy, kiedy w wieku dziewięciu lat spadła z roweru i złamała rękę. Po drodze do szpitala opowiadał jej zabawne historyjki, by się odprężyła i trzymał mocno w objęciach podczas składania ręki. - Jesteś wspaniałą dziewczyną i materiałem na doskonałą żonę.

Szeptał jej w ucho te zapewnienia, kiedy zatrzymali się przed głównym wejściem, czekając na sygnał od mistrza ceremonii.

- Kocham cię, tatusiu - odszepnęła głosem drżącym ze zdenerwowania.

- I ja cię kocham, Diano. - Nachylił się i pocałował ją w pienisty welon, otoczony obłokiem zapachu róż.

Oboje wiedzieli, że będą do końca życia pamiętać tę chwilę.

- Niech cię Bóg błogosławi! - wyszeptał jeszcze, kiedy mistrz ceremonii dał sygnał, że czas wkraczać do środka.

Pochód otwierały trzy siostry Diany, za nimi szły jej trzy najstarsze przyjaciółki, w takich samych brzoskwińowych sukniach i kapeluszach z przejrzystej organdy. Towarzyszyły im dzieci podobne do aniołków. Muzyka zabrzmiała na bardziej dostojną nutę i przyszła kolej na pannę młodą, która kroczyła majestatycznie, a przy tym z wdziękiem, jak królowa zdążająca na spotkanie przeznaczonego sobie oblubieńca, w białej atlasowej sukni wciętej w tali i rozszywanej koronkowymi wstawkami w kolorze kości słoniowej. Welon otaczał ją jak mgiełka, a pod nim przyjaciele mogli dostrzec błyszczące, ciemne włosy, śmietankową cerę, roziskrzone błękitne oczy i lekko rozchylone w nieśmiałym półuśmiechu wargi. Gdy podniosła wzrok - ujrzała czekającego na nią wysokiego, przystojnego blondyna, z którym wiązała najlepsze nadzieje na wspólną przyszłość.

Andrew miał w oczach łzy, gdy spojrzał na nią. Jawiła mu się jak jakaś nieziemska wizja, sunąca wolno po białym chodniku wzdłuż nawy. Wreszcie stanęła przed nim, ściskając w drżących dłoniach bukiet.

Andy lekko ścisnął jej dłoń, gdy pastor wygłaszał uroczystą przemowę do

zgrupowanych wiernych. Przypomni ł im, po co tutaj przyszli, i jak ogromna spoczywa na nich odpowiedzialno c. Uwa zał bowiem,  e rodzina i przyjaciele państwa młodych po winni ich wspiera c w dochowywaniu przyrzecze n ma żeńskich, w zdrowiu i chorobie, w ubo stwie i w dostatku, dopo ki  mier c ich nie rozl czy. Przypomni ł te  narzeczonemu,  e ich droga  yciowa nie musi by c zawsze usłana r zami, a los nie zawsze b dzie si  do nich u miecha c, ale oni musz , zgodnie ze zło onymi wla nie  lubami, wytrwa c w miłoości i wierno ci sobie i Bogu.

Oboje gło no i wyra nie powt rzyli tekst przysięgi, przy czym Dianie ju  ani troch  nie trz sły si  r ce. Przestała si  ba  czegokolwiek, bo była za lubiona Andyemu i nale ała do niego na wieki. Promieniała z radości, gdy pastor ogło ił ich m żem i  on . Nigdy dot d nie czuła si  tak szcz śliwa. Kiedy Andy wsun ł jej na palec obr czk  i schylił si , aby j  ucałowa c - patrzył na ni  z tak  czułoością,  e jej matka a  zapłakała. Ojciec płakał ju  du o wcze niej, gdy tylko doprowadził j  do ołtarza i pozostawił u boku ukochanego m żczyzny - troch  ze szcz ścia, a troch  dlatego,  e mi ł  wiadomo c końca pewnej epoki. Nic ju  nie miało by c dla nich takie samo jak przedtem - c rka od tej pory nale ała do kogo  innego.

Nowo eńcy z dum  i rado ci  przedefilowali przez cały ko ci ł. Promieniali te , kiedy wsiadali do samochodu maj cego zawie c ich do klubu. Tańce trwały do szostej po południu i zjawili si  tam chyba wszyscy znajomi Diany, nie licz c kilkuset os b, kt rych nie znała. Tak si  jej przynajmniej wydawało, gdy musiała wszystkich obtańczy c. Jej siostry wzięły sobie za punkt honoru, aby zatańczy c z wszystkimi braćmi Douglasami, ale poniewa  było ich czterech, a ich tylko trzy - bliźniacy po kolei asystowali Samancie. Podobało jej si  to szalenie, a  e była od nich tylko o rok młodsza - do końca przyj cia zd żyli si  zaprzyjaźni c. Dianie bardzo zaimponowało,  e tylu koleg w Andyego z agencji zjawiło si  na weselu. Nawet sam prezes z  on  wpadł na chwil , co było miłym gestem z jego strony. Szef Diany - redaktor naczelny „Today's Home” - r wnie  przybył i zatańczył kilka razy z Dian  i z jej matk .

Tego dnia pogoda była pi kna - wymarzony pocz tek nowego  ycia. Jak na razie wszystko układało si  idealnie. Andy objawił si  we wla ciwym momencie, przez ostatnie dwa i p ł roku  yli szcz śliwie, wi c nie mogli lepiej wybra c czasu na zawarcie ma żeństwa. Ufali sobie i znali swoje oczekiwania, zarówno wzgl dem siebie, jak i wzgl dem  ycia. Pragnęli by c razem i załoożyć tak  rodzin , jakie obydwaje mieli. Przez chwil  Dianie wydawało si  to zbyt pi kne, aby mogło by c prawdziwe. Nadszedł akurat moment,  eby zdj c sukni   lubn , co uczyniła z najwy sz  niech ci . Wolałyby przedłu yć w nieskończone miłe chwile, kiedy patrzyła w oczy nowo po lubionemu ma żonkowi.

- Wyglądasz cudownie - szepnął, kiedy porwał ją na parkiet do ostatniego walca przed definitywnym rozpoczęciem życia we dwoje.

- Chciałabym, żeby ten dzień nigdy się nie skończył - mruknęła, przytykając oczy i przeżywając wszystko od początku. - Nie pozwolę, żeby się skończył - zapewnił Andy, przytulając ją mocniej. - Ja się nie zmienię, Diano... Nie zapominajmy o tym, gdyby kiedyś miało coś się popsuć między nami...

- Czy to ostrzeżenie? - To miał być żart? - Zamierzasz dać mi popalić?

- Jak jasna cholera! - Wyszczrzył zęby w uśmiechu, ale Diana zrozumiała aluzję, bo zachichotała.

- A wstyd! - Parsknęła mu w nos przy którymś kolejnym obrocie walca.

- To niby ja mam się wstydzić? A kto zostawił mnie na lodzie i uciekł do mamusi, żeby udawać dziewicę?

- Andy, to była raptem jedna noc!

- Dla mnie to o wiele za długo. - Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej, wtulając twarz w welon, a ona delikatnie muskała palcami jego policzek.

- Ale to naprawdę była tylko jedna noc...

- I tak będziesz musiała się z tego tłumaczyć przez całe tygodnie. A zaczniesz mniej więcej za pół godziny... - Spojrzał na zegarek. Muzyka zaczęła powoli cichnąć, więc spoglądał na Dianę ze wzrastającą czułością. - Gotowa do wyjazdu?

Przytaknęła. Niechętnie urywała się z własnego wesela, ale wiedziała, że już najwyższy czas. Minęła szósta wieczorem i oboje zdążyli się solidnie zmęczyć.

Razem z druhnami udał się z nią na górę, gdzie powoli zdjęła suknię i welon. Matka zaraz powiesiła te rzeczy na specjalnych, wyściełanych wieszakach. Z pobłażliwym uśmiechem przyglądała się ożywieniu młodych kobiet. Kochała nad życie swoje córki i cieszyła się, że udało jej się wszystkie szczęśliwie wydać za mąż.

Diana przebrała się w kostiumik z kremowego jedwabiu, przybrany granatowymi lamówkami i dużymi guzikami z masy perłowej. Matka pomogła jej wybrać ten kostium u Chanel, dopasowując do niego kremowy kapelusz i torebkę. Kiedy Diana z bukietem białych róż w ręku zeszła na spotkanie męża, wyglądała nadszpiewanie szykownie.

Z błyskiem w oku wkroczyła jeszcze raz do sali weselnej, gdzie rzuciła w tłum gości swój bukiet, a Andy dorzucił do tego jej podwiązkę. Pod gradem ryżu i płatków róż przebiegli do samochodu, wymieniając w biegu pożegnalne pocałunki z rodzicami i rodzeństwem. Obiecali, że zadzwonią do nich z drogi, a Diana podziękowała rodzicom za pomoc w organizacji wesela. Zaraz potem wyruszyli długim białym „krążownikiem szos” do hotelu

„Bel Air”, gdzie mieli spędzić noc poślubną w specjalnie wynajętym apartamencie z widokiem na ogród.

Andy otoczył ją ramieniem i oboje odetchnęli z ulgą.

- Ach, cóż to był za dzień! - westchnął, opadając na oparcie siedzenia. - I co za wspaniała panna młoda! - dodał, omiatając Dianę zachwyconym wzrokiem.

- Z ciebie też niezły przystojniak! - Uśmiechnęła się do niego. - W ogóle udało się nam wesele.

- Razem z twoją mamą odwaliłyście ładny kawałek roboty. Moi kumple z agencji mówili, że czegoś takiego nie widzieli nawet na filmie. - Rzeczywiście, to wesele cechowała rodzinna atmosfera przesycona miłością, nic nie odbywało się na pokaz. - A twoje siostry przeszły same siebie. Czy wy zawsze tak rozrabiacie, kiedy jesteście razem?

Wiedziała, że ją podpuszczał, więc przyjęła wyzywającą postawę.

- My rozrabiamy? A wy to niby co? Wszyscy Douglasowie dostali dziś małego rozumu.

- Nie pleć głupstw. - Andy z udaną powagą usiłował odwrócić się do okna, ale nowo poślubiona małżonka dała mu takiego kuksańca, że zachichotał.

- Co udajesz Greka? Zapomniałeś już, jak we czterech wygłupialiście się z moją mamą?

- Jakoś sobie nie przypominam. - Zrobił niewinną minę, co oboje skwitowali śmiechem.

- Bo za dużo wypiełeś.

- Pewnie tak. - Odwrócił się i porwał ją w objęcia. Pocałunek trwał tak długo, jak długo Andy mógł wytrzymać bez zaczerpnięcia powietrza. Zrobił to w samą porę, bo obojgu zaczynało już braknąć tchu. - O rany, tego mi właśnie brakowało. Nie mogę się już doczekać, kiedy dojedziemy do hotelu i zedrę z ciebie te wszystkie szmatki.

- Mój nowy kostium? - Udała przerażenie.

- Owszem, razem z nowym kapeluszem, chociaż muszę przyznać, że bardzo ci w tym ładnie. - Dziękuję. - Tak sobie gawędzili, trzymając się za ręce, jak to zakochani. Bo też czuli się, jakby zaczęli od początku, chociaż zdążyli już żyć ze sobą.

W hotelu powitani zostali przez recepcjonistę, który podprowadził ich do głównego budynku. Po drodze minęli zaimprovizowany drogowskaz informujący, gdzie odbywa się aktualnie wesele panny Mason i pana Winwooda.

- Też przeżywają swój wielki dzień - szepnął Andy, a Diana się uśmiechnęła. Z aprobatą przyglądali się ogrodowi i pływającym na stawie łabędziom, ale prawdziwy zachwy

wzbudził w nich apartament. Mieścił się na drugim piętrze, a w jego skład wchodził obszerny salon, mała kuchenka i romantyczna sypialnia wybita różowym aksamitem i francuskim drewnem drukowanym w kwiatki. Całość tworzyła urocze gniazdko, jakby stworzone na noc poślubną, tym bardziej że w salonie znajdował się kominek. Andy miał nadzieję, że wieczór okaże się wystarczająco chłodny, by w nim napalić.

- Cóż to za piękne miejsce! - zauważyła Diana, gdy drzwi za mknęły się za portierem.

- Tak samo piękne jak ty. - Andy zdjął jej kapelusz i wyrzucił szerokim łukiem w powietrze, aż spadł na stół. Potem delikatnie rozwiązał włosy i tak długo przebierał w nich palcami, aż rozsypały się po ramionach. - Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. A ta kobieta należy teraz tylko do mnie, i to na zawsze, słyszysz?

Brzmiało to, jakby opowiadał piękną bajkę, ale przecież to właśnie sobie ślubowali. A w bajkach mąż i żona zawsze żyli potem długo i szczęśliwie...

- Tak, a ty należysz do mnie! - przypomniała, choć świetnie o tym pamiętał i nie miał nic przeciwko temu. Wśród pocałunków rozpiął żakiet od kostiumu Chanel i ani się obejrzała, jak ten wytworny ciuszek znalazł się na podłodze, a niedługo dołączyły do niego także części garderoby Andyego. Młodzi małżonkowie natomiast spleli się w uścisku na kanapie, odkrywając na nowo swoje ciała, tym razem jako mąż i żona. Zapomnieli o całym świecie, pograżając się w otchłani namiętności, a Diana przyłgnęła do Andyego tak, jakby już nigdy nie chciała wypuścić go z objęć nawet na chwilę. Drżąc z rozkoszy wspięli się na szczyty uniesienia, a potem leżeli odprężeni obok siebie. Akurat zachodziło słońce, do pokoju wdzierały się jego różowe i pomarańczowe promienie, a Diana i Andy snuli marzenia o przyszłym, wspólnym życiu.

- Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się taki szczęśliwy - wyszeptał.

- Mam nadzieję, że zawsze tak będzie - odpowiedziała. - Pragnę uczynić cię szczęśliwym.

- Myślę, że będziemy się uszczęśliwiać nawzajem - sprecyzował, wyplątując długie nogi z jej uścisku. Wstał i podszedł do okna, z którego widać było białe i czarne łabędzie pływające po stawie oraz starannie utrzymane trawniki. Krążyli tam młodzi ludzie w jaskrawych koktajlowych strojach, spiesząc do miejsca, które znajdowało się poza obrębem jego pola widzenia. Dochodziły stamtąd urywane nuty rewiowych piosenek.

- To musi być wesele tej Mason z tym Winwoodem - skomentowała Diana, nie ruszając się z kanapy. Właśnie przyszło jej na myśl, że mogli przed chwilą począć dziecko. Nie stosowali przecież żadnych środków zapobiegawczych, jak postanowili przed ślubem. Obie siostry Diany zaszły w ciążę podczas miodowego miesiąca, więc całkiem poważnie

rozważała taką możliwość, co wcale by jej nie zmartwiło.

Po chwili wstała i podeszła do Andyego. Z okna zobaczyła, jak po ścieżce biegła młoda kobieta w krótkiej ślubnej sukni, kurczowo trzymając krótki biały welon i mały bukiet. Towarzyszyła jej dziewczyna w czerwonej sukience, prawdopodobnie druhna. Panna młoda mogła być mniej więcej w wieku Diany, asystująca blondynka robiła wrażenie seksownej, a ślubna sukienka wyglądała na wypracowaną, choć niezbyt kosztowną. Przypadkowych widzów uderzyła jednak charakterystyczna nerwowość ruchów panny młodej i to „coś” w wyglądzie, co sami dobrze znali. Życzyli więc jej wiele szczęścia na nowej drodze życia, na którą się tak spieszyła.

- Chodź, chodź, Barbie! - poganiała Judi, bo takie imię nosiła dziewczyna w czerwonej sukience. Barbara jednak nie była w stanie biec szybciej w białych atlasowych czółenkach na szpilkach, które w ostatniej chwili kupiła z przeceny. - No już, kochana, tylko spokojnie.

Wyciągnęła do niej rękę, więc Barbara zatrzymała się, żeby zaczerpnąć tchu, a przy tym nie rzucać się w oczy gościom. Judi dyskretnie kiwnęła na starszego družbę.

- Czy już czas? - szepnęła.

Pokręcił przecząco głową i pokazał jej pięć palców, co dziewczyna zrozumiała.

Te dwie młode kobiety nie znały się długo, ale już zdążyły się zaprzyjaźnić. Obie były aktorkami, które przed rokiem przybyły do Los Angeles z Las Vegas, gdzie pracowały jako tancerki. Wynajęły wspólne mieszkanie, aby nie uszczuplać zbytnio swoich skromnych oszczędności.

Od czasu przyjazdu do Kalifornii Judi zdążyła zagrać dwie epizodyczne role, dostała kilka propozycji pracy w charakterze modelki i statystki w filmie reklamowym. Barbie śpiewała w chórze wznowionej wersji musicalu Oklahoma, a kiedy zszedł z afisza - bezskutecznie starała się o rolę w emitowanych przed południem „mydlanych operach”. W oczekiwaniu na angaż obie z Judi pracowały jako kelnerki. Barbie dostała lukratywną posadę w „Hard Rock Cafe” i załatwiła tam pracę także i dla Judi. Właśnie w tej kawiarni dziewczęta poznały Charliego.

Judi pierwsza zaczęła z nim chodzić, lecz rozstali się, bo nie mieli sobie właściwie nic do powiedzenia. Potem zagadywał Barbie, kiedy codziennie przychodził na lunch, ale dopiero po pewnym czasie odważył się zaproponować jej randkę. Z Judi szło mu łatwiej, bo była dziewczyną bardziej bezpośrednią i kontaktową, ale Barbie miała w sobie szczególny urok.

Umówił się z nią jeszcze kilka razy, a po czwartej randce był już zakochany po uszy. Na próbę przestał się z nią widywać, ale nie mógł wytrzymać. Zadzwoił wtedy do Judi, bo



chciał poprosić ją o radę, ale także wy badać, co Barbie o nim myśli.

- Ona szaleje za tobą, idioto! - Judi nie rozumiała, jak dwudziestodwuletni mężczyzna może być tak naiwny i niedoświadczony w stosunkach z kobietami. Ani ona, ani Barbie nie spotkały w życiu kogoś podobnego. Nie grzeszył urodą, ale miał chłopięcy wdzięk, i szło to u niego w parze z uczciwością i niewinnością.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że mnie lubi? Powiedziała ci to? - podpytywał podejrzliwie, na co parsknęła śmiechem.

- Bo znam ją lepiej niż ty!

Wiedziała, że Barbie podobała się jego serdeczność i hojność. Liczyła, że będzie zabierał ją w miłe miejsca, gdyż jako przedstawiciel handlowy poważnej firmy w branży tekstylnej otrzymywał wysokie prowizje. Jak na kawalera prowadził życie na dość wysokim poziomie i starał się uprzyjemniać je i sobie, i innym - na przykład zapraszał dziewczęta do dobrych restauracji. Cenił sobie takie rozrywki, gdyż wychował się w ciężkich warunkach, a tego, do czego doszedł, dorobił się własną, ciężką pracą.

- Ona uważa, że jesteś facet super! - dodała jeszcze, zastanawiając się, czy nie powinna była dołożyć więcej starań, aby za trzymać go przy sobie. Cóż, nie był jej typie. Lubiała facetów z ikrą, dostarczających jej mocnych wrażeń, czego nie mógł za gwarantować sympatyczny, lecz trzeźwo myślący Charlie. Ją nudził, natomiast z Barbarą sprawa przedstawiała się inaczej.

Pochodziła z małego miasteczka, w którym jeszcze jako uczennica szkoły średniej wygrywała konkursy piękności. W którymś momencie pokłóciła się z rodziną i uciekła z domu. Myślała, aby szukać szczęścia w Nowym Jorku, skończyło się jednak na Las Vegas, bo z Salt Lake City miała tam bliżej. Zdążyła już zaliczyć niejedną przygodę z mężczyznami, lecz jej wrodzona uczciwość nie poddawała się zepsuciu i to właśnie podobało się w niej Charliemu. Ona też go polubiła, gdyż jego prowincjonalna naiwność i brak doświadczenia przypominały chłopców z rodzinnego miasteczka. Stanowił interesującą odmianę wobec mężczyzn z Las Vegas i Los Angeles, którzy oczekiwali od kobiet wszystkiego, od pieniędzy po seks.

Tymczasem Charlie nie wymagał od niej niczego poza tym, by z nim była i pozwalala się rozpieszcać. Jak miała nie lubić kogoś takiego, kto wprawdzie nie był filmowym przystojniakiem, ale nie wyglądał źle. Rudzielec z niebieskimi oczami i ciałem po krytym mnóstwem piegów, co nadawało mu wygląd „chłopaka z sąsiedztwa”. Potrafił rozczulać kobiety, nie wyłączając Barbie, która liczyła, że związek z nim rozwiąże wiele jej problemów.

- Dlaczego sam nie powiesz, co o niej myślisz? - Judi próbowała go ośmielić. Chyba

skutecznie, gdyż po trzech tygodniach chodzenia ze sobą zdążyli się zaręczyć. Minęło następne pół roku, i oto Barbara stała za żywoplotem hotelu „Bel Air”, czekając na znak, kiedy zacznie się ceremonia ślubna.

- Dobrze się czujesz? - Judi przyglądała się jej badawczo, gdyż Barbie nerwowo przestępowała z nogi na nogę niczym koń przed wyścigiem.

- Chyba zaraz się porzygam.

- Tylko spróbuj! Po to męczyłam się przez dwie godziny, że by ułożyć ci włosy? Chybabym cię udusiła!

- Dobra, Judi, ale ja już jestem za stara na takie cyrki.

Miała trzydzieści lat, była starsza od Charliego tylko o rok, ale miała wrażenie, że różnica między nimi wynosi całe wieki. Bez makijażu i z włosami splecionymi w warkocz wyglądała dużo młodziej, ale w porównaniu z nim miała znacznie bogatszą przeszłość. Jeden Charlie pod pozorami zblazowania umiał wyczuć w niej prawdziwą czystość i słodycz, toteż tylko on miał dostęp do tej części jej osobowości, którą uważała już za bezpowrotnie straconą. Zapraszał ją do swego mieszkania, gdzie pichcił domowe posiłki, zabierał na długie spacery i domagał się, aby przedstawiła go swojej rodzinie.

Tej prośby Barbie nie mogła spełnić, nie lubiła nawet poruszać tego tematu, choć nie chciała wyjawiać dlaczego. Któregoś dnia odwiedziło ją dwóch mormońskich misjonarzy, aby namówić ją do powrotu na łono ich Kościoła i do Salt Lake City. Ze złością wypędziła ich z mieszkania i zatrzasnęła za nimi drzwi, krzyżąc, aby nie ważyli się wracać. Odżegnywała się od wszystkiego, co mogło mieć związek z jej życiem w Salt Lake City. Charlie zdołał się dowiedzieć jedynie, że miała ośmioro rodzeństwa i około dwadzieścioro kuzynów, ale na pewno coś więcej niż nuda wypłoszyło ją z rodzinnych stron. Nie chciała się jednak przyznać, co to było.

Charlie natomiast nie ukrywał przed nią swojej przeszłości. W jego dokumentach zanotowano, że jako noworodek został podrzucony na stacji kolejowej. Poznał chyba wszystkie domy dziecka w New Jersey, przebywał także w kilku rodzinach zastępczych, był nawet dwa razy przewidziany do adopcji, ale nic z tego nie wyszło, gdyż cierpiał na nerwice, alergie i liczne schorzenia skórne. W wieku pięciu lat zapadł również na astmę, a za nim wyrósł z większości tych chorób, stał się już „za stary” na adopcję. Opuścił więc dom dziecka dopiero wtedy, gdy doszedł do pełnoletności. Wsiadł w autobus do Los Angeles i przez najbliższe jedenaście lat nie ruszał się z tego miasta. Skończył tam studia wieczorowe, a teraz marzył o podyplomowym studium biznesu, co dałoby mu możliwość otrzymania lepszej posady, z czym wiązały się wyższe zarobki, a co za tym idzie, lepsze życie dla rodziny, którą

pragnął założyć. Liczył, że u boku Barbie jego marzenia się spełnią. Chciał się z nią ożenić, stworzyć jej kochający dom i wypełnić go mnóstwem dzieci podobnych do niej. Ale gdy kiedyś spróbował podzielić się z nią tym marzeniem - roześmiała mu się w nos.

Rzeczywiście była ładna, szczególnie figurę miała zachwycającą, chociaż nie poświęcała nigdy zbyt wiele uwagi własnemu wyglądowi, dopóki nie poznała Charliego. Okazał się wobec niej tak miły i opiekuńczy jak nikt dotąd, choć nieraz wolałaby, żeby ją bardziej podniecał. Przyjeżdżając do Los Angeles, marzyła, że będzie chodzić z aktorem, może nawet z jakimś sławnym, a tu trafił jej się taki Charlie. Czasami zadawała sobie pytanie, czy nie powinna była poczekać na wysnionego księcia z bajki lub gwiazdora filmowego. Zabierała Charliego na zakupy i namawiała, aby sprawił sobie coś modnego, ale sama w końcu musiała przyznać, że w zbyt ekstrawaganckich ciuchach prezentował się po prostu głupio. Znacznie lepiej wyglądał w prostych, niewyszukanych ubraniach, a że włosy sterczały mu na wszystkie strony, kiedy próbował je zapuścić, musiał strzyc się krótko. Nie mógł się też opalać, bo na słońcu natychmiast czerwieniał i dostawał pęcherzy

- Widzisz, nie jestem typem filmowego przystojniaka - tłumaczył się jej kiedyś przy kolacji, którą sam ugotował. Zaserwował wtedy swoją specjalność - kotlety cielece z kluseczkami cannelloni i zieloną sałatą. Nauczył się przyrządzania tych potraw w jednej z rodzin zastępczych, czym chwycił ją za serce. Chwilami czuła, że naprawdę go kocha, ale często zastanawiała się, czy jest dla niej odpowiednim partnerem, czy tylko miłym i wygodnym kompanem. Wiedziała, że na pewno jej nie skrzywdzi, ale trudno było spodziewać się po nim zmysłowych przeżyć. W jej dotychczasowym życiu nic nie było należycie poukładane. Zawsze borykała się z dylematami trudnych wyborów, zbyt wysokiej ceny czy zbyt dużego ryzyka. U boku Charliego czekała ją raczej ustabilizowana przyszłość. Miałaby wszystko, o czym marzyła kiedyś, a powinna marzyć teraz - troskliwego męża, wygodne mieszkanie i pewność, że nie musi się martwić, skąd wziąć pieniądze na komorne ani szukać dodatkowej pracy jako tancerka rewiowa.

Naprawdę jednak marzyła o karierze aktorskiej, tym bardziej że agenci zapewniali ją, iż ma talent. Potrzebowała wielkiego przełomu w życiu, a nie miała pewności, czy Charlie też tego pragnie. Czy po ślubie zgodziłby się na jej karierę artystyczną? Wprawdzie obiecywał, że tak, ale równocześnie wspominał coś o dzieciach, a tego z kolei ona nie brała pod uwagę. Przynajmniej jeszcze nie teraz, nie z nim i nie wiadomo, czy w ogóle... Oczywiście, nie powiedziała mu tego, ale co by się stało, gdyby nagle otrzymała wielką, życiową szansę? Gdyby, na przykład, dostała propozycję jednej z głównych ról w musicalu albo nawet w filmie? Jaki model życia mogłaby temu przeciwstawić?

Zakładając jednak, że ten wielki przełom nie miałby nigdy na stąpić, to przynajmniej nie musiałyby pracować jako kelnerka. Zresztą, może w ogóle prezentowała błędne podejście do życia? Miewała nieraz z tego powodu wyrzuty sumienia, ale musiała przecież myśleć o sobie. Nauczyła się tego jeszcze na łonie rodziny. Pobierała wtedy więcej nauk, niż chciało się jej pamiętać.

Trudno było nie ulec wobec tak niewątpliwych zalet Charliego jak stałość, uczciwość, zdolność do poświęceń i uwielbienie dla niej. Toteż Barbie doszła do wniosku, że chyba jednak go kocha. Ale w ostatnich minutach przed ślubem znów opadły ją wątpliwości. A jeśli popełnia błąd? Co się stanie, gdy znienawidzą się po dwóch latach małżeństwa albo wręcz nie wytrzymają nawet tyle?

- Co wtedy zrobię? - szepnęła do Judi.

- Nie uważasz, że już trochę za późno się nad tym zastanawiać? - odpowiedziała Judi, przyglądając czerwoną koronkową sukienkę. Jej nogi zdawały się nie mieć końca, a piersi, powiększone silikonowymi implantami, wprost wylewały się z dekoltu. Operację plastyczną wykonał chirurg z Las Vegas i wszyscy zachwycali się jej wynikiem. Wszyscy, oprócz Barbie, która uważała fundowanie sobie sztucznego biustu za idiotyzm. Mogła się wymądrzać, bo jej własne piersi były wystarczająco duże. A z daleka i tak nikt nie zauważał różnicy!

Barbie miała w ogóle cudowną figurę. Obfity biust kontrastował z tak smukłą talią, że Charlie mógł ją prawie objąć złączonymi dłońmi. Nie była wysoka, za to szczyciła się nadzwyczaj zgrabnymi nogami. Z jej typem urody wyglądałaby seksownie, cokolwiek by włożyła, nawet worek. W krótkiej, obcisłej sukni ślubnej z białego atłasu stanowiła podniecający konglomerat niewinności i zmysłowości.

- Nie uważasz, że ta sukienka jest za obcisła? - upewniła się, spoglądając nerwowo na Judi. Czuła się, jakby czekała tu już od niepamiętnych czasów. Wolałaby, żeby poszli zwyczajnie do urzędu stanu cywilnego w ratuszu, ale Charlie upierał się przy prawdziwym ślubie.

Wiedziała, że ma to dla niego duże znaczenie, więc ustąpiła, chociaż większą przyjemność sprawiłby jej weekend w Reno. Charlie jednak z góry wszystko zaplanował i zaprosił znajomych, tak że razem zebrało się około sześćdziesięciu gości. Wiedziała, że to najszykowniejszy hotel w Los Angeles - może oprócz hotelu „Beverly Hills” - i powiedziała o tym Charliemu, ale uparł się, że ten będzie lepszy. Wybrali najtańsze menu i najskromniejszy program uroczystości weselnych, choć i tak miało to pochłonąć większość jego oszczędności. Jednak oświadczył Barbie:

- Zaslugujesz na to.

- Twoja sukienka jest urocza - zapewniła ją Judi, bo musiała szczerze przyznać, że koleżanka wygląda wspaniale, choć robiła wrażenie wystraszonej. - Wyluzuj się, mała, wszystko będzie OK.

Niepokoili ją już opóźnieniem, ale zjawił się wreszcie drużba pana młodego i muzyka zaczęła grać. Charlie zamówił kapelę składającą się z kontrabasisty, skrzypka i grającego na syntetyzatorze.

Muzykanci zagrali marsz Mendelssohna, na zaimprovizowaną ambonę wdrapał się sprowadzony przez Charliego pastor. Nie zadawał Barbie niepotrzebnych pytań na temat jej wyznania mormońskiego, więc zgodziła się, aby udzielił im ślubu. Starszy drużba, Mark, podał jej ramię i uśmiechnął się do niej po ojcowsku. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, dużo starszym od Charliego, a w pracy jego przełożonym, stąd miał do młodych taki ojcowski stosunek. Mimo tuszy i siwizny na skroniach prezentował się całkiem elegancko, jeśli nie liczyć strużek potu ściekających z za uszu.

Z poważną miną ukłonił się Barbie, zanim poprowadził ją w stronę prowizorycznego podwyższenia.

- Trzymaj się, Barbaro, wszystko będzie dobrze. - Poklepał ją po rękę, a Barbie usiłowała nie myśleć w tym momencie o swoim ojcu.

- Dziękuję, Marku. - Miała mu za co dziękować, gdyż zgodził się nie tylko świadkować Charliemu, lecz poprowadzić do ołtarza narzeczoną w zastępstwie ojca. Załatwił też szampana za pośrednictwem swego szwagra, który miał dostęp do taniej hurtowni napojów alkoholowych. Widać było, że chciał dla młodych jak najlepiej; może dlatego, że sam był rozwodnikiem, ojcem dwóch córek. Jedna już wyszła za mąż, druga jeszcze studiowała.

Podczas gdy majestatycznie zacierali się w stronę ołtarza, Barbara starała się nie myśleć o przyszłości. Wiadomo przecież, że najpierw jest ślub, później wesele, a potem wiele lat wspólnego życia. Nagle jak spod ziemi wyrósł przy nich Charlie ze swoim ujmującym uśmiechem, rudymi włosami i niebieskimi oczami. W kremowym smokingu, z białym goździkiem wpiętym w klapę, wyglądał jak chłopczyk od pierwszej komunii - wcielenie niewinności! Taki człowiek nie wzbudzał obaw przed związaniem się z nim aż do końca dni. Kiedy jeszcze Mark zachęcająco ścisnął ją za rękę - sama zrozumiała, że jej opory były nieuzasadnione. Na pewno nie wyjdzie źle na małżeństwie z Charliem. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że postępuje słusznie.

- Kocham cię! - wyszeptał tymczasem Charlie, stojąc u jej boku.

Patrząc na niego, uświadomiła sobie, że i ona go kocha. Zrobił przecież dla niej coś nadzwyczajnego - zaofiarował jej nowe, wspaniałe życie i wolność od wszelkich trosk. Nikt dotąd nie okazał jej tyle serca. Mogła być pewna, że nie zawiedzie się na nim. Zawstydziła się swoich uprzednich wątpliwości i obaw, że mogła dokonać lepszego wyboru. Najważniejsze, że znalazła przyjaciela i porządnego człowieka, który zapowiadał się na dobrego męża. Byłaby głupia, gdyby żądała czegoś więcej. Wszak stuknęła jej już trzydziestka, a księżę z bajki najwyraźniej przebywał akurat na innej planecie. Zresztą nie potrzebowała lepszego księcia niż Charlie Winwood, nie potrzebowała niczego po nad to, co jej oferował.

- Kocham cię, Charlie - odwzajemniła mu się, kiedy wkładał jej na palec obrączkę. Całując ją, miał łzy w oczach, więc przytuliła się do niego mocniej, jakby chciała mu wynagrodzić dotychczasowe smutne i samotne życie.

- Tak bardzo cię kocham, Barb... - Nie miał słów, aby wyrazić siłę swej miłości.

- Będę dla ciebie dobrą żoną, obiecuję... Naprawdę się postaram.

- Wierzę ci, kochanie. - Uśmiechnął się. Potem, już w trakcie wesela, wznosił toast za jej zdrowie szampanem Marka, a jeszcze później zaprosił ją do tańca na zaimprovizowanym parkiecie. Urządzono go na trawniku, nieopodal bufetu i orkiestry.

Impreza rozkręciła się na cały regulator i wszyscy świetnie się bawili, szczególnie państwo młodzi, którzy nie żalowali sobie szampana Marka. On sam tańczył z Judi i wyglądał na zadowolonego. Innym też dopisywały humory, a kapela grała utwory w stylu Oto nadchodzą wszyscy święci czy Hava Nagila.

Wreszcie muzykanci zagrali utwór w wolniejszym tempie, aby biesiadnicy ochłonęli. Podczas wykonania Moon River Charlie tańczył z Judi, a Mark poprosił pannę młodą.

- Wyglądasz naprawdę zachwycająco, Barb - komplementował ją. Nad parkietem lśniły miliony gwiazd, a wieczór był nad zwyczaj ciepły. - Na pewno będziecie żyli szczęśliwie, otoczeni wianuszkami wspaniałych dzieci.

- Skąd ta pewność? - Uśmiechnęła się, bo traktowała go już jak dobrego przyjaciela.

- Jestem już stary i wiele w życiu widziałem. Wiem też, jak bardzo Charlie pragnie dzieci.

Ona też o tym wiedziała, ale uprzedziła Charliego, że będzie musiał poczekać z tym parę lat, dopóki ona nie zrealizuje się jako aktorka. Nie był zbyt zachwycony tą perspektywą, ale oboje zgodzili się odłożyć poważną rozmowę na później. Biedak nie wiedział jeszcze, że właśnie wizja rodzenia dzieci najbardziej odstręczała Barbę od małżeństwa. Wystarczyło, że Mark o tym wspomniał, a na samą myśl zrobiło się jej słabo.

- Odbijany! - zarządził Charlie, przekazując Judi w ręce Marka. Jasne było, że ostatnie

tańce tego wieczoru chciał przetańczyć ze świeżo poślubioną żoną. Oboje wypili dosyć dużo, ale na Barbie podziałało to tylko tak, że czuła się jak we śnie, a wszyscy otaczający ludzie wydawali się jej bardzo szczęśliwi.

- Dobrze się bawiłaś? - wydyszał jej w szyję, czując przyjemny nacisk jej piersi. Każde jej dotknięcie rozpałało go do szaleństwa, a i ona też nie była od tego. Nigdy niczego mu nie odmawiała, bo lubiła dobrą zabawę i seks. Wirując z nią po parkiecie, czuł się najszczęśliwszym mężczyzną na kuli ziemskiej.

- Wspaniale, a ty? - Uśmiechnęła się promiennie.

- To najlepsze wesele, jakie w życiu widziałem. - Spojrzał jej w oczy z miną człowieka mającego cały świat u stóp.

- Z tego nic nie wynika... - Udawała nadąsaną, on przytulił ją jeszcze mocniej.

- Żebyś wiedziała, Barb, jaki jestem szczęśliwy... Spełniło się marzenie mojego życia.

Rzeczywiście, ten dzień oznaczał dla niego początek zupełnie nowej ery. Miał otrzymać to, czego nigdy nie miał, a tak rozpaczliwie pragnął - miłość, własny dom i ciepło rodzinne.

- Wiem - wyszeptła, a od jego pocałunków zakręciło jej się w głowie. Wyobrażała już sobie, jak leżą razem na plaży w Waikiki. Nazajutrz rano mieli bowiem wyjechać na Hawaje, gdyż wykupili okazijną wycieczkę. Noc poślubną natomiast zaplanowali w mieszkaniu Charliego, gdyż w hotelu „Bel Air” kosztowałyby za drogo. Barbie zresztą wcale na tym nie zależało, bo i tak wiedziała, że ten wieczór utrwali się na zawsze w jej pamięci.

O tej samej porze w Santa Barbara niebo pokrywały miriady gwiazd. Dwadzieścioro pięcioro gości stało kręgiem i przyglądało się, jak Bradford Coleman całuje Pilar Graham w świetle księżycy. Trwało to dosyć długo, a kiedy wreszcie obrócili rozradowane oczy na swoich przyjaciół - ci nagrodzili ich brawami i wesołymi okrzykami. Gdy tylko sędzia pokoju, Marina Goletti, która udzieliła im ślubu, ogłosiła nowożeńców mężem i żoną - znajomi rzucili się do nich z gratulacjami.

- Dlaczego to tak długo trwało? - podpuszczał ich kolega Brada.

- Musieliśmy dojść do wprawy - oznajmiła Pilar z godnością. Biała jedwabna tunika w stylu greckim dobrze układała się na jej smukłej figurze, o którą Pilar dbała - codziennie ćwiczyła i pływała. Bradford często chwalił jej sylwetkę jak u młodej dziewczyny. W ogóle była atrakcyjną kobietą, nawet proste, srebrne włosy zwisające do ramion dodawały jej urody. Nie tylko nie ukrywała tej wczesnej siwizny, lecz przeciwnie - szczyciła się nią, choć posiwała już w wieku dwudziestu kilku lat, a teraz przekroczyła czterdziestkę.

- W ciągu trzynastu lat mieliście na to chyba dość czasu! Alicja Jackson, jej

współpracowniczką z zespołu adwokackiego, szepnęła Pilar na ucho:

- Dobrze, że w końcu zdecydowałaś się wyjść za Brada.

- Aha - dodał inny kolega po fachu, Bruce Hemmings. - Przypuszczam, że nie chcieliście wywoływać skandalu po tym, jak Brad dostał nominację na sędziego.

- Dobrze ci się wydaje! - zareplikował Brad swoim dźwięcznym głosem tuż nad uchem Pilar, obejmując ją ramieniem. - Nie chcę, by ktokolwiek zarzucał jej, że ma specjalne względy u sędziego, bo z nim żyje.

- Myślałby kto, że mam jakieś względy! - odparowała Pilar. Przytuliła się do niego, demonstrując tym poufałym gestem długotrwałą zażyłość.

Najśmieszniejsze, że przez pierwsze trzy lata ich znajomości byli przeciwnikami na niwie zawodowej. Pilar po ukończeniu studiów prawniczych podjęła pracę jako adwokat w Santa Barbara, gdzie Brad pracował jako prokurator. Tak się składało, że w każdej poważniejszej sprawie karnej stawali przeciwko sobie. Pilar nie tolerowała ani jego poglądów politycznych, ani stylu wygłaszania mów oskarżycielskich, którymi tak długo zamęczał skład sędziowski, dopóki nie wygrał. Nieraz ich temperamenty rozpałały się do tego stopnia, że toczyli zawzięte spory jeszcze w kuluarach sądu. Często sędzia musiał ich przywoływać do porządku, a raz nawet Pilar o mało nie spędziła nocy w areszcie za obrazę sądu, bo na sali rozpraw nawymyślała Bradowi od skurwysynów. Jego jednak ten atak rozbawił do tego stopnia, że odstąpił od wniesienia oskarżenia, i mało tego - zaprosił ją na kolację, gdy tylko sędzia ogłosił przerwę.

- Pan chyba zwariował? Nie słyszał pan, co powiedziałam? - Kiedy wychodzili z sali rozpraw, trzęsła się ze złości, bo jego sposób prowadzenia sprawy o gwałt wyprowadził ją z równowagi.

- Tak czy owak, jeść trzeba. A pani klient jest winny i pani doskonale o tym wie.

No cóż, wiedziała, ale ktoś przecież musiał bronić tego człowieka najlepiej jak umiał, czy to się Bradowi Colemanowi podobało, czy nie. W końcu to był jej fach.

- Nie mam zamiaru omawiać problemu winy czy niewinności mojego klienta z panem, panie prokuratorze! Pewnie po to pan chce zaprosić mnie na kolację, żeby wyciągnąć ode mnie coś, co potem użyje pan przeciwko mnie?

Była tak wściekła, że nie zwracała uwagi na jego fizyczną atrakcyjność. W prokuraturze nazywano go Cary Graniem, bo przypominał tego aktora srebrnosiwymi włosami, choć dopiero niedawno przekroczył czterdziestkę. Kobiety z jego biura rozplýwały się w zachwytach, że taki przystojny i seksowny. A ona patrzyła na niego wyłącznie jak na prokuratora.



- Dobrze pani wie, że nie zniżam się do takich działań - sprostował łagodnie. - Szkoda, że pani nie pracuje w prokuraturze, zamiast w tym zespole adwokackim. Wolałbym znajdować się z panią po jednej stronie barykady. Razem moglibyśmy napsuć więcej krwi przeciwnikom.

Musiła się uśmiechnąć, słysząc takie pochlebstwa. Nie poszła jednak z nim na kolację, choć słyszała, że był wdowcem z dwojgiem dzieci, powszechnie lubianym. Dla niej uosabiał jednak tylko przeciwnika na sali sądowej. Nie próbowała nawet zobaczyć go w innym świetle, dopóki znów nie stanęli naprzeciw siebie w sprawie o głośne przestępstwo, o którym szeroko rozpisywały się wszystkie media. Chodziło o morderstwo, więc żądni sensacji dziennikarze eksploatowali tę sprawę bez umiaru, posuwając się nawet do chwytów poniżej pasa.

Młoda dziewczyna została oskarżona o zabójstwo kochanka swojej matki. W śledztwie utrzymywała, że usiłował ją zgwałcić, lecz nie miała na to dowodów, a matka zeznawała przeciwko niej. Przesłuchania świadków ciągnęły się w nieskończoność, choć adwokaci zadawali im podchwytliwe pytania, ale gdzieś w połowie postępowania procesowego prokurator Bradford Coleman dyskretnie podszedł do mecenas Graham i poinformował ją, że w świetle nowo ujawnionego dowodu doszedł do przekonania, iż jej klientka może być niewinna. Poprosił o odroczenie rozprawy i wznowienie postępowania, czym doprowadził do uwolnienia dziewczyny. Pilar musiała przyznać, że to on się do tego przyczynił, gdyż jej mowy obrończe nie wywarły żadnego skutku. Dopiero wtedy, po trzech latach daremnych zabiegów, zgodziła się zjeść z nim kolację. Nic nigdy nie przychodziło im szybko ani łatwo.

Dzieci Bradforda, trzynastoletnia Nancy i dziesięcioletni Todd, od początku ustosunkowały się negatywnie do jego znajomości z Pilar. Ich matka nie żyła od pięciu lat i od tamtego czasu miały ojca tylko dla siebie, więc nie chciały dzielić się nim z żadną kobietą. Utrudniały obojgu życie, jak mogły, choć Brad i Pilar początkowo byli tylko przyjaciółmi. Dzieci jednak wyczuły, że z tej przyjaźni może rozwinąć się coś więcej i próbowały temu zapobiec. Ich zachowanie smuciło Brada, ale Pilar tylko mu współczuła. Wiedziała przecież, że dorosłemu mężczyźnie nie może wystarczyć do końca życia tylko praca i dzieci. Im lepiej poznawała Brada, tym więcej zyskiwał w jej oczach. Imponował jej jego umysł, charakter i kwalifikacje zawodowe, prawość i wrodzone poczucie przyzwoitości. Przekonała się, że pozytywne opinie o nim nie były bynajmniej przesadzone.

Tym sposobem, zanim się zorientowała, zdążyła zakochać się w nim po uszy, podobnie jak on w niej. Nie wiedzieli tylko, jak mają postąpić z dziećmi.

- Mniejsza o dzieci, ale co z moją pracą? Nie wypada mi przecież teraz stawać w sądzie przeciwko tobie! - dowodziła Pilar. - To nawet niedopuszczalne, bo powstałby konflikt interesów!

Brad się z nią zgodził, więc wycofywali się ze spraw, w których znajdowałiby się po przeciwnych stronach. W ciągu roku Pilar przestawiła się całkowicie na prowadzenie prywatnej kancelarii, co dawało jej pełną satysfakcję zawodową. Po niedługim czasie to samo zrobił też Brad. Oboje prowadzili bardzo czynne i urozmaicone życie, a dzieci stopniowo przyzwyczajały się do jego znajomości z Pilar. Z czasem zaakceptowały ją, a potem polubiły, choć musiała stoczyć ciężką walkę o zdobycie ich przychylności. Po trzech latach trwania romansu z Bradem, kiedy Nancy miała szesnaście lat, a Todd trzynaście, Pilar Graham wprowadziła się do jego domu.

Razem kupili nowy dom w Montecito. Potem Nancy poszła na studia, Todd do szkoły z internatem, a znajomi Pilar i Brada stopniowo przestali ich pytać, kiedy się wreszcie pobiorą. Obydwoje nie widzieli potrzeby zawierania ślubu, bo Brad miał własne dzieci, a Pilar nie myślała o powiększeniu rodziny. Przy ciskaniu do muru wykręcała się, że prawdziwa miłość nie wymaga potwierdzenia na papierze. Wystarczyło, że ślubowała Bradowi wierność w sercu i tylko to się liczyło.

W tym nieformalnym związku przeżyli bez burz trzynaście lat, dopóki Brad nie otrzymał nominacji na sędziego sądu wyższej instancji z siedzibą w Santa Barbara. Miał sześćdziesiąt jeden lat, a Pilar czterdzieści dwa. Wtedy to uświadomili sobie, że sytuacja stała się krępująca. Mężczyzna na tak eksponowanym stanowisku żyjący bez ślubu z kobietą mógł łatwo paść ofiarą niewybrednej nagonki prasowej. Podobno pojawiły się już pierwsze komentarze.

Któregoś ranka rozmawiali o tym przy śniadaniu. Pilar wyraźnie posmutniała.

- Nie uważasz, że powinnam się wyprowadzić? Brad podniósł oczy znad „New York Timesa” i spojrzał na nią z rozbawieniem. W wieku czterdziestu dwóch lat wyglądała tak samo ponętnie, jak wtedy, gdy miała dwadzieścia sześć i stawali przeciwko sobie w sądzie.

- Chyba przesadzasz.

- Nie chciałabym, abys miał przeze mnie kłopoty. - Naląła sobie i jemu drugą filiżankę kawy.

- To pani mecenas nie widzi innego wyjścia? Bo ja widzę.

- Jakie? - Spojrzała na niego szklanym wzrokiem, bo na prawdę nie miała lepszego pomysłu.

- No, to masz szczęście, że nie jesteś moją aplikantką! Nie przyszło ci nigdy do głowy,

że moglibyśmy się pobrać? A w razie, gdybyś nie dała się przekonać do tego rozwiązania, nie widzę nic złego w tym, abyśmy dalej żyli tak, jak żyjemy. W końcu sędziowie to tacy sami ludzie jak wszyscy inni.

- Nie wiem, czy ci to jednak nie zaszkodzi. - Uważała, że nie rozsądne byłoby szargać jego nieskazitelną reputację.

- W takim razie wyjdź za mnie!

Pilar przez dłuższy czas kontemplowała w milczeniu widok z okna, zanim odpowiedziała:

- Czy ja wiem? Nie pomyślałam dotąd o tym. A ty?

- Prawdę mówiąc, nie, bo ty tego nie chciałaś. Mógłbym jednak wziąć pod uwagę taką ewentualność.

W gruncie rzeczy zawsze chciał się z nią ożenić. To tylko ona z uporem broniła swojej wolności, aby nie dać się „wchłonać”. Nie mieli też powodu, by obawiać się sprzeciwu dzieci, jak to było na początku. Nancy miała już dwadzieścia sześć lat i przed rokiem sama wyszła za mąż, a Todd - dorosły, dwudziestotrzyletni mężczyzna - pracował w Chicago.

- A co, czy małżeństwo to coś strasznego? - podpytywał nie śmiało, ale Pilar i tak zwlekła z odpowiedzią.

- W naszym wieku? - Spojrzała na niego z takim zdziwieniem, jakby zaproponował coś kompletnie nierealnego, na przykład, żeby oboje wyskoczyli z samolotu ze spadochronem.

- Czyżby wprowadzono jakieś granice wieku przy zawieraniu małżeństw? Nie wiedziałem... - zażartował, co wywołało uśmiech na jej twarzy.

- Dobrze, już dobrze - westchnęła, opadając na oparcie krzesła. - Po prostu mnie zaskoczyłeś. Tak nam się cudownie żyło razem, że nie chciałabym tego zmieniać. A co, jeśli wszystko po psujemy?

- Ciągłe to powtarzasz, ale właściwie dlaczego mielibyśmy coś popsuć? Czy małżeństwo zmieni coś w tobie albo we mnie?

- Nie wiem, może... - Powiedziała to całkiem poważnie.

- Niby dlaczego miałbym się zmienić? Kocham cię, Pilar, i o niczym nie marzę bardziej niż o wzięciu z tobą ślubu. Może potrzebowaliśmy pretekstu, który właśnie się nadarzył?

- I tym pretekstem ma być twoja nominacja? Właściwie dla czego? Kogo to obchodzi?

- Nikogo oprócz nas, ale ja chcę, abyś została moją żoną. - Ujął jej rękę i pocałował ją.

- Kocham cię, Pilar Graham, i będę kochał do końca moich dni. Chcę cię poślubić bez

względu na to, czy będę sędzią, czy nie. Jak się na to zapatrujesz?

- Myśle, że zwariowałeś - mruknęła z uśmiechem, ale zaraz zamknęła mu usta pocałunkiem. - Pewnie to przez tę stresującą pracę. Widzisz, ja zawsze lubiałam płynąć pod prąd. Miałam dwadzieścia pięć lat, a już byłam siwa jak gołąb. Nie przeszkadzało mi, że nie mam dzieci, choć inne kobiety paradowały z nosidełkami i wózkami. Lubię swoją pracę, więc nie miałam kompleksów z powodu staropanieństwa.

- I nie wstydzisz się żyć w grzechu? Gdzie twoje sumienie?

- Dawno się go wyzbyłam, odkąd mam do czynienia z sądami.

- Tak przypuszczałem, ale przynajmniej to przemyśl - rzucił luzno.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, a przez następne sześć miesięcy oboje tak zawzięcie walczyli ten temat, że Brad miał już dość i dał sobie słowo, że nie ożeni się z Pilar, choćby go sama o to prosiła. Jednak w maju to właśnie ona go zadziwiła.

- Przemyślałam tę sprawę - oświadczyła, zaparzając kawę w ekspresie.

- Jaką sprawę? - Nie zorientował się od razu.

- No, naszą. - Przestraszył się, przygotowany na najgorsze. Tak nieprzewidywalną kobietę stać było na wszystko, nawet na podjęcie najdzikszych decyzji... - Sądzę, że powinniśmy się pobrać.

Powiedziała to bardzo rzeczowym tonem, podając mu kawę. Brad był tak zdumiony, że wybałuszył na nią oczy.

- Że co? Po tym wszystkim, co mi nagadałaś przez całe święta, nagle zmieniłaś zdanie? Co ci się stało?

- Nic, tylko doszłam do wniosku, że możesz mieć rację i że to rzeczywiście najwyższy czas.

Istotnie, dużo myślała na ten temat, ale trudno jej przychodziło wyznanie, że w głębi duszy pragnęła połączyć się z nim na zawsze.

- A dlaczegoż to doszłaś do takiego wniosku?

- Nie wiem - odpowiedziała wymijająco, na co się roześmiał.

- Słowo daję, ty naprawdę masz nierówno pod sufitem! Ale i tak cię kocham. - Przeszedł na drugą stronę lady kuchennej, porwał Pilar w ramiona i zaczął całować. - Kocham cię i będę kochał, czy wyjdiesz za mnie, czy nie. Może potrzebujesz jeszcze trochę czasu do namysłu?

- Lepiej nie dawaj mi za dużo czasu, bo jeszcze zmienię zdanie! - Roześmiała się. - Zróbmy szybko, co trzeba, żeby mieć to z głowy.

Zabrzmiało to tak, jakby oczekiwała czegoś przykrego. Natomiast Brad był w

siódmym niebie.

- Nie bój się, tak to załatwię, że wszystko pójdzie jak z płatka - obiecał.

Wyznaczyli datę ślubu na czerwiec i zawiadomili o tym dzieci, które zadeklarowały, że chętnie przyjadą, mało tego - sprawiały wrażenie, że szczerze cieszą się z tej decyzji. Wśród zaproszonych gości znalazło się dziesięć małżeństw, kilkoro nieżonatych kolegów i niezamężnych koleżanek z pracy - w tym Marina Goleni, najlepsza przyjaciółka Pilar, która miała udzielić im ślubu - no i, oczywiście, matka Pilar, wdowa (oboje rodzice Brada już nie żyli). Matka Pilar mieszkała w Nowym Jorku, ale obiecała, że przyjedzie na ślub „jeśli w ogóle do niego dojdzie”, jak z niedowierzaniem dodała, czym nie na żarty zdenerwowała córkę.

Brad dotrzymał słowa i zajął się stroną organizacyjną ceremonii. Jego sekretarka rozesała zaproszenia, Pilar musiała tylko sprawić sobie odpowiednią kreację. Razem z córką Brada, Nancy, i z Mariną Goletti wybrała się po zakupy, ale bez przekonania - mało brakowało, a jej towarzyszki musiałyby za nią przymierzać suknie. W końcu jednak zdecydowała się na tunikę z kremowego jedwabiu od Mary McFadden, układaną od góry do dołu w drobne fałdki, jak na posągach greckich bogiń. W dniu uroczystości uczesała się w wysoko upięty kok, z pojedynczymi pasemkami zwisającymi miękko przy twarzy. We włosy powplatała drobne białe kwiatki, z którymi wyglądała wystrzałowo. Kiedy po zakończeniu ceremonii odwróciła się ku gościom - na jej twarzy malowała się euforia.

- Widzisz, to wcale nie było straszne! - szepnął jej do ucha Brad. Jak zawsze, rozumieli się bez słów, nawet gdy stali na uboczu, bacznie obserwując, czy przyjaciele dobrze się bawią. W ciągu trzynastu lat wytworzyła się między nimi więź, która przetrwała wszystkie próby czasu. Połączyła ich miłość, która teraz przywiodła obydwój do bezpiecznej przystani.

- Przyznaj się, zrobiłaś to dla mnie, czy dla nich?

- Zabawne, ale chyba w końcu zrobiłam to dla siebie - odszepnęła. Nie chciała mu tego mówić, ale tak jakoś wyszło. - Po prostu nagle zrozumiałam, że chcę być twoją żoną, bo cię potrzebuję.

- Miło mi to słyszeć. - Przynął się do niej bliżej. - A ja potrzebowałem ciebie, i to już od dawna, tylko nie chciałem ci się narzucać.

- Tak, zawsze to u ciebie ceniłam. Po prostu potrzebowałam więcej czasu. - Uśmiechnęła się nieśmiało, a on roześmiał się głośno. Dobrze, że nigdy nie chciała mieć dzieci, bo gdyby musieli czekać na jej decyzję przez następne trzynaście lat - mogli by się nie doczekać.

- I ten czas właśnie nadszedł. Widocznie tak miało być. Grunt, że cię kocham -

oświadczył, ale w którymś momencie spojrzął na nią zciekawionym wzrokiem. - Zaraz, a jak się teraz będziesz przedstawiać? Pani Coleman czy panna Graham?

- Prawdę mówiąc, jeszcze o tym nie myślałam. Nie jestem pewna, czy w moim wieku wypada zmieniać nazwisko. Jeśli przez czterdzieści dwa lata występowałam jako Pilar Graham, to jedno popołudnie tego nie zmieni... - Urwała, bo w jego oczach dostrzegła cień smutku i rezygnacji, więc dokończyła innym tonem: - Chociaż właściwie... może przez następne trzynaście lat... co szkodzi iść na całość?

- Więc Coleman? - upewnił się, zaskoczony i wzruszony. Ten dzień rzeczywiście okazał się wyjątkowy pod każdym względem.

- Tak, niech będzie pani Coleman. Pilar Coleman. Kiedy teraz uśmiechnęła się do niego - wyglądała jak młoda dziewczyna. Brad pocałował ją i podprowadził do grona rozbawionych przyjaciół.

- Gratuluje, Pilar - powiedziała jej matka znad kieliszka szampana. Elizabeth Graham w wieku lat sześćdziesięciu siedmiu nadal świetnie się trzymała i pracowała w Nowym Jorku jako lekarka - specjalistka z zakresu neurologii, z czterdziestoletnią praktyką. Innych dzieci poza Pilar nie miała. Jej mąż, sędzia Sądu Apelacyjnego, zginął w katastrofie lotniczej, kiedy Pilar studiowała prawo. - Zrobiłaś niespodziankę nam wszystkim.

Pilar się uśmiechnęła, lata doświadczenia nauczyły ją trzymać nerwy na wodzy i nie dać się matce rozdrażnić.

- Życie jest pełne cudownych niespodzianek - oświadczyła dyplomatycznie. Uśmiechnęła się do Brada, a nad jego ramieniem do Mariny, która matkowała jej od początku, odkąd Pilar przybyła do Santa Barbara. Zależało jej, żeby to właśnie Marina dała im ślub, bo zaprzyjaźniła się z nią na długo przedtem, za nim starsza koleżanka zasiadła na ławie sędziowskiej wspólnie z Bradem. Najpierw pracowały razem w zespole adwokackim, a dopiero potem Marina zrobiła aplikację sędziowską. Przez cały czas zastępowała Pilar prawdziwą matkę, z którą ta nie żyła w najlepszych stosunkach.

Pilar nigdy nie ukrywała, że prawie nie widywała swoich rodziców. Byli zanadto pochłonięci pracą zawodową, a ją wysłali do szkoły z internatem już jako siedmioletnią dziewczynkę. Do domu przyjeżdżała tylko na wakacje i świąteczne ferie, a wtedy rodzice głównie wypytywali, czego się ostatnio nauczyła, jak duże postępy poczyniła we francuskim i dlaczego ma takie słabe stopnie z matematyki. Wydawali się jej właściwie obcymi ludźmi, choć ojciec czasem podejmował pewne wysiłki, aby się do niej zbliżyć. Nie miał z nią jednak o czym rozmawiać, gdyż, podobnie jak matka, interesował się głównie pracą. Matka zaś wcześniej dała Pilar do zrozumienia, że sprawy jej pacjentów są dla niej nieporównywalnie

ważniejsze niż problemy jedynej córki.

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, po co oni w ogóle zdecydowali się na dziecko - zwierzyła się Bradowi już na samym początku. - Podejrzywałam nieraz, że przyszłam na świat wskutek pomyłki lub nieudanego eksperymentu medycznego. Nie spełniałam też ich oczekiwań. Ojciec ucieszył się dopiero wtedy, gdy poszłam na prawo. Pewnie po raz pierwszy uwierzył, że nie popełnili z matką błędu, przywołując mnie na świat. Ale na uroczystość rozdania dyplomów matka i tak nie przyszła, bo nie mogła mi darować, że nie studiowałam medycyny, chociaż własnym przykładem raczej nie zachęcała mnie do tego.

W efekcie Pilar prawie całe dzieciństwo spędziła poza domem. W żartach ze swymi kolegami po fachu określała się nawet jako wychowanka instytucji publicznych, na równi z tymi jej klientami, którzy wychowali się w więzieniach. Właściwie trudno było by określić, co w większym stopniu wpłynęło na jej negatywny stosunek do instytucji małżeństwa i rodzenia dzieci - chłód uczuciowy panujący w jej rodzinie, czy też warunki, w jakich wyrosła. Nie miała bowiem pojęcia, jak powinno się wychowywać dziecko, ani nie chciała skazywać nikogo na takie dzieciństwo, jakie było jej udziałem. Kiedy poznała Brada, zaskoczył ją jego stosunek do własnych dzieci, oparty na wzajemnej szczerości, naturalności i wylewności uczuciowej. Pilar nie potrafiłaby odnosić się w taki sposób do nikogo, a zwłaszcza do dziecka. Z czasem zmniejszył się dystans między nią a dziećmi Brada, ale nadal nie chciała mieć własnych. Obecność matki na weselu przypomniała jej tylko, jak dalece rodzice ją zawiedli.

- Wyglądasz dziś uroczo, Pilar - wykrztusiła niezręcznie matka takim tonem, jakby mówiła do znajomej albo wręcz obcej osoby. Nigdy nie pozwoliła sobie na odrobinę uczuciowości, zakładając, że w ogóle miała jakieś uczucia... - Szkoda, że oboje z Bradem jesteście za starzy, żeby mieć dzieci.

Pilar spojrzała na nią ze zdziwieniem, nie wierząc własnym uszom, że takie słowa mogły wyjść z ust matki.

- I ty to mówisz? - wycedziła tak cicho, że nawet Brad tego nie słyszał. - Jakim prawem wkraczasz do naszego życia i ośmielasz się wyrokować na temat naszej przyszłości?

Marina, która przyglądała się im z daleka, nawet z tej odległości dostrzegła płomień gniewu w jej oczach.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że z medycznego punktu widzenia nie jesteś już w wieku odpowiednim do prokreacji. - Matka mówiła chłodno, tonem zawodowej biegłości, natomiast Pilar dała się ponieść nerwom.

- Każdego dnia kobiety w moim wieku rodzą dzieci! - wybuchnęła, wściekła na siebie,

że po raz kolejny dała się sprowokować. Posiadanie dziecka było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła w życiu, ale jakie prawo miała jej matka, aby z góry zakładać, że nie może, a na wet nie powinna mieć dziecka? Po tym, jak mało zrobiła dla niej przez wszystkie minione lata, mogłaby przynajmniej odczepić się od jej życia prywatnego i uszanować prawo do własnych wyborów!

- W Kalifornii może i rodzą. - Matka nie ustępowała. - Ale te dzieci trafiają potem do mnie, opóźnione w rozwoju, z zespołem Downa lub innymi deformacjami. Nie przypuszczam, abyś tego chciała.

- Tak, oczywiście, masz zupełną rację! - Pilar spojrzała jej wyzywająco w oczy. - Już ty i tato postaraliście się, żebym nigdy nie chciała mieć dzieci!

Czym prędzej wmieszała się w tłum gości, roztrzęsiona. Rozglądała się za Bradem, ale akurat odszedł z kimś na bok, sądząc pewnie, że Pilar mile gawędzi sobie z mamą.

- Dobrze się czujesz? - zagadnęła szeptem Marina, której siwe włosy ułożone były w niesforną, pełną loków fryzurę. Ta starsza dama była dla Pilar i matką, i serdeczną przyjaciółką. Chętnie dzieliła się z nią swoim doświadczeniem życiowym, bo dokonywała podobnych wyborów jak Pilar, tylko z innych powodów. Po przedwczesnej śmierci własnej matki sama wychowała dziesięcioro młodszego rodzeństwa, ale pozostała starą panną i nie dochowała się potomstwa. Ciekawym wyjaśniała, że poświęciła się karierze zawodowej, ale zawsze chętnie wysłuchiwała skarg Pilar na obojętność rodziców.

W ostatnich latach młoda kobieta miała mniej powodów do narzekań, bo Pani Doktor, jak nazywała matkę, odwiedzała ją najwyżej raz na dwa-trzy lata. Pilar niespecjalnie za nią tęskniła, bo odwiedziny mamuśki miały charakter formalny. Pod tym względem nic się nie zmieniło od czasów jej dzieciństwa. Nie były to wizyty, ale wizytacje.

- Oj, chyba Pani Doktor palnęła ci kazanie! - Marina mrugnęła porozumiewawczo.

Pilar mogła już zdobyć się na uśmiech, bo w towarzystwie Mariny nabierała lepszego mniemania o gatunku ludzkim.

- Nie, chciała się tylko upewnić, czy Brad i ja zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy już za starzy na dzieci! - parsknęła z gorzką ironią. Nie tyle martwił ją brak potomstwa, ile raczej brak ciepłych uczuć u własnej matki.

- Myślałby kto! - zaperzyła się sędzina Goletti. - Moja mama urodziła ostatnie dziecko, kiedy miała pięćdziesiąt dwa lata.

- Chcesz mi powiedzieć, że mam równać do tego poziomu? - Pilar się roześmiała. - Tylko mi nie mów, że i mnie może to spotkać, bo chyba się zastrzelę! - W dniu własnego ślubu? Z byka spadłaś? - Marina próbowała obrócić tę wypowiedź w żart, ale zaskoczyła



Pilar kolejnym pytaniem: - A co, chcielibyście mieć dzieci?

Znała wiele małżeństw starszych niż Brad i Pilar, które dopiero niedawno doczekały się potomstwa, ale pytała z prostej ciekawości, bo była dostatecznie blisko zaprzyjaźniona z Pilar. Zaskoczyło ją jej małżeństwo po tylu zdecydowanych deklaracjach po zostawaniu w stanie wolnym, może wobec tego i inne jej postanowienia uległy zmianie. Pilar jednak roześmiała się jej w nos.

- No, nie, o to nie musisz się martwić. Na mojej liście życzeń dzieci figurują na ostatnim miejscu i na razie nie planuję tego zmienić.

- Czego nie planujesz? - wtrącił się Brad, który akurat do nich dołączył i z zadowoloną miną otoczył ramieniem talię żony.

- Rezygnacji z pracy zawodowej. - Pilar na poczekaniu wymyśliła odpowiedź. Zdążyła już ochłonąć po wymianie zdań z matką, a obecność Brada działała na nią uspokajająco.

- A któż się tego po tobie spodziewał? - Brad potoczył dookoła zdziwionym wzrokiem. Nie przypuszczał, że ktokolwiek może w ogóle o coś takiego zapytać. Pilar cieszyła się opinią wyśmienitej prawniczki, w pełni oddanej swemu zawodowi. Nie wyobrażał sobie nawet, aby mogła rzucić pracę.

- Myślałam, że mogłaby dołączyć do grona sędziów - wywinęła się sprytnie Marina Goleni. Zresztą myślała o tym całkiem poważnie. Ktoś ją akurat odwołał, więc Pilar i Brad zostali przez chwilę sami, patrząc sobie w oczy.

- Kocham cię, moja pani Coleman - oświadczył. - Chciałbym móc ci powiedzieć, jak bardzo...

- Jeszcze zdążysz, całe życie przed nami. I ja cię kocham, Brad - wyszeptła.

- Gdybym musiał, poczekałbym jeszcze pięćdziesiąt lat, byle tylko cię dostać.

- Oj, wtedy moja mama naprawdę by się zmartwiła! - Pilar się roześmiała, a ten łobuzerski uśmiech jeszcze ujął jej lat.

- Czyżby twoja mama uważała, że jestem dla ciebie za stary? - Rzeczywiście, był tylko o kilka lat młodszy od swojej teściowej.

- Nie ty, tylko ja. Mama obawia się, że przyjdzie nam do głowy napłodzić niedorozwiniętych dzieci i przysporzyć jej pacjentów.

- Jakie to miłe z jej strony! To ci właśnie powiedziała? - Wydawał się lekko podenerwowany, ale nie chciał, by cokolwiek zakłóciło ten długo oczekiwany dzień w jego życiu.

- Tak. Pani Doktor uznała, że powinna mnie ostrzec.

- No, to nie wiem, czy zaprosimy ją na srebrne wesele! - za groził żartobliwie, całując

żonę.

Tańczyli trochę ze sobą, a trochę z gośćmi. O północy dyskretnie opuścili towarzystwo, bo czekał na nich apartament w Biltmore.

- Szczęśliwa? - zagadnął, kiedy spoczęła przy nim na tylnym siedzeniu wynajętej limuzyny.

- Jeszcze jak! - Uśmiechnęła się promiennie. Ziewając, oparła głowę na ramieniu Brada, a stopy w białych atłasowych czółenkach na oparciu przedniego siedzenia. Nagle jakby coś sobie przypomniała. - O rany, nie pożegnałam się z mamą, a ona jutro z samego rana wyjeżdża!

Pani Doktor wybierała się do Los Angeles na kongres lekarzy. Pod tym względem ślub Pilar przypadł w dogodnym dla niej momencie.

- Tym razem akurat nie musiałaś. To twoje wesele i raczej ona powinna była przyjść do ciebie, pocałować cię na dobranoc i życzyć szczęścia.

Pilar wzruszyła ramionami. Dawno już przestała przykładać wagę do tego rodzaju gestów ze strony matki.

- Ja w każdym razie życzę ci szczęścia - dodał Brad, a ona po całowała go, czując, że ta chwila wystarczy jej za całe życie. Jego pragnęła ponad wszystko i - o dziwo - pożałowała nawet, że nie wyszła za niego wcześniej.

Nie myślała już o przeszłości ani o tym, jak skrzywdzili ją rodzice. Teraz liczył się tylko Brad i ich wspólna przyszłość. Przy najmniej ta najbliższa przyszłość, jaką ucieleśniała noc spędzona w Biltmore.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Tydzień po Święcie Dziękczynienia Diana miała już kupę roboty z artykułami do kwietniowego numeru. Zespół redakcyjny z jej magazynu szykował obszerne reportaże o dwóch domach w Newport Beach i jednym w La Jolla. Sama pojechała do San Diego, aby skontrolować zaawansowanie prac, ale już późnym popołudniem miała kompletnie dość. Lokatorzy domu należeli raczej do osób konfliktowych, właścicielce nie podobało się nic z tego, co dziennikarze u niej robili, a młoda, początkująca redaktorka, która miała przygotować materiał, wyplakiwała się na ramieniu Diany.

- Nie przejmuj się - uspokajała ją, choć sama znajdowała się na krawędzi wyczerpania nerwowego. Na domiar złego od południa nękał ją uporczywy ból głowy. - Jeśli zobaczy, że wyprowadziła cię z równowagi, zaczniesz zachowywać się jeszcze gorzej. Traktuj ją po prostu jak małą dziewczynkę, która chce dostać się na łamy naszego pisma, a ty masz jej w tym pomóc.

Ta przemowa niewiele jednak pomogła, gdyż niebawem fotografik wściekł się i zagroził, że rzuci wszystko i pójdzie sobie. Pod koniec dnia wszyscy mieli zszarpane nerwy, a najbardziej Diana.

Wróciła do hotelu Valencia i ledwo weszła do swojego pokoju, od razu, nie zapalając światła, padła na łóżko. Była zanadto zmęczona, aby rozmawiać z kimkolwiek, zjeść coś czy choćby się rozebrać. Nie miała nawet siły, by zadzwonić do Andyego. W końcu zdecydowała, że najpierw weźmie gorącą kąpiel, a później każe sobie przynieść do pokoju zupe. Od razu ją zamówiła, a dopiero potem weszła do łazienki.

Ledwo się rozebrała, zobaczyła to, czego najbardziej na świecie nie chciała widzieć - plamę krwi na majtkach. Co miesiąc modliła się, aby to się już nie pojawiało, a jednak stale wracało, mimo wysiłków jej i Andyego, aby zaszła w ciążę. Próbowali tak już od pół roku, ale nie skutkowało.

Na ten widok zamknęła oczy, spod powiek popłynęły łzy. Płakała jeszcze, wchodząc do wanny, bo nie rozumiała, dlaczego to, co przychodziło tak łatwo innym, choćby jej siostrze, jej się nie udawało.

Po kąpielii zadzwoniła do Andyego. Akurat wrócił do domu, bo miał w pracy zebranie, które późno się skończyło.

- Cześć, kochanie, jak ci dziś poszło? - Robił wrażenie zmęczonego. Postanowiła więc nie mówić mu o niczym, dopóki nie wróci, ale wyczuł smutek w jej głosie i sam zapytał, co

się stało. - Coś nie tak?

- Nic, tylko ten dzień tak mi się dłużył... - Siliła się na obojętny ton, ale serce jej się krajało. Odnosiła wrażenie, jakby co miesiąc ktoś umierał i wciąż od nowa przeżywała żałobę.

- Oj, to chyba coś więcej. Masz kłopoty z ekipą czy z właścicielami domu?

- No, niby nic wielkiego, tylko ta baba jest strasznie upierdliwa, fotografik już dwa razy groził, że zwinie majdan, ale w naszym fachu to normalka.

- Więc o co chodzi? O czym mi jeszcze nie powiedziałaś?

- Widzisz... znowu mam okres. To takie przygnębiające... - Jej oczy znów wypełniły się łzami, ale Andy zdawał się tym nie przejmować.

- I cóż takiego się stało? To tylko znaczy, że musimy próbować do skutku. Przecież jesteśmy ze sobą dopiero pół roku, a niektórzy ludzie czekają na dziecko rok albo i dwa. Nie zamartwiaj się tak, odpoczywaj i baw się dobrze. Kocham cię, głuptasku! - Było mu przykro, że Diana każdego miesiąca wpada w taką panikę, ale nie przypuszczał, aby działo się coś złego. Możliwe, że szkodziła im stresująca praca. - Może w przyszłym miesiącu w odpowiednim czasie wyjedziemy gdzieś na parę dni? Oblicz sobie, kiedy to ma być i powiedz mi.

- Kocham cię, Andy! - Uśmiechnęła się przez łzy. Kochany chłopak, jak on potrafił ją pocieszać. - Żebym to ja umiała tak się wyluzować! Chyba powinnam pójść do specjalisty, a przynajmniej spytać Jacka, co o tym myśli.

- Nie bądź śmieszna! - Dopiero teraz głos Andyego zdradzał zdenerwowanie. Absolutnie nie życzył sobie, aby żona wtajemniczyła szwagra w szczegóły ich intymnego pożycia. - Przecież nikomu z nas nic nie brakuje.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. Proszę cię, zaufaj mi.

- Och, przepraszam. Działa mi to już na nerwy, co miesiąc ta sama historia. Trochę gorzej się poczuje, kichnę, brzuch mnie rozboli, a już chwytam się tego kurczowo i myślę, że jestem w ciąży. A potem nagle bach! i po wszystkim.

Nie potrafiła opisać mu rozczarowania, jakiego doznawała co miesiąc. Żyli ze sobą od trzech lat, a po pół roku od ślubu chciała już nosić pod sercem jego dziecko. Tymczasem najwyższe piętro w ich domu świeciło pustką jak wyrzut sumienia. To z myślą o dzieciach kupili taki duży dom.

- Spróbuj na razie nie myśleć o tym, kochanie. Na wszystko przyjdzie czas, a na razie powiedz, kiedy wracasz.

- Jutro wieczorem, jeśli tymczasem ci ludzie nie doprowadzą mnie do szału. - Westchnęła. Perspektywa ponownego użerania się z właścicielami domów przygnębiała ją jeszcze bardziej, odkąd okres pozbawił ją nadziei na kolejny miesiąc.

- Będę na ciebie czekał - obiecał Andy. - Tymczasem dobrze się wyśpij, a od razu poczujesz się lepiej. - Wydawało mu się, że potrafi ją pocieszyć w taki prosty sposób. Dziwne, ale wolałaby, żeby i on się martwił i przeżywał te same lęki co ona. Nie, nie, chyba lepiej, że tak tego nie przeżywał. - Kocham cię. Di.

- Ja ciebie też, kochanie. I tęsknię za tobą.

- Tak samo jak ja za tobą. Do zobaczenia jutro! Ledwie odłożyła słuchawkę, przyniesiono jej zupę, ale straciła już na nią apetyt. Zgasiła światło i położyła się do łóżka, jednak długo nie mogła zasnąć, myśląc o dziecku, którego tak pragnęła. Jeszcze zasypiając, modliła się, aby następny miesiąc okazał się lepszy pod tym względem.

Pilar Graham (w pracy nadal używała tego nazwiska) siedziała w biurze, przeglądając akta leżące na biurku, kiedy zadzwonił wewnętrzny telefon. Dzwoniła sekretarka z informacją:

- Przyszli państwo Robinson.

- Dziękuję, poprosz ich. - Pilar wstała, oczekując poważnie wyglądającego małżeństwa, które wprowadziła sekretarka. Kobieta, mniej więcej trzydziestoparoletnia, miała schludną fryzurę z ciemnych, półdługich włosów, podczas gdy jej partner, wysoki i chudy, wyglądał na starszego i niezbyt starannego w doborze stroju. Pilar przejęła ich sprawę po swoim koledze, więc od rana studiowała akta.

- Dzień dobry państwu, nazywam się Pilar Graham. - Przedstawiła się, podała obojgu rękę i zaprosiła, aby usiedli. Zaproponowała im kawę lub herbatę, ale odmówili. Rozglądali się tylko nerwowo, jakby spieszno im było jak najprędzej przystąpić do rzeczy.

- Całe rano przeglądałam państwa akta - zagaiła Pilar. Sprawiała wrażenie osoby godnej zaufania, ale ci ludzie zwrócili się do niej dlatego, że znali krążące o niej opinie. Stugębna plotka przedstawiała bowiem mecenas Graham jako postrach sali sądowej.

- Czy pani mecenas sądzi, że może nam pomóc? - zapytała Emily Robinson, spoglądając na Pilar udreńczonym wzrokiem.

Pilar nie była pewna, czy nie zawiedzie oczekiwań nowej klientki.

- Mam nadzieję, że tak, ale, mówiąc szczerze, nie jestem jeszcze tego pewna. Muszę najpierw dokładniej przejrzeć dokumentację i skonsultować się z kolegami, oczywiście przy zachowaniu pełnej dyskrecji. Prawdę mówiąc, nie prowadziłam dotąd żadnej sprawy dotyczącej matek zastępczych, a przepisy w tej materii mają wiele luk i różnią się bardzo

między poszczególnymi stanami. W tej sytuacji na razie nie znam jeszcze odpowiedzi na wiele pytań.

Lloyd Robinson umówił się z siedemnastoletnią dziewczyną, Michelle, mieszkającą w górach niedaleko Riverside, że ta urodzi jego dziecko. Przystała na to chętnie, gdyż urodziła już przedtem dwoje nieślubnych dzieci. Lloyd dostał jej adres za pośrednictwem szkoły, w której kiedyś pracował. Sztuczne zapłodnienie dokonał miejscowy lekarz, a za użyczenie brzucha Lloyd zapłacił dziewczynie pięć tysięcy dolarów - sumę wystarczającą na pokrycie kosztów przeprowadzki do Riverside i studiów uniwersyteckich, o których jakoby marzyła. Bez tych pieniędzy nie miałyby szans na wydostanie się z zabitej deskami górskiej wioski.

Robinsonowie dopiero poniewczasie zrozumieli, że palnęli głupstwo. Dziewczyna była młoda i nie zrównoważona, a jej rodzice, kiedy dowiedzieli się o wszystkim, rozdmuchali całą sprawę. Lloyd został oskarżony o przestępstwo kryminalne i choć zarzuty umorzono - sąd zainteresował się wybraną przez niego kandydatką na matkę zastępczą. Zaistniała nawet możliwość wniesienia sprawy o gwałt. Na szczęście Lloyd był w stanie dowieść, że nie odbył z powódką stosunku płciowego, ale po urodzeniu dziecka dziewczyna nie chciała mu go oddać. Miejscowy chłopak, za którego tymczasem wyszła za mąż, wspierał ją w tym uprze.

Podczas gdy Robinsonowie wyżałali się Pilar, Michelle zdążyła ponownie zająć w ciążę, tym razem ze swoim mężem. Córeczka Lloyda miała już rok, ale sąd zabronił mu jej odwiedzać. Jako dawcy nie przysługiwało mu do tego prawo, poza tym sąd uznał, że mógłby wywierać nieodpowiedni wpływ na małą. Zrozpaczeni Robinsonowie zachowywali się tak, jakby ukradziono im ukochane dziecko. Nazwali ją imionami Jeanne-Marie, na pamiątkę matki Emily i Lloyda, choć Michelle nazywała ją całkiem inaczej. Pilar odniosła więc wrażenie, że Robinsonowie żyli w świecie marzeń.

- Czy nie prościej byłoby adoptować dziecko? - Nie mogła powstrzymać się od zadania tego pytania.

- Może i tak. - Emily zgodziła się z nią, ale zaraz ze smutkiem wyznała: - Bo, widzi pani mecenas, to ja nie mogę mieć dzieci!

Wypowiedziała te słowa takim tonem, jakby przyznała się do strasznej zbrodni. Pilar zrobiło się jej trochę żal, choć sprawa za interesowała ją jako ciekawy przypadek. Najbardziej rzucało się w oczy u tych ludzi nieodparte pragnienie posiadania dziecka.

- Jesteśmy za starzy, aby zakwalifikować się do adopcji - tłumaczyła Emily. - Mam czterdzieści jeden lat, a Lloyd prawie pięćdziesiąt. Ubiegaliśmy się już o to wcześniej, ale wtedy mieliśmy za niskie dochody. Lloyd po urazie kręgosłupa pozostawał przez dłuższy czas bez pracy. Teraz powodzi nam się lepiej. Sprzedaliśmy samochód i pracowaliśmy na dwóch

etatach, żeby wystarczyło na zapłatę dla Michelle za urodzenie dziecka. Reszta oszczędności poszła na koszty sądowe i mało co nam zostało - wyznała szczerze.

Pilar jednak nie zważała na słabe możliwości finansowe klientki. Zaciekała ją sama sprawa, gdyż w aktach sądowych znajdował się odpis wywiadu środowiskowego zebranego przez miejscowego pracownika socjalnego. Zgodnie z tymi danymi Robinsonowie cieszyli się opinią porządnych ludzi, bez nałogów. Po prostu nie mogli mieć dzieci, a rozpaczliwie tego pragnęli. Pilar zaś wiedziała doskonale, że desperacja nieraz popycha ludzi do niedozwolonych czynów.

- Czy zadowoliliby państwa prawo do kontaktów z dzieckiem?

Emily westchnęła i kiwnęła głową.

- Jeśli to wszystko, na co moglibyśmy liczyć, to oczywiście tak. Ale to niesprawiedliwe! Michelle zrzekła się dwojga dzieci, kiedy sama jeszcze była prawie dzieckiem. Teraz ma już następnego ze swoim mężem, więc po co jej jeszcze córka Lloyda?

- To także jej córka - przypomniała delikatnie Pilar.

- A więc pani mecenas uważa, że jedyne, co możemy uzyskać, to prawo do jej odwiedzania? - podsumował Lloyd, a Pilar udzieliła odpowiedzi dopiero po pewnym namyśle.

- Całkiem możliwe. Biorąc pod uwagę ostatnie orzeczenie sądu, to byłby i tak postęp. Gdyby Michelle nie wywiązywała się należycie z obowiązków macierzyńskich albo jej mąż popadł w konflikt z prawem, mogłaby pani wystąpić o przyznanie prawa do opieki nad dzieckiem, ale nie mogę tego obiecać. Zresztą nawet w najlepszym razie musiałaby pani na to długo czekać, może całe lata... - Zawsze starała się być szczerą wobec klientów.

- A ten adwokat, u którego przedtem byliśmy, gwarantował nam, że odzyskamy Jeanne-Marie w ciągu pół roku! - wybuchnęła Emily.

Pilar nie chciała już jej przypominać, że odzyskanie w żadnym wypadku nie może wchodzić w grę, gdyż nigdy nie mieli dziecka u siebie. - W takim razie wydaje mi się, że nie postępował z wami uczciwie.

Im się chyba też tak wydawało, w przeciwnym razie nadal korzystaliby z jego usług. Przytaknęli i powtórnie spojrzeli po sobie zdesperowanym wzrokiem. Determinacja i rozpacz widoczna była u nich gołym okiem.

Pilar i Brad mieli znajomych, którzy również za wszelką cenę chcieli mieć dzieci. Zjeździli nawet Honduras, Koreę, Rumunię w poszukiwaniu maluchów do adopcji, ale żadne z nich nie po pełniło takiego głupstwa jak Robinsonowie, którzy podjęli ryzyko i przegrali, o czym dobrze wiedzieli.

Pilar rozmawiała z Robinsonami jeszcze przez chwilę, po czym zapewniła ich, że chętnie zajmie się tą sprawą, jeśli tylko obdarzą ją zaufaniem. Spróbuje znaleźć podobne przypadki, aby się na nie powołać jako na precedensy. Małżonkowie oświadczyli, że zadzwonią do niej, kiedy się zdecydują. Tłumaczyli, że chcieliby jeszcze raz przemyśleć całą sprawę, ale Pilar wiedziała, że już do niej nie wrócą. Prawdopodobnie udadzą się do jej kolegi po fachu, który obieca im złote góry, czego ona nie chciała i nie mogła zrobić.

Myślała o nich jeszcze przez chwilę, kiedy wyszli z jej biura. Wyglądali na zagubionych, a równocześnie bardzo spragnionych dziecka, którego nigdy nie widzieli. W ich wyobraźni przybrało ono postać konkretnej dziewczynki o imieniu Jeanne-Marie, którą znali i kochali, a przynajmniej tak sobie wmawiali. Pilar nie potrafiła tego zrozumieć, ale było jej przykro, że nie mogła im pomóc. Zamyśliła się nad tą sprawą i właśnie tęsknie spoglądała przez okno, gdy przez drzwi jej gabinetu wsadziła głowę koleżanka, Alicja Jackson. Uśmiech na jej twarzy natychmiast ustąpił miejsca zdziwieniu.

- Ach, to chyba jakiś ciężki przypadek! Nie widziałam cię takiej, odkąd broniłaś tego faceta oskarżonego o morderstwo. A ci kogo załatwili?

Pilar uśmiechnęła się na wspomnienie tamtych dni. W tym samym zespole adwokackim pracował także Bruce Hemmings, który potem ożenił się z Alicją i dochowali się dwojga dzieci. Pilar przyjaźniła się z Alicją, ale nie zwierzała się jej ze wszystkiego tak, jak Marinie. Natomiast świetnie im się razem pracowało.

- Nic z tych rzeczy, tam nie było żadnej mokrej roboty - od powiedziała, zapraszając Alicję, aby weszła i usiadła. - To taka dziwna sprawa...

Pokrótkie streściła przypadek Robinsonów, na co koleżanka tylko potrząsnęła głową.

- Nawet nie próbuj stwarzać precedensu. Żaden sędzia nie przyzna im niczego więcej niż prawo do odwiedzin. Ted Murphy prowadził w zeszłym roku podobną sprawę i tam też matka zastępcza w ostatniej chwili odmówiła oddania dziecka. Sprawa oparła się o Stanowy Sąd Najwyższy i ojciec uzyskał prawo do łącznego sprawowania opieki, ale dziecko pozostało u matki, a on mógł je tylko odwiedzać.

- Pamiętam, ale ci ludzie tak mnie wzruszyli... - przyznała niechętnie Pilar.

- Tylko w jednym przypadku sędzia nie stanął po stronie matki zastępczej - przypomniała sobie Alicja. - Było to wtedy, kiedy wszczepiono jej komórkę jajową pochodzącą od matki-dawczyni. Nie pamiętam, gdzie to miało miejsce, ale mogę sprawdzić. W każdym razie sędzia stanął na stanowisku, że między biorczynią a zarodkiem nie istniały więzy krwi, więc orzekł, że ma oddać dziecko biologicznym rodzicom. Jednak w sprawie, o której mówisz, okoliczności nie działają na korzyść powoda. Musiał być zupełnym idiotą,



żeby zawierać taką transakcję z małolată!

- Wiem, ale ludzie często popełniają głupstwa, jeśli za wszelką cenę chcą mieć dzieci.

- I ty mnie to mówisz? - jęknęła Alicja, rozsiadając się wygodniej. - Przecież sama przez dwa lata poddawałam się takiej kuracji hormonalnej, że o mało się nie wykończyłam. Rzygałam jak kot, jakby to była chemioterapia, ale za to doczekałam się dwóch wspaniałych chłopaków. Uważam, że warto było trochę pocierpieć.

Tak, ale ona przynajmniej doczekała się upragnionych dzieci, a cierpienia Robinsonów pozostały bez nagrody. Cóż z tego, że obdarzyli dziewczynkę imieniem Jeanne-Marie, jeśli jej nigdy nie widzieli i wątpliwe było, czy zobaczą! Pilar nie mogła się po wstrzymać, by nie zapytać:

- Jak sądzisz, Ali, dlaczego ludzie potrafią tyle znieść, byle tylko mieć dzieci? Nie gniewaj się, wiem, że twoi chłopcy są cudowni, ale gdybyś ich nie miała, czy byłaby to wielka tragedia?

- Dla mnie i dla Brucea tak - oświadczyła cicho, lecz stanowczo Alicja. - Myśmy zawsze chcieli stworzyć prawdziwą rodzinę. Nie każdy ma taką odwagę jak ty.

Alicja zawsze podziwiała Pilar za jej niewzruszoną pewność, z jaką obstawała przy swoich przekonaniach.

- O jakiej odwadze mówisz?

- No, bo ty, jeśli nie chciałaś mieć dzieci, to ich po prostu nie miałaś i ułożyłaś sobie życie tak, jak tego pragnęłaś. Natomiast większość ludzi boi się przyznać do tego, bo uważa, że wypada mieć dzieci. No więc wydają je na świat, a po cichu nienawidzą. Nie masz pojęcia, ile takich matek spotkałam przy okazji działalności w szkole, harcerstwie czy na kursach karate. Te osoby naprawdę nie lubiły swoich dzieci i w życiu nie powinny były ich mieć.

- Tacy byli moi rodzice i to właśnie utwierdziło mnie w moich przekonaniach. Nie chciałam, aby moje dziecko musiało przejść przez to co ja. W domu czułam się zawsze intruzem, smarkulą zawadzającą ogromnie zajęтым rodzicom, których nie stać było na to, by porozmawiać ze mną od czasu do czasu, czy w ogóle mnie kochać.

- Och, Pilar, ty na pewno nie byłabyś taką okropną matką! Może teraz, kiedy wyszłaś za Brada, powinnaś to sobie jeszcze raz przemyśleć?

- No wiesz, w moim wieku? - Pilar parsknęła śmiechem. A w ogóle, co to kogo obchodzi, czy ona i Brad zamierzają mieć dziecko?

- Mogłabyś się zająć swoją gospodarką hormonalną! - Alicja aż podniosła się z miejsca i przechyliła do koleżanki przez biurko. Wiedziały, że nawet najbardziej brutalna szczerść nie była w stanie zaszkodzić ich przyjaźni. - Przy twoim szczęściu na pewno

zaskoczysz od pierwszego razu. I nie udawaj starej babci, bo nie zaimponujesz mi wiekiem. Czterdzieści dwa lata, wielkie mi co!

- To miłe z twojej strony, ale chyba oszczędzę sobie tego kłopotu. I Bradowi też, bo wyobrażam sobie, jaki byłby oszołomiony!

Uśmiechnęła się i popatrzyła na zegarek. Umówiła się z pasierbicą na lunch, więc musiała się pospieszyć, żeby zdążyć.

- Może chcesz, żebym dowiedziała się czegoś więcej o matkach zastępczych? - Alicji zawsze dobrze szło zbieranie materiałów. - Mam akurat trochę wolnego dziś po południu i jutro rano.

- Dziękuję, ale szkoda twojego czasu. Nie przypuszczam, by się jeszcze odezwali. Wątpię nawet, czy będą próbowali walczyć o prawo do odwiedzin. Ludzie tego pokroju chcą mieć wszystko albo nic. Może się mylę, ale podejrzewam, że znajdą sobie tańszego adwokata, który obieca im, że wszystko załatwi, a przy dobrych układach i tak skończy się najwyżej na prawie do odwiedzin.

- W porządku, ale gdyby zadzwonili, daj mi znać.

- Chętnie, i dziękuję, że chciałaś pomóc.

Wymieniły pożegnalne uśmiechy i Alicja wróciła do swego biura po przeciwnej stronie holu. Miała mniej pracy niż Pilar, nie była też tak zaangażowana w to, co robiła, lubiła natomiast ciekawe przypadki prawne. Traktowała je jak przedmiot badań naukowych, na co miała czas, gdyż pracowała w niepełnym wymiarze godzin. Dwa dni w tygodniu spędzała w domu z dziećmi, co bynajmniej nie przeszkadzało Pilar, bo Bruce, mąż Alicji, pracował znacznie więcej, niż musiał, a poza tym każdemu z nich odpowiadał inny styl pracy.

Bruce specjalizował się w sprawach cywilnych, szczególnie w sporach zbiorowych. Wolał mieć do czynienia z instytucjami, natomiast Pilar - z ludźmi. Dzięki temu świetnie się uzupełniali, konsultowali się w cięższych przypadkach albo powoływali do pomocy aplikantów. Tak właśnie Pilar zawsze wyobrażała sobie pracę dobrego zespołu adwokackiego. Zachowując niezależność, miała zawsze możliwość wyboru spraw, którymi chciała się zająć, a ponadto lubiła kolegów, z którymi pracowała. Do kręgu przyjaciół zaliczała także współpracowników Brucea z ławy sędziowskiej, choć czasami narzekała, że obraca się tylko wśród prawników. Nie wyobrażała sobie jednak innego stylu życia.

Jadąc na umówione spotkanie z Nancy, nie mogła pojąć, jak jej pasierbica znosi życie bez pracy. Od zamążpójścia nie pracowała, choć Pilar uważała, że powinna. Brad jednak nie chciał się wtrącać w życie prywatne swoich dzieci, a Pilar nie zamierzała robić mu na złość. Ale nie zawsze potrafiła ukryć, że dla niej praca stanowiła jeden z podstawowych

priorytetów, podczas gdy Nancy wyznawała zupełnie inny system wartości.

Do restauracji „Paradise” zajęła z dziesięciminutowym opóźnieniem. Nancy czekała już na nią. Miała na sobie ciemną, trykotową sukienkę, kozaczki i czerwony płaszczyk. Długie blond włosy szesała do tyłu i związała aksamitną wstążką. Jak zawsze wyglądała uroczo.

- Cześć, kochanie! Wyglądasz zachwycająco! - przywitała ją Pilar, opadając na krzesło. Natychmiast złożyła zamówienie, aby więcej czasu poświęcić Nancy, bo miała niejasne przeczucie, że coś ją gryzie. Nie chciała jednak okazywać nadmiernej ciekawości, wolała poczekać, co wyniknie w czasie lunchu- Nie spodziewała się jednak usłyszeć tego, z czym Nancy czekała aż do deseru. Zamówiła tort czekoladowy z bitą śmietanką, polany czekoladowym sosem, co kompletnie zaskoczyło Pilar, choć świadczyło, że Nancy jest przynajmniej zdrowa i cieszy się dobrym apetytem.

- Mam ci coś do powiedzenia... - zagała Nancy z szerokim uśmiechem, pakując do ust kolejne kęsy ciasta z kremem.

- Ja tobie też. Jeśli będziesz częściej jadła takie desery, do świąt zabraknie ci podziałki na wadze - przestrzegła ją Pilar żartobliwie, choć z pewnym niepokojem.

Nancy wciąż nazbyt często zachowywała się jak mała dziewczynka. Teraz też spoglądała na macochę z szelmowskim uśmiechem psotnego dzieciaka, pochłaniając olbrzymie kawały tortu.

- Tak czy inaczej będę gruba - rzuciła ze złością, podczas gdy Pilar popijała kawę.

- Ach, tak! Może nawet wiesz dlaczego? Pewnie przez nadmiar słodczy i wysiadanie przed telewizorem. Mało razy ci mówiłam, żebyś rozejrzała się za jakąś pracą? Wiem, wiem, to nie mój interes, ale gdybyś zajęła się czymkolwiek, choćby działalnością charytatywną, to przynajmniej ruszyłybyś się z domu!

- Będę miała dziecko! - przerwała jej Nancy, uśmiechając się triumfalnie, jakby właśnie rozwiązała trudną zagadkę.

- Jesteś w ciąży? - Pilar zrobiła wielkie oczy, bo taka ewentualność w ogóle nie przyszła jej do głowy. Wciąż uważała pasierbicę za dziecko. Prawda jednak była taka, że Nancy miała już dwadzieścia sześć lat, tyle samo, co Pilar, kiedy poznała Bradforda, choć od tego czasu minęło prawie pół życia. Sama się potem dziwiła, dlaczego tak trudno jej było przyjąć do wiadomości ciążę Nancy.

- Już w trzecim miesiącu, termin mam wyznaczony na czerwiec! - poinformowała ją pasierbica. - Nie chcieliśmy ci nic mówić, dopóki nie upewniliśmy się, że wszystko jest w porządku.

- No, toś mnie zastrzeliła! - Pilar nigdy dotychczas nie interesowała się zbytnio dziećmi... no, może do dzisiejszego przed południa. - Cieszysz się, kochanie?

A może się nie cieszy, tylko boi? Pilar nie miała pojęcia, co czuje kobieta, która spodziewa się dziecka. Nie umiała ani nawet nie chciała sobie tego wyobrazić.

- Jeszcze jak, a Tommy wprost odchodzi od zmysłów! - Mąż Nancy miał dwadzieścia osiem lat i dobrą pracę w firmie IBM. Spełniał więc wszelkie warunki, aby być dobrym ojcem, ale Pilar i Brad wciąż traktowali ich jak dzieci. Nawet Todd, młodszy brat Nancy, sprawiał wrażenie dojrzałego. - To naprawdę wspaniałe uczucie. Na początku trochę mnie mdliło, ale teraz czuję się świetnie.

Wylizała do czysta talerzyk po torcie, więc Pilar żartobliwie ją podpuściła:

- Może chcesz jeszcze?

- Pewnie! - przytaknęła całkiem serio.

- No wiesz? Ani mi się waż! Zanim urodzisz to dziecko, będziesz ważyła tonę!

- Nie mogę się już doczekać! - Nancy się roześmiała, więc Pilar pochyliła się, aby ją ucałować.

- Chwała Bogu, kochanie. Cieszę się za was oboje. Tatuś na pewno będzie zachwycony, to przecież jego pierwszy wnuk.

- Postanowiliśmy, że specjalnie wpadniemy do was w weekend, żeby mu to powiedzieć. Proszę cię, na razie nic nie mów, dobrze?

- Pewnie, że nie popsuję wam niespodzianki - obiecała Pilar, ale zaskoczyło ją, że ta sama dziewczyna, która początkowo odnosiła się do niej z taką niechęcią, właśnie jej jako pierwszej po wierzyła swoją tajemnicę. Po wyjściu z restauracji podążyły każda w swoją stronę. Pilar wróciła jeszcze do biura. Śmiać jej się chciało, znajomi pewnie pomyślą, że ona i Brad zamiast własnych dzieci sprawili sobie wnuczka! W końcu jednak zapomniała o niespodziance Nancy i zajęła się pracą.

Ten dzień dłużył się w nieskończoność, więc Pilar odetchnęła z ulgą, kiedy Brad przyjechał po nią i zaproponował kolację na mieście. Ucieszyła się, że nie będzie już dziś musiała gotować. Zjedli kolację w małej, cichej restauracyjce „U Louiego”, a Brad tryskał doskonałym humorem.

- Cóż ci się takiego przydarzyło? - spytała. Sama dopiero zaczynała się relaksować po ciężkim dniu, wypełnionym pretensjami klientów i nieznanymi dotąd uczuciami. Ciągle bowiem myślała o rozmowie z Nancy.

- Uporałem się z najdłuższą sprawą w historii sądownictwa! - pochwalił się Brad. - Tak mi teraz lekko na duszy, że mógłbym tańczyć!

Sprawa, nad którą ostatnio pracował, ciągnęła się już od dwóch miesięcy i zdążyła mu porządnie zaleźć za skórę.

- I na czym stanęło?

- Sąd uniewinnił oskarżonego i uważam, że dobrze zrobił.

- No, to facet na pewno się cieszy. - Przypomniała sobie własne przeprawy z czasów, kiedy występowała jako obrońca z urzędu.

- Ja też się cieszę - rzekł Brad z uśmiechem. - Przynajmniej sobie odpocznę. A tobie jak minął dzień? Pewnie też ciągnął się jak makaron?

- Mało tego, że się ciągnął, to jeszcze był jakiś dziwny. Miałam interesantów, którzy wplątali się w aferę z matką zastępczą. Facet zdurniał do tego stopnia, że zapłacił jakiejś małolacie, że by urodziła jego dziecko. Owszem, urodziła dziewczynkę, tylko że potem nie chciała oddać, a jemu groziło oskarżenie o gwałt z uwagi na jej wiek. Wprawdzie ten zarzut umorzono, ale sąd nie zezwolił mu nawet widywać małej. I wiesz, ci ludzie zachowywali się jakoś dziwnie. Z wielkim zapamiętaniem walczą o to dziecko i chociaż ani razu go nie widzieli, nadali dziewczynce imię Jeanne-Marie! Najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że nie wiele można dla nich zrobić. Mogą najwyżej uzyskać prawo do widywania dziecka, nic więcej, chyba żeby ta młoda matka je zaniedbywała. Myślałam o nich przez cały dzień, ale trudno mi sobie wyobrazić, co tacy ludzie mogą czuć. Tak rozpaczliwie pragną dziecka, że nie cofają się przed niczym. Zrobił głupstwo, że zwrócił się w takiej sprawie do małolaty.

- Tak czy siak, miałyby problemy, bo to nie są łatwe sprawy. Pamiętasz precedens „Baby M”? Mógłbym ci przytoczyć więcej takich przykładów. Nie wydaje mi się, aby matki zastępcze były dobrym rozwiązaniem.

- Dla niektórych owszem.

- Dlaczego? Czy nie mogliby zwyczajnie adoptować dzieci? Brad lubił rozmawiać z Pilar na tematy zawodowe, choćby miał się z nią spierać. Przypominało mu to lata, kiedy w sali rozpraw zajmowali miejsca po przeciwnych stronach stołu sędziowskiego. Zawsze cenił ją jako przeciwnika, więc chwilami żałował tamtych czasów.

- Nie wszyscy kwalifikują się na rodziców adopcyjnych. Nie którzy są za starzy, mają za niskie dochody, a i o dzieci do adopcji nie tak łatwo. Poza tym niektórym kandydatom na ojców za leży, aby dziecko było przez nich spłodzone. Ta kobieta, która dziś była u mnie, wręcz czuła się winna, że to z jej winy są bez dietni!

- Myślisz, że jeszcze się odezwą?

- Nie przypuszczam, bo powiedziałam im szczerze, co myślę o tej sprawie, a im się to chyba nie spodobało. Nie ukrywałam, że postępowanie może się przewlekać, a ja nie mam na

to wielkiego wpływu. Nie chciałam stwarzać złudnych nadziei, żeby nie przysparzać im cierpień.

- A co ci szkodzi, niech sobie marzą! - Roześmiał się, ale był zadowolony, że Pilar zawsze stara się postępować uczciwie.

- Musiałam być z nimi szczerą. Oni tak rozpaczliwie pragnę tego dziecka, chwilami aż trudno mi było ich zrozumieć.

Prawdę mówiąc, nie rozumiała także wielu innych rzeczy. Na przykład wylewnie manifestowanej radości Nancy z jej odmiennego stanu. Patrząc na nią, czuła się, jakby zaglądała z zewnątrz przez okno do czyjś oświetlonego mieszkania. Owszem, podobało się jej to, co tam widziała, ale nie czuła się z tym miejscem w żaden sposób związana. Przyjemność z posiadania dziecka była dla niej czymś kompletnie obcym. - Coś się tak zamyśliła? - zagadnął wesoło Brad, wyciągając do niej rękę przez stół.

- Bo ja wiem? Może na stare lata zacznę filozofować? Czasem wydaje mi się, że zaczynam się zmieniać, co mnie trochę przeraża.

- Czyżby małżeństwo tak na ciebie działało? Jeśli tak, to i ja się zmieniłem. Czuję, że ubyło mi jakieś pięćdziesiąt lat!

W rzeczywistości skończył właśnie sześćdziesiąt dwa, ale i tak wszyscy pracownicy sądu zazdrościli mu kondycji. Przyjrzał się Pilar i dodał już poważniejszym tonem:

- A na jakiej podstawie sądzisz, że się zmieniasz?

- Czy ja wiem? - Nie mogła przecież powiedzieć mu o ciąży Nancy. - Jadłam dziś lunch z koleżanką, która spodziewa się dziecka. I nie masz pojęcia, jak się z tego cieszyła.

- A to jej pierwsze dziecko? - Kiedy przytaknęła, dodał: - No, to nie dziwię się, że tak to przeżywa. Każde dziecko jest cudem natury, choćby dziesiąte z rzędu. Nawet jeżeli na początku nie byłabyś tym zachwycona, same narodziny zawsze są jedyne w swoim rodzaju. A co to za dziewczyna?

- Pracuje u nas w kancelarii. Tak się złożyło, że spotkałam ją niedługo po wyjściu tych ludzi, którzy tak pragnęli dziecka, że aż posunęli się do czynów sprzecznych z prawem. Powiedz mi, skąd oni mogą wiedzieć, że tak bardzo potrzebują tego dzidziusia? Przecież to zobowiązanie na całe życie, z którego się nie można wycofać. Dlaczego ludzie robią takie rzeczy?

- Myślę, że to zupełnie naturalne i nie ma po co zadawać tylu pytań. Pewnie tobie łatwiej, bo wymigałaś się od tego.

Przez wszystkie lata, odkąd się poznali, Pilar nigdy nie wyrażała chęci posiadania dziecka. Jemu to nie przeszkadzało, bo miał własne. Oboje żyli pracą i swoimi

zainteresowaniami, mieli własne grona przyjaciół, podróżowali do Los Angeles, Nowego Jorku czy Europy, ilekroć znaleźli na to czas i ochotę. Dziecko, nawet jeśli by nie uniemożliwiło, to na pewno utrudniło im taki tryb życia, ale Brad wiedział, że Pilar nigdy nie tęskniła za macierzyństwem.

- Skąd wiesz, że się wymigałam? - Spojrzała na niego przez stół.

- Czy to znaczy, że chcesz mi coś powiedzieć, Pilar? - zapytał ostrożnie, zaskoczony tym, co dostrzegł w jej spojrzeniu. Odczytał to jako pewien niedosyt, jakby poczucie niespełnienia. Trwało to jednak tylko chwilę. Doszedł więc do wniosku, że musiała być po prostu zmęczona.

- Chciałam ci powiedzieć, że pewnych rzeczy nie rozumiem. Ani tego, co tacy ludzie czują, ani dlaczego ja tego nigdy nie czułam.

- Może jeszcze poczujesz? - podsunął delikatnie, ale tym razem Pilar parsknęła śmiechem.

- Rzeczywiście, pewnie kiedy stuknie mi pięćdziesiątka! Myślę, że nawet teraz jest na to za późno. - Przypomniała sobie przestrogi matki.

- Wcale nie, jeśli byś naprawdę tego chciała. Natomiast ze mną to zupełnie co innego. Na urodziny naszego dzidziusia musiałabyś kupić mi w prezencie fotel na kółkach i aparat słuchowy.

- Też masz pomysły! - obruszyła się, ale perspektywa posiadania dziecka wydała się jej absolutnie nierealna. Wiadomość o ciąży Nancy raczej ją przestraszyła. A jednak pierwszy raz w życiu odczuła lekki niepokój, jakby słabiutki dyskomfort i wrażenie pewnego niedosytu. Zaraz jednak przypomniała sobie, co w życiu osiągnęła i skarciła sama siebie za głupie myśli.

## ROZDZIAŁ TRZECI

W rodzinie Goodeów zawsze wystawnie świętowano Boże Narodzenie. Co roku przyjeżdżali Gayle i Jack ze swoimi trzema córkami, ponieważ rodzice Jacka już nie żyli. Samanta z Seamusem i dwojgiem dzieci również wolała spędzać święta u matki, gdyż rodzina Seamusa mieszkała w Irlandii, zresztą on chętnie odpoczywał w Pasadenie w towarzystwie teściów i szwagierek. W tym roku dołączyli także Diana z Andym. Wszyscy dobrze się bawili, ale przy nakrywaniu stołu do wieczery wigilijnej Gayle rzuciła Dianie spojrzenie, którego ta zawsze nienawidziła. W ten sposób patrzyła na nią, kiedy wiedziała, że Diana dostała zły stopień lub przypaliła ciasteczka, które miała zabrać na zbiórkę harcerską. Spojrzenie to oznaczało: „Znowu coś spieprzyłaś?”. Na szczęście nikt poza nimi dwiema tego nie dostrzegł, a Diana udawała, że nie rozumie, o co chodzi, i pracowicie składała serwetki.

- No i jak? - Gayle w końcu nie wytrzymała. Czyżby jej siostra była aż tak głupia, że nie pojmowała wyraźnych aluzji? Jednak Samanta patrzyła już na nią z niepokojem, obawiając się kłótni w święta, więc Gayle zapytała wprost: - Jesteś już w ciąży?

Diana poczuła się tak, jakby rzeczywiście dostała zły stopień, więc drżącą ręką ułożyła ostatnią koronkową serwetkę na jednym z talerzy używanych tylko w święta. Pośrodku stołu siostry ustawiły wielki bukiet czerwonych tulipanów, wszystko razem wyglądało prześlicznie.

- Jeszcze nie. Jakoś nie mieliśmy czasu, byliśmy tacy zajęci... Oczywiście, za nic w świecie nie przyznałaby się siostrze, że przez ostatnie pół roku oboje z Andym dopasowywali swoje współżycie do jej cyklu jajczkowania.

- Czym zajęci? Robieniem kariery? - Gayle prychnęła pogardliwie, jakby uważała pracę zawodową Diany za coś wstydliwego. Według niej prawdziwe kobiety powinny siedzieć w domu i zajmować się dziećmi. - W ten sposób nigdy nie zapełnisz takiej wielkiej chałupy jak twoja. Lepiej bierz się do roboty, mała, bo czas ucieka!

Komu ucieka, temu ucieka - myślała Diana. Niby do czego miała się tak spieszyć, a w ogóle to co Gayle do tego? Przewidywała, że podczas świąt w domu narazi się na wścibskie uwagi siostry i zawczasu próbowała namówić Andyego, aby tegoroczne Boże Narodzenie spędzić u jego rodziny. Tego niestety nie dało się zrobić, ponieważ Andy nie mógł oddalać się od swojej firmy, a gdyby zostali w Los Angeles i nie odwiedzili jej rodziców - ci obraziliby się śmiertelnie.

- Och, cóż to znów takiego? - wtrąciła się Samanta, jak zawsze próbując załagodzić sytuację. - Przecież jesteście jeszcze młodzi i macie masę czasu. W przyszłym roku na pewno



zajdziesz w ciążę.

- Która znowu zaszła w ciążę? - wpadł im w słowo Seamus, przechodząc przez jadalnię w drodze do kuchni. - Chyba jesteście wiatropylne!

Komicznie przewrócił oczami i ostentacyjnie się wzdrygnął, co wzbudziło ogólną wesołość. Wyszedł już, ale pewnie coś sobie przypomniał, bo znowu wsadził głowę w drzwi.

- A co, panna młoda zaskoczyła? - wypalił, jakby to dopiero trafiło do niego.

Diana od razu pokręciła głową, żałując, że w ogóle tu przyjechała. Każde takie pytanie odbierała jak cios w samo serce i po raz pierwszy w życiu zaczynała nienawidzić tych wścibskich ludzi, a szczególnie swoich sióstr.

- Przykro mi, Seamusie, ale jeszcze nie.

- No to próbujcie do skutku. Zobaczycie, jaka to fajna robota. Temu Andyemu to dobrze!

Rzucił żarcik i znikł, co Samanta i Gayle skwitowały śmiechem, ale Dianie bynajmniej nie było do śmiechu. Bez słowa wycofała się do kuchni, aby pomóc matce. Po kolacji ten temat znów powrócił, ale tym razem Diana uprzedziła ciekawskich, bo sama zadawała pytania. Całe towarzystwo siedziało w salonie i grało w szarady, ale ona chciała najpierw porozmawiać na osobności z ojcem, a potem z Jackiem. Kiedy ojciec poszedł spać, rozsiała się w jego bujanym fotelu i czekała, aż do gabinetu przyszedł Jack.

- Wszystko w porządku u ciebie? - zagadnął, siadając przy niej i zapalając fajkę. Przyglądał się jej bowiem przy kolacji i uznał, że nie wygląda na szczęśliwą.

- U mnie tak, ale... - Podniosła ku niemu zatroskane oczy i zdecydowała, że jednak zapyta. - Proszę cię, nie mów nic Gayle, ale chciałabym z tobą porozmawiać. Jak długo może trwać, za nim się zajdzie w ciążę?

Jack nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Dwa tygodnie, dwa lata, albo i pięć sekund. U każdego te procesy przebiegają inaczej. Jesteście małżeństwem dopiero od pół roku, dużo pracujecie i prowadzicie stresujący tryb życia, tak że przed upływem roku nie powinniście nawet o tym myśleć. Istnieje pogląd, że jeśli po dwóch latach pożycia, gdy nie stosuje się żadnych środków antykoncepcyjnych, kobieta nie zajdzie w ciążę, oznacza to, że należy się przebadać. Niektórzy lekarze uważają, że brak ciąży po roku jest już niepokojący, ale przed jego upływem nie ma się czym martwić. Co innego, gdybyście byli starsi, ale w waszym wieku to na razie żaden problem. Dajcie sobie jeszcze rok, może i więcej.

Diana podziękowała mu wylewnie, zanim dołączył do nich Andy. Potem jeszcze przez dłuższy czas dyskutowali o gospodarce światowej, sytuacji na Bliskim Wschodzie, o

problemach zawodowych i perspektywach na przyszły rok. Po raz pierwszy od miesiąca Diana czuła się odprężona i zadowolona, gdyż to, co usłyszała, dało jej pewną nadzieję. Przed odjazdem pożegnała się z matką i podziękowała jej, lecz szczególnie wylewnie wyściskała Jacka, a on dobrze wiedział dlaczego.

- Uważaj na siebie! - szepnął jej na ucho przed wyjazdem. Niektórzy zostawali na noc, żeby dzieci mogły jeszcze nazajutrz razem z dziadkami cieszyć się gwiazdką. W tym roku jednak Diana nie chciała zostać na następny dzień u rodziców. Za wszelką cenę pragnęła znaleźć się już z Andym we własnym domu.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytał, kiedy mknęli po pustej autostradzie.

- Dziękuję, w porządku. - Uśmiechnęła się, bo po raz pierwszy od miesiąca mówiła to szczerze. Przytuliła się do Andyego i tak w spokoju dojechali do domu. Ten dzień był długi i męczący, ale w sumie zakończył się dobrze. Kiedy poszli do łóżka, porozmawiali jeszcze trochę o swoich marzeniach, a kiedy się kochali, Diana była szczęśliwa i zrelaksowana, bo po raz pierwszy nie martwiła się, czy dojdzie do zapłodnienia. Przypadały akurat dni niepłodne, więc kochali się tylko dlatego, że tego pragnęli.

- Chryste, Barb, jak ja cię kocham! - dyszał Charlie ochryłym szeptem. Pociągnął Barbie na kanapę i kochali się w świetle lampek choinkowych.

- Co się z tobą dzieje? - żartowała. - Czy pod choinką robisz się bardziej jurny niż normalnie?

Rzeczywiście, robili „te rzeczy” już trzeci raz tego wieczoru, ale Charlie nie mógł utrzymać rąk przy sobie, tym bardziej że Barbie kręciła się wokół niego na golasa. Jej idealna figura podniecała go do granic wytrzymałości.

- Mam fioła na twoim punkcie! - szeptał jej we włosy, kiedy po kolejnym akcie miłosnym leżeli obok siebie na kanapie. Dał już jej prezent pod choinkę - złoty naszyjnik z ametystem, który był jej szczęśliwym kamieniem. Od niej dostał sweter, krawat, butelkę francuskiego szampana i specjalną poduszkę, którą w samochodzie mógł sobie podkładać pod kręgosłup podczas długich dojazdów do pracy. Podobały mu się te prezenty, choć nie tak bardzo jak jej to, co otrzymała od niego. Oprócz naszyjnika kupił jej bowiem jeszcze czarną skórzaną spódniczkę i obcisły, czarny sweterek.

- Może spróbujemy twojego szampana? - zaproponowała, unosząc się na łokciu, znużona, lecz zadowolona.

- O nie! - Charlie znów przyciągnął ją do siebie. - Zachowam go na specjalną okazję.

- Jaką znowu specjalną okazję? - narzekwała. Czuła się zawiedziona, gdyż miała ochotę na szampana i dlatego właśnie go kupiła. - Wydawało mi się, że Boże Narodzenie to

wystarczająco ważny dzień.

- Ważny tak, ale nie specjalny. - Roześmiał się, kręcąc przecząco głową. - Specjalny dzień w życiu człowieka to taki, kiedy na przykład dostajesz Nagrodę Nobla albo rolę w filmie Stevena Spielberga... obchodzisz dziesiątą rocznicę ślubu albo... - tu zrobił pauzę dla efektu - rodzi ci się dziecko!

Usiadła, wyraźnie zirytowana.

- No, jeśli tak, to chyba nigdy go nie wypijesz.

- Ależ na pewno wypiję.

- Ciekawe z jakiej okazji? Bo na pewno nie z powodu dziecka!

Barbie wychodziła z siebie, kiedy poruszał ten temat. Nie chciała, aby ktokolwiek wywierał na nią nacisk.

- Dlaczego nie, Barb? - Charlie, przeciwnie, nade wszystko pragnął dziecka i dziwił się, że to do niej nie dociera.

- Dlatego, że ja nie chcę żadnego dzieciaka. Wychowałam się wśród gromady bachorów, które wystarczająco założyły mi za skórę. Ty pewnie w życiu nie widziałeś żywego dziecka!

Po ślubie wypowiadała się na te tematy dużo bardziej otwarcie niż przed ślubem.

- Owszem, widziałem. Sam nim byłem! - Próbował żartować, ale jej to nie rozśmieszyło. Nie widziała w dzieciach niczego wesołego.

- A skąd wiesz, czy możemy mieć dzieci? - Liczyła, że tym razem go zniechęci.

- A dlaczego niby nie? Barbie nigdy nie wspominała o czymś podobnym, a już na pewno nie takim beznamiętnym tonem. - Coś z tobą nie w porządku? Czemu mi nie powiedziałaś?

- Nie wiem, czy coś jest nie w porządku, ale odkąd jestem z tobą, nigdy się nie zabezpieczałam i co? Jesteśmy razem chyba z półtora roku i jakoś nie wpadłam!

Charlie miał na końcu języka pytanie, czy była już w ciąży z kimś innym, ale zamilczał, bo wolał nie wiedzieć.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - zaoponował. - Pewnie robiliśmy to w nieodpowiednim czasie. Tak z doskoku trudno od razu zająć w ciążę!

Jej jednak zdarzyło się to aż pięć razy, bo zawsze miała pecha: trzy razy przed wyjazdem z Salt Lake City i dwa razy w Las Vegas. Natomiast z Charliem nie miała ani jednej wpadki. Znając własną przeszłość, zastanawiała się już niejednokrotnie, czy tak niefortunnie się dobrali, czy też on miał jakiś feler? Podejrzewała raczej to drugie, lecz wcale jej to nie martwiło. Wręcz przeciwnie, cieszyła się z tego, ale zdawała sobie sprawę, że nie

powinna demonstrować przy Charliem radości z tego powodu, przynajmniej nie w wigilię Bożego Narodzenia. Widziała bowiem, że poważnie się tym przejął.

- A zrobiłeś już kiedyś dziecko jakiejś dziewczynie? - spytała, nalewając im obojgu po kieliszku wina. Kiedy stała przed Charliem naga i podawała mu jego kieliszek, widok ten wywołał w nim normalną, męską reakcję, co wskazywałoby, że nic mu nie brakuje.

- Przynajmniej żadna mi się nie pochwaliła! - rzucił melancholijnie, popijając wino i spoglądając na Barbie znad krawędzi kieliszka.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - odpowiedziała mu jego własnymi słowami. Czuła się winna, że poruszyła ten drażliwy temat, bo przecież nie wypadało robić Charliemu przykrości w święta. - Dziewczyny nie zawsze się tym chwalą.

- Naprawdę? - Nalał sobie następny kieliszek, potem jeszcze jeden, a po trzecim zebrało mu się znów na amory. Ponieważ jednak chwiał się na nogach, odprowadziła go do łóżka i sama położyła się obok.

- Kocham cię! - wydyszał, czując jej obfity biust na swojej piersi. Kochał ją za tę zmysłowość, a także za to, że była tak cudownie piękna i chętna. Uważał ją za idealną dziewczynę swego życia.

- Ja ciebie też kocham. - Pogładziła go po włosach jak małego chłopca. Gdy zasypiał w jej ramionach, zastanawiała się, czemu tak zależy mu na dziecku. Wiedziała, że był wychowankiem sierocińca, sama też miała niełatwe dzieciństwo, ale tym bardziej nie pragnęła brać sobie na kark kłopotów z dziećmi i rodziną. - Śpij dobrze! - wyszeptała i pocałowała go, ale spał już jak suseł.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

W maju Pilar zaprosiła Nancy do siebie na lunch. Brad w tym czasie grał w golfa, a mąż Nancy musiał akurat wyjechać na kilka dni. Miały więc świetną okazję, aby swobodnie porozmawiać w cztery oczy.

Pilar zajęła się przygotowaniem lunchu, a jej pasierbica wygrzewała się w słońcu na tarasie. Była już w zaawansowanej ciąży, do terminu porodu pozostało zaledwie cztery tygodnie, więc jej ogromny brzuch szokował Pilar. Mimo to jednak, gdy Nancy ujrzała macochę zbliżającą się z tacą, poderwała się z leżaka. Nosiła białe ciążowe szorty z wyrzuconą na wierzch luźną różową koszulą, a jeszcze do ubiegłego tygodnia grywała z mężem w tenisa.

- Poczekaj, Pilar... pomogę ci! - Odebrała od macochy tacę i postawiła na szklanym blacie stolika. Znajdowała się na niej misa ze spaghetti i druga z zieloną sałatą. - Och, to wygląda zachęcająco!

W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy przejawiała monstualny apetyt, ale nie przytyła ponad normę. Nadal wyglądała atrakcyjnie, może nawet ciąża dodała jej urody. Rysy się zaokrągliły, znikła gdzieś kanciastość, a spojrzenie złagodniało. Pilar widziała przedtem takie zmiany u innych kobiet, ale metamorfoza Nancy intrygowała ją, a trochę także niepokoiła. Zaobserwowała bowiem niepokojące zmiany także w swojej osobowości i sposobie postrzegania. Cieszyło ją, że Nancy wyzbyła się uprzedniej złośliwości, „zmiękła”, jak to określał jej mąż, a także spoważniała. Nie przypominała już rozpieszczonego dziecka, jakim była przedtem.

Gdy zasiadły do posiłku, Pilar z uśmiechem obserwowała, jak Nancy z trudem sięga po cokolwiek ze stołu, bo przeszkadza jej brzuch. Wyglądała, jakby miała pod koszulą piłkę plażową.

- Jak ty się z tym czujesz? - spytała Pilar, wodząc za pasierbicą wzrokiem pełnym fascynacji. Błogosławiony stan wydawał się jej czymś kompletnie egzotycznym. Widywała przedtem w pracy ciężarne koleżanki, ale nie przyjaźniła się z nimi na tyle, by ją to choć trochę obchodziło. Zresztą większość jej przyjaciółek należała do pokolenia, które większą wagę przykładano do pracy zawodowej niż do macierzyństwa. Te zaś, które zdecydowały się pójść za głosem natury, szybko wypadły z kręgu najbliższych przyjaciół Pilar. - Czy to miłe uczucie, czy raczej trochę dziwne?

- Bo ja wiem? - Nancy się uśmiechnęła. - Z początku na pewno trochę dziwne, ale

można się do tego przyzwyczaić. W tej chwili wydaje mi się, że zawsze tak wyglądałam. Nie mogę sama zawiązać sobie sznurowadeł. Tommy musi mi w tym pomagać. Najdziwniejsza jest jednak świadomość, że w twoim wnętrzu rośnie nowy człowiek, który przez najbliższe dwadzieścia lat będzie żył wśród nas, zależny od nas i wciąż czegoś od nas oczekujący. Nie mogę nawet wyobrazić sobie, jak będę się wtedy czuła.

- Ja też nie - przyznała Pilar, chociaż nie do końca zgodnie z prawdą. Nancy i Todd przez ostatnie czternaście lat też czegoś od niej oczekiwali, tylko że w tym wypadku zawsze miała alternatywę. Nie byli przecież jej dziećmi i gdyby zerwała z Bradem - nie zobaczyłyby ich nigdy więcej. To znaczy, gdyby chciała, mogłaby się z nimi widywać, ale nie musiałyby, bo nie była ich matką. Natomiast Nancy na zawsze pozostanie matką dla tego dziecka, które się ma urodzić. A ono pozostanie dla nich na zawsze kimś szczególnie ważnym. Takie myślenie przedtem odstraszało Pilar, teraz wydało się jej wzruszające.

- A mnie się to wydaje cudowne! - entuzjasmowała się Nancy. - Powstaje nowe życie, zupełnie nowy byt, który jest częścią ciebie, może mieć z tobą milion wspólnych cech, a może nie mieć ani jednej. Czy to nie jest fascynujące?

Pilar zgadzała się z nią, ale musiała dodać, że rodzenie dzieci wiąże się też z olbrzymią odpowiedzialnością i dlatego nie chciała brać tego na siebie. Nie zazdrościła pasierbicy jej gigantycznego brzucha, bo wiedziała, co ją czeka. Kiedyś oglądała film dokumentalny rejestrujący przebieg porodu i cieszyła się, że nigdy nie będzie musiała w czymś takim uczestniczyć. Była bowiem pewna, że nie pragnie dziecka.

- Zabawne, że ja wcale w ten sposób o tym nie myślę. - Nancy kontynuowała swoje rozważania, kontemplując widok Oceanu Spokojnego. - Przeważnie staram się myśleć tylko o tym, jak to słodkie maleństwo będzie od nas zależne... A Tommy jak to przeżywa!

To była cała Nancy. Oczywiście, denerwowała się przed porodem, ale jednocześnie traktowała go jak najbardziej podniecającą przygodę swego życia i przede wszystkim koncentrowała się na dziecku. W którymś momencie podniosła oczy na macochę i zadała jej pytanie, które od dawna ją nurtowało, ale którego dotąd nie ośmieliła się zadać:

- Jak to się stało, że ty i tatuś... no, wiesz... że nigdy nie mieliście dziecka?

Ledwo wypowiedziała te słowa, od razu tego pożałowała, bo a nuż Pilar nie mogła mieć dzieci?

- Po prostu nie chciałam. - Pilar wzruszyła ramionami. - Moje dzieciństwo wiązało się z samymi przykrymi przeżyciami i nie chciałam skazywać nikogo na to samo, zresztą mieliśmy ciebie i Todda. Poza tym mam chyba taką konstrukcję psychiczną, że nie odczuwałam nigdy potrzeby macierzyństwa. Przyglądałam się tym spośród moich koleżanek,

które wyszły za mąż za raz po skończeniu szkoły. I czegoż one dokonały? Zakopały się w domach, obwieszane dziećmi, a potem dzieci wyfrunęły z gniazda, a one ani się spostrzegły, jak im życie przeciekło między palcami. Mnie nie mogło to spotkać, gdyż moje plany życiowe nie przewidywały dzieci. I dobrze, bo nienawidziłabym każdej chwili takiego życia, siebie i mężczyzny, który mnie na to skazał.

- Przecież wcale nie musi tak być! - zaprotestowała Nancy. Okazało się, że w ostatnich miesiącach oprócz obwodu w talii poszerzyły się jej także horyzonty. - Mam wiele koleżanek, które mają dzieci, a mimo to nie zrezygnowały z kariery zawodowej. Są lekarkami, prawniczkami, psychologami czy pisarkami i wcale nie musiały dokonywać wyboru między pracą a dziećmi.

- Twoje pokolenie jest w lepszej sytuacji niż moje - przyznała Pilar. - Większość z nas w którymś momencie stawiała na rozdrożu: albo mozolnie piąć się na szczyty kariery, albo wycofać się na peryferie życia i niańczyć dzieci. Dzisiejsze kobiety jakoś sobie radzą ze wszystkim, ale w dużej mierze zawdzięczają to dobrej woli swoich mężów i ich chęci do współpracy. Ja zapewne nie byłabym zmuszona do dokonywania takich wyborów, bo wasz ojciec na pewno by mi pomagał, ale po prostu nie czułam takiej potrzeby. Słyszałam, że niektóre kobiety usychają z tęsknoty za dziećmi, ale na szczęście mnie to nigdy nie spotkało.

Mówiła to jednak bez przekonania, bo podskórnie czuła jakiś dziwny niepokój, jakby zaczynał ją pobołewać ząb.

- A nie szkoda ci tego, Pilar? - drażyła Nancy. - Nie obawiasz się, że kiedyś możesz żałować, że nie zdecydowałaś się na dziecko? Dobrze wiesz, że wcale nie jest jeszcze za późno. Wiem o dwóch kobietach starszych od ciebie, które z powodzeniem urodziły.

- Ciekawe, o jakich? Jedna to biblijna Sara, a kim jest ta druga?

Roześmiała się, ale Nancy z uporem wmawiała jej, że wcale nie jest za stara, aby mieć dzieci. No cóż, dość dawno dokonała wyboru i nie żałowała tego. Owszem, przyznaje, że ostatnio raz czy drugi myślała o tym, szczególnie odkąd dowiedziała się o ciąży Nancy. Nie oznacza to jednak, aby miała się zachwiać w swoich postanowieniach, choćby nie wiadomo jak rozczulał ją brzusek Nancy. Może z wiekiem robiła się bardziej uczuciowa, ale nie wynikało z tego, że pragnęła dziecka. Tak sobie przynajmniej wmawiała, kiedy sprzątała ze stołu.

- Nie przypuszczam, aby kiedyś miało mi być przykro z tego powodu - oświadczyła. - Pewnie, że miło byłoby kochać i być kochaną, mieć do kogo otworzyć buzię, kiedy za trzydzieści lat będę siedzieć w bujanym fotelu na werandzie, ale mam przecież was, i to mi wystarczy. Nie żałuję w moim życiu niczego. Zawsze robiłam to, co chciałam, tak jak

chciałam i wtedy, kiedy chciałam. Czy można żądać więcej?

Najgorsze, że od razu odezwał się w niej głos wewnętrzny, który sugerował, że chyba jednak można... Przez całe życie była taka pewna siebie i przekonana o słuszności swego postępowania, a teraz... Czy wciąż taka była?

- Nawet za trzydzieści lat nie wyobrażam sobie ciebie w bujanym fotelu! Tatusia zresztą też nie - przekonywała z uporem Nancy, chociaż jej ojciec miałby wtedy dziewięćdziesiąt dwa lata. - Może jednak powinnaś to jeszcze przemyśleć?

Najwyraźniej uważała posiadanie dziecka za coś tak nadzwyczajnego, że każdy powinien tego spróbować.

- Teraz jestem już za stara, aby o tym myśleć - powiedziała Filar tak stanowczo, jakby chciała przekonać samą siebie. - Mam czterdzieści trzy lata, więc bardziej się nadaję na babcię twojego dziecka.

Co ciekawe, dopiero co wypowiedziane słowa zasmuciły ją, a także zaniepokoiły. Wynikało z nich bowiem, że najpierw była młoda, a potem zrobiła się od razu stara, jakby gdzieś zgubiła stadium pośrednie.

- Nie rozumiem, na jakiej podstawie tak myślisz. Czterdzieści trzy lata to żaden wiek. Wiele kobiet ma dzieci po czterdziestce.

- Zgadzam się, ale równie wiele nie ma, a ja wolę należeć do tej drugiej grupy, choćby z przyzwyczajenia! - podsumowała Pilar, wychodząc do kuchni, aby zaparzyć kawę, jeśli nie dla Nancy, to przynajmniej dla siebie. Rozmawiały tak przez dłuższy czas, a potem Nancy się pożegnała, bo miała jeszcze sprawy do załatwienia na mieście. Wieczorem wybierała się na kolację w gronie przyjaciół i widać było, jak radośnie przeżywa swoją ciążę. Nawet podczas rozmowy głaskała brzuch, jakby nawiązywała kontakt z dzieckiem, a raz czy dwa Pilar zauważyła, jak różowa koszula Nancy podskoczyła wskutek gwałtownych ruchów płodu. Przyszła matka roześmiała się, anonsując z dumą, że dzidzius jest bardzo ruchliwy.

Po jej wyjściu Pilar zaczęła nerwowo przechadzać się po domu. Pozmywała naczynia i przysiadła na chwilę przy biurku. Przyniosła z pracy kilka teczek z aktami, ale nie mogła się na nich skupić. Jej myśli krążyły bowiem wokół pytań, które zadała jej Nancy. Na przykład, czy nie będzie jej kiedyś przykro, że nie ma dzieci? Czy na starość nie będzie tego żałować? A kiedy, uchowaj Boże, Bradford umrze, co jej zostanie oprócz wspomnień i dzieci innej kobiety? To, oczywiście, śmieszne, bo przecież nie po to ma się dzieci, żeby się ich kurczowo trzymać. Chociaż właściwie po co ludzie mają dzieci? A dlaczego do tej pory nie chciała ich mieć?

Pytanie to coraz bardziej ją dręczyło, bo pociągało za sobą następne. Jeśli do tej pory



nie chciała, to dlaczego miałyby je mieć teraz? Po tylu latach? Może tylko zazdrościła Nancy, albo przedłużyć sobie młodość. Czy takie myśli oznaczały początek końca, czy raczej początek początku? Na żadne z tych pytań nie mogła znaleźć odpowiedzi.

Po długiej walce wewnętrznej zdecydowała się odłożyć teczkę z aktami i zadzwonić do Mariny. Wybierając numer, czuła się jak ostatnia idiotka, ale wiedziała, że musi z kimś porozmawiać. Po lunchu z Nancy nie mogła się jakoś pozbierać.

- Słucham? - Marina odebrała telefon tak oficjalnym tonem, że wzbudziło to uśmiech na twarzy Pilar.

- Cześć, to tylko ja. Gdzie się podziewałaś, że tak długo nie podnosiłaś słuchawki?

Przez chwilę obawiała się, że nie zastała koleżanki w domu, ale odetchnęła z ulgą, gdy na drugim końcu drutu usłyszała jej głos.

- Och, przepraszam. Przycinałam właśnie róże na grządkach.

- A czy mogłabym wyciągnąć cię na spacer po plaży? Marina się zawahała, ale tylko przez chwilę. Bardzo lubiła pracować w ogródku, ale wiedziała, że Pilar bez powodu nie wyciągałaby jej na spacer. Najwyraźniej musiała mieć poważne problemy.

- Czy coś się stało?

- Nic takiego, tylko, widzisz, musiałam sobie ostatnio trochę przemeblować w głowie. Niby jest tam to samo, co przedtem, tylko gdzie indziej stoi.

Zabrzmiało to trochę dziwnie, ale Pilar po prostu nie mogła dobrać właściwych określeń.

- Nie szkodzi, bylebym tylko miała gdzie usiąść! - zażartowała Marina w tym samym duchu, zrzucając na stolik rękawiczki używane do prac ogrodniczych. - Czy chcesz, żebym po ciebie przyjechała?

- O, tak! - ucieszyła się Pilar. Marina zawsze emanowała ciepłem i życzliwością. Jej liczni bracia i siostry dzwonili do niej nawet w środku nocy ze swymi problemami, licząc na jej bystrość i wyrozumiałość. Zawsze też gotowa była wysłuchać Pilar lub pomóc jej podjąć decyzję. Zwykle Pilar dyskutowała o wszystkim z Bradem, ale to, co ją teraz gnębiło, mogła zrozumieć tylko inna kobieta, choć zapewne Marina powie jej, że ma nierówno pod sufitem.

Nie minęło nawet pół godziny, jak Marina zabrała ją do swego samochodu i wolno skierowała się w stronę oceanu. Od czasu do czasu rzucała okiem na Pilar, która pozornie wyglądała normalnie, ale widać było, że coś ją gryzie.

- No więc, co ci chodzi po głowie? - zapytała w końcu, za trzymując samochód. - Mamy rozmawiać o pracy, rozrywkach czy o ich braku?

Przy każdym kolejnym punkcie tej wyliczanki Pilar z uśmiechem kręciła przecząco

głową. Gdy wysiadły z samochodu, Marina zaryzykowała następne pytanie:

- Pokłóciliście się z Bradem?

- Nie, nic z tych rzeczy - uspokoiła ją Pilar. Z Bradem żyli nadzwyczaj zgodnie i żałowała tylko tego, że nie wyszła za niego wcześniej. Szły już po piasku, kiedy nabrała powietrza w płuca i wreszcie wyrzuciła z siebie: - Zabawne, ale chodzi o Nancy.

- Po tylu latach znowu z czymś wyskoczyła? - Marina spoglądała na nią z zaskoczeniem. - Wydawało mi się, że przez ostatnie dziesięć lat zachowywała się przyzwoicie. Bardzo mnie zawiodła.

- Ależ skąd, nie w tym rzecz! - Pilar się roześmiała. - Ona jest w porządku, ale za kilka tygodni będzie miała dziecko i nie potrafi już myśleć o niczym innym.

- Ty też myślałabyś tylko o tym, gdybyś nosiła przed sobą taką wielką dynię... Mnie to też nie dawałoby spokoju, bo nie cierpię dźwigać ciężarów.

- Daj spokój. Mino, nie rozśmieszaj mnie! - Pilar nazwała ją żartobliwym przydomkiem, jaki wymyślili dla niej jej liczni siostrzeńcy i bratankowie. Sama zwracała się tak do niej tylko w wyjątkowych sytuacjach. - Najśmieszniejsze z tego wszystkiego jest to, że nie jestem pewna, co właściwie chcę ci powiedzieć, dlaczego się tak dziwnie czuję i czy czuję, czy tylko tak mi się wydaje?

- Oj, to mi wygląda na coś poważnego! - Marina niby to żartowała, ale naprawdę obserwowała Pilar spod oka i nie miała wątpliwości, że przyjaciółkę coś dręczy. Wiedziała jednak, że do wie się od niej wszystkiego, jeśli tylko nie będzie się spieszyć i da jej czas na odnalezienie właściwych słów.

Rzeczywiście, Pilar wyglądała na mocno zakłopotaną, bo nie wiedziała, od czego zacząć.

- Widzisz, to się zaczęło chyba pięć miesięcy temu - wyjąkała nieśmiało - kiedy Nancy przysłała powiedzieć mi, że jest w ciąży... albo może to było trochę później? Jakoś tak od tamtego czasu zaczęłam się zastanawiać... czy nie popełniłam w życiu błędu? I to zasadniczego błędu!

Na jej twarzy malowała się udręka, a na twarzy Mariny - za skoczenie.

- Masz na myśli małżeństwo z Bradem?

- Ależ skąd! - Pilar żarliwie zaprzeczyła. - Chodzi mi o to, że tak się upierałam, aby nie mieć dzieci. Może to właśnie był błąd? A jeśli będę kiedyś tego żałować? Jeśli rację mają ci, którzy uważają, że jestem przewrażliwiona, bo miałam toksycznych rodziców? Może mimo wszystko byłabym dobrą matką?

Spoglądała z rozpaczą na Marinę, a ta podprowadziła ją do najbliższej wydmy,

usadowiła w miejscu osłoniętym od wiatru i otoczyła ramieniem.

- Na pewno byłabyś dobrą matką, gdybyś tylko chciała - uspokoiła ją. - To jednak, że jest się w czymś dobrym, nie oznacza, że musi się to robić. Podejrzewam, że równie dobrze nadawałabyś się na strażaka, co wcale nie znaczy, że tak miał wyglądać kolejny szczebel twojej kariery. Jak dotąd, w naszym kraju nie ma obowiązku posiadania dzieci i to, że ich nie masz, bynajmniej nie świadczy o tym, że jesteś dziwaczką, wariatką lub lesbijką. Po prostu niektóre osoby nie chcą mieć dzieci i jeśli im to odpowiada, to wszystko w porządku.

- A czy ty nigdy nie zastanawiałaś się nad swoim postępowaniem? Nie żałowałaś, że nie zostałaś matką? - Musiała to wiedzieć, bo Marina miała już wcześniej podobne doświadczenia.

- Owszem, raz czy dwa - odpowiedziała jej szczerze Marina. - Ilekroć któraś z moich siostr czy siostrzenic dawała mi dzidziusia na ręce, czułam ukłucie w sercu i myślałam, że dobrze było by też mieć takiego... Tyle tylko, że te myśli wylatywały mi z głowy po jakichś dziesięciu minutach. Przez dwadzieścia lat dość nawycierałam się usmarkanych nosów, nazmieniałam pieluszek i naprałam brudów! Odbierałam gówniarzy ze szkoły, prowadziłam do parku, okrywałam w nocy, słałam im łóżka, aż przez to nie miałam czasu pójść na studia, dopóki nie skończyłam dwudziestu pięciu lat! Jakoś sobie jednak poradziłam i kocham ich wszystkich, przeżyłam z nimi wiele miłych chwil, ale za nic nie chciałam przechodzić przez to samo od początku. Potrzebowałam czasu dla siebie, na naukę, pracę i spotkania towarzyskie, także i z mężczyznami. Pewnie wyszłabym za męża, gdyby trafił mi się odpowiedni kandydat. Raz czy drugi nawet się trafiał, ale zawsze znajdowałam powody, żeby się z nim nie wiązać. Prawdę mówiąc, służy mi samotność. Kocham swoją pracę, lubię też dzieci, ale cieszę się, że nie mam swoich. Pewnie, że dobrze byłoby mieć kogoś, kto zaopiekowałby się mną na stare lata, ale przecież w razie czego mogę liczyć na ciebie, na wszystkich moich braci, siostry i ich dzieci.

Pilar wdzięczna była Marinie za tę szczerłość, ale uważała, że przyjaciele i rodzeństwo to jednak nie to samo co własne dzieci. A może się myliła? Dla pewności wołała spytać.

- A jeśli któregoś dnia stwierdzisz, że to nie wystarczy?

- Wtedy przyznam, że popełniłam błąd. Na razie jednak nie narzekam - odpowiedziała Marina. Miała sześćdziesiąt pięć lat, ale trzymała się krzepko. Dobrze się czuła za stołem sędziowskim i знаła więcej ludzi niż Pilar. Była w ciągłym ruchu, wiecznie kogoś odwiedzała, słowem - sprawiała wrażenie kobiety szczęśliwej i zadowolonej z życia. Do niedawna Pilar też się za taką uważała.

- No, a co to wszystko ma wspólnego z tobą? - Marina po wróciła do właściwego

tematu. - Co cię gryzie, Pilar? Co mają znaczyć te pytania o dzieci? Jesteś może w ciąży albo chcesz wysondować, co myślę o aborcji?

- Nie. - Pilar ze smutkiem potrząsnęła głową. - Raczej próbuję cię wypytać, co myślisz o posiadaniu dzieci w ogóle, ale w ciąży nie jestem.

Nie była bynajmniej pewna, czy chciałaby zająć w ciążę, ale po raz pierwszy w życiu zachwiała się w swojej pewności, że nie chce mieć dzieci.

- Cóż, jeśli tego chcesz, uważam, że to byłoby dobre. A co myśli o tym Brad?

- Nie pytałam go, ale pewnie powiedziałyby, że mi odbiło, i miałyby rację. Zawsze byłam święcie przekonana, że nie chcę mieć dzieci, ale chyba głównie dlatego, by nie stać się taka jak moja matka.

- Taka sama na pewno byś nie była. Przecież stanowicie kompletnie odmienne typy!

- Chwała Bogu choć za to.

Marina nie w pełni potrafiła wczuć się w sytuacje opisywane jej nieraz przez Pilar. W jednym tylko zgadzała się ze swoją młodszą koleżanką - Jej rodzice w ogóle nie powinni byli mieć dzieci!

- Czy tylko to cię powstrzymywało? Obawa, by nie powielać wzorów wyniesionych z domu?

- W pewnej mierze tak, ale nie tylko. Po prostu nie czułam potrzeby macierzyństwa, ale widzisz, tak samo nie czułam też potrzeby wychodzenia za mąż, a teraz żałuję, że nie zrobiłam tego wcześniej.

- Szkoda czasu na rozważania co by było gdyby. Ciesz się dniem dzisiejszym i nie oglądaj się za siebie.

- Nawet nie próbuję. Po prostu czuję, że dzieje się ze mną coś dziwnego. Tak, jakbym się nagle zmieniała.

- To jeszcze nic złego. Gorzej by było, gdybyś pozostawała sztywna i niereformowalna. Może to oznacza, że powinnaś zdecydować się na dziecko?

- A jeśli potem się okaże, że wcale tego nie chciałam, tylko po zazdrościłam Nancy? Albo że moja matka ma rację i urodzę jakiegoś potworka? - Podobne pytania można było mnożyć w nie skończoność, a na wszystkie nawet Marina nie znała odpowiedzi.

- A gdyby ciocia miała wąsy? - zdenerwowała się Marina. - Wszystkiego nie przewidzisz. Możesz tylko iść za głosem serca i starać się, żeby wszystko wyszło jak najlepiej. Jeśli teraz obudziła się w tobie chęć posiadania dziecka, to pomyśl o tym po ważnie, ale nie martw się na zapas. Gdyby wszyscy tak rozdzielali włos na czworo, ludzkość przestałaby się rozmnażać! - A ty? Jeśli tobie dzieci nie są potrzebne do szczęścia, to może i

mnie nie?

- Nie bądź śmieszna! Przecież każda z nas jest inna i każda ma inne doświadczenia życiowe. Wokół mnie bez przerwy kręciły się jakieś dzieciaki, a ty miałaś do czynienia tylko z dwójką dzieci Brada, które zresztą były już duże, kiedy je poznałaś. Jesteś mężatką, którą ja nigdy nie byłam i dobrze mi z tym. Mogę swobodnie wybierać sobie znajomych i taki styl życia, jaki mi odpowiada. Tobie natomiast odpowiada szczęśliwe pożycie z Bradem, więc któregoś dnia możesz żałować, że nie miałaś z nim dzieci.

Pilar przez dłuższy czas w milczeniu wpatrywała się w piasek. Słowa przyjaciółki przyniosły jej pewną pociechę, ale nadal nie znalazła odpowiedzi na dręczące ją pytania. Podniosła więc wzrok na Marinę i spytała wprost:

- Mino, co ty byś zrobiła na moim miejscu?

- Przede wszystkim bym odpoczęła, bo widzę, że tego potrzebujesz. Potem poszłabym do domu i obgadała to z Bradem, ale tak, żeby nie przyciskać go do muru. On wcale nie musi mieć gotowych odpowiedzi na każde twoje pytanie. Czasem w życiu trzeba zaryzykować, oczywiście w rozsądnych granicach. Prędzej czy później i tak będziesz musiała skoczyć z tej trampoliny, więc uważaj, żebyś nie plasnęła brzuchem o wodę!

- Cóż za kwieciste porównania, łaskawa pani!

- Dziękuję. - Marina uśmiechnęła się do Pilar. - Gdybym była tobą, poszłabym na całość i urodziła dziecko, nie przejmując się tym głupim gadaniem o wieku. Wydaje mi się, że naprawdę tego chcesz, tylko boisz się przyznać.

- Może i masz rację - mruknęła Pilar.

Marina na ogół miewała rację, natomiast trudno było przewidzieć, jak Brad zareaguje na ten pomysł. Po raz pierwszy w życiu Pilar zetknęła się z bolesnym uczuciem pustki i przekonała się, że czyni to człowieka naprawdę nieszczęśliwym.

Więcej nie było już o czym rozmawiać, więc wróciły do samochodu, a w drodze do domu prawie się nie odzywały. Pilar wzięła sobie głęboko do serca słowa Mariny, teraz potrzebowała czasu, aby je jeszcze raz przemyśleć.

- Tylko się za bardzo nie przejmuj! - poradziła jej Marina na odjezdnym. - Sama będziesz wiedziała najlepiej, czego ci trzeba, wsłuchaj się w głos serca. Ono cię nigdy nie zawiedzie.

- Dziękuję, kochanie! - Wyściskała serdecznie Marinę i długo machała ręką za odjeżdżającym samochodem. Przyjaciółka była nieoceniona jako powiernica. Do domu wróciła spacerkiem, uśmiechając się po drodze.

Brad był już w domu. Opalony i wypoczęty, odkładał właśnie na miejsce kije golfowe.

Wylewnie przywitał się z żoną.

- Gdzieś się podziewała? Myślałem, że Nancy miała dziś przyjść do nas. - Objął Pilar ramieniem i pocałował ją, a potem wyszli razem na taras.

- Była, ale już poszła. Zjadłyśmy razem lunch, a dopiero po jej wyjściu wybrałam się na spacer z Mariną.

- Ho, ho! - Przyjrzał się badawczo żonie, gdyż znał ją na tyle dobrze, że wiedział, co to oznacza. - Czyżby jakieś kłopoty?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Przekomarzała się z nim, dopóki nie posadził jej sobie na kolanach. Sprawilo jej to widoczną przyjemność, gdyż szalała za swoim mężem, podobnie jak on za nią.

- Wiem przecież, że bez powodu nie wrywasz się nagle na spacer po plaży. Musisz mieć coś na wątrobie. Ostatnio nie mogłaś się zdecydować, czy przyjąć nowego współnika do zespołu; przedtem miałaś dylemat, czy zrezygnować z prowadzenia sprawy, w której weszłaś jakieś kanty; a jeszcze wcześniej, czy wyjść za mnie, czy nie. To dopiero był długi spacer! - Roześmiała się, ale musiała mu przyznać rację. - A co sprowokowało ten dzisiejszy spacer? Czyżby Nancy wyrządziła ci przykrość?

Zdziwiłby się, gdyby tak było, bo teraz obie żyły w wielkiej przyjaźni. Lata wojny podjazdowej miały już dawno za sobą.

- A może coś ważnego wydarzyło się dziś w zespole? Pilar niedawno wygrała prestiżową sprawę w wydziale cywilnym sądu w Los Angeles. Brad był z niej dumny, ale wiedział, jak stresującą ma pracę i ile ważnych decyzji musi podejmować każdego dnia. W miarę możliwości starał się jej pomagać, ale nie mógł przecież podejmować za nią decyzji.

- Nie, nic takiego, wszystko w porządku - uspokoiła go. - A Nancy była dziś bardzo miła.

Nie wspomniała tylko, że Nancy bezwiednie zadała jej ból, bo dotarła do tych zakątków jej serca, o których istnieniu Pilar nawet nie wiedziała, a nawet jeśli czasami dawały znać o sobie, uznawała, że są bez znaczenia. Teraz nie była już tego taka pewna, ale nie wiedziała, w jaki sposób zreferować sprawę Bradowi. Z pewnością pomyśli, że zwariowała! Jednak Marina radziła po wiedzieć mu wszystko i chyba miała rację.

- Wiesz, to takie babskie sprawy - ciągnęła dalej. - Musiałam sobie to i owo poukładać, a kiedy przeszłam się po plaży z Mariną, trochę mi rozjaśniła w głowie, jak zawsze.

- I cóż ci takiego powiedziała? - O Marinie miał wysokie mniemanie, ale to on był mężem Pilar, uważał więc za swój obowiązek, by służyć jej dobrą radą.

- Tak mi głupio... - zaczęła.

Ku swemu najgłębszemu zaskoczeniu Brad ujrzał w jej oczach łzy. Teraz już nie wątpił, że musi mieć poważne kłopoty, bo niezmiernie rzadko traciła panowanie nad sobą.

- Oj, widzę, że to ciężka sprawa, i to akurat w sobotnie popołudnie! - Silił się na lekki ton. - Może teraz ja mam iść z tobą na plażę?

- Czemu nie? - Uśmiechnęła się, ocierając łzę, która pokazała się w kącie oka.

Brad przytulił ją mocniej do siebie.

- Co cię martwi, kochanie? Nie możesz mi o tym powiedzieć? - Wiedział, że musiało stać się coś ważnego, bo inaczej nie alarmowałaby Mariny.

- Nawet gdybym powiedziała, i tak nie uwierzysz. To brzmi strasznie głupio.

- Mimo wszystko spróbuj. Codziennie słyszę tyle głupot, że zdążyłem już się do tego przyzwycząić.

Umościła się więc wygodnie w jego objęciach, opierając długie nogi na jego nogach. Z twarzą przy twarzy męża zaczęła ściszym głosem opowiadać:

- Nie jestem pewna, ale chyba Nancy dotknęła dzisiaj nie chcący mojego czułego miejsca. Do tej pory w ogóle nie wiedziałam, że mam coś takiego, dopóki nie zapytała, czy nigdy nie żałowałam, że nie miałam dzieci!

Dalszy ciąg utonął we łzach, a Brad był wyraźnie zdziwiony, bo nie przypuszczał, że może chodzić o taką sprawę.

- Zawsze byłam przekonana, że nie chcę mieć dzieci, ale już nie jestem. Nagle zaczęłam patrzeć zupełnie inaczej na te sprawy. A co, jeśli ona ma rację i kiedyś będę tego żałować? Potrzebna mi taka zgryzota na stare lata? A gdyby... - Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło, ale czuła, że musi to powiedzieć. - Gdyby tobie coś się stało, a ja nie miałabym nawet twojego dziecka?

Przez cały czas mówiła przez łzy, a Brad w osłupieniu potrząsał głową, bo oczekiwał wszystkiego, tylko nie tego. Pilar była ostatnią osobą, którą mógł posądzać o chęć posiadania dziecka.

- Mówisz poważnie? Naprawdę cię to martwi? - dopytywał się z niedowierzaniem.

- Myślę, że tak. A najgorsze by było, gdybym nagle postanowiła, że chcę mieć dzieci.

- Wtedy musiałabyś zadzwonić po straż pożarną, żeby mnie otrzęźwili zimną wodą z sikawki! Pilar, czy ty naprawdę poważnie myślisz o dzieciach? Dopiero teraz?

Przez ponad dwadzieścia lat Brad nawet nie myślał o płodzeniu potomstwa, a Pilar dawała mu jednoznacznie do zrozumienia, czego chciała.

- A co, uważasz, że jestem za stara? - spytała ze skwaszoną miną, ale on tylko się

roześmiał.

- Nie ty, tylko ja. Przecież mam już sześćdziesiąt dwa lata i za kilka tygodni zostanę dziadkiem. Czy to nie śmieszne, żebym niedługo potem został młodym tatusiem?

- A niby dlaczego? W dzisiejszych czasach wielu mężczyzn w twoim wieku, a nawet starszych, po raz drugi zakłada rodzinę.

- Ależ ja się starzeję z minuty na minutę! - Próbował żartować, ale po oczach Pilar poznał, że przechodzi teraz poważny kryzys. - Od jak dawna o tym myślisz?

- Sama dobrze nie wiem - wyznała szczerze. - Chyba przyszło mi to na myśl po raz pierwszy od dnia naszego ślubu. Najpierw namieszali mi w głowie ci klienci, którzy wynajęli matkę zastępczą. Z jednej strony dziwiłam się, jak można z taką determinacją walczyć o dziecko, którego w życiu nie widzieli, a z drugiej strony częściowo ich rozumiałam. Nie wiem, może na stare lata zaczynam dziwaczyć? A już ciąża Nancy była dla mnie prawdziwym wstrząsem. Przywykłam uważać ją za dziecko, a teraz wydała mi się taka pogodna i zadowolona z siebie, jakby wreszcie odnalazła sens życia. Może więc to ja zgubiłam po drodze coś ważnego? Może nie wystarczy być dobrym prawnikiem, porządnym człowiekiem, kochającą żoną i macochą, ale do szczęścia potrzeba własnych dzieci?

- O rany! - westchnął, bo w jej obecnym stanie ducha nie odważyłby się nawet powiedzieć, że nie ma racji. Uważał jednak, że jest już za późno na dzieci. - Nie mogłaś pomyśleć o tym wcześniej?

Spojrzała na niego z powagą, wkładając w to spojrzenie całą duszę.

- A gdybym doszła do wniosku, że nie mogę żyć bez dziecka, chciałbyś je mieć?

Zadanie tego pytania dużo ją kosztowało, ale musiała wiedzieć, na czym stoi i czy ma jakąś alternatywę. Nawet gdyby od powiedział odmownie, musiałaby się z tym pogodzić, bo kochała go nade wszystko, ale już zaczynała poważnie myśleć, że mogłaby urodzić jego dziecko.

- Nie wiem - wyznał szczerze. - Nie myślałem o tym od dawna. Musiałbym się nad tym poważnie zastanowić.

Uśmiechnęła się z ulgą, zadowolona, że nie odmówił od razu. Dawało to jej jakąś szansę, a tak czy owak, oboje musieli się po ważne zastanowić nad wynikającą stąd odpowiedzialnością i nieuniknionymi utrudnieniami w życiu. Pilar zaczynała coraz bardziej wierzyć, że gra jest warta świeczki.

- No to myśl szybko. - Roześmiała się na widok jego żalostnej miny.

- A dlaczego?

- Bo ja się starzeję z minuty na minutę.



- Och, ty łotrzyco! - Pocałował ją namiętnie w usta, a potem jeszcze raz, z większą czułością. Stopniowo oboje zaczęli odczuwać podniecenie, siedząc na tarasie w promieniach słońca. - Wiedziałem, że stanie się coś strasznego, kiedy zmusiłem cię, że byś za mnie wyszła. Szkoda, że nie wiedziałem tego trzynaście lat temu. Zmusiłbym cię do ślubu znacznie wcześniej i od tego czasu urodziłabyś mi tuzin dzieci!

- Zobaczymy! - Wyprostowała się na jego kolanach, patrząc mu w oczy rozmarzonym wzrokiem. - Mam dopiero czterdzieści trzy lata... Może wycisnęłoby się jeszcze ze sześcioro albo siedmioro...

- Będzie cud, jeśli przeżyję jedno! - zaprotestował żartobliwie. - Ale pamiętaj, że jeszcze się nie zgodziłem. Muszę to przemyśleć...

Udając, że mu ustępuje, wstała i wzięła go za rękę.

- Wiesz co, Brad? Mam świetny pomysł, co możemy zrobić, zanim to przemyślisz. Chodź...

Śmiał się, gdy powoli prowadziła go do sypialni. Zawsze jej ulegał, podobnie jak ona jemu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Po badaniu Diana usiadła na fotelu ginekologicznym. Odwiedziła tego lekarza w celu wykonania corocznych badań kontrolnych. Polecił go jej szwagier. Jack uważał jednak Arthura Jonesa za świetnego specjalistę mimo jego młodego wieku.

- Wygląda mi to wszystko bardzo ładnie - orzekł ginekolog z uśmiechem. - Czy ma pani jakieś dolegliwości, na przykład guzki, wypryski, nietypowe bóle lub krwawienia?

Za każdym razem Diana przecząco potrząsała głową. Czuła się nieszczęśliwa, gdyż przed tygodniem miała okres, co oznaczało, że nadal nie jest w ciąży.

- Nic mi nie dolega poza tym, że od jedenastu miesięcy próbuję zajść w ciążę i nic z tego nie wychodzi - oświadczyła.

- Może za ostro pani próbuje? - zażartował doktor, zupełnie jak jej siostry. Wszyscy znajomi powtarzali podobne głupstwa, w rodzaju „nie myśl o tym”, „nie przejmuj się”, „za bardzo się starasz” i tym podobne. Gdyby wiedzieli, jakie męki przeżywała co miesiąc, kiedy wychodziło na jaw, że znowu się nie udało! Miała dwadzieścia osiem lat, mężatką była już od roku, kochała swojego męża i swoją pracę, więc do szczęścia brakowało jej tylko dziecka.

- Niecały rok? To jeszcze nie tak długo. - Doktor próbował ją pocieszyć.

- Dla mnie to już wieczność! - Westchnęła ze smutnym uśmiechem.

- A co na to pani mąż? Czy też się martwi?

Nasunęło to Dianie przypuszczenie, że może lekarz wie o czymś, czego ona nie wiedziała. Wiadomo przecież, że niektórzy mężczyźni niechętnie przyznają się swoim partnerkom do grzechów przeszłości. Może dawniej miał jakieś problemy zdrowotne, na przykład przechodził choroby weneryczne?

- Powtarza mi ciągle, żebym się nie przejmowała, bo prędzej czy później na pewno się uda.

- To pewnie ma rację - potwierdził z uśmiechem doktor Jones. - A jaką pracę mąż wykonuje?

Najwyraźniej chciał ustalić, czy nie ma w pracy do czynienia ze szkodliwymi substancjami chemicznymi, co mogłoby mieć wpływ na jego płodność.

- Jest radcą prawnym w sieci przedsiębiorstw rozrywkowych - wyjaśniła.

- A pani jest dziennikarką, prawda? - Gdy przytaknęła, dodał: - A więc oboje wykonujecie dość stresującą pracę, co również może mieć wpływ na wasz rytm biologiczny. Musicie państwo jednak zrozumieć, że jedenaście miesięcy to nie jest szczególnie długi okres.

W wielu małżeństwach już po roku dochodzi do ciąży, ale niektóre pary potrzebują na to więcej czasu. A gdy byście się tak państwo wybrali gdzieś na małe wakacje? Może zmiana otoczenia dobrze wam zrobi.

- To się świetnie składa, bo właśnie wybieramy się na tydzień do Europy! Może akurat tego nam trzeba?

Mówiła to z nadzieją w głosie, ale doktor zauważył niepokój w jej oczach.

- Wie pani co? - zaproponował. - Jeśli po powrocie z Europy nadal nie będzie pani w ciąży, zacznijmy dokładniejsze badania. Sam wykonam pewne testy albo skieruję panią do specjalisty. Znam kogoś takiego, kogo mogę z czystym sumieniem polecić. Doktor Aleksander Johnston jest od nas trochę starszy, ma nie co konserwatywne poglądy, ale naprawdę zna swój fach i na pewno nie zleci badań, które nie są niezbędne. Pani szwagier z pewnością go zna.

- Dziękuję, chętnie skorzystam! - Diana się ożywiła. Liczyła, że wyjazd do Europy jej pomoże, ale gdyby nic nie dał - po zostawała nadzieja, że ma się do kogo zwrócić.

Podziękowała doktorowi za krzepiące słowa i wróciła do pracy. Wieczorem opowiedziała o wszystkim Andyemu. Nadmieniła, że mogłaby zapytać Jacka o zdanie na temat specjalisty, którego polecił jej doktor Jones. O dziwo, Andy zareagował złością na te rewelacje.

W pracy miał ciężki dzień, a w domu miał już dość żądań Diany, aby współżyli na komendę, w określone dni i godziny. Denerwowały go jej histeryczne reakcje na kolejny okres. Uważał, że skoro oboje są młodzi, zdrowi i pochodzą z wielodzietnych rodzin, to prędzej czy później dochowają się całej gromadki dzieci. Natomiast jej ciągle pretensje i jęki na pewno nie polepszały sytuacji.

- Och, daj mi nareszcie spokój! - wybuchnął. - Potrzeba nam odpoczynku, a nie jakiegoś pieprzonego specjalisty. Przestałaś w końcu wiercić mi dziurę w brzuchu!

- Och, przepraszam... - W jej oczach wezbrały łzy, które daremnie próbowała ukryć, odwracając głowę. A więc mąż nie rozumiał jej niepokoju, wręcz lęku o to, że któreś z nich ma jakiś feler. - Myślałam po prostu... no, myślałam, że taki specjalista mógłby nam pomóc!

Z płaczem wybiegła z pokoju, ale po chwili Andy podążył za nią.

- No już, maleńka... To ja przepraszam, ale jestem dziś tak zmęczony... Przez ostatnie tygodnie w firmie było urwanie głowy. Na pewno będziemy mieli dzidziusia, tylko przestań się ciągle zamartwiać!

Ta jej obsesja na punkcie dziecka zaczynała go jednak denerwować. Czasem odnosił wrażenie, że Diana albo nie ma innego celu w życiu, albo koniecznie chce rywalizować ze

swymi siostrami.

- Doktor sądzi, że małe wakacje mogą nam pomóc... - zaczęła nieśmiało, nie chcąc go rozgniewać jeszcze bardziej. Andy tylko westchnął i mocniej przytulił ją do siebie.

- I ma rację! Wakacje są właśnie tym, czego nam trzeba. Tylko obiecaj, że przynajmniej przez jakiś czas nie będziesz ciągle myśleć o tym samym. Na pewno doktor też ci powiedział, że na razie nie dzieje się nic, co byłoby podejrzanym.

- Rzeczywiście, tak powiedział.

- A widzisz!

Kiedy wieczorem się kładli, Diana wyglądała na spokojniejszą. Próbowwała sobie wmówić, że niepotrzebnie się zadręcza, bo wszystko jest w najzupełniejszym porządku.

Chciała pocałować Andyego na dobranoc, ale on już spał, lekko pochrapując. Przyglądała mu się przez chwilę, zanim z powrotem opadła na poduszkę. Nigdy przedtem nie przypuszczała, że tak uporczywemu pragnieniu dziecka towarzyszy też dojmująca samotność. Chyba nikt poza nią, nawet Andy, nie był w stanie pojąć ogromu tej tęsknoty.

Wycieczka do Europy udała się nad podziw. Odwiedzili Paryż, zahaczyli o południe Francji i wstąpili do Londynu, by złożyć wizytę bratu Andyego. Jeśli podczas podróży doszło do poczęcia dziecka - najpewniej mogło się to zdarzyć w Monte Carlo. Za trzymali się tam w luksusowym Hotel de Paris i Andy żartował, że najlepiej jest robić dzieci pod błękitnym niebem Riwiery.

Wizyta u Nicka też wypadła wspaniale, przez cały czas świetnie się bawili. Dotychczas nie zdawali sobie sprawy, jak wyczerpujący tryb życia prowadzili w Los Angeles i jak bardzo potrzebowali takiego niezobowiązującego bycia we dwoje. Jadali w restauracjach, zwiedzali muzea i kościoły, a raz nawet wyskoczyli z Nickiem i jego dziewczyną do Szkocji na ryby. Do Los Angeles wrócili w czerwcu i mogli śmiało przyznać, że czuli się jak nowo narodzeni.

Po powrocie do domu Andy po raz pierwszy wyszedł do pracy uśmiechnięty. Diana wycygała od swojego szefa dodatkowy dzień wolny, aby mieć czas na rozpakowanie rzeczy, wypoczynek po podróży i wizytę u fryzjera. Był piątek, doszła więc do wniosku, że skoro w redakcji radzono sobie bez niej przez tydzień, to jeden dzień niewiele zmieni. Nie spieszyła się zbytnio do obłędnego kołowrotu pracy dziennikarskiej i namawiała Andyego, by został w domu razem z nią, ale on, choć niechętnie, musiał tego dnia pojawić się w agencji.

W sobotę rano Andy grał w tenisa z Billem Benningtonem. Razem kończyli studia prawnicze, a potem Andy załatwił Billowi pracę w swojej firmie. Zaprosił go także na swoje wesele. Byli dobrymi przyjaciółmi, więc Andy chętnie dzielił się z nim wrażeniami z wakacji.

- Co słyhać u Nicka? - zagadnął Bili, gdy po grze poszli na pić się czegoś orzeźwiającego.

- Och, wszystko w porządku. Chodzi z fajną dziewczyną. Spędziliśmy z nimi weekend na rybach w Szkocji i wszyscy ją polubiliśmy.

Dziewczyna Nicka, ładna i dowcipna Angielka, przypadła do gustu także Dianie, która odniosła wrażenie, że Nick traktuje tę znajomość poważniej, niż się przyznaje.

- Ja też chodzę z fajną dziewczyną! - niespodziewanie po chwalił się Bili, odstawiając szklanke.

- Czy to coś poważnego, czy tak jak zawsze? - Andy się roześmiał. Bili bowiem, niezwykle przystojny, miał słabość do podrywania modelek i gwiazdek filmowych. Dotychczas traktował te znajomości raczej w kategoriach ilościowych i nie wchodził w żadne trwałe związki.

- Jeszcze nie wiem, ale ona jest naprawdę super. Musisz ją poznać.

- A czym się zajmuje, jeśli to nie tajemnica? - Andy podśmiewał się z chłopięcego entuzjazmu kolegi.

- Nie uwierzysz, ale jest radcą prawnym konkurencyjnej firmy. Świeżo skończyła prawo. To naprawdę niezwykła dziewczyna!

- Ho, ho! - Andy nie mógł się powstrzymać, żeby nie drażnić się ze starym kumplem. Bili Bennington należał do jego najbliższych przyjaciół. - Chyba tym razem zanosি się na coś poważnego!

- Kto wie? ... - Bili uśmiechnął się tajemniczo. Szli już na parking klubu tenisowego. Grywali razem w każdą sobotę, jeśli akurat nie mieli innych planów, a raz lub dwa razy w tygodniu także popołudniami, jeśli pilna praca nie zatrzymała ich w biurze. Przed wakacjami Bili uważnie przyglądał się Andyemu i z troską zauważał jego przepracowanie, toteż z radością spostrzegł, że teraz wyglądał znacznie lepiej. - A co porabia moja ulubiona redaktorka? Dalej zaharowuje się na śmierć?

- Przed wyjazdem rzeczywiście tak było, ale wczoraj wzięła sobie dzień wolnego, a to dobry znak. Wydaje mi się, że wróciła wypoczęta i nabrała dystansu do pewnych spraw, bo ostatnio była kłębkim nerwów.

- Ty też. Zastanawiałem się nawet, czy masz jakieś kłopoty w pracy, a może w rodzinie.

- Byłem po prostu zmęczony. - Andy nie był pewien, na ile może być z nim szczery. - Diana ostatnio też chodziła jak chmura gradowa, więc może mi się udzieliło.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Chyba nie... Ona po prostu strasznie chciałaby mieć dziecko, ale chyba jeszcze za

wcześniej, żeby się tym martwić.

- Człowieku, przecież wy nie jesteście nawet rok po ślubie! - zdziwił się Bili.

- Dziś minął rok - sprostował z uśmiechem Andy. - Trudno uwierzyć, prawda?

- Nie zaczynajcie, na litość, tak prędko się rozmnażać! Z kim grałbym w tenisa, gdybyś ty stale spieszył się do domu zmieniać pieluszki?

- Już to sobie wyobrażam... Wiesz co, może rzeczywiście jej powiem, żeby w tym roku jeszcze sobie dała spokój?

- Koniecznie to zrób! Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas polatamy sobie po korcie.

- To jest myśl! - roześmiał się Andy, zanim Bili wsiadł do srebrnego porsche. - Na razie trudno mi to sobie wyobrazić, choć pamiętam, jak nasz ojciec nosił nas na barana. Chyba jeszcze nie dojrzałem do roli tatusia, natomiast Diana czuje w sobie nadmiar instynktu macierzyńskiego!

Oczywiście nie przyznał się, że przez cały ten czas oboje starali się usilnie zadośćuczynić temu instynktowi, ale nic z tego nie wychodziło.

- Tylko niech się zanadto z tym nie śpieszy, bo dzieci są nam dane raz na zawsze.

- Powtórzę Dianie, że to ty powiedziałaś.

Pomachał ręką za odjeżdżającym kolegą, zastanawiając się, jak długo ten lekkoduch wytrzyma z aktualną dziewczyną. W domu zastał Dianę w świetnym humorze. Robiła coś w ogródku, ale ucieszyła się z powrotu Andyego, który prezentował się bardzo efektownie w białych spodenkach do gry w tenisa.

- Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu! - Pochylił się, aby ją ucałować, i jednocześnie wyjął z kieszeni spodenek pudełeczko od Tiffanyego. - No wiesz? Psujesz mnie!

- Przysiadła na piętach, aby otworzyć pudełeczko. W środku był złoty pierścionek z małym szafirem. Uradowana, rzuciła mu się na szyję. - Jaki śliczny!

- Cieszę się, że ci się podoba. - Nawet wyglądał na zadowolonego. - Wprawdzie pierwszą rocznicę ślubu nazywają zwykle plastikową, papierową lub glinianą, ale pomyślałem sobie, że nic się nie stanie, jeśli przeskoczymy kilka lat...

- No, tym razem jeszcze ci wybaczę, ale w przyszłym roku proszę o coś stosownego do tradycji, na przykład z aluminium czy z miedzi...

Uśmiechnęła się. Praca w ogródku najwidoczniej jej służyła, bo opaliła się i wyglądała na odprężoną.

- Masz to jak w banku! - Puścił ją i razem weszli do domu. Tam Diana dała mu swój prezent - komplet skórzanej galanterii podróżnej. Wiedziała, że marzył o czymś takim przez cały rok, więc po odpakowaniu upominku był mile zaskoczony. Sam lubił kupować jej

prezenty nawet bez specjalnej okazji - nieraz wracając z pracy przynosił naręczę kwiatów. Ona też z upodobaniem robiła mu niespodzianki. Oboje dobrze zarabiali, więc stać ich było na to, aby się nawzajem rozpieszcząć.

Na ten wieczór Andy zarezerwował jeszcze stół dla nich obojga w luksusowym lokalu „L'Orangerie”. Miało im to przybliżyć wakacje w Europie, gdzie także jadali w renomowanych restauracjach, a w rocznicę ślubu postanowił trochę zaszaleć.

Diana ubrała się na tę okazję w nową sukienkę, którą sprawiła sobie w Londynie - białą, jedwabną, z głębokim dekoltem.

- Przyszło mi do głowy, że mogłabym znów ubierać się na biało - zażartowała, kiedy pokazała mu się w tym stroju.

- Chyba to nie znaczy, że wciąż jeszcze uważasz się za dziewicę?

- Byłoby to raczej trudne.

Wyszli z domu wcześniej, bo Diana obiecała siostrze, że po drodze wstąpią do Galerii Adamsona i Duvannesa na wernisaż wystawy prac Seamusa. Kiedy wsiedli do samochodu, Andy na chylił się, aby ją pocałować.

- Wyglądasz cudownie!

- Ty też - odwzajemniła mu się, bo oboje zachowali jeszcze opaleniznę z wakacji i prezentowali się niezwykle atrakcyjnie.

Diana zdawała się promieniować jakby światłem, więc Andy nie mógł opędzić się od myśli, czy przypadkiem nie jest w ciąży.

Włożyła na palec pierścionek otrzymany od niego, co dostarczyło Andyemu tematu do żartów. Z udaną powagą powiedział, że powinni wybrać się znów na wycieczkę, bo chciałby wypróbować nowy neseser.

Całe popołudnie spędzili w łóżku, kochając się, dopóki nie nadszedł czas przygotowań do kolacji. Jak dotąd, rocznica ślubu upływała im mile. W drodze do galerii Andy zabawiał żonę opowiadaniem o nowej dziewczynie Billa.

- Prawniczka? - Diana się zainteresowała. - Obawiam się, że nie wytrzyma z nią dłużej.

- Nie byłbym tego taki pewien. - Andy przypomniał sobie słowa Billa. - Wyglądał mi na nieźle zadurzonego.

- On zawsze tak wygląda, dopóki inna nie zawróci mu w głowie. Zmienia obiekt zainteresowania równie często jak mój trzy letni siostrzeniec.

- Nie bądź niesprawiedliwa, Di. Bili to porządny chłopak. - Nie mógł jednak zaprzeczyć, że w jej słowach było trochę prawdy.

- A czy ja mówię, że nie? Wiem tylko, że nikt ani nic nie jest w stanie zatrzymać jego uwagi na dłużej niż pięć minut.

- Może tym razem będzie inaczej? - zasugerował Andy, zajeżdżając na parking przy San Vicente Boulevard. Pomógł Dianie wysiąść i przepuścił przodem u wejścia do galerii, gdzie Seamus stał już pograżony w ożywionej dyskusji z czarno ubranym Azją.

- O rany, spójrzcie tylko na nią! Chyba jakaś gwiazda filmowa przyjechała prosto z Europy! - zachwycił się szwagierką. Przedstawił ją i Andyego swemu rozmówcy, który okazał się znanym japońskim artystą. - Rozmawialiśmy właśnie o wpływie sztuki na kulturę schyłkowego okresu cywilizacji. Niestety, nie doszliśmy do optymistycznych wniosków.

Seamus sypał żarcikami, stroił szelmowskie miny, jednym słowem - był w swoim żywiole. Uwielbiał grę barw, słów i poglądów.

- Widziałaś się już z Samantą? - spytał Dianę. Andyego ciągnął do baru, a jej wskazał miejsce na tle wielkiego obrazu, gdzie w gronie kobiet stała jej siostra. Dwoje dzieci uczepionych jej spódnicy poszturchiwało się wzajemnie, ale zdawała się tego nie zauważać, pograżona w absorbującej rozmowie.

- Cześć! - przywitała ją Diana.

- Niech no ci się przyjrze! - wyszeptła z podziwem Samanta. Zawsze uważała Dianę za najładniejszą, najzdolniejszą i chyba najsprytniejszą z sióstr. Diana ze swej strony nigdy nie przyjmowała tych komplementów, ale gdyby nawet były prawdą - chętnie zamieniłaby te wszystkie zalety na dwoje dzieci swojej siostry. - Wyglądasz rewelacyjnie. Jak tam było w Europie?

- Och, świetnie się bawiliśmy.

Samanta przedstawiła Dianę swoim znajomym, którzy wkrótce się rozeszli, każdy w poszukiwaniu swojej pary. Kiedy zostały same, Samanta zniżyła głos, przyjrzała się Dianie badawczo i zadała pytanie, którego można się było spodziewać:

- No i jak, udało ci się wreszcie?

Diana od razu zniechęciła ją za to pytanie, chociaż siostra mówiła poważnie, a minę miała zatroskaną.

- Nie masz innych problemów? Gayle za każdym razem też pyta mnie o to samo, jakbyście się umówiły. Czy wy w ogóle myślicie o czymś innym?

Najgorsze, że ona też nie umiała już myśleć o niczym innym. Można by przypuszczać, że w jej rodzinie kobieta nic nie znaczyła, dopóki nie miała dzieci lub przynajmniej nie była w ciąży. Cóż z tego, że robiła, co mogła, skoro nic z tego nie wychodziło?

- Przepraszam, tak się tylko zastanawiałam - usprawiedliwiła się Samanta. - Nie



widziałam cię przez dłuższy czas, więc myślałam...

- Tak, wiem... - odburknęła ponuro Diana. Oczywiście doceniała dobre intencje swoich sióstr, ale czy musiały się czepiać za każdym razem? Ich natrętne pytania brzmiały jak oskarżenia. Czy wystarczająco się starała? Czy oboje z Andym są zdrowi? Diana też się nad tym zastanawiała, ale nie znajdowała odpowiedzi zadowolających ani ją, ani siostry.

- Mam przez to rozumieć, że nie? - podpytywała dalej Samanta, na co Diana spiorunowała ją wzrokiem.

- Masz przez to rozumieć, żebyście dały mi wreszcie spokój! Wystarczy ci, jeśli powiem, że jeszcze nie wiem? Czy może mam zadzwonić do ciebie, kiedy dostanę okres i podać ci dokładny czas? A może lepiej przefaksować? Albo wywieszę duży plakat na Bulwarze Zachodzącego Słońca, żeby mama nie musiała obdzwaniać swoich koleżanek i kablować im, że u biednej Diany ciągle nic!

Wyrzucając z siebie te słowa, była bliska płaczu. Samancie zrobiło się jej żal. Jak widać, to, co wydawało się takie proste, nie dla wszystkich było proste - w każdym razie nie dla Diany i Andyego.

- Och, nie bądź taka przewrażliwiona. Di. Chcieliśmy po prostu wiedzieć, co u ciebie słychać. Przecież wiesz, że wszyscy cię kochamy.

- Cieszę się z tego powodu, ale u mnie nic nie słychać. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Akurat w tym momencie dołączyli do nich Seamus i Andy. Seamus trzymał na barana małego synka.

Andy rozpiływał się nad obrazami Seamusa, ale zauważył na pięcie na twarzy Diany, więc szybko się pożegnali. Przez całą drogę do restauracji Diana się nie odzywała, więc i on milczał. Od razu wyczuł, że musiały ją zdenerwować wścibskie pytania siostry.

- Coś nie tak? - zapytał oględnie. - Pewnie Samanta powiedziała ci coś nieprzyjemnego?

- Oczywiście, to co zawsze - prychnęła gniewnie. - Pytała, czy jestem już w ciąży!

- To nie mogłaś jej powiedzieć, żeby pilnowała swego nosa? Nachylił się, aby pocałować Dianę, która zmusiła się do uśmiechu. Czuła się głupio, bo Andy był dla niej taki dobry, a ona dawała się tak łatwo wyprowadzić z równowagi!

- Boże, jak ja nie cierpię tych idiotycznych pytań! - narzekała. - Niech trochę poczekają, a same zobaczą!

- Widzisz, one cię kochają i na pewno chcą dla ciebie dobrze - tłumaczył cierpliwie. - A może jesteś już w ciąży, tylko jeszcze o tym nie wiesz? Ta noc w Monte Carlo była jedyna

w swoim rodzaju!

- Sam jesteś jedyny w swoim rodzaju! - Pocałowała go w szyję. - Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu!

Trudno było uwierzyć, że od ich ślubu upłynął już rok. Dobrze się czuła w małżeństwie, zresztą w ciągu tego roku mieli pełne ręce roboty i wszystko byłoby w porządku, gdyby udało im się począć dziecko. Oboje cenili swoją pracę, rodziny i przyjaciół, więc nieprawdą byłoby stwierdzenie, że zależy im tylko na dziecku, ale Dianie coraz bardziej na tym zależało.

- Pewnie myślisz, że jestem głupia, bo tak się tym przejmuję? - podpytywała Andyego w drodze do „L'Orangerie”.

- Bynajmniej, ale wolałbym, żebyś nie popadała w obsesję na tym punkcie. Nie przypuszczam, aby to cokolwiek pomogło.

- Ale to trudne. Czasem mam wrażenie, że całe moje życie kręci się wokół mojego cyklu biologicznego.

- Staraj się nie dopuścić do tego. Powtarzam ci to w kółko, tylko że nie chcesz mnie słuchać. - Uśmiechnął się, powierzając wóz obsłudze parkingu. Jeszcze raz pocałował Dianę, tylko tym razem dłużej przytrzymał ją w objęciach. - Pamiętaj, że w tym wszystkim liczymy się tylko ty i ja, a całą resztę należy sprowadzić do właściwych wymiarów.

- Chciałabym tak lekko do tego podchodzić jak ty! - westchnęła z zazdrością. Podziwiała jego rozsądek i zrównoważenie.

- Idę o zakład, że gdybyś choć trochę się wyluzowała, to na pewno by się udało! - Strzelił z palców, co Diana skwitowała śmiechem, biorąc go pod ramię.

- Spróbuję - obiecała.

Klienci w sali restauracyjnej odprowadzali wzrokiem młodą parę, zanim kelner wskazał im przytulny stolik w narożniku. Za mówili wino i gawędzili o błahych sprawach, dopóki Andy nie złożył zamówienia. Dianie wreszcie poprawił się humor po rozmowie z Samantą.

Na przystawkę zjedli jajecznicę z kawiolem i szczypiorkiem, podaną w połówkach skorupki. Danie główne stanowił homar podlewany szampanem. Po deserze Diana poszła do toalety. Przeczesała włosy, poprawiła makijaż i patrząc na siebie w lustrze, uznała, że do twarzy jej w sukience przywiezionej z Anglii. Jednak gdy zamknęła się w kabinie, znalazła jednoznaczny dowód na to, że upojna noc w Monte Carlo nie wydała owoców - plamę świeżej krwi. Zabrakło jej tchu, kabina zdawała się wirować przed oczami. Opanowała się siłą woli, ale myjąc ręce nad zlewem, czuła kompletną pustkę w środku.

Postanowiła nie mówić nic Andyemu, ale zdradził ją wyraz oczu. Andy znał już na pamięć terminy jej cyklu, więc z góry wiedział, że ten weekend przyniesie odpowiedź, czy wycieczka do Europy zakończyła się sukcesem. Dlatego wystarczyło, że na nią spojrział, a od razu odgadł.

- Przykra niespodzianka? - spytał ostrożnie, bo znał jej reakcje, ale Diana była tak przybita, że nie zwracała uwagi na jego uczucia. Nie zdawała sobie sprawy, że sytuacja jest przynębiająca także i dla niego, bo powoli zaczynał wątpić również w swoje możliwości.

- Nawet bardzo przykra! - rzuciła, patrząc w inną stronę. Z jej punktu widzenia cała wycieczka do Europy okazała się czasem zmarnowanym, zresztą w tej chwili całe życie uważała za zmarnowane.

- Nic się nie stało, kochanie. Będziemy próbować dalej. - Andy usiłował ją pocieszyć, ale ona w myśli dopowiedziała:

„...i dalej bez skutku”. Zaczęła już wątpić w sens dalszych prób. I kto to mówił, że niepotrzebnie się zadrecza?

- Muszę pójść do specjalisty! - oświadczyła ponuro, kiedy kelner przyniósł kawę. Wieczór i tak miała popsuty. Dziecko stało się głównym celem jej życia, przy którym zarówno praca, jak i grono przyjaciół, a chwilami nawet mąż, przestawali znaczyć cokolwiek. Wprawdzie zarzekała się, że pragnienie dziecka nie przesłania jej całego świata, ale oboje wiedzieli, że to nie prawda.

- Może porozmawiamy o tym kiedy indziej? - zaproponował delikatnie Andy. - Przecież nie ma pośpiechu. Niektórzy twierdzą, że dopiero po dwóch latach należy zasięgać porady u specjalistów.

Diana jednak była bliska płaczu i nie dawała sobie nic wyperswadować. W dodatku czuła zniechęcone bóle miesiączkowe, co dodatkowo wzmagało jej drażliwość, choć i bez tego zrobiła się nerwowa.

- Nie chcę czekać tak długo!

- Wobec tego poczekajmy jeszcze dwa miesiące. Przez ten czas zorientujesz się, ile jest wart ten łapiduch.

- Już wiem. Jack mówi, że to jeden z najlepszych specjalistów w kraju.

- Ach, więc wtajemniczysz Jacka w nasze kłopoty? Ciekawe, co mu powiedziałaś. Że mi nie staje, czy że w dzieciństwie przechodziłem świnkę?

Był zły na nią, bo jego zdaniem nadmiernie rozdmuchiwała całą sprawę. A jeszcze, na domiar złego, psuła wspólny wieczór w rocznicę ich ślubu!

- Musisz brać wszystko do siebie? Powiedziałam mu tylko, że mam problemy, a tego

specjalistę polecił mi mój ginekolog. A o ciebie wcale nie pytał, nie denerwuj się.

Próbowała załagodzić sytuację, ale Andy na serio się rozzłościł. Tym bardziej że w duchu wyrzucał sobie, iż ją zawiódł.

- A niby dlaczego nie mam się denerwować, jeśli co miesiąc urządzasz mi taką scenę? Za każdym razem, gdy masz okres, rozpaczasz, jakby od tego się umierało i wpatrujesz się we mnie z takim wyrzutem, że znowu cię nie zapyliłem, jakby to była moja wina! Zresztą może to i moja wina, ale może nie, tylko ty masz już fioła na tym punkcie! Jeśli to ma coś pomóc, idź nawet do dziesięciu specjalistów, a jeśli będę musiał, to też pójdę z tobą.

- Co to ma znaczyć: „jeśli będę musiał”? - Poczowała się urażona jego słowami, a zresztą i tak mieli zepsuty wieczór. - Chyba to nie jest tylko mój problem, dotyczy nas obojga?

- Owszem, ale dzięki tobie. Swoją histerią i obsesją na punkcie ciąży wykańczasz nas oboje. Nawet gdyby twoje siostry za chodziły co chwilę w ciążę, a ty nie, to co z tego? Czy dlatego nie możemy choć trochę pożyć jak normalni ludzie?

Diana z płaczem opuszczała restaurację, a przez całą drogę nie odezwała się ani słowem. W domu zamknęła się w łazience i długo stamtąd nie wychodziła. Płakała nad dzieckiem, którego nie była w stanie począć i nad zmarnowanym wieczorem w rocznicę ślubu. Zastanawiała się też, że może Andy ma rację, a ona niepotrzebnie histeryzuje. Może istotnie chciała tylko rywalizować z Gayle i Samantą?

Kiedy w końcu wyszła z łazienki, ubrana w nocną koszulę z różowego atłasu, kupioną w Paryżu - Andy czekał na nią w łóżku.

- Przepraszam cię, kochanie - odezwał się cicho. - Nie powinienem był tego wszystkiego mówić. To pewnie przez to, że i ja się rozczarowałem.

Otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie. Zobaczył wtedy, że płacze.

- To nieważne, kochanie, czy będziemy mieli dzieci, czy nie - uspokajał ją. - Dla mnie tylko ty się liczysz, bo cię kocham.

Bardzo chciała go zapewnić, że i ona czuje to samo, ale nie by łąby to cała prawda. Owszem, kochała go, ale równie silnie pragnęła dziecka i wiedziała, że dopóki nie zaspokoi tej potrzeby - w ich małżeństwie pozostanie pewien niedosyt.

- Kocham cię, Di! - szepnął Andy i przytulił ją mocno do siebie.

- Ja cię też kocham, ale czuję się tak, jakbym cię zawiódł.

- Gówno prawda! - palnął, na co musiała się uśmiechnąć. - Nikogo nie zawiódł, a jak dobrze pójdzie, to jeszcze urodzisz bliźniaki i twoje siostry pękną z zazdrości!

- Kocham cię! - Jeszcze raz uśmiechnęła się do niego, bo zrobiło się jej lżej na sercu. Było jej tylko przykro, że popsuka tak miły wieczór.

- Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu!

- Wszystkiego najlepszego, kochanie! - wyszeptwała. Andy zgasił światło i długo jeszcze trzymał ją w objęciach. Zastanawiał się tylko, co by było, gdyby się okazało, że nie mogą mieć dzieci.

Bradford i Pilar spędzili wieczór swojej rocznicy ślubu w domu. Wybierali się wprawdzie do restauracji „El Encanto”, ale przed samym wyjściem odebrali telefon od Tommyego informujący, że Nancy zaczęła rodzić. Zamienili też kilka słów z Nancy, a Pilar zapewniła ją, że będą czekać w domu na wiadomości. Brad nie był tym bynajmniej zachwycony.

- Po coś jej obiecywała? - miał pretensję do Pilar, kiedy odłożyła słuchawkę. - To może trwać wiele godzin. Nie zdziwiłbym się, gdyby dzieciak urodził się dopiero jutro rano.

- Spokojnie, kochanie. To przecież nasz pierwszy wnuk. Na kolację możemy pójść jutro, a dziś powinniśmy być w pogotowiu, gdy nasze dzieci nas potrzebują.

- Kiedy Nancy rodzi pierwsze dziecko, najmniej potrzebuje ojca. - Po prostu wydaje mi się, że powinniśmy być pod ręką na wypadek, gdyby coś poszło nie tak jak trzeba.

- Dobrze, już dobrze, zostaniemy! - Rozluźnił krawat i popatrzył na nią z poczuciem winy. W gruncie rzeczy był jej wdzięczny, że tak dba o jego dzieci i cieszył się, że z biegiem czasu także one to doceniły.

Pilar zajęła się więc przygotowaniem kolacji. Wyniosła gotową potrawę na taras i w świetle księżycy jedli spaghetti, popijając winem.

- Jakie to romantyczne! - rozmarzył się Brad. - Właściwie nawet lepsze niż „El Encanto”. Czekaaj, kiedy ci ostatnio mówiłem, jak bardzo cię kocham?

W świetle księżycy wyglądał na młodszego i przystojniejszego niż normalnie, a i jej dodawała urody niebieska jedwabna suknia, dopasowana kolorem do oczu.

- Chyba już ponad dwie godziny temu. Zaczynałam się niepokoić!

Sprzątnęli brudne talerze po kolacji i zostali jeszcze na tarasie. Brad wspominał, jak przeżywał, kiedy Nancy miała się urodzić, choć w wieku trzydziestu pięciu lat nie był już młodym tatusiem. Natomiast po narodzinach Todda czuł się starym rutyniarzem i z radości częstował wszystkich cygarami. Przyznał się, że teraz też nakupił cygar i miał zamiar w ten sam sposób uczcić przyjście na świat dziecka Nancy.

Pilar cieszyła się z radości swoich bliskich i nie wątpiła, że wszystko pójdzie dobrze. Jednak oboje z Bradem byli mile zaskoczeni, kiedy telefon zadzwonił już o wpół do jedenastej wieczorem. Pobiegła go odebrać, bo siedzieli jeszcze na tarasie. Dzwonił Tommy, ale zaraz odezwała się także Nancy, ożywiona i szczęśliwa. Urodził im się syn, waży prawie

cztery i pół kilograma!

- Wszystko potrwało raptem trzy i pół godziny! - chwalił się Tommy, jakby Nancy dokonała nadzwyczajnego wyczynu.

- A do kogo mały jest podobny? Pewnie do mnie? - zażartowała Pilar, co oboje przyjęli serdecznym śmiechem.

- Raczej do tatusia - odpowiedziała Nancy z wyraźnym zadowoleniem.

- Chwała Bogu! - Brad dorwał się do słuchawki. - To znaczy, że będzie przystojny.

- Już jest! - Tommy pęczniał z dumy.

Brad spytał jeszcze, czy wszystko odbyło się prawidłowo, na co usłyszał, że Nancy nie potrzebowała znieczulenia, urodziła siłami natury, a Tommy dzielnie jej asystował. Kiedy już odłożyli słuchawkę, znowu wyszedł z Pilar na taras. Był dumny. Miał wnuka!

- Czasy się zmieniają! - mrucał pod nosem. - Gdyby mnie zaproponowano asystowanie przy narodzinach moich dzieci, chyba bym zemdłał.

- Ja też! - uśmiechnęła się Pilar. - Ten widok nie należy do przyjemności. Ale grunt, że młodzi są szczęśliwi. Słyszałeś, jak się cieszyli!

Mówiąc to, czuła, jak łzy napływają jej do oczu. Dotychczas nie знаła tego uczucia, ale zaraz z uśmiechem podniosła wzrok na męża.

- Nie wyglądasz na dziadka! - zażartowała.

- Miło mi to słyszeć. Może chcesz cygaro?

- Nie, dziękuję.

Wiedziała jednak dobrze, czego by chciała, kiedy milcząc, wpatrywała się w ciemną taflę oceanu.

- O czym teraz myślałaś? - spytał, bo uderzył go dziwny wyraz jej oczu.

- O niczym specjalnym - skłamała.

- Nieprawda. Poznałem po twoich oczach, że myślałaś o czymś ważnym. Powiedz, co to takiego.

Nie widział jej takiej od pamiętnego wieczoru, kiedy przyjęła jego oświadczenia. Jednak, kiedy obróciła się ku niemu, z przestrawieniem zauważył, że płacze. Po jej policzkach płynęły łzy, a spojrzenie zdawało się zdradzać ciężar wieku. Wyzwolilo to w nim instynkt opiekuńczy, nieodparte pragnienie, aby wziąć ją w ramiona i osłonić przed smutkiem.

- Wiem, że to niepoważne z mojej strony - wyznała szeptem. - Wiem, że im się to należy, bo oni są młodzi... Ale pomyślałam właśnie, jaka byłam głupia przez te wszystkie lata... Jak bardzo chciałabym urodzić twoje dziecko!

Głos jej się załamał, więc Brad przez dłuższy czas też się nie odzywał, tylko trzymał

ją za rękę.

- Mówisz serio? - spytał cicho. Życzyłby sobie, żeby doszła do tego wniosku wcześniej - tak byłoby lepiej dla nich obojga. Nie mógł jednak lekceważyć jej smutku i tęsknoty.

- Tak, mówię całkiem serio.

Przypomniało mu to dzień, w którym zgodziła się wyjść za niego po latach zapewnień, że woli pozostawać w stanie wolnym. Teraz znów, po tylu latach odżegnywania się od wszelkich pokus macierzyństwa, nagle zapragnęła urodzić mu dziecko.

Otoczył ją ramionami i przytulił mocno do siebie. Nie mógł znieść świadomości, że jego ukochana żona cierpi z powodu po czucia wewnętrznej pustki.

- Chciałbym, żebyś zawsze miała to, co jest dla ciebie ważne - zapewnił ze smutkiem.

- Tylko, widzisz, ja chyba jestem za stary, żeby teraz mieć dziecko. Nie dożyłbym dni, kiedy do rośnie.

Mówił poważnie, ale ona uśmiechnęła się wyrozumiale. Nie miała zamiaru wywierać na niego żadnej presji.

- Na razie to ja potrzebuję ciebie, dopóki nie dorosnę, a to za pewne potrwa! - rzekła stanowczo, ocierając łzy.

- Może masz rację! - Roześmiał się życzliwie. Z czułością osuszał jej mokre od łez policzki. - No więc, co robimy z tym dzieckiem?

- Jakim dzieckiem? Nancy?

- Nie, naszym. Tym, które tak strasznie chcesz mieć.

- A mamy coś z tym zrobić? - spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nie chciała ujawniać mu wszystkich swoich uczuć, aby nie stwarzać wrażenia, że go do czegoś przymusza. Wołała raczej udawać, że ulega pod jego naciskiem.

- No, jeżeli naprawdę tak bardzo tego chcesz, to spróbujemy! - rzekł z powagą, a ona wpatrzyła się w niego rozkochanym wzrokiem. - Tylko uprzedzam, w moim wieku nie mogę już gwarantować, że wszystko działa jak należy. Zawsze jednak możemy spróbować. To może być całkiem zabawne!

Roześmiał się łobuzersko, a ona zarzuciła mu rękę na szyję. Zaskoczył ją swoją reakcją, ale nie tak bardzo, jak ona jego lub nawet siebie samą. Gdyby jeszcze niedawno ktoś jej powiedział, że któregoś dnia zapragnie mieć dziecko - pewnie uśmiełaby się do łez. Tymczasem płakała właśnie z przemożnego pragnienia zostania matką!

- Jesteś tego pewien? - Spojrzała z czułością na męża. - Ja cię naprawdę do niczego nie zmuszam.

- Oczywiście, że jestem. Przecież wiesz, że dawno już chciałem mieć z tobą dziecko, tylko ty zawsze każesz mi strasznie długo czekać.

- Więc dziękuję ci za cierpliwość - wyszeptała, żywiąc w duchu nadzieję, że nie będzie jeszcze na to za późno dla niej ani dla niego. Nie wiedzieli przecież niczego na pewno. Mogli tylko próbować i czekać, co z tego wyjdzie.

Charlie kupił Barbie z okazji rocznicy ślubu pierścionek i butelkę szampana. Nie wiadomo, dlaczego podejrzewał, że Barbie zapomniała o tej dacie, więc nic nie mówił, bo chciał zrobić jej niespodziankę. Miał zamiar czekać na nią z kolacją, na powitanie oblać ją szampanem i wręczyć pierścionek z oczkiem w kształcie serduszka z rubinkiem w środku. Kupił go u Zalea i liczył, że się jej spodoba. Wiedział przecież, że uwielbiała stroje, biżuterię i piękne drobiazgi, a on z kolei lubił zaskakiwać ją prezentami. Kupiłby jej wszystko, gdyby tylko mógł, tak bardzo ją kochał, taka piękna mu się wydawała.

Rano oświadczyła, że przed południem ma casting do filmiku reklamującego proszek do prania, a potem wybiera się z Judi i jej współlokatorką po zakupy na Broadway Plaza. Obiecała mu, że na kolację wróci do domu, więc Charlie nie wspomniął o szykowanej niespodziance, żeby wszystkiego nie popsuć. Jednak około wpół do siódmej zaczął się denerwować. Barbie za zwyczaj była punktualna, ale w towarzystwie koleżanek mogła zapomnieć o obietnicy, zwłaszcza jeśli wstąpiła gdzieś na drinka. Zdjęcia próbne musiały być dla niej dużym stresem, zwłaszcza że tak bardzo chciała zostać aktorką. Miał nadzieję, że lada chwila wróci.

W minionym roku Barbie nie dostała zbyt wielu ról w filmach reklamowych - najwyżej z pół tuzina. W większości były to raczej mało liczące się rólkki, z wyjątkiem jednej, gdzie śpiewała i tańczyła, reklamując rodzyнки kalifornijskie. Wciąż jednak nie mogła doczekać się znaczącego przełomu, który otworzyłby przed nią drogę do kariery w Hollywood. Od czasu do czasu łapała dorywcze propozycje pracy jako modelka, przeważnie przy demonstracji strojów kąpielowych. Charlie nie miał nic przeciwko temu, by występowała w filmach lub na wybiegu - przeciwnie, był z niej dumny. Nie życzył sobie tylko, aby pracowała jako kelnerka lub ekspedientka. Judi pół roku temu dostała pracę w dziale kosmetyków u Neimana i Marcusa. Proponowała Barbie, że i jej załatwi taką posadę, ale Charlie się nie zgodził. Zazwyczaj jego zarobki wystarczały im na życie, choć ostatnio sytuacja nieco się pogorszyła. W cięższych chwilach siedzieli w domu przed telewizorem i żywili się makaronem z serem, ale potem Charliemu trafiała się jakaś prowizja i triumfalnie wracał z pracy, dźwigając bukiet kwiatów dla Barbie. Był dla niej tak dobry i czuły, że aż czasami miewała wyrzuty sumienia.



Wielokrotnie próbowała wyjaśnić Judi, dlaczego czuła się winna. Było jej głupio siedzieć w domu, malować sobie paznokcie, wydzwaniać do agenta czy umawiać się z Judi na lunch, pod czas gdy Charlie pracował ciężko, aby ją utrzymać. Judi ze swej strony uważała, że to najzupełniej w porządku i przekonywała ją, że powinna się z tego cieszyć. Barbie zresztą odpowiadała taka sytuacja. Po latach zarabiania na chleb w charakterze piosenkarki rewiiowej czy kelnerki, a w Las Vegas nawet na stacji benzynowej, kiedy nie miała innych możliwości - teraz czuła się jak prawdziwa dama.

Starła się być miła dla Charliego, choć wciąż jeszcze nie mogła przywyknąć do stanu małżeńskiego. Niełatwo przychodziło jej tłumaczyć się przed mężem, gdzie była, co robiła, czy też siedzieć w domu, zamiast iść na imprezę. Tęsknota za panieńskimi czasami odzywała się w niej najsilniej, kiedy spotykała się z dawnymi koleżankami, które chwaliły się, co teraz robią. Kiedy jednak po tych spotkaniach wracała do domu - czekał na nią Charlie, jak zawsze czuły i wierny. Trudno byłoby nie kochać kogoś takiego, choć Barbie wolałaby, aby ją bardziej podniecał. Nie mogła jednak spodziewać się po nim rzeczy niemożliwych, za to wiedziała, że zawsze może na niego liczyć. Chwilami nawet przerażało ją, że nigdy się od niego nie uwolni, choć właściwie dla czego miałyby to zrobić?

O siódmej kolacja była już gotowa, a stół nakryty. Charlie wziął prysznic, przebrał się w niebieski garnitur i wyjął z szuflady prezent przygotowany dla Barbie. Szampan chłodził się w lodówce. O wpół do ósmej włączył telewizor, a o ósmej pieczone już zaczynało się przypalać po brzegach. O dziewiątej wpadł w popłoch, bo zaczął podejrzewać, że coś się musiało przydarzyć. Dziewczęta miały pewnie wypadek, bo Judi kiepsko prowadziła samochód. Zadzwoił do niej, ale nikogo nie było w domu. Wykonał powtórny telefon o wpół do dziesiątej i nagrał się na automatyczną sekretarkę. Dopiero o dziesiątej Judi podniosła słuchawkę, ze zdziwieniem rozpoznając głos Charliego.

- Gdzie jest Barb? - zapytał od razu. - Nic się jej nie stało?

- A co się jej miało stać? Dopiero co ode mnie wyszła. Powinna lada chwila być w domu. Czemu tak panikujesz?

W głosie Judi przebijało rozdrażnienie, więc Charlie dopiero teraz zaczął się denerwować.

- Czym ona dostanie się do domu? - W duchu martwił się już, dlaczego Judi jej nie odwiozła.

- Wzięła taksówkę. Może nie pojedzie od razu do domu, ale na pewno w końcu dotrze. W każdym razie jeszcze nie zdejmuj koszuli. Ależ ty ją krótko trzymasz!

- Dziś jest nasza rocznica ślubu.

- Och... przepraszam! - mruknęła Judi.

A więc tak, jak się domyślał, dziewczyny wstały gdzieś na kielicha i po paru drinkach zatraciły poczucie czasu. Opamiętały się dobrze po wpół do dziesiątej.

- Dziękuję - odpowiedział i odwiesił słuchawkę. Wyłączył piekarnik i pomyślał rozdrażniony, że też Barbie nie miała już kiedy wypuścić się z koleżankami na miasto. Akurat dzisiaj, w rocznicę ich ślubu? Dlaczego właściwie jej nie uprzedził? Czy myślał, że zaimponuje jej szampanem i domową pieczenią? Dużo prościej wyszłoby, gdyby powiedział jej, co szykuje. Taką nie przewidywalną dziewczynę trudno czymkolwiek zaskoczyć.

O dziesiątej czterdzieści pięć usłyszał szcęk klucza w zamku. Oglądał właśnie wiadomości i aż podskoczył, kiedy niespodziewanie stanęła w drzwiach. W czółenkach na wysokich obcasach i obcisłej czarnej sukience wyglądała szalenie seksownie.

- Gdzie byłaś? - spytał z niepokojem. - Przecież ci mówiłam, że robiłam zakupy razem z Judi.

- Przez jedenaście godzin? Czemu nie zadzwoniłaś? Byłbym wyjechał po ciebie.

- Nie chciałam sprawiać ci kłopotu, kochanie! - Cmoknęła go w policzek i dopiero wtedy zauważyła nakryty stół. Zaskoczona, ale i z pewnym poczuciem winy, spytała: - A co to ma znaczyć? Dla kogo to przygotowałaś?

- No, przecież dziś jest rocznica naszego ślubu! - wyjąkał nie śmiało. - Chciałem zrobić ci niespodziankę, ale widzę, że tylko się wygłupiłem.

- Och, Charlie.... - Łzy napłynęły jej do oczu. Jeszcze podleg się poczuła, kiedy mąż nalał szampana i wyjął z piekarnika przy paloną pieczeń wołową z jorkszyrskim puddingiem.

- Trochę się spiekło... - Uśmiechnął się głupkowato.

Ale Barbie roześmiała się głośno i serdecznie go ucałowała.

- Za to ty jesteś wspaniały! - oświadczyła całkiem szczerze. - Przepraszam cię, najdroższy. Powinnam była pamiętać. Zachowałam się okropnie.

- Nic takiego się nie stało. Na przyszły rok będę pamiętał, że by się z tobą z góry umówić. Zaproszę cię do jakiejś wytwornej restauracji, na przykład do Chasena.

- To też wygląda super! - Wprawdzie kolacja raczej nie nada wała się już do konsumpcji, ale Barbie chętnie napiła się szampana. Wypiła już cośkolwiek wcześniej, i to więcej niż „parę drinków”, ale nie miała nic przeciwko orzeźwiającemu płynowi z bąbelkami. Nie minęło dużo czasu, a już jej czarna sukienka leżała na podłodze wraz z niebieskim garniturem Charliego. Wśród igraszek miłosnych na kanapie Charlie szybko zapomniał o przypalonej pieczeni.

- Och! ... Och! - jęczał z rozkoszy, kiedy oboje osiągnęli szczyt uniesienia. Barbie ze

śmieciami sprowokowała go, aby to zrobili jeszcze raz i zanim ostatecznie udali się do sypialni - minęła trzecia. Spali aż do południa, a i tak Barbie obudziła się z koszmarnym bólem głowy. Ledwo widziała na oczy, kiedy Charlie podniósł żaluzje, i wtedy przypomniał sobie o prezencie, który miał ofiarować jej wczoraj. Przyniósł pudełeczko od Żale. Leżała jeszcze w łóżku, skarżąc się na ból głowy.

- Właściwie nie wiem, dlaczego tak lubię szampana? - utyskiwała. - Następnego dnia czuję się, jakby w głowie waliły mi młoty parowe!

- Podobno to przez te bąbelki. Chyba ktoś mi tak powiedział. - On nigdy nie wypił aż tyle szampana, by potem odczuwać z tego powodu jakieś dolegliwości. Jej natomiast zdarzało się to częściej. Nie umiała oprzeć się pokusie, jaką niosła ze sobą butelka płynu z bąbelkami.

- A co to takiego? - Powoli rozdzierała papier, spod którego wyłaniało się małe pudełeczko. Spoglądała przy tym spod oka na Charliego, leżąc w całej glorii swojej nagości. Widok jej pięknego ciała niewiarygodnie go podniecał, nie mógł od niej oderwać oczu ani rąk.

- To dla ciebie z okazji rocznicy, ale jeśli zaraz tego nie otworzysz, pomogę ci! - Nie wytrzymał. Działała mu na zmysły tak przemożnie, że patrzenie na nią sprawiało mu wprost fizyczny ból. Na szczęście Barbie w końcu dobrała się do wnętrza pudełka i znalazła tam pierścionek, który ją tak zachwyił, że aż pisnęła z radości. Po raz pierwszy w całym jej życiu ktoś był dla niej taki dobry, choć jeszcze nie do końca potrafiła mu zaufać - zbyt wielu urazów doznała w przeszłości! Zawsze jednak czuła się winna, kiedy Charlie okazywał jej tyle względów.

- Przepraszam cię za wczorajszą wieczór! - wyszeptała. Po woli przekręciła się na bok, aby znaleźć się bliżej niego, a wtedy Charlie zapomniał o całym świecie z wyjątkiem jej nóg, ud, bioder i zupełnie wyjątkowych piersi, które go zawsze zadziwiały.

Nie wychodzili z łóżka aż do drugiej po południu. Potem wzięli razem prysznic i znów się kochali. Charlie zaczął ten dzień w świetnej formie i w dużo lepszym humorze.

- W gruncie rzeczy fajnie nam wypadła ta rocznica, chociaż nie od razu się rozkręciło! - wyznał z uśmiechem, kiedy przebierali się do kolacji. Planowali spotkanie z przyjaciółmi, a potem ewentualnie kino.

- Też tak sędzę - zgodziła się z nim, patrząc z zachwytem na pierścionek. Pocałowała Charliego, ale przy tym zauważyła, że ociąga się, jakby chciał ją o coś zapytać, tylko się krępował. - Co się tak czaisz? Zaraz pewnie powiesz: „Ech, to nic takiego... Zresztą, nieważne”.

Roześmiał się, zadowolony, że tak bezbłędnie go rozszyfrowała. - No więc o co ci

chodzi? Przecież widzę, że masz coś na końcu języka! - Próbowała mu pomóc, wciskając się w czarną skórzaną minispódniczkę. Do tego założyła czólenka na niebotycznych obcasach i sięgnęła do szafy po sweterek. Blond włosy upięła w wysoką fryzurę, dzięki czemu przypominała bardziej zaokrągloną i zmysłową wersję Oliwii Newton-John. Nieraz porównywał ją do tej aktorki. Charlie był młodym, przystojnym mężczyzną, a jednak obok Barbie wyglądał jak wyjęty z zupełnie innej bajki.

- A skąd wiesz, że chcę cię o coś zapytać? - sondował ostrożnie. Czasem krępował się ujawniać przed nią swoje uczucia.

- No, jazda, wal! - Kto jak kto, ale ona nie należała bynajmniej do wstydliwych, kiedy stała przed nim w czarnym sweterku opinającym obfity biust. Chciał zadać jej to pytanie jeszcze wczoraj, między wręczeniem upominków a upojnymi chwilami w łóżku lub nawet po nich. Wydarzenia wczorajszego wieczoru odbiegały jednak nieco od z góry przyjętego planu, bo kochali się przez całą noc, nie zwracając sobie głowy kolacją.

- Śmiało, co to takiego? - Naciskała z taką niecierpliwością, że aż go trochę wystraszyła. Bał się zadać to pytanie w niewłaściwym momencie, aby się nie rozzłościła. Ona ze swej strony do myślała się, że dotyczy kłopotliwego dla niej tematu, który jednak wiele dla niego znaczył.

- Nie jestem pewien, czy to odpowiedni moment... - usiłował grać na zwłokę.

- Moja mama zawsze mawiała: „Kiedy powiedziales A, musisz powiedzieć B”. No więc co tam trzymasz w zanadrzu?

Usiadł na łóżku, próbując dobrać właściwe słowa. Nie chciał jej rozdrażnić, tym bardziej że znał jej opinię na ten temat. Sprawa jednak była na tyle dla niego ważna, że chciał przynajmniej spróbować o tym porozmawiać.

- Nie wiem, jak ci powiedzieć, ile to dla mnie znaczy, Barb - zaczął. - Ale ja... naprawdę chciałbym, żebyśmy mieli dziecko!

- Co takiego? - Prychnęła na niego jak rozgniewany kot, którego nawet przypominała w czarnym sweterku z angory. - Przecież wiesz, że nie mam zamiaru zakopać się w pieluchy. Przynajmniej nie teraz, kiedy mam już prawie zaklepaną rolę w reklamie. Gdybym teraz zaszła w ciążę, szlag trafi całą moją karierę, a ja będę mogła najwyżej sprzedawać szminki u Neimana i Marcusa jak Judi.

Przez delikatność wołał jej nie wypominać, że ta „cała kariera” to raptem kilka niemych ról, mnóstwo castingów, z których nic nie wyszło, występ w ostatnim rzędzie chóru w musicalu Oklahoma! i niechlubny rok życia w Las Vegas. Za jej jedyne sukcesy można było uznać prezentowanie strojów plażowych na wybiegu.

- Wiem, wiem - przyznał wyrozumiale. - Chyba jednak mogłabyś na jakiś czas dać sobie spokój z karierą? Nie mówię zresztą, że musimy to zrobić już teraz, ale chciałbym, żebyś wiedziała, jakie to dla mnie ważne. Chcę założyć rodzinę, mieć prawdziwy dom, z ojcem, matką i dziećmi, jakiego nigdy nie miałem. Możemy podarować naszym dzieciom lepsze życie. Jesteśmy już rok po ślubie i najwyższy czas, aby to sobie powiedzieć.

- Jeśli tak lubisz dzieci, to wstąp do Korpusu Pokoju! Mam już prawie trzydzieści dwa lata i wiem jedno, że jeśli teraz nie osiągnę celu, to wszystko przejdzie mi koło nosa.

- A ja mam trzydzieści lat, Barbie, i pragnę mieć rodzinę. - Patrzył na nią proszącym wzrokiem, co ją nagle dziwnie zdenerwowało.

- Rodzinę, to znaczy ile dzieci? - spytała, podnosząc brew. W opiętej skórzanej spódniczce wyglądała nieopisanie seksownie. - Dziesięcioro wystarczy? Pochodzę z takiej rodziny i wierz mi, kto ma pszczoły, ten ma miód, a kto ma dzieci, ten ma przede wszystkim smród!

Wyznała mu więcej, niż chciała, niż wiedział lub chciał kiedykolwiek się dowiedzieć.

- Wcale nie musi tak być. Może tak to wyglądało w twojej rodzinie, ale nasza będzie całkiem inna! - Mówił to ze łzami w oczach. - Bez tego moje życie nigdy nie będzie takie jak trzeba. Czy nie moglibyśmy przynajmniej spróbować?

Rozmawiali o tym już przedtem, ale przed ślubem nigdy nie uporali się z tym problemem do końca. Charlie nie ukrywał, że nade wszystko pragnie dzieci, ale Barbie wołała nie mówić mu szczerze, co o tym myśli. Aby zrobić mu przyjemność, zwodziła go mglistymi obietnicami: „może później...”. Tylko że to „później” nadeszło prędzej, niż sobie życzyła.

Zasmucona, odwróciła się do okna, żeby nie patrzeć mu w oczy. Nie chciała dzielić się z nim przykrymi wspomnieniami z dzieciństwa, ale była pewna, że nie zamierza zakładać takiej rodziny, z jakiej sama się wywodziła. Z tamtych czasów nabrała obrzydzenia do dzieci i wiedziała, że nigdy nie zechce mieć własnych. Nieraz usiłowała dać to Charliemu do zrozumienia, ale nie chciał nawet słuchać. Była przekonana, że jej nie wierzył - w głowie mu się nie mieściło, że można nie chcieć dzieci.

- Po co ten pośpiech? Przecież minął zaledwie rok od naszego ślubu. Na razie dobrze jest tak, jak jest, więc po co to psuć?

- To nic nie popsuje, tylko obróci na lepsze. Proszę cię, Barb, przemyśl to...

Nie tylko ją prosił, ale wręcz błagał. Nienawidziła takiego tonu w jego głosie i nie chciała tego słuchać. Uważała to za formę presji, co w tych sprawach stanowiło nieczyste zagranie.

- A skąd wiesz, czy w ogóle coś by z tego wyszło? - Próbowwała go za wszelką cenę

zniechęcić. - Czasem mi się wydaje, że w tych sprawach coś u nas nie gra. Popatrz, ja wcale się nie zabezpieczam i jakoś nic! Może nie jest nam pisane mieć dzieci? Pocałowała go i spróbowała wprowadzić w podniecenie, co zwykle przychodziło jej bez trudności. - Tymczasem ja mogę zastąpić ci dziecko! - dodała nadspodziewanie zmysłowym głosem.

- To nie jest to samo! - Uśmiechnął się, mile zaskoczony. - Choć na razie to nawet miłe!

Jednak w przypadku Barbie to „na razie” nie mogło trwać wiecznie. Charlie ją całował, a równocześnie myślał, jak ją sprowokować do większej lekkomyślności w tych sprawach. Może trzeba wykorzystać sprzyjające dni miesiąca i zamiast przekonywać - postawić przed faktem dokonanym? Był pewien, że gdyby już miała dziecko - pokochałaby je na sto procent. Musi więc zacząć bacznie śledzić przebieg jej cyklu i w odpowiednim momencie przynieść do domu butelkę szampana. A wtedy... bingo!

Ten pomysł podniósł go na duchu. Ubrali się i wyszli na imprezę. Barbie, nie znając jego planów, świetnie się bawiła w nadziei, że dał sobie spokój z namawianiem jej, by urodziła dziecko. Nigdy nie powiedziała mu otwarcie, że nie chce mieć dzieci, ale też nie deklarowała, że chce je mieć. Jednego tylko była pewna - bez względu na to, jak rozpaczliwie Charlie pragnął dziecka, ona nie zamierzała być matką.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Czwartego lipca Nancy i Tommy przyszli do Brada i Pilar pochwalić się dzidziusiem- Pilar ze zdumieniem zauważyła jak rodzicielstwo odmieniło młodych - spoważnieli i stali się bardziej odpowiedzialni. Dla niej i Brada było to też nowe przeżycie. Brad czule przemawiał do wnuczka i nosił go na rękach, a i Pilar stwierdziła, że trzymanie maleństwa to uczucie jedyne w swoim rodzaju. Zaczynała powoli oswajać się z myślą, że któregoś dnia weźmie w ramiona własne dziecko.

Adam był pyzaty i okrągłutki, miał duże niebieskie oczy i szybko zasypiał na rękach każdego, kto chciał go nosić. Aż się chciało przytulać takiego rozkosznego bobasa!

- Do twarzy ci z nim - przygadywał Brad, kiedy Pilar spacerowała z wnuczkiem na rękę. - Trzeba mu szybko dorobić nowego wujka albo ciocię!

Pilar reagowała uśmiechem na te żarty, bo przez cały tydzień, jaki nastąpił po ich rocznicy ślubu, czynili usilne starania w tym kierunku, a najbliższy weekend mógł przynieść odpowiedź, czy starania te zostały uwieńczone sukcesem.

Jednak po wyjściu gości przeżyła przykre rozczarowanie, ponieważ odkryła, że nie jest w ciąży. Wyszła z łazienki w fatalnym humorze, bo przywykła od razu otrzymywać wszystko, czego chciała.

- Co się stało, kochanie? - Brad wystraszył się na widok jej miny. Sądził, że zachorowała, taka była blada, a gdy usiadła przy nim na łóżku, dostrzegł w jej oczach łzy.

- Nie zaszłam! - Och, to tylko to! - Uśmiechnął się pobłaźliwie. - Myślałem, że coś gorszego.

- Czy to nie jest wystarczająco złe? - Wyglądała na zdruzgotaną. Do tej pory rzadko ponosiła porażki. Na szczęście Brad podchodził do tych spraw bardziej trzeźwo.

- A co, po czternastu latach chciałabyś, aby od razu wszystko poszło jak z płatka? - Pocałował ją, więc uśmiechnęła się przez łzy, ale wciąż jeszcze wyglądała na zrozpaczoną. - Pomyśl, ile radochy będziemy mieli z próbowaniem!

- A jeśli nic z tego nie wyjdzie? - spytała z lękiem, przekonała się bowiem, że nie tak łatwo począć dziecko.

Brad zawczasu już zachodził w głowę, jak zareagowałaby, gdyby dalsze próby też zakończyły się fiaskiem.

- No cóż, jeśli nie wyjdzie, będziemy musieli się z tym pogodzić. Na pewno jednak zrobimy, co w naszej mocy.

- W moim wieku może powinnam była od razu poradzić się specjalisty?

- Kobiety w twoim wieku rodzą bez żadnych specjalistów. Po prostu wyluzuj się, nie wszystko w życiu musi się odbywać na komendę. To, że trzy tygodnie temu zaplanowałaś dziecko, nie oznacza, że ma się to stać w ciągu jednej nocy. Powoli, spokojnie, dajmy sobie szansę... - Przyciągnął ją do siebie i przytulił mocno. Po chwili odprężyła się na tyle, że mogli swobodnie porozmawiać o swoich planach dotyczących dziecka, jeśli będą je mieli.

Brad uważał, że jest jeszcze za wcześnie na konsultacje u specjalisty, ale w końcu uległ prośbom Pilar i obiecał, że gdyby zaszła taka potrzeba, pójdzie z nią.

- Ale jeszcze nie teraz! - podkreślił z naciskiem, wyłączając światło i przytulając się mocniej do żony. - Jestem pewien, że po trzeba nam przede wszystkim treningu!

Piknik z okazji święta Czwartego Lipca okazał się dla Diany koszmarem. Dwa dni przedtem przekonała się, że znów nie zaszła w ciążę, a siostry zadrezczały ją pytaniami, dlaczego tak się dzieje. Podejrzywały, że z Andym coś nie jest w porządku.

- Ależ skąd! - Diana broniła męża. Miała wrażenie, że przetaczają się po niej walce drogowe i wyciskają ostatnie tchnie nie. - Potrzebujemy tylko czasu!

- Myśmy nie potrzebowały na to tyle czasu, a przecież jesteśmy twoimi siostrami! - wymądrzała się Gayle. - Może on ma słabe nasienie?

Podobnymi przypuszczeniami podzieliła się także ze swoim mężem.

- Najlepiej sama go o to spytaj! - warknęła Diana, czym Gayle poczuła się urażona.

- Chciałam ci tylko pomóc! - obruszyła się. - Może powinnaś wysłać go do lekarza?

Diana nie wspomniała siostróm, że sama miała nazajutrz umówioną wizytę u specjalisty. Andy słusznie uznał, że to nie ich interes.

Jednak nie Gayle, lecz Samanta zadała Dianie najbardziej perfidny cios poniżej pasa. Podczas lunchu obwieściła zebranym coś takiego, że Diana o mało nie zwróciła całego posiłku.

- Słuchajcie... - zaczęła, ale przerwała w połowie, zwracając się do męża scenicznym szeptem: - Mam im powiedzieć?

- A po co? - wymawiał się żartobliwie Seamus. - Powiesz im za pół roku, a przez ten czas niech się domyślają!

Mąż Samanty lubiany był w całej rodzinie za irlandzki akcent i niewyparzony język.

- No, dawaj, wyduś już! - naciskała Gayle, więc Samanta z promiennym uśmiechem oznajmiła:

- Spodziewam się dziecka. Urodzę mniej więcej na walentynki.

- Ach, to cudownie! - wykrzyknęła ich matka, a i ojciec wyglądał na zadowolonego.



Przerwał rozmowę z Andym, aby po gratulować córce i zięciowi. Razem z tym spodziewanym dzieckiem miałby już sześcioro wnuków, po troje od najstarszej i najmłodszej córki, ale żadnego od Diany.

- Gratuluję! - wyrecytowała drewnianym głosem Diana. Wyciąła Samantę, która bezwiednie wbiła jej kolejny nóż w serce.

- Myślałam, że pobijesz mnie pod tym względem, ale widzę, że chyba nie! - szepnęła Samanta konfidencjonalnie.

Po raz pierwszy w życiu Diana miała ochotę jej przyłożyć. Im dłużej słuchała jej żartów i przechwałek w połączeniu z gratulacjami i pikantnymi aluzjami ze strony otoczenia, tym bardziej jej nienawidziła. Najgorsza jednak była świadomość, że ostatecznie to Samanta będzie miała dziecko, a nie ona.

W drodze powrotnej nie odezwała się do Andyego ani słowem, natomiast po przybyciu do domu on wybuchnął pierwszy:

- To przecież nie moja wina, do jasnej cholery, nie musisz za to mścić się na mnie!

Wiedział, gdzie ją bolało, odkąd Samanta oznajmiła swoją rewelację. W oczach Diany widział bowiem niemy wyrzut.

- A skąd wiesz, że to nie twoja wina? Może właśnie twoja! - Rzuciła mu to w twarz, ale po chwili pożałowała tych pochopnie wypowiedzianych słów. Usiadła na kanapie i spojrzała na niego z rozpaczą, bo i on był wstrząśnięty.

- Och, przepraszam! Już naprawdę nie wiem, co mówię. Wiem, że one chciały dobrze, ale prawie mnie wykończyły tym głupim gadaniem, a już Samanta całkiem mnie dobiła tą ciążą.

- Wiem, kochanie! - Usiadł przy niej. - Ale przecież robimy, co możemy. Doktor też ci na pewno powie, że wszystko jest w porządku. Spróbuj się wyluzować.

Nienawidziła tego słowa bardziej niż jakiegokolwiek innego!

- Tak, oczywiście... - mruknęła i poszła wziąć prysznic. Jednak nie potrafiła się odprężyć, cały czas myślała o tym, co mówiły siostry. „Spodziewam się dziecka... może on ma słabe nasienie? ... Myślałam, że mnie pobijesz, ale widzę, że nie...”. Te strzępy zdań szumiały jej w uszach. Stojąc pod prysznicem, przepłakała pół godziny, a prosto z łazienki poszła do łóżka, nie zamieniając ani słowa z Andym.

Nazajutrz rano zapowiadał się piękny i słoneczny dzień, co Diana potraktowała jako obrazę osobistą. Jak pogoda śmiała być tak bezczelnie ładna, kiedy ona miała wisielczy humor? W pracy wzięła sobie dzień wolny, bo ostatnio atmosfera w redakcji ją męczyła - nagliły terminy, ploteczki czy dyskusje o polityce nie bawiły. Wszystko przesłaniała gorzka

świadomość, że nie może zostać matką.

Jej najbliższa koleżanka z pracy, Eloise Stein, redaktorka działu kulinarnego, też zauważyła, że Diana jakby przygasała. Odważyła się zapytać ją o to wprost przed tygodniem, kiedy razem jadły lunch. Eloise chciała bowiem wypróbować oryginalny przepis, jaki przywiozła z Paryża, zaprosiła więc Dianę na degustację.

- Masz jakieś kłopoty? - spytała, gdyż oprócz inteligencji i urody odznaczała się przenikliwością. Studiowała w Yale, ale pracę magisterską pisała w Harvardzie. Pochodziła z Los Angeles, więc obecnie, jak to nazywała, „wróciła do korzeni”. Miała dwadzieścia osiem lat i mieszkała w Bel Air, w bezpośrednim sąsiedztwie domu rodziców. Wszystko to nie przewróciło jej jednak w głowie i gdy przyszła do pracy w redakcji, od razu zaprzyjaźniła się z Dianą. Diana i Andy próbowali kiedyś podsunąć ją Billowi Benningtonowi, ale odstraszyła go swoim intelektem. Nie lubił zdolnych i poważnie myślących kobiet, choć oficjalnie rozgłaszał, że Eloise była na jego gust za wysoka i za chuda. Istotnie, wyglądała jak modelka, z długimi blond włosami i wielkimi niebieskimi oczami.

- Ależ skąd, wszystko w porządku! - wykręciła się Diana. Usiłowała zvekslować temat na pyszne francuskie danie, którymi poczęstowała ją Eloise, jak również na jej znakomitą figurę.

- Trudno uwierzyć, że ty w ogóle coś jesz!

- Podczas studiów cierpiałam na anoreksję - wyjaśniła Eloise. - A przynajmniej na jej początki. Myślę, że nie posunęłam się w tym za daleko tylko dlatego, że za bardzo lubię jeść, a babcia z Florydy podsyłała mi świetne ciasteczka.

Nie dała się jednak łatwo spławić, nie na darmo cieszyła się opinią dociekliwej dziennikarki.

- Nie odpowiedziałas mi na pytanie!

- A o co pytałaś? - Diana udawała niewiniątko, ale wiedziała dokładnie, czego dotyczyło pytanie Eloise. Nie miała tylko pewności, czy chce otworzyć się przed tą dziewczyną, chociaż szczerze ją lubiła. Jak dotąd, jedynie Andy znał jej rozterki.

- No, przecież widzę, że coś cię gryzie! Nie chcę się wtrącać, ale wyglądasz jak ci ludzie, którzy pakują się prosto na ścianę, zapewniając równocześnie, że u nich wszystko w porządku!

- To ze mną aż tak źle? - przeraziła się Diana, ale po chwili sama roześmiała się z tego porównania.

- Może nie aż tak, ale zauważyłam, że coś niedobrego się z tobą dzieje. Chciałabys o tym porozmawiać z kimś życzliwym czy mam pilnować swego nosa? - Tak... to znaczy nie...

właściwie... - Próbowała przekonać Eloise, że wszystko jest w najzupełniejszym porządku, ale skończyło się na tym, że się rozpląkała. Wstrząsały nią łkania, łzy spływały po policzkach, więc koleżanka troskliwie otoczyła ją ramieniem i podsuwała papierowe ręczniki do wycierania oczu i nosa. Długo potrwało, zanim Diana przestała płakać i podniosła oczy, wciąż jeszcze pełne łez. - Przepraszam... nie chciałam... sama nie wiem, co się ze mną dzieje!

- Dobrze już, widzę, że tego właśnie ci było trzeba! - Eloise współczująco uściśniła Dianę i podsunęła jej filiżankę mocnej kawy.

- Chyba masz rację. - Diana wzięła głęboki oddech i odwróciła się twarzą do niej. - Mam pewne kłopoty... rodzinne, nazwijmy to tak. Nic poważnego, tylko wynikły pewne sprawy, z którymi muszę się oswoić.

- Coś z mężem? - Eloise patrzyła na Dianę ze współczuciem. Lubiła ją tak samo jak Andyego, więc z przykrością słuchała, że mogli mieć jakieś kłopoty. Ostatnim razem, podczas wspólnego wypadu do restauracji, wyglądali na szczęśliwe małżeństwo.

- Nie, w żadnym razie nie mogę winić za to jego. To wszystko przeze mnie, bo za bardzo wierciłam mu dziurę w brzuchu. Widzisz, bardzo chcielibyśmy mieć dziecko, ale już więcej niż rok próbujemy bez skutku. Pewnie to brzmi strasznie głupio, ale co miesiąc przeżywam męki, jakby umarł mi ktoś z rodziny. Przez cały miesiąc łudzę się, że może tym razem coś z tego wyszło, a kiedy przekonuję się, że znowu nic - serce mi pęka. Ale jestem głupia, co? - Znowu się rozpląkała i wytarła nos w następny papierowy ręcznik.

- Nie ma w tym nic głupiego - zapewniła ją Eloise. - Ja wprawdzie dotąd nie myślałam o dziecku, ale rozumiem cię. Sęk w tym, że ludzie naszego pokroju przyzwyczaili się, iż panują nad sytuacją, więc wpadają w panikę, kiedy coś wymyka im się spod kontroli. Pewnie najgorsze w tym wszystkim jest poczucie bezradności; to, że nie masz wpływu na to, czy będziesz mieć dziecko, czy nie.

- Może i tak, ale chodzi o coś więcej. Trudno mi to wytłumaczyć, ale czuję w sobie taką okropną pustkę i osamotnienie, że chwilami chciałabym umrzeć. Nie zwierzam się z tego nawet Andyemu, bo te uczucia są nie do opisania.

- To rzeczywiście brzmi koszmarnie. - Eloise zrozumiała teraz, dlaczego w pracy Diana zaczęła zamykać się w sobie i coraz trudniej było nawiązać z nią kontakt. Obawiała się, że mogło ucierpieć na tym także jej małżeństwo. - Czy konsultowałaś się już ze specjalistą?

Chciała dodać: „...i z psychoterapeutą? „, ale ugryzła się w język, bo doceniła, że Diana aż tak jej zaufała.

- Owszem, w przyszłym tygodniu wybieram się do doktora Alexandra Johnstona.

Właściwie nie wiedziała, dlaczego zdecydowała się wymienić to nazwisko, ale z

jakichś powodów czuła, że może ufać Eloise. Zdziwiła się, gdy koleżanka się uśmiechnęła, nalewając jej następną filiżankę kawy.

- A co, słyszałaś może o nim?

- Wiele razy, bo pracuje razem z moim ojcem, który jest ginekologiem-endokrynologiem. Gdyby sytuacja była naprawdę po ważna i zdecydowałaś się na zapłodnienie in vitro, tato mógł by się tobą zająć. Na ogół nie przyjmuje zbyt wiele nowych pacjentek, chyba że z polecenia Alexa lub któregoś ze swoich wspólników. Będziesz naprawdę w dobrych rękach.

Diana poczuła ulgę, ale i zdziwiła się, jaki ten świat był mały!

- Czy chciałaś, żebym mu wspomniała, że się znamy? - zagadnęła ostrożnie Eloise, nie wiedząc, jak Diana to przyjmie.

- Raczej nie. Wolę, żeby traktował mnie jak normalną pacjentkę, ale cieszę się, że dobrze trafiłam.

- Najlepiej, jak tylko mogłaś. Alex albo mój tato na pewno ci pomogą. Podobno w tej dziedzinie uzyskuje się już wspaniałe wyniki. Wychowałam się na tych sprawach i pamiętam, że nigdy nie mogłam uwierzyć, by ludzie ot tak, po prostu mieli dzieci. Zawsze przypuszczałam, że mój tatuś musiał przy tym asystować.

Diana spróbowała wyobrazić sobie taką sytuację i parsknęła śmiechem. Przy wyśmienitej szarlotce z kremem Eloise delikatnie zasugerowała, że Diana mogłaby wziąć trochę urlopu na załatwianie tych spraw. Mogłoby to ułatwić życie i jej, i Andyemu, ale Diana najpierw się upierała, że nie może tego zrobić, aż w końcu wyznała, że nie chce. - Nie mogę przerwać pracy, bo nie miałabym co ze sobą zrobić. Owszem, moje siostry siedzą w domu, ale one mają dzieci. Może gdybym i ja miała dziecko, też potrafiłabym się na to zdobyć. Na razie mam o czym myśleć, kiedy odliczam dni i codziennie rano mierzę temperaturę.

- Jak ty to wytrzymujesz? Nie wiem, czy byłabym do tego zdolna.

- Po prostu bardzo pragnę dziecka. A kiedy człowiek naprawdę czegoś chce, wtedy zrobi wszystko.

Eloise już o tym wiedziała, bo słyszała wiele opowieści swego ojca.

Diana, wchodząc do Wiltshire Carthay Building, rozglądała się, czy nie zobaczy gdzieś ojca Eloise. Zabawnie się złożyło, że przypadkiem zapisała się na wizytę do jego wspólnika. Wszyscy jej powtarzali, że świetnie trafiła, bo doktor Johnston to doskonały fachowiec, ale w windzie nagle obleciał ją strach.

Poczekalnia była gustownie urządzona, utrzymana w spokojnych odcieniach koloru kremowego i bladożółtego. Na ścianach wisiały obrazy współczesnych malarzy, a w kącie

stała donica z palmą. Po kilku minutach pielęgniarka poprowadziła Dianę wewnętrznym korytarzem, bogato ozdobionym obrazami, z sufitowymi oknami dostarczającymi górnego światła. Z tego korytarza wchodziło się do pomieszczenia wyłożonego boazerią, z eleganckim dywanem na podłodze i rzeźbą w rogu, przedstawiającą matkę z dzieckiem. O dziwo, to dzieło sztuki, z uwagi na swą tematykę, popsuło Dianie humor jeszcze bardziej.

Podziękowała pielęgniarce i usiadła, próbując zachować spokój i myśleć o Andym. Obawiała się zarówno tego, co ją tu czeka, jak tego, co usłyszy, ale wejście lekarza poprawiło jej nastrój. Okazał się on bowiem wysokim, przystojnym mężczyzną, o włosach koloru piasku, szczupłych dłoniach i inteligentnym spojrzeniu niebieskich oczu. W pewnym stopniu przypominał Dianie ojca.

- Dzień dobry! - przywitał ją z uśmiechem. - Miło mi panią poznać. Nazywam się Alexander Johnston.

Ton jego głosu zdradzał szczerą życzliwość i zainteresowanie.

Najpierw zadał jej kilka pytań na temat tego, gdzie mieszka, czym się zajmuje i od jak dawna jest zamężna. Potem przysunął bliżej do siebie czystą kartę choroby i wziął długopis do ręki.

- A teraz przystąpmy do rzeczy. Co panią do mnie sprowadza?

- Ja... to znaczy my... chcielibyśmy mieć dziecko i próbujemy już ponad rok... dokładnie od trzynastu miesięcy, ale nic z tego nie wychodzi!

Wyznała również, że przed ślubem nie stosowali z Andym żadnych zabezpieczeń, a mimo to nie zachodziła w ciążę.

- A czy w ogóle kiedykolwiek w życiu była pani w ciąży? A jeśli tak, to czy zdarzały się pani martwe urodzenia lub poronienia?

- Nie, nigdy - odpowiedziała poważnie; i od początku poczuła do tego lekarza zaufanie. Od razu też uwierzyła, że będzie on w stanie jej pomóc.

- Czy przedtem też nie stosowała pani żadnych zabezpieczeń? - Lekarz bacznie obserwował pacjentkę.

- Nie, przedtem używałam różnych środków.

- A jakich?

Doktora szczególnie interesowało, czy kiedykolwiek miała spiralę wewnątrzmaciczną (owszem, miała w okresie studiów), jak również, czy i jak długo zażywała pigułki antykoncepcyjne. Chciał także wiedzieć, czy przechodziła choroby weneryczne, czy stwierdzono u niej torbiele, mięśniaki, krwotoki, nietypowe bóle czy stany zapalne, czy uległa jakiemuś poważnemu wypadkowi, poddawała się operacji chirurgicznej, a także czy w jej

rodzinie trafiały się nowotwory złośliwe lub cukrzyca. Jednym słowem - chciał dowiedzieć się o niej wszystkiego. Kiedy zapewniła go, że nie przechodziła żadnej z wymienionych chorób - uspokoił ją, że trzynastcie miesięcy daremnych prób zajścia w ciążę to jeszcze nie tak długo, choć rozumiał, że zarówno jej, jak mężowi ten okres mógł wydawać się wiekiem. Na razie jednak nie widział powodów do wpadania w panikę. Uważał, że Diana jest jeszcze na tyle młoda, aby przez następne pół roku lub nawet rok czekać, aż sprawy rozwiążą się same. Osobiście jednak wyznawał pogląd, że już po roku nie zachodzenia w ciążę należałoby przeprowadzić pewne badania. - Niektóre rzeczy moglibyśmy od razu sprawdzić - zachęcał. - Przeprowadzę wstępne badania, aby się przekonać, czy nie przechodziła pani jakiegóż infekcji.

Diana też wolała od razu zacząć badania niż czekać jeszcze pół roku czy rok. Obawiała się, że nie zniosłaby dalszych mąk co miesięcznych złudzeń i rozczarowań. Jeśli istniała jakaś przyczyna jej kłopotów - lepiej ją odnaleźć i przystąpić do leczenia teraz niż za rok.

- Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jest pani całkiem zdrowa, trzeba tylko cierpliwości. - Doktor się uśmiechnął. - Możemy także przebadać pani męża, jeżeli ma pani powody do obaw.

- Mam nadzieję, że nic mi nie jest - wyszeptała trwożnie.

Alex Johnston też miał taką nadzieję, a swoje obawy wiązał wyłącznie z faktem używania przez nią spirali. Polecił więc Dianie, aby udała się do gabinetu po przeciwnej stronie korytarza, gdzie miała się rozebrać. Tego dnia chciał przeprowadzić tylko rutynowe badanie ginekologiczne, gdyż większość planowanych testów musiała być wykonana w okresie bezpośrednio poprzedzającym owulację.

Dzisiejsze badanie miało na celu kontrolę macicy pod kątem obecności niepożądanych narośli, torbieli, stanów zapalnych lub innych deformacji. Lekarz planował też pobranie krwi dla przeprowadzenia testu na obecność HIV czy zakażeń bakteryjnych. Zamierzał także wykonać badanie krwi, by wykluczyć ewentualną infekcję. Wiedział bowiem, że takie banalne zakażenia mogą czasem stanowić klucz do rozwiązania problemu.

Choć na razie doktor Johnston przeprowadził jedynie podstawowe badania, a pozostałe dopiero planował, to i tak Diana od razu poczuła się lepiej. Wystarczyła jej świadomość, że ktoś podjął starania, aby sprawdzić, co dzieje się z jej ciałem. Uśmiechała się do siebie na wspomnienie wczorajszej opowieści Andyego, który kiedyś, gdy był mały, miał tak zatkaany nos, że oddychanie sprawiało mu poważne trudności. Matka, w obawie o stan jego migdałków i gruczołów chłonnych, zaprowadziła go do specjalisty.

- I jak sądzisz, co to było? - zapytał, kiedy już leżeli w łóżku, przytulając ją do siebie.

- Bo ja wiem? Może zapalenie zatok?

- Najprostsza odpowiedź jest zawsze najtrudniejsza. Rodzynki! Parę dni wcześniej jadłem roszynki i wepchnąłem sobie całą garść do nosa, tylko bałem się przyznać mamie, a one tam sobie w cieple spokojnie pęczniały. Więc jutro, kiedy będziesz u tego doktora, koniecznie przypomnij mu, żeby sprawdził, czy nie masz tam gdzieś roszynków?

Doktor Johnston nie znalazł jednak u Diany żadnych roszynków ani też mięśniaków, torbieli, stanów zapalnych czy innych deformacji. Mógł więc zapewnić ją, że wszystko jest w idealnym stanie, toteż kiedy pielęgniarka przyszła pobrać krew, zastała już pacjentkę całkowicie odprężoną.

Kiedy się ubrała, doktor zaproponował jej kolejną wizytę za dziesięć dni. Zamierzał przeprowadzić badania, o których ją uprzedzał, jak również wyznaczyć optymalny termin współżycia z Andym w płodnych dniach jej cyklu. Dał jej zestaw, przy użyciu którego miała sama oznaczyć poziom hormonu w moczu bezpośrednio przed owulacją. Wydawało się to wszystko szalenie skomplikowane, ale tylko pozornie.

Polecił jej także, aby nadal, jak dotąd, mierzyła codziennie temperaturę. Robiła to już od sześciu miesięcy, co wyprowadzało Andiego z równowagi. Zupełnie jakby wziął ślub z hipochondryczką, burczał, która co rano wsadza do ust termometr. W końcu jednak przeszedł nad tym do porządku dziennego, jeżeli to miało pomóc jej zajść w ciążę.

Na pożegnanie doktor poradził jej jeszcze, aby i ona, i Andy zwolnili nieco tempo życia, w miarę możliwości wzięli trochę wolnego w pracy i oddawali się swoim ulubionym zajęciom, nawet kosztem życia towarzyskiego i zawodowego.

- Stres wywiera istotny wpływ na płodność - tłumaczył. - Spróbujcie oboje wyhamować, ile tylko możecie. Przebywajcie jak najwięcej na świeżym powietrzu, zdrowo się odżywiajcie i wysypiajcie...

Doskonale wiedział, że we współczesnym świecie łatwiej było to powiedzieć niż wykonać. Uważał jednak, że powinna to wiedzieć, choć równocześnie zapewnił ją, że przypuszczalnie żadnemu z nich nic nie dolega i potrzebują tylko trochę czasu. Oczywiście obiecał, że w razie stwierdzenia jakiegokolwiek nieprawidłowości zajmie się tym. Po wyjściu z gabinetu Diana odczuwała zarówno przyływy nadziei, jak pewien niepokój. Zapamiętała bowiem ze słów lekarza, że około pięćdziesięciu procent małżeństw leczonych z powodu niepłodności dochowuje się potomstwa, ale są też pary, u których nie stwierdza się żadnego odchylenia od normy, a jednak pozostają bezdzietne. Musiała liczyć się z taką możliwością, choć nie wiedziała, jak zdołałaby się z tym pogodzić. Im więcej trudności piętrzyło się na jej drodze, tym bardziej dominujące było w niej pragnienie dziecka. Aby je mieć, posunęłaby się

do wszystkiego, może z wyjątkiem kidnapingu.

Wizyta u lekarza wyczerpała ją, więc szybko odrzuciła pokusę powrotu do biura. W końcu i tak wzięła dziś wolne, a doktor przestrzegał, aby się nie przemęczała. Minęła już pierwsza, więc postanowiła udać się po zakupy, żeby przygotować specjalną kolację dla Andyego, bo czuła się wobec niego winna. Zadzwoiła do niego ze sklepu, ale powiedziano jej, że akurat wyszedł na lunch.

Zadzwoił do niej o trzeciej i od razu wyczuł weselszy ton jej głosu. Wywnioskował stąd, że lekarz nie wykrył niczego poważnego, co jednak mogło oznaczać, że to z nim coś jest nie w porządku. W gruncie rzeczy zaczął tak myśleć już od miesiąca czy dwóch.

- I co, znaleźli? - zagadnął ożywionym głosem, który brzmiał bardzo seksownie.

- A co, według ciebie, mieli znaleźć?

- No, przecież rodzynki!

- Ach, ty głuptasie! - Powtórzyła mu, o co pytał ją lekarz, jakie badania już przeprowadził, a jakie dopiero miał wykonać. Okazało się, że te zabiegi nie są ani w połowie takie straszne, jak się obawiała.

- Więc za dwa tygodnie masz przyjść do niego jeszcze raz?

- Nawet za dziesięć dni, a tymczasem muszę dalej co rano mierzyć temperaturę, a w przyszłym tygodniu zacznę takim specjalnym przyrządem badać siki!

- To będziesz miała co robić! - orzekł, zastanawiając się w duchu, co go czeka. Obawiał się, że nie uda mu się wykręcić od różnych skomplikowanych testów, choć osobiście uważał, że to wszystko nie ma sensu, a tylko niepotrzebnie denerwuje ludzi.

Ze względu na Dianę zgodził się jednak wziąć w tym udział. Wysłuchał cierpliwie, gdy opisywała mu w szczegółach, jak wyglądał doktor i ile dyplomów wisało u niego na ścianie, ale w końcu zdecydował się zmienić temat. - Lepiej posłuchaj, jaka sensacja... Nie uwierzysz!

- Dostałeś podwyżkę? - spytała z nadzieją w głosie, bo Andy wypruwał sobie żyły, aby przysporzyć dochodów firmie.

- Jeszcze nie, ale wiem z dobrze poinformowanych źródeł, że chyba niedługo dostanę. Możesz zgadywać jeszcze raz.

- Prezes waszej agencji zdejmował spodnie przy ludziach i poszedł siedzieć?

- Coraz lepiej... Nie, lepiej powiem ci sam, bo w życiu się nie domyślisz, a ja za chwilę mam ważne zebranie. Masz pojęcie, że Bili Bennington zeni się z tą małą prawniczką, z którą chodził? Biorą ślub w Święto Pracy, w domku weekendowym jej rodziców nad Lake Tahoe. Jadłem akurat kanapkę, kiedy mi to powiedział, i o mało się nie udławiłem, bo



myślałam, że sobie robi żarty! Trudno w to uwierzyć, co?

- Bo ja wiem? Coś mi się wydaje, że on właśnie do tego dojrzał.

- Daj Boże, bo do ślubu zostało mu zaledwie siedem tygodni. W podróż poślubną wybierają się na Alaskę łowić ryby.

- Brrr! Lepiej mu to wyperswaduj!

- Lepiej to ja już pójdę na zebranie. Trzymaj się, kochanie, będę w domu około siódmej.

Czekała na niego z wystawną kolacją. Według francuskiego przepisu otrzymanego od Eloise wyczarowała udziec jagnięcia w delikatnym sosie czosnkowym, z fasolką szparagową i grzybami. Całości dopełnił pyszny suflet morelowy.

- O rany, czym sobie zasłużyłem na taką ucztę? - zażartował przy deserze, kiedy nalewała mu kawę. Zauważył przy tym, że jej nastrój znacznie się poprawił.

- No cóż, pomyślałam, że fajnie jest czasem zjeść porządną kolację, tym bardziej że dziś nie byłam w pracy.

- Więc może powinnaś częściej zostawać w domu? Diana wprawdzie lubiła gotować, ale nie mniej lubiła swoją pracę. Obawiała się nawet, inaczej niż jej siostry, że po urodzeniu dziecka może przeżywać dylemat, czy zostać w domu, czy wrócić do pracy. Na razie nie musiała dokonywać takiego wyboru, więc mogła spokojnie „zwołnić tempo i wyluzować się”, jak zalecił jej lekarz. Powtórzyła to Andyemu, który od razu zapalił się do tego pomysłu i zaproponował wspólne spędzenie weekendu w Santa Barbara.

Przyjęła tę propozycję z zachwytem, więc Andy umówił się także z Billem Benningtonem i jego narzeczoną. Ostatnio Diana zaczęła bardziej cieszyć się życiem - może dlatego, że wierzyła święcie, iż doktor Johnston pomoże jej doczekać się dziecka.

Wszyscy świetnie się bawili, a wybranka Billa, Denise Smith, kompletnie podbiła ich serca. Okazała się dokładnie taka, jak ją opisywał, a na przyszły weekend zaprosiła ich do siebie na kolację. Andy jednak srodze się zawiodł, gdyż Diana nie przyjęła za prośbienia, mętnie się usprawiedliwiając. Na osobności wytłumaczyła mu, że akurat w tych dniach spodziewa się owulacji, więc musi odbyć planowane badania i w oznaczonym czasie współżyć z mężem. Obawiała się, że zbyt intensywne życie towarzyskie tylko ją zestresuje.

- A może właśnie zrelaksuje? - prychnął gniewnie Andy. Diana jednak nie chciała ryzykować i umówili się z Denise i Billem na następny tydzień. Andy trochę się z tego powodu boczył, ale Diana robiła wszystko, aby doczekać się upragnionego potomka.

Codziennie rano przed wstaniem z łóżka celebrowała mierzenie temperatury. Zgodnie z instrukcją przystąpiła także do pomiarów poziomu hormonu luteinizującego w moczu.

Wskaźnik zabarwił się na kolor niebieski dokładnie tego dnia, kiedy przewidział to doktor Johnston. Po południu Diana zjawiła się więc u niego w celu dokonania pewnych badań. Doktor był zadowolony z wyniku próby.

- Wygląda mi to całkiem ładnie i chyba jest przyjazne - oświadczył, na co Diana zareagowała nerwowym śmiechem. Polecił, aby Diana i Andy współżyli ze sobą następnego ranka, a za raz potem Diana miała jak najszybciej poddać się testowi sprawdzającemu, jak zachowują się plemniki Andyego w jej środowisku wewnętrznym.

Późnym popołudniem tego samego dnia wróciła jeszcze do pracy, aby zdążyć napić się kawy z Eloise. Wieczorem zaś poinformowała Andyego o najnowszych wynikach badań, w tym także o zaleceniu, aby współżyli ze sobą nazajutrz rano.

- Cóż, trzeba będzie odwalić pańszczyznę! - zażartował, nie wiedząc nawet, jak prorocze okażą się te słowa. W nocy dostał rozstroju żołądka, a i rano nie czuł się zbyt dobrze - obawiał się nawet, że bierze go grypa. Nie przypuszczał więc, aby mógł wiele zdziałać.

- Ależ musisz! - naciskała Diana. - Dzisiaj wypada mi owulacja i zaraz potem trzeba przeprowadzić test. Temperatura już mi zaczęła spadać, więc musimy zrobić to teraz!

Miał ochotę wysłać ją do wszystkich diabłów, ale pohamował się i mruknął tylko zgryźliwie:

- Dziękuję za miłą wiadomość!

Przewrócił się na bok, bo nie miał dzisiaj nastroju do „tych rzeczy” i musiał sobie trochę pomóc. W końcu zrobili to, ale seks w tych warunkach był kompletnie wyprany z romantyzmu i nie sprawił im żadnej przyjemności. Po wszystkim bez słowa wyskoczył z łóżka i poszedł wziąć prysznic. Przy śniadaniu oboje też siedzieli milcząco i naburmuszeni.

- Przepraszam... - wyjąkała w końcu Diana.

- Nie masz za co. Po prostu nie najlepiej dziś się czuję i tyle. Zapomnij o tym! - rzucił na pozór obojętnie, ale w środku aż go trzęsło. Nie wiedział, co jeszcze go czeka po przeprowadzeniu tego testu, a nie cierpiał kochać się na komendę, w oznaczonych porach i pozycjach. A kto wie, czego jeszcze mogą od niego zażądać?

Na szczęście test wykazał, że jego nasienie przejawia normalną gęstość i żywotność plemników. Doktor Johnston był za chwycony i postanowił wykonać jeszcze ultrasonograficzne badanie macicy Diany. Zapewnił ją, że to badanie nie spowoduje poważnego dyskomfortu i tak rzeczywiście było. Na razie Diana oddychała z ulgą, bo wszystkie wyniki mieściły się w normie.

Po dwóch dniach poddała się następnemu badaniu USG, które miało wykazać, czy pęcherzyk prawidłowo pękał i uwalniał komórkę jajową. Okazało się, że tak, co stanowiło

poważny krok naprzód.

Bili i Denise zaprosili ich na kolację, ale Diana w tych dniach żyła w ciągłym napięciu, wyczerpana uciążliwymi badaniami, toteż nie miała nastroju do bywania w lokalach. Zmusiła Andyego, żeby poszedł sam, gdyż wołała położyć się do łóżka i wypocząć. Modliła się, żeby jej wysiłki zakończyły się sukcesem, bo nic innego nie liczyło się już dla niej, nawet praca. Dobrze, że mogła przynajmniej porozmawiać z Eloise i wyzalić się przed nią, ale stopniowo przyjaciele i rodzina stawali się dla niej coraz mniej ważni.

Widziała przed sobą tylko jeden cel i zdawała sobie sprawę, że zaczyna tracić z oczu nawet Andyego.

W poniedziałek znów złożyła wizytę lekarzowi, który pobrał jej krew dla oznaczenia poziomu progesteronu. Wzrost temperatury po wzmożonej sekrecji hormonu luteinizującego oznaczał, że nastąpiła prawidłowa owulacja. Należało więc uzbroić się w cierpliwość i czekać, czy tym razem dojdzie do zapłodnienia.

Dziesięć dni ciągnęło się w nieskończoność. Diana z trudem mogła skupić się na czymkolwiek, choć z drugiej strony nie widziała powodu, aby ten miesiąc różnił się od poprzednich. Lekarz nie zaordynował jej przecież żadnej kuracji, tylko wciąż zbierał dane. Jej optymizm spotęgował jednak fakt, że na dwa dni przed spodziewanym terminem miesiączki dostała mdłości, a w przewidzianym terminie okres się nie pojawił. Cała w skowronkach zadzwoniła z pracy do doktora Johnstona, informując go o tym obiecującym zjawisku. On jednak ostudził jej nadzieje, prosząc, aby poczekała jeszcze dzień lub dwa, gdyż organizm ludzki nie jest maszyną i zdarzają się odstępstwa od normy. Trzeba trafu, że tej samej nocy dostała okres i do rana płakała w poduszkę. Cała ta sytuacja działała na nią coraz bardziej przygnębiająco.

Po jej następnym telefonie doktor zasugerował, żeby zgłosił się do niego mąż, gdyż, jak dotąd, wyniki jej badań mieściły się w normie.

- No, to ładnie. Ciekawe, co to ma znaczyć? - zdenerwował się Andy, kiedy Diana powtórzyła mu propozycję doktora. - Czyżby myślał, że to moja wina?

- Co za różnica, czyja to wina? - tłumaczyła cierpliwie. - Może ani moja, ani twoja, a może wszystko jest w porządku i potrzebujemy tylko czasu? Nie bądź taki zasadniczy!

Przemawiała do niego łagodnie, ale Andy o mało się nie wściekł, kiedy chciał umówić się telefonicznie na wizytę i pielęgniarka poleciła mu przynieść próbkę swojego nasienia, i mało tego - na trzy dni przed jej pobraniem powstrzymać się od stosunków płciowych!

- Ciekawe, jak mam to zrobić? - zrzędził Andy. - Trzepać kapucyna w biurze i zaraz lecieć z tym do doktora? Wszystkie sekretarki posikałyby się ze śmiechu!

- A myślisz, że dla mnie to przyjemność raz po raz latać na USG? Przynajmniej nie pogarszaj sytuacji.

Sytuacja jednak była wystarczająco zła i oboje o tym wiedzieli.

- Dobra, dobra - mruknął i nie poruszał już więcej tego tematu. Rankiem w dniu umówionej wizyty kłócił się z Dianą przy śniadaniu, a wobec doktora Johnstona zachowywał się wręcz agresywnie. Ze złością odwarkiwał, że nie miał trypra, syfa, rzęsistka ani półpaśca, ani też stanów zapalnych, obrzęków ani problemów ze swoją sprawnością seksualną. Nie przechodził też w życiu żadnych cięższych chorób.

Lekarz wyczuł od razu jego wrogie nastawienie, ale w swojej praktyce nie z takimi pacjentami miał do czynienia. Zdawał sobie sprawę, że stawia Andyego w deprymującej sytuacji, bo wyglądało to, jakby kwestionował jego męskość. Wyjaśnił, że pobierze od niego tylko krew dla oznaczenia poziomu hormonów, a przyniesioną próbkę nasienia podda analizom laboratoryjnym dla ustalenia liczebności plemników i profilu hormonalnego. Nie wykluczał także konieczności powtórnego badania krwi, gdyż poziom hormonów męskich ulegał zmianom nawet w zależności od pory dnia lub stanu zdrowia mężczyzny.

Oprócz pobrania krwi zbadał także stan powrózków nasiennych Andyego, których drożność mogła mieć poważny wpływ na jego płodność. Zanim Diana przyjechała po niego, Andy był już kompletnie wypompowany. Badania, które przechodził, nie powodowały wprawdzie dyskomfortu fizycznego, lecz wiązały się z silną presją psychiczną. Ulgę przyniosły mu dopiero wyniki testów, które zaświadczyły, że wszystkie wskaźniki mieściły się w normie. Gęstość nasienia i ruchliwość plemników, jak również poziom hormonów, osiągnęły wręcz idealne wartości.

- I co teraz? - spytał Andy po trzech dniach, kiedy doktor Johnston sam zadzwonił do niego, aby poinformować go o wynikach testów. Oczywiście, z radością przyjął nowinę, że nic mu nie dolegało, ale od tego momentu zaczął poważniej niepokoić się o Dianę. - Czy to znaczy, że z nami jest wszystko w porządku i potrzebujemy tylko czasu?

Gdyby usłyszał twierdzącą odpowiedź, uznałby, że warto było przejść tę całą drogę przez mękę. Jednak Johnston nie miał zamiaru tak łatwo odpuścić.

- To całkiem możliwe, ale jeśli idzie o Dianę, chciałbym się dokładniej upewnić. Niepokoi mnie to, że kiedyś miała założoną spiralę, więc jeszcze w tym miesiącu, przed owulacją, chciał bym wykonać pewne badania, aby otrzymać pełny obraz stanu jej górnych dróg rodnych. Nastąpi to poprzez wstrzyknięcie do nich płynu kontrastowego i wykonanie zdjęcia rentgenowskiego.

W jego ustach zabrzmiało to całkiem zwyczajnie, ale Andy za pytał podejrzliwie:

- A czy to będzie bolało?

- Czasami boli - odpowiedział szczerze lekarz. - Ale na pewno jest trochę nieprzyjemne.

Andy nie znosił tego określenia, którego często używał personel medyczny. Zwykle oznaczało to, że wprawdzie pacjent nie wił się z bólu, ale niewiele mu brakowało.

- Oczywiście w szpitalu podamy żonie środki przeciwbólowe - zapewniał doktor. - Zarówno przed zabiegiem, jak i po nim, będzie przyjmować doxycyklinę, aby wykluczyć ryzyko infekcji. Nie wszędzie wykonuje się to badanie pod osłoną antybiotyków, ale ja dla pewności je stosuję. W wielu przypadkach sam płyn kontrastowy powoduje udrożnienie jajowodów i pacjentki w ciągu mniej więcej pół roku zachodzą w ciążę.

- Wydaje mi się, że warto spróbować - rzekł ostrożnie Andy.

- Też tak sędzę. Zadzwońię do pańskiej małżonki i powiem jej to.

Diana jednak nie była taka pewna. Od swoich koleżanek z pracy nasłuchiwała się bowiem przerażających szczegółów o tym badaniu. Według nich zabieg był niezwykle bolesny, a jedna z kobiet okazała się ponadto uczulona na płyn kontrastowy i ciężko to odchorowała.

Informatorki Diany przyznawały jednak szczerze, że badanie, choć nieprzyjemne, udzielało odpowiedzi, jakich poszukiwały. Na ekranie aparatu rentgenowskiego widać było, jak barwnik przemieszcza się w jajowodach. Uzyskiwało się tym sposobem kompletny obraz wszelkich deformacji w obrębie macicy, możliwe też było wykrycie niedrożności jajowodów, w czym doktor Johnston upatrywał główną przyczynę problemów Diany. Zapewnił ją przy tym, że jeśli to badanie nic nie wykaże - wszelkie inne okażą się zbędne. A wtedy ona i Andy mogliby założyć, że w końcu doczekają się potomstwa.

Gdyby jednak obraz w aparacie rentgenowskim ujawnił coś niepokojącego - bardziej wyczerpującej odpowiedzi udzieliłaby jedynie laparoscopia, którą należałoby wykonać jeszcze w tym samym miesiącu. Doktor Johnston nie był bowiem zwolennikiem męczenia pacjentów długotrwałymi i przeważnie niepotrzebnymi testami. Zważywszy, że dotychczasowe badania nie wykazały żadnych anomalii, problem mógł tkwić jedynie w jajowodach, a więc należało zbadać ich drożność.

- I co pani o tym sądzi? - spytał doktor Dianę przez telefon. - Czy decyduje się pani na wykonanie HSG w tym miesiącu, czy też woli pani jeszcze trochę poczekać i dać szansę naturze? Oczywiście, możemy z tym wszystkim poczekać.

Diana jednak wyczuła, że doktor Johnston bynajmniej nie radził im czekać. Nie był zwolennikiem wielokrotnego ranienia serc małżonków przez powtarzane raz po raz

bezowocne próby, podczas gdy zasadniczy problem pozostawałby nadal bez odpowiedzi.

- Muszę to jeszcze przemyśleć - wykrztusiła w końcu Diana. - Zadzwoń do pana jutro.

- Proszę bardzo!

Prawdę mówiąc, Diana czuła się tak, jakby w ogóle nie wychodziła od lekarza. Przez ostatni miesiąc małżonkowie prawie nie widywali się z przyjaciółmi ani z rodziną, Diana nie była w stanie skupić się na swojej pracy, a Andy nie miał czasu, by zadzwonić do swoich braci. Zajmowali się wyłącznie mierzeniem temperatury, rysowaniem wykresów, przeprowadzaniem badań i wizytami u lekarza. Doktor Johnston ostrzegwał ich zresztą, że do tego dojdzie i doradzał poddanie się terapii rodzinnej. Nie mieli jednak na to czasu, bo poza pracą każdą chwilę całkowicie wypełniały im badania.

- I co ty na to, kochanie? - zapytał wieczorem Andy. - Chcesz zrobić tę... bingografię, czy jak to się nazywa?

- A pojechałbyś tam ze mną? - Wprawdzie nade wszystko pragnęła poznać przyczynę braku potomstwa, ale przerażało ją samo badanie.

- Oczywiście, jeśli tylko mnie wpuszczą.

- Doktor Johnston obiecał, że tak. Chciałby przeprowadzić to w piątek.

- To nawet dobry dzień! - zareagował błyskawicznie Andy. - Nie mam wtedy żadnych zebrań.

- Czemu więc sam tego nie zrobisz? - warknęła, toteż Andy pospiesznie wycofał się do kuchni, aby zaparzyć kawę. Kiedy wrócił, Diana wyglądała na nieszczęśliwą, ale podjęła już decyzję. Uznała, że warto pocierpieć, aby znać prawdę.

- Dobrze, zgadzam się - oświadczyła.

- Dzielna z ciebie dziewczyna! - pochwalił ją, ale wcale nie był pewien, jak sam zachowałby się na jej miejscu. Dotychczasowe badania nie wymagały od niego zbyt wiele.

W piątek rano oboje zgłosili się do szpitala. Doktor Johnson wyjaśnił im, na czym ma polegać badanie i podał Dianie dwie tabletki przeciwbólowe. Jedna z pielęgniarek zdezynfekowała miejsce zabiegu, a druga w tym czasie wstrzyknęła Dianie atropinę i glukagon dla rozluźnienia mięśni. Po chwili barwnik wsączał się już do jej dróg rodnych, a Diana mogła obserwować na monitorze obrazy, które jednak nic jej nie mówiły. Po piętnastu minutach było po wszystkim i odetchnęła z ulgą, choć jeszcze drżały jej kolana, a ciałem wstrząsały skurcze. Andy podziwiał jej odwagę i gdyby mógł, chętnie przeżyłby to za nią. Coraz częściej jednak nachodziły go wątpliwości, czy warto znosić takie tortury i do czego właściwie potrzebne im jest dziecko?

- Dobrze się czujesz? - spytał z troską, kiedy już usiadła po badaniu.

Czuła się kiepsko, ale cieszyła się, że ma to już za sobą. Teraz chciała wiedzieć, co doktor Johnston zobaczył na ekranie. On zaś wraz z radiologiem omawiali akurat jedno ze zdjęć. Szczególnie interesowała ich niezabarwiona przestrzeń, jaką tam znaleźli.

- I co tam się dzieje? - Andy nie wytrzymał.

- No cóż, znaleźliśmy coś ciekawego. Porozmawiamy o tym później, a na razie musimy się temu przyjrzeć.

Andy wraz z pielęgniarką pomogli Dianie doprowadzić się do porządku, a tymczasem doktor Johnston i jego współpracownik skrupulatnie analizowali zdjęcie. Diana, już ubrana, czekała, aż doktor się odezwie. Poblądła trochę na twarzy, ale wyglądała na spokojną.

- No i jak pani się czuje? - Doktor Johnston zwrócił się do niej oględnie.

- Jakby przejechał mnie walec drogowy! - wyznała szczerze, więc Andy troskliwie otoczył ją ramionami.

- Myślę jednak, że wynik wart był tego! Chyba już mamy przyczynę pani kłopotów. Pani prawy jajowód jest niedrożny, a i lewy wygląda jakoś mętnie. Najchętniej zapisałbym panią na laparoskopię, wtedy otrzymalibyśmy jednoznaczną diagnozę.

- A co, jeżeli oba są niedrożne? - spytała Diana ze strachem. - Czy nie można ich jakoś odetkać?

- Może tak, ale jeszcze nic nie wiem na pewno. Więcej będę wiedział dopiero po laparoskopii.

- O kurczę! - Dopiero teraz wyszło na jaw, że Diana nie była przygotowana na odbiór złych wiadomości. No cóż, sama diagnoza nie rozwiązywała jej problemów.

Zapisała się więc na przyszły tydzień na laparoskopię. Miało to polegać na wprowadzeniu wziernika przez nacięcie skóry obok pępka. Dzięki temu lekarz zyskałby dokładny obraz jej jajowodów, macicy i wszelkich występujących tam niepożądanych przeszkód. Tym razem zapewnił, że obejdzie się bez bólu, gdyż zabieg miał być przeprowadzony w znieczuleniu ogólnym.

- A co potem? - dociekała Diana, chcąc znać wszystkie szczegóły.

- Potem będziemy wiedzieć, na czym stoimy. Jednak już wynik HSG przekonał mnie, że obraliśmy słuszną taktykę.

Diana nie wiedziała, czy ma go za to błogosławić, czy przeklinać. W końcu jednak oboje podziękowali doktorowi i opuścili szpital. Diana nie czuła jednak ulgi, bo oto czekał ją jeszcze cięższy zabieg. Stanowczo aż nadto miała o czym myśleć! Kiedy wkraczała w progi swego domu, czuła się stara i zmęczona, ale akurat zadzwonił telefon, więc podniosła

słuchawkę.

Dzwoniła jej siostra Samanta, żeby zapytać, co słyszą. Była jednak ostatnią osobą, z którą Diana chciałaby teraz rozmawiać.

- Cześć, Sam. U mnie wszystko w porządku. A co u ciebie?

- Robię się coraz grubsza! - Samanta zawsze podczas ciąży monstrualnie tyła, a obecnie była już w czwartym miesiącu. - Masz jakiś dziwny głos. Źle się czujesz?

- Tak, złapałam gripę. Chyba pójdę się położyć.

- Oczywiście, kochanie, uważaj na siebie. Zadzwoń za kilka dni.

Odwieszając słuchawkę, Diana modliła się, aby siostra już więcej nie dzwoniła i nie chwaliła się przed nią swoim brzuchem, już urodzonymi dziećmi ani spodziewanym dzidziusiem. W tym momencie do pokoju wszedł Andy.

- Kto dzwonił?

- Samanta - odpowiedziała Diana bezdźwięcznym głosem.

- Aha. - Andy od razu zrozumiał, w czym rzecz. - Nie powinnaś była w ogóle z nią rozmawiać. Najlepiej nie odbieraj telefonów. Gdyby jeszcze raz zadzwoniła, powiem jej, że wyjechałaś.

Okazało się jednak, że Greg, brat Andyego, miał jeszcze mniej taktu. Zadzwoił tego samego wieczoru i wypytywał, kiedy wreszcie będą mieli dziecko.

- Kiedy dorośniesz! - Andy zbył go żartobliwie, nie dając poznać po sobie, jak boleśnie zraniła go wścibskość brata.

- Nie licz na to!

- Tak właśnie myślałem.

Greg zapowiedział się z wizytą w Święto Pracy, ale Andy próbował go od tego odwieść. Nie wiedział, jak Diana będzie się czuła po laparoskopii, jak zniesie jej wynik, no i... czy nie będzie już wtedy w ciąży? W tych warunkach trudno cokolwiek zaplanować ani w ogóle normalnie żyć. Andy zastanawiał się chwilami, jak inni sobie z tym radzą, jak wytrzymują finansowo, bo wszystkie te badania były horrendalnie drogie.

Greg odpowiedział beztrąsko, że wobec tego odwiedzi ich kiedy indziej, ale Andy oświadczył wprost, że jest zbyt zajęty pracą, aby przyjmować gości. Nie zabrzmiało to zbyt sympatycznie, ale z dwojga złego było lepszym wyjściem niż informowanie brata o chaosie, jaki zapanował teraz w ich życiu.

- Popatrz, jak wszystko nam się wali - rzekła Diana przy kolacji. Ich dom nagle wydał jej się zbyt obszerny. Wielu pokoiów w ogóle nie używali.

- Możemy przecież do tego nie dopuścić! - zaprotestował gwałtownie Andy. - Doktor



ma rację, pod koniec sierpnia do wiemy się wszystkiego. Jeśli wtedy się okaże, że coś jest nie w po rządku, poddasz się leczeniu.

- A jeśli się nie uda?

- Wtedy będziemy musieli nauczyć się z tym żyć. Zresztą, są też inne możliwości. - Andy ostatnio sporo czytał na temat sztucznego zapłodnienia.

- Nie chcę, abyś musiał z tym żyć! - wyrzuciła z siebie przez łzy. - Prędej się z tobą rozwiodę, żebyś mógł się ożenić z kobietą, która urodzi ci dzieci!

- Nie pleć głupstw! - Wystarczająco przygnębiała go świadomość, co mogła czuć, wypowiadając takie słowa. - W najgorszym razie zawsze możemy adoptować dziecko.

- Niby dlaczego miałbyś to zrobić, jeśli to nie ty masz problemy, tylko ja?

- A może nikt z nas? Może ten doktor się pomylił? Dlaczego, na miłość boską, nie możesz poczekać na dokładną diagnozę?

Podniósł głos, bo Diana słusznie zauważyła, że całe ich życie zaczynało się walić. Nieustanne napięcie nerwowe rujnowało zdrowie ich obojga.

- Rzeczywiście, może to tylko rodzynki? - Uśmiechnęła się smutno, ale tym razem Andyego to nie śmieszyło.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dni poprzedzające laparoskopię wlokły się niemiłosiernie. Wreszcie nadszedł piątek. Od czwartkowego wieczoru Diana nie mogła już ani jeść, ani pić, a wczesnym rankiem Andy odwiózł ją do szpitala.

Dostała zastrzyk znieczulający, który podziałał szybko, bo kiedy odjeżdżała wózkiem na salę operacyjną, machała jeszcze ręką do Andyego, ale już zamykały się jej oczy. Około południa przywieziono ją z powrotem do czekającego na nią męża. Była jeszcze oszołomiona. Doktor Johnston przyszedł wraz z nią, by oznajmić Andyemu złe wieści, zanim Diana się o nich dowie. Jednak nawet gdy doszła do siebie, Andy niczego jej nie powtórzył, dopóki doktor po południu nie odwiedził jej osobiście.

- No i jak to wygląda? - spytała nerwowo, siadając na łóżku. Lekarz nie odpowiedział od razu, spojrzał najpierw na Andyego, a na nią dopiero wtedy, gdy przy niej usiadł. Od razu poznała, że nie miał dla niej dobrych wiadomości.

- Źle, prawda?

- Rzeczywiście, nieciekawie - przyznał. - Obydwa jajowody są poważnie uszkodzone. Jeden jest całkowicie niedrożny, a drugi w znacznym stopniu. Ponadto w obu jajnikach występują liczne zrosty. Obawiam się, że komórka jajowa nie miałaby się którądy przedostać. Przykro mi, pani Diano, że nie mogę powiedzieć pani nic weselszego.

Diana patrzyła na niego z niedowierzaniem. Przecież nie mogło być aż tak źle! A może jednak mogło?

- A czy nie można coś na to poradzić? - spytała ochryłym głosem.

- Niestety. - Pokręcił głową. - Miałem nadzieję, że z jednym jajowodem da się jeszcze coś zrobić, ale zrosty w obu jajnikach są zanadto rozległe. Wprawdzie przedostanie się jaja nie jest zupełnie niemożliwe, ale bardzo mało prawdopodobne, szansa jak mniej więcej jeden na dziesięć tysięcy. Z powodu tych zrostów próby pozyskania komórki jajowej groziłyby uszkodzeniem jelita, co automatycznie eliminuje możliwość zapłodnienia in vitro. Wydaje mi się, że stosunkowo największą szansę dałoby sztuczne zapłodnienie komórki jajowej innej kobiety nasieniem pani męża i przeniesienie jej do pani macicy. Oczywiście to także nie dałoby stuprocentowej gwarancji sukcesu, bo pani układ rozrodczy uległ poważnemu uszkodzeniu. Przypuszczalnie spowodowała je bezobjawowa mikroinfekcja wywołana przez spiralę. Tak więc nie ma pani większej szansy na zajście w ciążę niż na główną wygraną w totku. Pozostaje transplantacja zapłodnionej komórki jajowej albo adopcja.

Po twarzy Diany spływały łzy, a i Andy także płakał. Trzymał ją za rękę tak mocno, jak tylko mógł, ale nie był w stanie złagodzić jej bólu. Mógł najwyżej żałować, że życie nie ułożyło się inaczej.

- Ale jak to się mogło stać? Czy to możliwe, żebym niczego nie czuła i o niczym nie wiedziała? - Wydawało się jej niemożliwe, żeby coś takiego działo się z jej organizmem, a ona dowiedziała się o tym dopiero teraz.

- Na tym właśnie polegają mikroinfekcje! - wyjaśnił doktor Johnston. - Wywołują je przeważnie spirale i to, niestety, dosyć często. Taka infekcja nie daje żadnych wyczuwalnych objawów, wydzielin, bólu czy gorączki, a jednak jest na tyle poważna, że pozostawia po sobie zrosty w jajowodach, a w pani przypadku także w jajnikach. Miałem już wiele pacjentek z takimi przypadłościami. Przykro mi, że to spotkało akurat panią, ale ma pani jeszcze inne możliwości.

Chciał dać jej jakąś nadzieję, ale zamiast tego wprowadził ją w jeszcze większą rozpacz. Wiedziała już, że nie spełnią się jej marzenia o własnym dziecku.

- Nie chcę żadnej komórki od innej kobiety! Wolę już wcale nie mieć dzieci! - Teraz pani tak mówi, ale może z czasem przemyśli pani to rozwiązanie.

- Nic nie przemyślę! Cudzego dziecka też nie chcę! Ja chcę urodzić własne! - krzyczała. Nie mogła pogodzić się z taką nie sprawiedliwością losu. Dlaczego jej siostry, i w ogóle inne kobiety, tak łatwo zachodziły w ciążę. Po co używała tej parszywej spirali? Najchętniej wyładowałaby na kimś swój gniew, ale pod ręką nie miała nikogo, kogo mogłaby obciążyć winą. Szlochała więc tylko w ramionach Andyego. Lekarz zostawił ich samych.

- Tak mi przykro, kochanie... Tak mi przykro... - powtarzał Andy raz po raz. Do domu wracali ze świadomością, że łono Diany jest nie tylko puste, ale jałowe jak ugór.

- Nie mogę w to uwierzyć! - mówiła, idąc do frontowych drzwi. Po wejściu do domu rozejrzała się wokół siebie z odrazą. - Sprzedajmy ten dom! - oświadczyła. - Po co nam tyle sypialni? Te pokoje na górze są dla mnie jak wyrzut sumienia. Nawet ich ściany krzyczą: „Jesteś bezpłodna! Nigdy nie będziesz mogła mieć dziecka!”. - Po diagnozie doktora Johnstona straciła chęć do życia.

- Może raczej powinniśmy pomyśleć o tych innych rozwiązaniach, o których mówił doktor? - podsunął Andy nieśmiało. Nie chciał dodatkowo martwić Diany, ale sam był również przygnębiony. Ten dzień dla obojga okazał się koszmarem, a jeszcze musieli teraz przeorientować wszystkie swoje życiowe plany. Ta perspektywa nie wydawała się ani prosta, ani zachęcająca. - Przecież ten pomysł z wszczepieniem jajeczka jest fantastyczny!

- Co w tym fantastycznego? - odwarknęła jakimś obcym, nie przyjaznym tonem. - To

raczej odrażające! Fantastyczne byłoby, gdybym urodziła nasze dziecko, a tego właśnie zrobić nie mogę. Nie słyszałeś, co on powiedział?

Szlochała histerycznie, a Andy nie wiedział, jak ją uspokoić.

- Może porozmawiamy o tym kiedy indziej? - zaproponował dyskretnie, opuszczając niżej łóżko, aby łatwiej mogła się położyć. Przypuszczał, że ranka po nacięciu może być bolesna.

- Nie chcę już więcej o tym rozmawiać! Najlepiej będzie, jeśli się ze mną rozwiedziesz! - Nie przestając łkać, położyła się do łóżka. Wyglądała na kompletnie zdruzgotaną.

Andy patrzył na nią smutno, bo widać było, że jest zupełnie załamana. Nie umniejszało to bynajmniej jego miłości do niej, a wręcz przeciwnie.

- A broń Boże, nie mam zamiaru się z tobą rozwodzić! Kocham cię. Di, i to wszystko. Będzie lepiej, jeśli się teraz prześpisz. Jutro oboje spojrzymy trzeźwiej na tę sprawę.

- I co nam to da? - jęknęła żałośnie. - Czy dla nas w ogóle istnieje jakieś jutro, przyszedł tydzień? Nie musimy już przeprowadzać testów ani mierzyć temperatury, w ogóle nic już nie musimy!

Andy pomyślał rozsądnie, że to jeszcze nie było najgorsze. Stracili wprawdzie wszelką nadzieję, ale tym samym oszczędzono im dalszych rozczarowań. Zasunął story i wyszedł z pokoju, licząc, że Diana zaśnie, a sen ukoi jej ból. Tymczasem przepłakała cały weekend, a w poniedziałek poszła do pracy w takim na stroju, jakby umarł jej ktoś z rodziny. Jedynym rozsądnym posunięciem z jej strony było to, że nie odbierała telefonów od swoich sióstr.

Przez cały następny tydzień wyglądała jak kupka nieszczęścia, a wysiłki Andyego, by ją pocieszyć, okazały się daremne. W pracy Eloise próbowała wyciągnąć ją na lunch, ale Diana odmówiła. Nie chciała ani się spotykać, ani rozmawiać z kimkolwiek, nie wyłączając Andyego.

Przed Świętem Pracy próbował namówić ją, aby pojechała z nim do Lake Tahoe, na ślub Billa i Denise. Diana jednak zdecydowanie odmówiła, więc wreszcie ustąpił i pojechał sam. Jej zdawało się to nie robić różnicy, on natomiast nie bawił się dobrze. Cieszył się tylko, że mógł odpocząć od jej ataków złości i nieustannych problemów. Męczyli się z nimi oboje, ale Andy nie miał pojęcia, jak przekonać Dianę, że życie się na tym nie kończy.

- Przecież nikt z nas nie umarł ani nie zapadł na nieuleczalną chorobę! - wygarnął jej w końcu. - Faktem jest, że nie możemy spłodzić dziecka, ale nie mam zamiaru z tego powodu rozbijać naszego małżeństwa. Jasne, że chciałbym mieć dzieci, ale myślę, że kiedyś

adoptujemy jakieś i też będzie dobrze. Na razie wystarczy, że mamy siebie, ale jeśli nie weźmiemy się w garść, zniszczymy się nawzajem.

Andy starał się za wszelką cenę przywrócić ich życiu normalność, ale Diana zapomniała już chyba, co to jest takiego. Ciągłe się z nim kłóciła i z błahych powodów wpadała w złość albo nie odzywała się przez cały dzień. W pracy zachowywała się w miarę normalnie, ale kiedy wracała do domu - odreagowywała stresy na mężu. Andy chwilami zastanawiał się, czy nie doprowadzi to w efekcie do rozpadu ich małżeństwa. Diana nie była już bowiem pewna niczego - ani jego, ani samej siebie, pracy, przyjaciół, a już najmniej ich wspólnej przyszłości.

W sobotę przed Świętem Pracy Mark - stary kumpel Charliego - zaprosił go na kolację. Jego aktualna dziewczyna wyjechała na kilka dni do rodziców na Wschodnim Wybrzeżu, a jeszcze po przedniego dnia w pracy Mark się zorientował, że Charlie nie będzie miał z kim spędzić weekendu.

Przez całe popołudnie grali w kręgle, potem poszli do ulubionego baru Marka, gdzie przy piwie oglądali mecz baseballowy. Były to ich ulubione rozrywki. Niestety, rzadko mogli sobie na nie pozwolić, gdyż obaj ciężko pracowali, a większość weekendów Charlie spędzał według upodobania Barbie. Oznaczało to przeważnie zakupy lub odwiedziny u przyjaciół, gdyż Barbie na de wszystko nie znosiła gry w kręgle.

- Co u ciebie słychać, młody? - zagadnął konfidencjonalnie Mark, kiedy drużyna Metropolitans osiągnęła ostatnią bazę. Lubił towarzystwo Charliego i szczerze interesował się jego życiowymi sukcesami bądź porażkami. Miał dwie córki, niestety, nie doczekał się syna, więc nieraz przyłapywał się na tym, że traktował Charliego, jakby ten był jego synem. - Barbie pewnie pojechała do rodziny w Salt Lake City?

Wiedział, że pochodziła stamtąd, ale nie przypuszczał, że prędzej by umarła, niż pokazała się w swoim rodzinnym mieście. Charlie nie zdradzał jej tajemnic nawet najbliższemu przyjacielowi, za jakiego uważał Marka i którego bardzo lubił, gdyż szef traktował go jak równego sobie.

- Nie, wyskoczyła do Las Vegas z koleżanką - odpowiedział rzeczowo na jego pytanie.

- Chyba żartujesz? - zdziwił się Mark. - Cóż to za koleżanka?

- Taka Judi, z którą dawniej mieszkały razem w Vegas. Pojechały tam odwiedzić starych kumpli.

- I puściłeś ją samą?

- Przecież mówię, że pojechała z Judi! - powtórzył Charlie cierpliwie, rozbawiony

jego troską.

- Chyba całkiem ci odbiło! Nie minie dziesięć sekund, jak Judi ulotni się z jakimś facetem i zgadnij, co wtedy zrobi Barbie?

- Nic nie robi, bo jest dorosła i rozsądna. Wie, że gdyby miała z czymś problem, zawsze może zadzwonić do mnie.

Wierzył, że Barbie w podróży zachowa się, jak należy, a zresztą tak cieszyła się na ten wyjazd! Nie była w Las Vegas od dwóch lat i szybko zdążyła zapomnieć o ciemnych stronach tamtejszej egzystencji. Pamiętała tylko „światowe życie, szum i gwar”.

- A dlaczego z nią nie pojechałeś? - dążył dalej Mark, kiedy zamówili pizzę pepperoni. Charlie wzruszył ramionami.

- To nie jest w moim guście. Nie znoszę hałasu, gry hazardowe mnie nie interesują, a upić się mogę w domu, jeśli tylko zechcę (co się rzadko zdarzało). Co miałbym do roboty w takim Vegas? Dziewczyny będą tam sobie pisać, chichotać i paplać o chłopakach i kosmetykach, ja bym im tylko przeszkadzał.

- Jeszcze jej te głupstwa nie wywietrzały z głowy? - Mark wyraźnie się zgorszył.

Charlie uśmiechnął się, wzruszony troską przyjaciela.

- Chłopaki i kosmetyki to głupstwa? - zażartował, co świadczyło, że bezgranicznie ufał Barbie. - Po prostu ona lubi posmakować trochę wielkiego świata, bo wtedy czuje się, jakby wciąż była aktorką. Nasze życie jest dla niej za ciche i za spokojne.

- To źle, że ciche i spokojne? - obruszył się Mark.

- Gdybym miał ojca, pewnie powiedziała by to samo. - Charlie się roześmiał. Nie krył jednak, że cieszy go zainteresowanie Marka. Nikt nigdy nie dbał o niego, oczywiście z wyjątkiem Barbie.

- Nie powinieneś być pozwolić jej na ten wyjazd! - Mark nie ustępował. - Kobiety zameżne nie szlają się Bóg wie gdzie, tylko siedzą w domu i pilnują swoich mężów. Ty nie wiesz, jak ma być, bo nigdy nie miałeś prawdziwej matki, ale gdyby moja żona wycięła mi taki numer, rozwiodłbym się z nią z mety!

- I tak to zrobiłeś! - przypomniał mu Charlie, na co Mark lekko się speszył.

- To co innego. Rozwiodłem się z żoną, bo miała kochanka. Charlie znał tę historię i wiedział, że żona Marka zdradziła go z jego najlepszym przyjacielem. Mało tego, zabrała mu dzieci i przeniosła się z New Jersey do Los Angeles. To dlatego Mark przyjechał do Kalifornii, żeby być bliżej córek.

- Nie musisz się tak o nas martwić. - Charlie uspokoił kolegę. - Między nami jest wszystko w porządku. Ona po prostu potrzebuje rozrywki, a ja to rozumiem.

- Pozwól mi powiedzieć, że masz za dobre serce! - Mark znacząco pokiwał palcem, kiedy na stół wjechała duża pizza. - Ja też kiedyś taki byłem, ale dostałem nauczkę i od tego czasu trzymam baby krótko!

Zrobił groźną minę, ale obaj wiedzieli doskonale, że w rzeczywistości każda kobieta mogła go sobie owinąć dookoła palca. Wymagał od nich wyłącznie wierności, bo nie mógł znieść, kiedy rozglądały się za innymi mężczyznami. Na pewno też nie pozwoliłyby żadnej ze swoich kolejnych sympatii wyjechać bez niego na weekend do Las Vegas.

- A co nowego u ciebie? - Charlie zmienił temat. - Co porabiają Marjorie i Helen?

Tak brzmiały imiona córek Marka, z których był bardzo dumny. Jedna wyszła już za mąż, druga jeszcze się uczyła, a Mark miał świra na punkcie obydwóch. Ktokolwiek wątpiłby w ich nadzwyczajne walory, nie miał u niego na dłuższą metę szans.

- Och, świetnie im leci. Nie mówiłem ci, że Marjorie w marcu spodziewa się dziecka? Trudno mi uwierzyć, że będę miał wnuka. Ale widzisz, jak się czasy zmieniły? Oni już wiedzą, że to będzie chłopiec! - Przerwał, bo zastanowiło go, czy Charlie rozwinie ten temat. Może tego właśnie było mu trzeba, żeby zatrzymać Barbie w domu? - A jak u ciebie z tymi sprawami? Nie szykuje się wam coś małego? Chyba już najwyższy czas, jesteście przecież prawie półtora roku po ślubie. Wtedy twoja pani przestałaby nareszcie szaleć!

- Tego się właśnie obawia! - wyznał ze smutkiem Charlie. Naczytał się dość najnowszych opracowań na ten temat i starał się tak celować, aby współżyć z Barbie w tych dniach miesiąca, które dawały największą gwarancję poczęcia dziecka. Stosował ten schemat już od czterech miesięcy, ale nic z tego nie wychodziło, toteż zaczynał się już niepokoić.

- A co, nie chce mieć dzieci?

- Tak przynajmniej mówi, ale mam nadzieję, że zmieni zdanie. Widzisz, ona ciągle liczy, że dostanie rolę w filmie, a gdyby zaszła w ciążę, okazja mogłaby jej przejść koło nosa.

- A jeśli taka okazja się nigdy nie nadarzy? To nie jest powód, aby rezygnować z dziecka! - oświadczył stanowczo Mark. Nie wykazywał zrozumienia dla kapryśków Barbie, gdyż uważał, że Charlie rozpuścił ją jak dziadowski bicz. - Powinieneś zrobić jej dziecko, czy tego chce, czy nie.

- Ba, żeby wszystko było takie proste! - westchnął Charlie.

- A co, bierze pigułki?

- Nie przypuszczam. - Charlie nie zastanawiał się dotąd nad takimi sprawami, ale nie brał nawet pod uwagę ewentualności, że Barbie mogłaby go oszukiwać. Może po prostu na razie nie chciała mieć dziecka i kiedy nie była zbyt leniwa, aby wyjść z łóżka, co na szczęście nie zdarzało się zbyt często, używała krążka. Taka „kontrola urodzin” siłą rzeczy nie mogła

być skuteczna, więc Charlie coraz bardziej niepokoił się brakiem zauważalnych wyników. Sama się zresztą kiedyś zdziwiła, że po tak długim czasie współżycia, często bez środków zabezpieczających, dotąd nie zaszła w ciążę! - Nie wiem dlaczego, ale jakoś nam nie wychodzi.

Robił wrażenie zniechęconego, więc Mark zapragnął okazać mu troskę i współczucie. Wiedział, jak bardzo Charlie pragnął dziecka i nie miał wątpliwości, że byłoby to najlepsze rozwiązanie tak dla niego, jak i dla Barbie.

- Może nie robicie tego we właściwym czasie? Spytaj swojego lekarza.

Sam nie orientował się zbyt dobrze w tych sprawach, czego najlepszym dowodem było, że jego pierwsza córka została poczęta na tylnym siedzeniu samochodu, kiedy miał ledwie dziewiętnaście lat. Druga urodziła się dziesięć miesięcy później. Po jej przyjściu na świat żona poddała się zabiegowi podwiązania jajowodów, a obecna przyjaciółka Marka brała pigułki antykoncepcyjne. Mark słyszał o istnieniu dni płodnych i niepłodnych, ale nie był pewien, czy Charlie o tym wie.

- Robimy to według kalendarzyka, jaki widziałem w książce - zapewnił Charlie. - W takim razie może powinieneś po prostu odpocząć? Oboje jesteście młodzi i zdrowi, więc prędzej czy później, co ma przyjść, to przyjdzie.

- Może i tak... - mruknął Charlie, ale poglądy wygłaszane przez przyjaciela wprawiały go w coraz większe przygnębienie.

- A co, myślisz, że z tobą jest coś nie w porządku? - zaniepokoił się Mark.

- Nie wiem.

- Smutek w spojrzeniu Charliego poruszył Marka do głębi. Na pocieszenie poklepał go po ramieniu i zamówił następne dwa piwa. Starał się, aby ten wieczór przebiegł w przyjaznej atmosferze.

- Przechodziłeś może w dzieciństwie świnkę albo w młodości trynia? - zagadnął, ale Charlie zaprzeczył. Mark był wyraźnie zatroskany o swego młodego przyjaciela.

- Posłuchaj, moja siostra i szwagier też mieli takie kłopoty. Byli od siedmiu lat małżeństwem i nie mogli doczekać się dzieci. Na szczęście w San Diego, gdzie mieszkają, trafili na świetnego doktora. Siostrze zapisał chyba jakieś pigułki czy zastrzyki hormonalne, a co szwagrowi nie wiem, wiem za to na pewno, że przez jakiś czas musiał nosić kostki lodu w majtkach. Niezłe, co? A potem ani się obejrzel, jak dorobili się trójki dzieci, dwóch chłopaków i dziewczynki. Pogadam z siostrą i kiedy się znów spotkamy, podam ci nazwisko tego doktora. Zdarł z nich jak Cygan za matkę, ale warto było.

Charlie się uśmiechnął, gdy wyobraził sobie szwagra Marka z kostkami lodu w



kalesonach. Zanim przyniesiono im zamówione piwo, obaj już śmiali się serdecznie. Życie czasem wydawało się całkiem sympatyczne, zwłaszcza gdy od czasu do czasu można było spędzić taki miły wieczór z przyjacielem. Charlie kochał żonę, ale wiedział, że nie może rozmawiać z nią o tym, co było ważne dla niego. Ona miała zupełnie inne zainteresowania, natomiast z Markiem wiele go łączyło i wysoko cenił sobie jego przyjaźń.

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy chciałbym nosić lód w gaciach!

- No, wiesz, jeśli tylko to ma pomóc...

- Szkoda, że nie ożeniłem się z tobą! - zaśmiał się Charlie. - Podobają mi się twoje poglądy na posiadanie dzieci.

- No, bo one są w życiu najważniejsze. Dowiem się o nazwisko tego lekarza - powtórzył z uporem.

- Kiedy ja wcale nie wiem, czy coś ze mną nie w porządku, czy może nie próbowaliśmy dostatecznie długo? Naprawdę po ważnie zacząłem się martwić mniej więcej od czerwca, bo wszyscy mówią, że w normalnych małżeństwach w ciągu roku powinno dojść do ciąży.

- To co ci szkodzi sprawdzić? A nuż facet powie, że jesteś w życiowej formie i dopiero wtedy poczujesz się jak prawdziwy ogier? Przyjedziesz do domu, obalisz babę na dywan i bingo! Od ręki zrobisz jej dzieciaka. Właściwie taki doktor potrzebny ci jest po to, żeby cię trochę podbudować.

- Ach, ty wariacie! - Charlie był bardziej wzruszony troską przyjaciela, niż umiał to okazać.

- Niby ja mam być wariatem? Ciekawe! Chyba nie ja puszczam swoją żonę samą do Las Vegas!

- Może i tak... - Charlie się uśmiechnął. Już od dawna nie czuł się tak dobrze, tym bardziej że gdy dopijali piwo - Metropolitans akurat wygrywali.

Mark odwiózł go do domu około dziesiątej wieczór. Po drodze Charlie się zastanawiał, czy nie za wcześnie na konsultację z lekarzem. Nie przypuszczał, aby coś mu brakowało, ale na wszelki wypadek wolał się upewnić. Najśmieszniejsze było to, że Barbie nie miała bladego pojęcia o jego zamiarach. Prawdę mówiąc, tej nocy myślała o wszystkim, tylko nie o nim. Balowała w Las Vegas ze starymi kumplami, z którymi nie widziała się od lat.

Podczas weekendu poprzedzającego Święto Pracy Pilar po raz trzeci w ciągu trzech miesięcy przekonała się, że nie jest w ciąży. Jasne, że się zmartwiła, lecz tym razem postanowiła podejść do sprawy filozoficznie. Umówili się z Bradem, że jeśli i tym razem nic

nie wyjdzie - zasięgną konsultacji lekarskiej. Zdążyła już dyskretnie się wypytać i Marina poleciła jej wybitną specjalistkę z dziedziny położnictwa, która praktykowała w Beverly Hills. W końcu to tylko dwie godziny drogi, a wszyscy lekarze, których Pilar o nią pytała, wyrażali się o swej koleżance w samych superlatywach. Zaraz po Święcie Pracy Pilar zapisała się na wizytę. Każda inna pacjentka musiałaby czekać w kolejce przez długie miesiące, ale dzięki wstawiennictwu przyjaciółki Mariny Pilar miała być przyjęta w następnym tygodniu. Brad zdecydował się, że będzie towarzyszyć żonie. Nie był co prawda zachwycony perspektywą konsultacji u ginekologa kobiety, ale widział, że Pilar ma do niej zaufanie i to uważał za najważniejsze.

- Ciekawe, co ona będzie ze mną wyczyniać? - denerwował się podczas jazdy. Odreagowywał w ten sposób stres wywołany koniecznością odroczenia sprawy, którą w tym dniu miał mieć na wokandzie. Takie sytuacje zdarzały mu się dotychczas niezmiernie rzadko.

- Och, pewnie tylko utnie ci jaja, zajrzy, co jest w środku i przyszyje z powrotem! - podśmiewała się Pilar. - To nic takiego, poważniej weźmie się za ciebie przy następnej wizycie!

- Aleś mi pomogła! - burknął, na co Pilar szczerze się roześmiała. Sama też czuła tremę przed tą wizytą, bo nie wiedziała, czego ma się spodziewać. Wystarczyło jednak, że przywitali się z panią doktor Helen Ward - drobną, schludnie wyglądającą kobietą o żywych niebieskich oczach i przetykanych siwizną włosach - a już wiedzieli, że trafili pod właściwy adres.

Pani doktor zrobiła na nich wrażenie osoby inteligentnej i spokojnej, skoncentrowanej i wyrażającej się jasno. Początkowo Brad posądzał ją o zbyt chłód i zawodową oschłość, ale po krótkiej rozmowie przekonał się, że lekarka promieniuje ciepłem i życzliwością, a także ma wspaniałe poczucie humoru. Traktowała medycynę podobnie jak Pilar prawo - z pasją i zaangażowaniem, a przy tym z profesjonalną biegłością. Zaufanie do niej potęgował fakt, że ukończyła studia w Harvardzie, no i przekroczyła już pięćdziesiątkę. Tak Pilar, jak i Brad nie chcieli bowiem oddać się w ręce młodego zapaleńca, który eksperymentowałby na nich niczym na królikach doświadczalnych. Woleli kogoś po ważnego, kto skłaniałby się raczej ku metodom tradycyjnym, ale swoim zachowaniem gwarantował, że zrobi wszystko, aby im pomóc.

Po wstępnej rozmowie pani doktor założyła obojgu karty chorobowe i przeprowadziła dokładny wywiad na temat ich stanu zdrowia teraz i w przeszłości. Brad cieszył się, że Pilar rozmawia z lekarką swobodnie i bez skrępowania. Przyznała się jej nawet do usunięcia ciąży w wieku dziewiętnastu lat. Zazwyczaj mówiła o tym niechętnie, a Bradowi zwierzyła się ze

swojej tajemnicy dopiero któregoś wieczoru po sporej dawce wina. Wyznała mu wtedy, że do dziś odczuwa z tego powodu wyrzuty sumienia, ale wszelkie okoliczności przemawiały wówczas za tym, aby nie urodziła tego dziecka. Jako studentka pierwszego roku nie miała środków na jego utrzymanie, a ojciec dziecka - jej pierwszy partner seksualny - odmówił jakiegokolwiek pomocy. Po rodzicach mogła się najwyżej spodziewać, że ją wydziedziczą. Była więc na tyle wystraszona i zdesperowana, że zdecydowała się na nielegalną aborcję w Spanish Harlem. Teraz zaś coraz częściej dręczyły ją obawy, czy ten zabieg nie spowodował u niej trwałej niepłodności. Jednak doktor Ward twierdziła, że to mało prawdopodobne.

- Większość kobiet nawet po kilku zabiegach usunięcia ciąży rodzi zdrowe dzieci - przekonywała. - Nie ma żadnych dowodów przemawiających za tym, by aborcja negatywnie wpływała na szansę zapłodnienia. Co innego, gdyby w następstwie zabiegu wdał się stan zapalny, ale z pani relacji wynika, że nic takiego nie miało miejsca.

Uspokoila tym Pilar, więc dalsza rozmowa toczyła się wokół dzieci Brada i stosowanych przez nie metod kontroli urodzin. Po przeprowadzeniu wywiadu zbadala Pilar, ale nie znalazła u niej istotnych nieprawidłowości. Jak zawsze, gdy w grę wchodziła niepłodność, szczególną uwagę zwracała na przebyte stany za palne.

- Czy państwo zgłosili się do mnie z jakiegoś szczególnego powodu? - zagadnęła. - W waszej przeszłości nie zaszły zdarzenia, które wskazywałyby na niebezpieczeństwo komplikacji, a trzy miesiące oczekiwania na zapłodnienie to stanowczo za wcześnie, aby wpadać w panikę.

Mówiła tonem ciepłym i życzliwym, przez cały czas zachęcająco się uśmiechając. Pilar czuła do niej coraz większą sympatię.

- Owszem, pani doktor, gdybym miała szesnaście lat - odpowiedziała uprzejmie, lecz stanowczo. - Ale mam już czterdzieści trzy, więc chyba nie mam zbyt dużo czasu.

- Oczywiście, więc od razu sprawdzimy kilka rzeczy. Zaczniemy od oznaczenia poziomu hormonu pęcherzykowego i progesteronu, a także tyroksyny i prolaktyny. Chodzi o to, aby upewnić się, że produkuje pani dostateczną ilość progesteronu, żeby zająć w ciąży. Będzie pani musiała codziennie rano mierzyć temperaturę, a odczyty nanosić na wykres. Podam pani także chlomifen, to jest hormon, który pobudzi pani organizm do wzmożonej produkcji progesteronu. U kobiet po czterdziestce to nie zawsze działa, ale uważam, że warto spróbować.

- A nie wyrosnie mi od tego broda?

- Jak dotąd, nie słyszałam o takim przypadku. Przez całą pięciodniową kurację, ewentualnie zaraz po niej, może pani odczuwać wzmożone napięcie nerwowe. U osób

wrażliwych zdarzają się też sporadycznie niewielkie zaburzenia wzroku, słabe bóle głowy, mdłości, częste zmiany nastroju, a czasem cysty na jajnikach, ale to nic poważnego.

- Myślę, że zaryzykuję - postanowiła Pilar. - A nie można by spróbować silniejszych środków? Na przykład jakichś zastrzyków hormonalnych?

- Na razie nie widzę takiej potrzeby. Nie jestem zwolenniczką zbytnej ingerencji w naturę.

Doktor Ward na razie nie znalazła u Pilar poważniejszych problemów zdrowotnych, więc nie chciała stosować zbyt radykalnej terapii. Przypuszczała, że gdyby coś wykryła, Pilar zdecydowałaby się na zapłodnienie in vitro. Większość klinik odmawiała jednak wykonywania zabiegów zapłodnienia in vitro u kobiet po czterdziestce. Postępowanie było skomplikowane, wymagało wysokich dawek hormonów, dużej precyzji i doświadczenia w pozyskiwaniu jajeczek, a i tak tylko dziesięć do dwudziestu procent zabiegów kończyło się sukcesem. Jednak dla tych nie licznych kobiet, które w wyniku sztucznego zapłodnienia zostawały matkami, wynalazek był darem niebios.

Doktor Ward wykonała Pilar podstawowe badania krwi, wypisała receptę na chlomifen, zleciła codzienne mierzenie temperatury i prowadzenie wykresu. Dała jej też zestaw do samodzielnego oznaczania poziomu hormonu luteinizującego (LH), aby mogła rozpoznać moment, w którym nastąpi owulacja.

- Czuję się, jakbym wstąpiła do komandosów! - wyznała Pilar mężowi, kiedy opuszczali gabinet doktor Ward, zaopatrzeni w recepty i szczegółowe instrukcje, kiedy i jak często mają współżyć ze sobą, a kiedy powstrzymać się od tego.

- Mam nadzieję, że przesadzasz, ale ją polubiłem, a ty? - Bradowi zaimponowała inteligencja lekarki i trafiły mu do przekonania jej stosunkowo konserwatywne poglądy. Nie zachłystywała się bowiem bezkrytycznie nowinkami, o których Pilar tyle się naczytała.

- Ja też - zgodziła się, choć była nieco rozczarowana, że lekarka nie obiecywała jej cudów. Odpowiadała im jednak, że skłaniała się ku metodom tradycyjnym, bo ze względu na wiek Pilar mieli ograniczoną możliwość wyboru.

- Taka niby zwyczajna rzecz, a jaka skomplikowana! - zauważył Brad, oszołomiony mnogością testów, leków i technicznych metod wspomagających zapłodnienie.

- W moim wieku nic już nie jest takie proste jak kiedyś! Teraz nawet maluję się dłużej!

Brad nachylił się, aby ją pocałować.

- Czy jesteś pewna, że chcesz przejść tę kurację? - zapytał z troską. - Przecież to świństwo może mieć cholerne skutki uboczne. Mało ci stresów w pracy, chcesz sobie jeszcze

dokładać tymi pieprzonymi pigułami?

- Rzeczywiście, myślałam już o tym - przyznała. - Chciała bym jednak wykorzystać wszystkie szansę.

- Dobra, w tych sprawach ty jesteś szefową - zgodził się dobrodusznie.

- Wprawdzie nie jestem, ale cię kocham.

Pocałowali się i ruszyli w drogę powrotną do Santa Barbara. Uprzednio zjedli kolację w Los Angeles i spędzili tam miłe chwile, gdyż zaświtała im nadzieja. W domu Pilar zaniósła do łazienki swoje nowe skarby - termometr, wykres temperatur i zestaw wskaźników do oznaczania hormonów w moczu, a wcześniej zrealizowali receptę na chlomifen. Miała zacząć go przyjmować dopiero za trzy tygodnie, jeśli w najbliższym cyklu nie zajdzie w ciążę w sposób naturalny. Od razu jednak musiała mierzyć temperaturę i badać mocz, a w nadchodzącym tygodniu podjąć z Bradem próbę zapłodnienia.

- Ten cały arsenał jest chyba po to, żeby dać nam nadzieję! - Uśmiechnęła się do Brada przy myciu zębów, wskazując na akcesoria rozłożone na swojej toalecie. - W porządku, jeśli musimy to robić. W końcu nigdzie nie jest powiedziane, że to ma być szybkie, łatwe i przyjemne. Najważniejszy jest wynik. - Przy tych słowach trochę spowaźniał i pocałował Pilar. - Tylko pamiętaj, wyjdzie nam, to dobrze, nie wyjdzie - drugie dobrze. Nawet jeśli zawsze będziemy tylko ty i ja, to i tak cudownie, że mamy siebie, a przy sobie tylu przyjaciół. Nie musimy mieć tego dziecka.

- Nie musimy, ale ja chcę! - Spoglądała przy tym na niego z takim smutkiem, że troskliwie otoczył ją ramieniem.

- Ja też, ale nie kosztem związanego z tym ryzyka. Wiedział bowiem z opowiadań innych, że kuracja bywa tak absorbująca, że może doprowadzić do rozpadu małżeństwa. To zaś było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął.

Pilar myślała o tym jeszcze następnego ranka w pracy. Zaraz po przebudzeniu posłusznie zmierzyła temperaturę, a wynik na niosła na wykres. Przed wyjściem do pracy rozłożyła także ze staw do oznaczania poziomu LH, składający się ze zlewki na próbkę moczu i sześciu buteleczek z odczynnikami. Pomiar wykazał jednak, że nie nastąpiła jeszcze zwiększona sekrecja LH, co oznaczało, że organizm nie jest gotowy do owulacji. Brad słusznie zauważył, że tym sposobem komplikuje się coś, co z natury swojej jest proste.

- Czym się tak smucisz? - zagadnęła ją Alicja Jackson, kiedy wpadła do jej gabinetu.

- Och, nic takiego... tak sobie tylko myślałam... - Pilar usilnie próbowała wyrzucić z pamięci dręczące ją problemy, ale nie było to takie proste, gdyż w tych dniach myśli jej zaprzętał wyłącznie temat ciąży.

- Nie musiały to być zbyt wesołe myśli! - zauważyła Alicja, przystając na chwilę z plikiem akt pod pachą. Zbierała materiały do sprawy, którą prowadził jej mąż.

- Smutne też nie, ale na pewno niełatwe! - westchnęła Pilar. - A jak tam posuwa się wasza sprawa?

- Dzięki Bogu, jesteśmy już właściwie przygotowani do rozpoczęcia procesu. I dobrze, bo nie wiem, czy wytrzymałabym następne pół roku!

Obie jednak wiedziały, że w razie konieczności Alicja wytrzymałaby nie takie sprawy. Uwielbiała współpracować z Bruceem i zbierać dla niego materiały. Pilar nieraz się zastanawiała, czy mogłaby w podobny sposób współpracować z Bradem, ale nie bardzo to sobie wyobrażała, choć ceniła jego rady. Oboje stanowili jednak zbyt silne indywidualności, o jasno sprecyzowanych poglądach, i choć świetnie się sprawdzali jako małżeństwo, podejrzewała, że nie byłiby równie dobrymi współpracownikami. Pilar wkładała więcej serca w swoją pracę i lubiła podejmować sprawy trudne, prawie niemożliwe do wygrania. Dużą satysfakcję dawało jej wtedy wygranie sprawy z korzyścią dla strony pokrzywdzonej, bo wciąż miała w sobie wiele cech dawnego obrońcy z urzędu. Brad z kolei nigdy nie wyzbył się starych, prokuratorskich nawyków, co nieraz mu wypominała, kiedy spierali się na tematy zawodowe. Trzeba jednak przyznać, że ich sprzeczki przebiegały na ogół łagodnie.

Nie mogła dłużej rozmawiać z Alicją; bo akurat zadzwonił telefon. Równocześnie połączyła się z nią recepcjonistka, zawiadamiając, że dzwoni jej matka.

- O Boże! - westchnęła i przez chwilę nie była pewna, czy ma odebrać telefon. Alicja tymczasem pomachała jej ręką i oddaliła się, dźwigając całe naręczce teczek z aktami. - Dobrze, odbiorę! - rzuciła w słuchawkę wewnętrznego telefonu i nacisnęła podświetlony przycisk w swoim aparacie. W Nowym Jorku dochodziło akurat południe i Pilar wiedziała, że jej matka ma już za sobą pięć godzin pracy w szpitalu. Pewnie teraz szykowała się do przełknięcia szybkiego lunchu, a potem czekało ją dalsze pięć lub sześć godzin przyjmowania pacjentów. Mimo wieku narzucała sobie mordercze tempo i wydawała się niezniszczalna. Brad wyraził się kiedyś, że to dobrze wróży Pilar, ale ta nie wierzyła we wróżby. Sama osądzała matkę surowiej, wyrokując, że jest za bardzo nakręcona, żeby zwolnić tempo, a zanadto skąpa, żeby przestać pracować.

- Cześć, mamo! - przywitała ją obojętnym tonem, zastanawiając się, jaki jest prawdziwy powód telefonu matki. Zwykle bowiem czekała, aż Pilar pierwsza do niej zadzwoni, choćby to trwało miesiąc lub dłużej. Może znów wybierała się na jakiś kongres? - Jak się miewasz?

- Dobrze, tylko akurat przez Nowy Jork przeszła dziś fala upałów. Chwała Bogu, że

choć klimatyzacja na razie działa. A co u ciebie i Brada? - To co zawsze, harujemy jak dzikie osły. - W duchu dodała „i próbujemy zrobić dziecko”. Wyobraziła sobie, jaką minę zrobiłaby matka, gdyby to usłyszała. - Ostatnio byliśmy szalenie za jęci, bo Brad prowadził skomplikowaną sprawę, a przez moją kancelarię przewinęło się chyba pół Kalifornii.

- W twoim wieku powinnaś za wszelką cenę starać się o aplikację sędziowską, jak twój ojciec i Brad. Nie musiałabyś wtedy bronić wszystkich szumowin Kalifornii. - To była typowa odzywka pani doktor Graham. Rozmowa z nią składała się z samych wyrzutów, oskarżeń, inkwizytorskich pytań i wyczuwalnej dezaprobaty. - Twój ojciec był młodszy od ciebie, kiedy został sędzią, a w twoim wieku powołano go już w skład Sądu Apelacyjnego.

- Wiem o tym, mamó, ale lubię swoją pracę, a nie wydaje mi się, żeby w naszym domu starczyło miejsca dla dwojga sędziów. Poza tym większość moich klientów to nie żadne szumowiny! - Była zła na samą siebie, że próbowała się tłumaczyć, ale matka zawsze prowokowała ją do przyjęcia postawy zaczepno-odpornej.

- Jeśli dobrze cię rozumiem, nadal bronisz tych samych ludzi, w których imieniu stawałaś jako obrońca z urzędu?

- Nie, ci mają więcej pieniędzy. A co tam u ciebie? Nadal tyle pracujesz?

- O tak. Ostatnio nawet dwa razy musiałam stawać w sądzie jako biegły. Obie sprawy były bardzo ciekawe i obie wygraliśmy!

Elizabeth Graham nigdy nie grzeszyła zbyt dużą skromnością, ale przynajmniej łatwo można było przewidzieć jej reakcje.

- Ach, tak! - rzuciła luźno Pilar. - Przepraszam cię, mamó, ale naprawdę mam pilną robotę. Zadzwoń do ciebie niedługo, na razie uważaj na siebie!

Czym prędzej odłożyła słuchawkę z poczuciem klęski osobistej, które zawsze towarzyszyło jej rozmowom z matką. Nigdy nie wychodziła z nich zwycięsko i po tylu latach nawet do tego przywykła. Matka była niereformowalna, to raczej Pilar musiała rewidować swoje oczekiwania. Przeważnie tak właśnie było, ale czasem trafiały się chwile, choćby takie jak teraz, kiedy spodziewała się po niej czegoś więcej. Na pewno jednak starsza pani nie przeistoczy się już w ciepłą, życzliwą i wyrozumiałą matkę, jaką Pilar zawsze chciała mieć. Na ojca pod tym względem też nigdy nie mogła liczyć, ale teraz jej potrzeby w tym zakresie zaspokajał Brad. Czując matkę, zawsze gotową do pomocy, zastępowała jej Marina i w tej roli nigdy dotąd nie zawiodła.

Korzystając z przerwy w obradach sądu, zadzwoniła do Mariny; by podziękować jej za protekcję u doktor Ward. Marina się ucieszyła, że polecona przez nią lekarka zaspokoiła oczekiwania koleżanki.

- I co ci powiedziała? Dawała jakąś nadzieję?

- Nawet dużą. Przynajmniej nie straszyla, tak jak moja matka, że w moim wieku urodzę z pewnością upośledzone dziecko. Zapowiedziała tylko, że to wymaga więcej czasu i wysiłku.

- Jestem pewna, że Brad chętnie dołoży starań w tym kierunku!

- Owszem, sam to zaproponował! - zaśmiała się Pilar. - Do stałam jeszcze jakieś pigułki, które albo pomogą, albo nie. W najgorszym razie dają mi przynajmniej nadzieję, bo przecież nie jestem już taka młoda.

- W każdym razie młodsza niż moja mama, która urodziła ostatnie dziecko w pięćdziesiątym drugim roku życia.

- Daj spokój, nie strasz mnie. Obiecuj, że u mnie to się stanie przed pięćdziesiątką!

- Tego w żadnym razie nie mogę ci obiecać! - Marina roześmiała się dobroduszenie. - Jeśli Bóg chce, żebyś zaszła w ciążę w wieku lat dziewięćdziesięciu, to zajdziesz. Poczytaj tylko „Enquirer”!

- Aleś mnie pocieszyła! Tu idzie o moje życie, pani sędzino, nie o muzeum osobliwości. Wystarczającej rozrywki dostarczył mi telefon od mojej ukochanej mamuski.

- A czym znów cię pocieszyła?

- Falą upałów w Nowym Jorku i przypomnieniem, że mój ojciec w moim wieku był już sędzią Sądu Apelacyjnego.

- Jak to ładnie z jej strony, że ci o tym przypomniwała! Nie miałam pojęcia, że z ciebie taki nieudacznik.

- Nawiasem mówiąc, ona uważa, że powinnam zajmować się tym, co ty.

- Też tak uważam, ale to temat na oddzielne opowiadanie. Na razie wrobiono mnie w sprawę o spowodowanie wypadku drogowego pod wpływem alkoholu. Potrzebne mi to było jak drzazga w tyłku! Oskarżony wyszedł bez szwanku z rozbitego samochodu, ale wcześniej zdążył przejechać trzydziestoletnią kobietę w ciąży, matkę trojga dzieci! Na szczęście, decyzja będzie należała do ławy przysięgłych.

- Rzeczywiście, ponura sprawa - przyznała ze współczuciem Pilar. Lubiła rozmawiać z Mariną i ceniła jej przyjaźń, bo jeszcze nigdy się na niej nie zawiodła.

- I zapowiada się na jeszcze bardziej ponurą. Trzymaj się na razie, pogadamy kiedy indziej. Może zjemy razem lunch, jeżeli znajdziesz trochę czasu?

- Zadzwoń do ciebie.

- Dzięki. Cześć na razie!

Jednak ani w tym, ani w następnym tygodniu przyjaciółki nie mogły wykroić wolnej



chwili na lunch, gdyż były zanadto zajęte. Dopiero Brad oderwał Pilar od pracy, proponując wspólny wyjazd na kilka dni do Carmel Valley, gdzie znał przytulny, romantyczny hotelik. Zapowiadał się bowiem, według jego słów, „błękitny tydzień”, gdyż wskaźnik do mierzenia poziomu LH zabarwił się na niebiesko, co oznaczało gwałtowny wzrost wydzielania tego hormonu, czyli zbliżającą się owulację. Brad uważał, że korzystniejsze dla planowanego poczęcia byłoby takie miłe otoczenie niż ustawiczne stresy, na jakie oboje byli narażeni w pracy.

Ostatnie dni przed wyjazdem cechowały się wyjątkowym na wałem zajęć, toteż do hotelu przyjechali przemęczeni. Bardzo potrzebny był im pobyt we dwoje w luksusowych warunkach, z dala od telefonów, akt i pism urzędowych.

W Carmel mile spędzali czas, buszując po urokliwych sklepikach ze starociami. Brad wyszperał dla Pilar mały obrazek w stylu impresjonistów, przedstawiający matkę z dzieckiem na plaży o zmierzchu. Wiedziała, że gdyby teraz zaszła w ciążę, ten prezent zawsze miałby dla niej specjalne znaczenie.

Po dwóch dniach, szczęśliwi i odprężeni, wrócili do Santa Barbara z przekonaniem, że zrobili to, co trzeba. Pilar była tego prawie pewna tak długo, dopóki nie dostała kolejnego okresu. Zaczęła więc przyjmować chlomifen, którego skutki uboczne okazały się dokładnie takie, przed jakimi przestrzegala lekarka.

Czuła się bezustannie podminowana, drażniło ją każde słowo Brada, a swoją sekretarkę miała ochotę udusić przynajmniej sześć razy dziennie. Musiała całą siłą woli panować nad sobą, aby nie obrażać klientów, a na sali rozpraw wdała się w zajadły spór z sędzią. Żyła więc w stałym napięciu, co powodowało stan wiecznego zmęczenia.

- Ale jestem miła, prawda? Musisz być tym zachwycony! - podpuszczała Brada. W tych dniach słabo tolerowała samą siebie, więc tym bardziej współczuła jemu. Wyglądało to gorzej, niż przewidywała, ale warto było przecierpieć, jeśli miałyby to do prowadzić do poczęcia dziecka.

- Mniejsza z tym, byle coś to dało! - Brad usiłował podtrzymać ją na duchu.

Okazało się jednak, że nie pomagało. Minęło już pięć miesięcy ich bezowocnych prób, więc doktor Ward wyznaczyła termin sztucznej inseminacji na tydzień przed Świętem Dziękczynienia.

Przed podjęciem ostatecznej decyzji oboje obszernie przedyskutowali ten problem z lekarką, która zapewniła ich, że wierzy w skuteczność wybranej metody. Pilar musiała przyjmować podwójną dawkę chlomifenu, i wcale nie była tym zachwycona. I bez tego trwała w ustawicznym napięciu nerwowym. Doktor Ward przekonała ją jednak, że efekt może być

wart tego. Zarezerwowali więc pokój w hotelu Bel Air w terminie przewidzianym na podstawie spektrum działania leku i zmian w jej wykresie temperatury. Doktor Ward uprzedziła ich, aby na trzy dni przed zabiegiem powstrzymali się od współżycia, gdyż mogłoby to nadmiernie rozrzedzić nasienie Brada.

- Czuje się jak koń wyścigowy na treningu! - zartował Brad w drodze do Los Angeles.

Pilar w tym czasie czuła się prawie normalnie, gdyż ostatnią dawkę chlomifenu zażyła pięć dni temu. Każdy dzień, w którym nie pękała jej głowa i nie kłóciła się z Bradem, wydawał się darem niebios.

Od razu po przyjeździe skierowali się do gabinetu doktor Ward, która zrobiła Pilar USG i była zadowolona z wyniku. Zrobiła jej zastrzyk z HCG i poleciła powtórnie zjawić się około południa następnego dnia. Oznaczało to, że mieli do dyspozycji całe popołudnie i noc. Mogli robić wszystko, co chcieli, z wyjątkiem seksu. Świadomość tego wywołała u nich niepokój połączony z podnieceniem.

- Może już jutro o tej porze będę w ciąży? - szeptała niespokojnie, więc Brad na pocieszenie kupił jej na Rodeo Drive antyczną spinkę z brylancikiem w kształcie serduszka. Resztę popołudnia spędzili na zakupach u Freda Haymana, co było pewną ekstrawagancją, ale postanowili podarować sobie odrobinę luksusu, bo nie wiedzieli, czy wkrótce nie pogorszą im się humory.

Wstąpili więc na drinka do hotelu Beverly Hills, kolację zjedli w Spago, a wieczorem długo przechadzali się po ogrodach hotelu Bel Air, podziwiając łąbędzie. Z trudem zasnęli, nękani myślami o czekającym ich dniu.

Następnego dnia zdenerwowani wsiadali do windy w budynku, gdzie mieścił się gabinet doktor Ward.

- Czuję się jak panienka, która ma stracić wianek! - szepnęła Pilar do Brada.

On zaś nie bardzo mógł sobie wyobrazić pobieranie nasienia w gabinecie lekarskim. Pani doktor zapewniła go, że nie musi się z tym spieszyć, a Pilar będzie mogła mu pomóc, ale sytuacja wydawała się kłopotliwa dla obojga. Okazało się jednak, że poszło im łatwiej, niż przypuszczali.

Oddzielnym wejściem wpuszczono ich do pomieszczenia, które wyglądało na dobrze wyposażony pokój hotelowy. Znajdowało się tam łóżko, telewizor i magnetowid z zapasem pornokaset, stos „świerszczyków” i odpowiednio dobrane akcesoria pobudzające. Na stole zaś pozostawiono zlewkę, do której w odpowiednim momencie pacjent mógł oddać nasienie.

Pielęgniarka nie udzieliła przybyłym żadnych instrukcji, kiedy mają zabrać się do rzeczy ani ile mają na to czasu. Spytała tylko, czy napiją się kawy, herbaty, czy może czegoś

zimnego. Po jej wyjściu Pilar parsknęła śmiechem na widok miny Brada, skupionego i starannie ubranego.

- Zupełnie, jakbyśmy wynajęli pokój na godziny! - zachichotała, zarażając i jego wesołością.

- A skąd wiesz, jak wyglądają takie pokoje?

- Czytałam o nich w pismach... - Nie przestawała się śmiać, dopóki nie pociągnął jej na łóżko obok siebie.

- Chryste, jak mogłem dać się w coś takiego zrobić! - jęknął.

- Też się nad tym zastanawiałam. Wiedz tylko, że nie będę miała pretensji, gdybyś teraz chciał się wycofać. I tak zrobiłeś dla mnie aż za wiele. Może rzeczywiście posunęłam się za daleko?

Prawdę mówiąc, czuła się winna, że zmuszała Brada do poddania się takiej, chyba upokarzającej, procedurze. W końcu to jej ciało, nie jego, odmawiało posłuszeństwa, a gdyby wcześniej zgodziła się urodzić mu dziecko - nie mieliby tych wszystkich kłopotów.

- Czy ty nadal pragniesz mieć dziecko, Pilar? - zapytał oględnie, a kiedy ze smutkiem przytaknęła, dodał: - No więc nie masz się czym martwić i możemy fajnie się zabawić.

Wstał i włożył do magnetowidu kasetę z filmem erotycznym. Pilar na początku czuła się skrępowana, ale potem również doszła do wniosku, że to świetna zabawa. Pomogła Bradowi się rozebrać i sama też to zrobiła. Wspomagając pieścizotami bodźce odbierane z ekranu doprowadziła go do szybkiego podniecenia, a kiedy już był gotów do spełnienia - podstawiła zlewkę. Wkrótce osiągnęli zamierzony cel i Brad mógł spokojnie odpocząć w jej objęciach. Oboje zetknęli się dziś z czymś dla nich zupełnie nowym, co nie znaczy, że nieprzyjemnym.

Wzięli szybko prysznic, ubrali się i zadzwonili na pielęgniarkę. Wręczyli jej napełnioną zlewkę, a ona poprosiła Pilar, aby poszła za nią. Brad spytał, czy może do nich dołączyć. Dotychczas towarzyszył jej przy wszystkich zabiegach związanych z zapłodnieniem, i tym razem pragnął być przy niej.

Pielęgniarka nie miała nic przeciwko temu, więc Pilar przebrała się w koszulę i położyła na stole zabiegowym. Po niedługim czasie pojawiła się doktor Ward i przeniosła wypłukane na sienie do strzykawki. Do macicy Pilar wprowadziła cewnik, przez który wstrzyknęła nasienie, a po usunięciu cewnika poleciła pacjentce, by leżała jeszcze przez pół godziny. Zostawiła Pilar samą z Bradem, który żartował, że coś podobnego można by zrobić przy użyciu szprycy do nadziewania indyka.

- Sama czuję się jak nadziewany indyk! - westchnęła Pilar. Wprawdzie zabieg był

prosty, ale jednak okazał się męczący. Najbardziej wyczerpywały ją psychicznie dotychczasowe daremne próby. - Założę się, że tym razem zaskoczysz! - zapewnił ją Brad z nadzieją w głosie. - Słuchaj, musimy sobie kupić tę kasetę!

Oboje roześmiali się na wspomnienie filmu oglądanego w sąsiednim pokoju. Na szczęście umieli podchodzić do całej sprawy z odpowiednim dystansem, choć nie zawsze było to łatwe.

- No więc to by było na razie tyle. - Doktor Ward zjrzała jeszcze do nich, zanim wyszli. Przypomniała Pilar, że badania poziomu hormonów dały pozytywne wyniki, a szczególnie wysoki okazał się poziom progesteronu, odkąd zaczęła przyjmować chlomifen. Uprzedziła jednak, że przeprowadzony dziś zabieg trzeba czasem powtarzać sześć do dziesięciu razy, zanim zaskoczy.

- W najbliższym czasie będziecie mnie oglądać częściej niż swoich krewnych i znajomych! - przestrzegła, ale Colemanowie oświadczyli, że nie mają nic przeciwko temu.

Na odchodnym życzyła im jeszcze miłego Świąta Dziękczynienia, i poprosiła Pilar, żeby zadzwoniła do niej za dwa tygodnie i powiadomiła, czy ma okres, czy nie.

- Odezwę się do pani doktor w obu przypadkach - obiecała Pilar, dodając w duchu, że najchętniej powiadomiłaby ją o pozytywnym wyniku. W przeciwnym razie musieliby powtarzać ten zabieg po raz drugi, trzeci i tak dalej, aż się uda, albo im się odechce. Miała nadzieję, że dojdzie do skutku wariant pierwszy.

Chętnie porozmawiałaaby z doktor Ward o jeszcze jednej metodzie, o której już gdzieś czytała, znanej pod skrótową nazwą GIFT, co oznaczało zabieg zbliżony do zapłodnienia in vitro, ale skuteczniejszy dla kobiet po czterdziestce. Ale lekarka nie chciała nawet brać takiej ewentualności pod uwagę. Wierzyła w skuteczność inseminacji domacicznej i uważała, że jeszcze za wcześnie myśleć o bardziej inwazyjnych metodach.

Wracali więc do domu w pogodnym nastroju, a ostatnie dni zbliżyły ich do siebie jeszcze bardziej. Tydzień poprzedzający Święto Dziękczynienia zapowiadał się spokojnie, a Pilar starała się w tych dniach nie przepracowywać.

Na sam dzień świąteczny zapowiedzieli się z wizytą Nancy i Tommy z małym Adamem. Todd wyjechał na narty do Denver, ale obiecał, że odwiedzi ojca i macochę na Boże Narodzenie.

Adam skończył pięć miesięcy, więc już potrafił rozkosznie gaworzyć, a w dolnej szczęce wyrznęły mu się dwa zębki. Brad oczywiście szalał za nim, a i Pilar chętnie trzymała go na rękach. Nancy wyraziła zdziwienie, że macocha tak świetnie sobie z nim radzi.

- Może mam wrodzony instynkt macierzyński? - żartowała Pilar, ale ani ona, ani Brad,

nie pisnęli słówkiem o swoich próbach poczęcia dziecka. Uważali to za sprawę zbyt ważną, a Pilar nie mogła się już doczekać, kiedy przekona się, czy jest w ciąży.

Po odejściu młodych Pilar odetchnęła z ulgą, że nareszcie zostali z Bradem sami. Podzieliła się z nim nadzieją, że inseminacja dała wynik pozytywny.

- Zobaczymy! - Brad się uśmiechnął, ale coś w jej spojrzeniu dało mu do myślenia. Przypomnił sobie podobne spojrzenie z przeszłości i doszedł do wniosku, że ta nadzieja może mieć realne podstawy.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Tegoroczne Święto Dziękczynienia stało się dla Diany i Andyego koszmarem. I bez tego w ciągu ostatnich trzech miesięcy ich życie zmieniło się w piekło. Chwilami Andy czuł, że nie wytrzyma tego dłużej. Nie mógł już normalnie rozmawiać z Dianą, bo albo użalała się nad sobą, albo wyładowywała na nim swoją złość na wszystko i wszystkich. Miała pretensję do losu, że tak ciężko ją doświadczył, choć Andy nie był niczemu winien, a wszystkie przeciwności sprawiedliwie z nią dzielił, choć nie wiedział, jak długo jeszcze będzie mógł to ciągnąć.

W październiku sytuacja zaostrzyła się jeszcze bardziej, gdy Denise oznajmiła, że zaszła w ciążę. Wyliczyła sobie, że poczęcie nastąpiło dokładnie w noc poślubną, co Diana uznała za okrutną ironię losu. Rozgoryczona, nie chciała więcej widzieć Denise ani Billa, przez co Andy poczuł się jeszcze bardziej samotny.

Z Eloise też nie chciała rozmawiać o niczym poza sprawami ściśle zawodowymi. Ani razu nie wymieniła przy niej nazwiska doktora Johnstona, z czego Eloise poniewczasie wywnioskowała, że musiało się zdarzyć coś strasznego.

Stopniowo Diana przestała widywać przyjaciół, tak swoich, jak Andyego. Oni też się nie odzywali, toteż jeszcze przed Świętem Dziękczynienia okazało się, że są zupełnie sami. Najbardziej nieszczęśliwy z tego powodu był Andy.

Diana dopełniła jeszcze miary nieszczęść, kiedy przyjęła za prośzenie od swoich rodziców w Pasadenie, aby spędzić u nich Święto Dziękczynienia. Andy próbował skłonić ją, by odwołała wizytę, ale pod żadnym pozorem nie chciała się na to zgodzić.

Prawda, że od miesięcy nie widywali nikogo, ale jej krewni byli ostatnimi osobami, z którymi w tym czasie powinna się kontaktować.

- Po co ci to?

- Chyba to moja rodzina, prawda? Co, mam im powiedzieć, że nie chcę ich więcej znać dlatego, że jestem bezpłodna?

- Nie o to chodzi, ale sama wiesz, że przeżywasz teraz trudne chwile. Twoje siostry zaczną ci znów zadawać wścibskie pytania, tym bardziej że Samanta jest już w szóstym miesiącu. Po co masz się denerwować? - Chętnie powiedziałby raczej „siebie i mnie”, ale się powstrzymał.

- Mimo wszystko to moja siostra.

Andy nie potrafił zrozumieć motywów jej postępowania. Sprawiała wrażenie, jakby

chciała się ukarać za coś, w czym nie było jej winy. Przed laty zastosowała niewłaściwy środek antykoncepcyjny, a teraz płaciła za to stanowczo zbyt wysoką cenę. Miała pecha po prostu, ale to nie oznacza, że ten pech miał na zawsze zaciążyć nad jej życiem.

- Wydaje mi się, że nie powinniśmy tam jechać. - Andy próbował ją przekonywać do ostatniej chwili, ale Diana za nic nie chciała odwołać wizyty. Dopiero na miejscu przekonała się, że popełniła błąd.

Trafiła akurat na wyjątkowo zły humor Gayle, która była paskudnie przeziębiona, a na dodatek dzieci tego dnia dały się jej szczególnie we znaki. Pokłóciła się nawet o to z matką, która uważała, że powinna trzymać je krócej. Jack w tym sporze nie stanął po stronie żony, o co też miała do niego pretensje. Trzeba trafu, że w tym momencie zjawiała się Diana, więc frustracja Gayle skupiła się na niej. Andy przewidywał, że będzie to raczej nieudany wieczór i coraz bardziej żałował, że dał się namówić na to wyjście.

- No, dziękuję ci, żeś przyszła wcześniej, aby nam pomóc! - napadła na nią Gayle już od progu, ledwo Diana zdążyła zdjąć płaszcz. - Coś do tej pory robiła, manicure czy może się wylegiwałaś?

- A ciebie co znów napadło? - odcięła się Diana. Do pokoju weszła Samanta. Andy aż jęknął, bo swymi monstrualnymi kształtami przypomniła karykaturę kobiety w ciąży. Ostatni raz widział ją Czwartego Lipca i zauważył, że Dianę zmroziło na jej widok.

- Gayle się wnerwia, bo mama przygadała jej, że dzieciaki rozrabiają jak pijane zające! - wyjaśniła Samanta, splatając ręce na wydatnym brzuchu. - Miała rację, bo moje też. A co u ciebie słychać?

- U mnie wszystko w porządku, a co u ciebie, to widzę! - wycodziła lodowato Diana.

- Gruba jestem, prawda? Seamus mówi, że wyglądam jak Budda!

Diana zdobyła się na uśmiech i wymknęła się do kuchni, aby porozmawiać z matką.

Matka wyglądała dobrze i wyraźnie ucieszyła się na widok córki. Uwielbiała organizować wszystkim życie, więc przez ostatnie dwa miesiące nie miała wolnej chwili. Dlatego nie spostrzegła, kiedy córka wymknęła się spod kontroli. Sądziła, że Diana jest zajęta pracą, ale dopiero teraz zwróciła uwagę na dziwny wyraz jej oczu i mizerny wygląd.

- Chwała Bogu, że znalazłaś czas, by przyjść do nas - zawołała uradowana, bo lubiła mieć wokół siebie wszystkie dzieci i wnuki, nawet gdy zanadto rozrabiały. - Co tam u ciebie, wszystko w porządku?

- Dziękuję, jak najbardziej - zbyła ją Diana. Bardzo kochała matkę, ale nie mogła się zdobyć, aby opowiedzieć jej o laparoskopii i o innych swoich przejściach. Zakładała, że kiedyś wyzna matce wszystko, także i to, że okazała się bezpłodna, ale na razie jeszcze nie

była do tego gotowa.

- Chyba za ciężko pracujesz! - ofuknęła ją matka, przekonana, że to stresująca praca doprowadziła córkę do takiego stanu.

Tymczasem indyk zrumienił się na złotobrazowy kolor i roztaczał cudowną woń.

- Inaczej niż jej siostry! - mruknął ojciec, który akurat wszedł do kuchni.

- One mają dosyć roboty przy dzieciach. - Matka stanęła w obronie córek. Bardzo kochała wszystkie swoje dzieci, podobnie jak ojciec, choć ten czasem je krytykował. Najbardziej ze wszystkich córek wyróżniał Dianę, więc zmartwił się, że wygląda na zmęczoną i nieszczęśliwą.

- Jak tam prosperuje wasze pismo? - zapytał, jakby to ona była jego właścicielką.

- Świetnie, zwiększamy nakład, bo dobrze się rozchodzi - od powiedziała z uśmiechem.

- Ładnie to wydajecie. Widziałem egzemplarz z poprzedniego miesiąca.

Ojciec nigdy nie szczędził jej wyrazów uznania, więc teoretycznie nie miała powodów do popadania w kompleksy. Ale tylko teoretycznie, bo wiedziała, że zawiodła rodzinę pod względem tego, na co wszyscy liczyli. Nie mogła mieć dzieci!

- Dziękuję, tatusiu. - Tyle tylko zdążyła powiedzieć, bo do kuchni zajrzeli jej obaj szwagry, dopytując się, kiedy będzie kolacja.

- Cierpliwości, chłopcy! - Teściowa uśmiechnęła się i wyprosiła z kuchni wszystkich z wyjątkiem Diany. - Na pewno dobrze się czujesz, kochanie? Nic ci nie dolega?

Przyjrzała się dokładnie średniej córce, wyraźnie bladej i zmęczonej. Pamiętała przecież, jaka to zawsze była bystra i sumienna dziewczyna. Czyżby Andy nie spisywał się tak jak trzeba?

- Ależ skąd, mamó. Czuję się świetnie! - skłamała, odwracając się, aby matka nie dostrzegła łez w jej oczach. Na szczęście w tym momencie do kuchni wpadły dzieci, więc mogła się wycofać pod pretekstem odprowadzenia ich do matek. Andy obserwował ją z boku, bo nie podobało mu się to, co widział w jej oczach. Zdawała się umierać od środka i rozpaczliwie szukała kogoś, kogo mogłaby obciążyć winą za ten stan rzeczy. Wydawało się, że lada chwila wybuchnie, ale, co gorsza, nie było na to rady.

Ojciec Diany odmówił modlitwę przed posiłkiem i wszyscy zaczęli zajmować miejsca. Diana usiadła między swoimi szwagrami, Andy po przeciwnej stronie stołu, między jej siostrami. Gayle nie zamykały się usta - paplała o wszystkim i o niczym, od komitetów rodzicielskich do zarobków lekarzy, przez cały czas wtrącając zawołowane aluzje do braku potomstwa w jego małżeństwie. Przez uprzejmość potakiwał, od czasu do czasu zamieniając



parę słów z Samantą, która jednak mówiła wyłącznie o swoich dzieciach - tych, które już miała, i o tym, które dopiero miało się urodzić. Zaserwowała też Andyemu najnowsze plotki o sąsiadach - kto się niedługo miał żenić, kto umarł, a komu urodziło się dziecko. W połowie kolacji Diana miała już serdecznie dość tej gadaniny.

- Chryste, czy wy już nie umiecie mówić o niczym innym? - wybuchnęła. - W kółko tylko ciąży, porody, krwotoki, ile kto już ma dzieci, a ile dopiero będzie miał... Szkoda, że nie rozmawiacie jeszcze o cytologii!

Ojciec z drugiego końca stołu spojrział na nią ze zdziwieniem, a potem przeniósł na żonę wzrok pełen z troskaniem. Z Dianą stanowczo działo się coś bardzo niedobrego!

- A któż by gadał o takich rzeczach? - zgorszyła się Samanta, jedną ręką trzymając się za plecy, a drugą za brzuch. - O rany, niech ten bachor wreszcie przestanie mnie kopać!

- Na miłość boską! - wykrzyknęła Diana, odsuwając się wraz z krzesłem od stołu. - Gówno mnie obchodzi, co wyrabia twój pieprzony bachor. Nie możesz przymknąć się choćby na dziesięć minut?

Samanta spojrzała na nią rozszerzonymi oczyma i z płaczem wypadła z pokoju. Tymczasem Diana, już w płaszczu, próbowała usprawiedliwić przed rodzicami swoje zachowanie.

- Przepraszam, mamusiu... tatusiu... Po prostu nie mogę tego słuchać. Nie powinnam była w ogóle do was przychodzić...

Jednak jej starszej siostrze to nie wystarczało. Szła ku niej z twarzą wykrzywioną taką złością, jakiej Diana nie widziała u niej od czasu, kiedy jeszcze w czasach szkolnych spaliła jej nowe elektryczne lokówki.

- Jak śmiesz zachowywać się w taki sposób w domu swoich rodziców? - syczała. - Kim jesteś, żeby się tak do nas odzywać?

- Daj spokój, Gayle... - Andy próbował ją mitygować. - Diana ostatnio jest w złym nastroju. Miała ciężkie przeżycia. Rzeczywiście nie powinniśmy byli tu przychodzić.

Seamus wybiegł za Samantą, aby ją pocieszyć, gdyż płakała w łazience. Dzieci zaczepiały się wzajemnie, aż w końcu uciekły od stołu. Rodzice patrzyli na to zamieszanie z przerażeniem.

Tylko Gayle nie dała się tak łatwo zbić z pantałyku. Długo tłumiona zazdrość, która wzbierała w niej przez całe lata, znalazła nareszcie ujście.

- Ciekawe, co ona tak przeżywa! - szydziła. - Swoją pracę? Swoją karierę? Wielka mi absolwentka Stanfordu, za mądra i ważna, żeby mieć dzieci i żyć jak my wszyscy! I proszę, co ci dała ta twoja kariera? Wielkie gówno, moja mądra pani redaktorko!

- My chyba już pójdziemy, do widzenia... - Diana spoglądała rozpaczliwie na Andyego, zawiązując pasek płaszcza. Wołała nie ryzykować odpowiedzi na złościwości siostry, gdyż obawiała się, że może nie zapanować nad sobą. - Tak mi przykro, mamusiu...

Serce się jej krajało, gdy widziała utkwione w siebie spojrzenie ojca. Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby go zawiodła, ale nie mogła nic na to poradzić.

- Powinno ci być przykro! - wykrzyczała jej w twarz Gayle oskarżycielskim tonem. - Popsułaś święto nam wszystkim!

Ta ostatnia aluzja dotyczyła także Samanty, która wyszła w końcu z łazienki. Właściwie miała rację, ale to one obie sprowokowały to zachowanie.

- Nie powinnam była tu przychodzić... - powtórzyła cicho Diana, już z ręką na klamce.

- Niby dlaczego nie? Wystarczyłoby, gdybyś trzymała buzię na kłódkę... - Gayle nie znała umiaru.

Tym razem jednak Diana zawróciła od drzwi i jednym skokiem znalazła się przy niej, chwytając ją za gardło.

- Jeśli się zaraz nie zamkniesz, to cię uduszę, słyszysz? Co ty w ogóle o mnie wiesz, ty głupia, bezduszna żmijo? Nie mam dzieci, bo jestem bezpłodna, rozumiesz, kretynko? Od spirali popieprzyło mi się wszystko w środku, jasne? Będziesz jeszcze trzaskać dziobem o mojej pracy, czy może o moim domu, za dużym na nas dwoje? A może pogadamy teraz o dziecku Murphych albo o bliźniętach McWilliamsów, albo tylko będziemy siedzieć i patrzeć, jak Samanta gładzi się po brzuszku? O nie, kochani, dobranoc, to nie dla mnie!

Przebiegła wzrokiem po zdumionych twarzach zebranych. Kątem oka dostrzegła, że matka i młodsza siostra płakały, a Gayle stała z rozdziawioną gębą. Zdecydowanym krokiem ruszyła do samochodu, a Andy podążył za nią, rzucając gospodarzom przepaszające spojrzenie.

Rzeczywiście, Diana urządziła swojej rodzinie niezgorszą scenę, choć upierała się, że nie dba o to. Andy w duchu był zdania, że ten wybuch dobrze jej zrobił, bo pozwolił wyrzucić z siebie nagromadzone urazy. Na kim zaś miała odreagować stres, jeśli nie na swoich najbliższych, choć musiał przyznać, że popsowała im święto.

W drodze powrotnej zauważył, że nawet nie płakała.

- Może wstąpimy gdzieś na kanapkę z indykiem? - zaproponował z uśmiechem.

Roześmiała się, co wskazywało, że mimo wszystko nie straciła poczucia humoru.

- Czy sądzisz, że to wszystko zaczyna mi się rzucać na głowę? - zapytała ostrożnie, lecz z wyraźną ulgą, że ten koszmar już się skończył.

- Nie przypuszczam, myślę raczej, że powinnaś pozbyć się tego balastu. Nie uważasz,

że nam obojgu przydałby się dobry psychoterapeuta? - W ostatnich dniach często myślał o wizycie u psychiatry, choćby po to, aby się przed nim wygadać. Z Dianą bowiem nie dało się rozmawiać, a kolegom wstydził się przyznać, co przytrafiło się w jego rodzinie. Mógł ewentualnie porozmawiać z Billem, ale teraz, kiedy Denise była w ciąży, poruszanie tego tematu wydawało mu się nie na miejscu. Z kolei bracia byli zbyt młodzi, aby doradzić mu coś sensownego. Czuł się więc, podobnie jak Diana, przygnębiony, osamotniony i przegrany. - Myślę również, że przydałyby nam się wakacje.

- Nie potrzebuję wakacji! - zaprotestowała bez namysłu, tak prędko, że Andy się roześmiał.

- Ależ oczywiście, że nie potrzebujesz! Może zaraz zawrócimy, żeby obgadać to z twoją rodziną? Albo lepiej zaczekaj do Bożego Narodzenia i spróbuj rozegrać drugą rundę. Bo nie wiem jak ty - mówił już całkiem poważnie - ale ja nie zamierzam w tym roku spędzać świąt w Pasadenie.

Musiała przyznać, że i ona się tam nie wybierała. Natomiast co do wakacji miała jeszcze wątpliwości.

- Nie jestem pewna, czy będę mogła wziąć urlop. W ostatnim czasie nie angażowała się zbyt w pracy, więc czuła się winna wobec przełożonych.

- Przynajmniej spróbuj, choćby na tydzień, to by nam dobrze zrobiło. Proponowałbym Mauna Kea na Hawajach. Wprawdzie pół mojej firmy się tam wybiera, ale większość będzie w Mauna Lani. Mówię poważnie, Di. - Kiedy spojrzała na niego, zauważyła, że ma tak nieszczęśliwą minę jak ona. - Nie zajedziemy daleko, jeśli nie doładujemy akumulatorów. Prawdę mówiąc, nie wiem, co mamy ze sobą dalej robić. Wiem tylko, że mamy problem.

Diana też zdawała sobie z tego sprawę, ale nawet nie próbowała wyjść mu naprzeciw. Pochłaniały ją wyłącznie własne cierpienia. Nie zapalała się też zbyt do spędzenia wspólnych wakacji z mężem, aczkolwiek projekt poddania się terapii nawet się jej spodobał.

- No dobrze, spróbuję wystąpić o urlop! - obiecała bez przekonania, choć w głębi duszy przyznawała mu rację. Gdy zbliżali się do domu, dodała ze smutkiem: - Andy, jeśli chcesz odejść, zrozumieć to. Należy ci się więcej, niż jestem ci w stanie dać.

- Należy mi się przede wszystkim to, co mi przyrzekłaś przed ołtarzem - sprostował. - Że będziesz ze mną na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Z tej przysięgi nie zwalnia nas to, że nie możesz mieć dzieci. Zgadzam się, że to okropne, mnie też to boli, ale ożeniłem się przede wszystkim z tobą i ciebie kocham. A że nie mamy dzieci to trudno, widać tak już ma być. Może kiedyś zdecydujemy się na adopcję albo wynajdą jakiś nowy rodzaj lasera, żeby ci odetkać to w środku, a nawet jeśli nie, to nic nie

szkodzi. Di... Ja po prostu chciałbym odzyskać moją żonę.

Łzy mu ściekały po policzkach, kiedy ją trzymał za rękę.

- Kocham cię! - wyszeptła. Oboje przeżywali ciężkie chwile, na domiar złego Diana wiedziała, że dla niej na tym się nie skończy. Obawiała się, że nigdy już nie będzie taka sama jak przedtem. - Tylko, widzisz, sama jeszcze nie wiem, co z tego wyniknie i kim teraz będę...

- Na pewno będziesz kobietą, która wprawdzie nie może mieć dzieci, ale za to ma kochającego męża... kobietą po ciężkich przejściach, ale poza tym tą samą co zawsze. Właściwie nic się nie zmieniło, najwyżej mały fragment naszej przyszłości.

- Jak możesz mówić, że mały? - Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

W odpowiedzi tylko ścisnął ją mocniej za rękę, żeby przywrócić jej poczucie rzeczywistości.

- Pewnie, że mały. A gdybyśmy, na przykład, mieli dziecko i ono by umarło? Jasne, to byłoby straszne, ale świat na tym by się nie skończył. Musielibyśmy jakoś żyć dalej. - A jeśli nie damy rady? - spytała ponuro.

- Jakie mamy wyjście? Dalej niszczyć się nawzajem i rozbić takie dobre małżeństwo? Nie chce cię stracić. Di. Oboje straciliśmy już dosyć, więc proszę cię... proszę, pomóż mi ratować nasz związek!

- Dobrze... spróbuję... - obiecała ze smutkiem, choć nie bardzo wiedziała, od czego zacząć, aby znowu było tak, jak przedtem. Nawet w pracy spisywała się ostatnio nie najlepiej i wiedziała o tym.

- O to właśnie chodzi, żebyś próbowała. Dzień po dniu, krok po kroku, aż w końcu nam się uda.

Pocałował ją w usta, ale wiedział, że na razie nie ma co liczyć na więcej. Nie żyli ze sobą od dnia Święta Pracy, bo odkąd zapowiedziała mu, że to już nie ma sensu - nie śmiał się do niej zbliżyć. Zachowywała się, jakby jej życie się na tym skończyło i nie liczyło się nic więcej. Dzisiejszy wieczór zapalił w nim nikłą iskierkę nadziei na powrót do czasów sprzed fatalnej diagnozy doktora Johnstona.

Jeszcze raz pocałował Dianę i pomógł jej wysiąść z samochodu. Do domu weszli, trzymając się pod rękę, co było najwyższym stopniem bliskości, jaki osiągnęli od miesiący. Andy czuł taką ulgę, że aż chciało mu się płakać. Zaczął odzyskiwać nadzieję, że uda się im uratować ich małżeństwo. Może w gruncie rzeczy to Święto Dziękczynienia wyjdzie im na dobre. Diana nie mogła powstrzymać się od śmiechu na wspomnienie miny Gayle. Musiała przyznać, że zachowała się skandalicznie, ale w skrytości ducha odczuwała także pewną satysfakcję.

- Na pewno dobrze jej to zrobiło! - Andy się roześmiał, asystując jej w drodze do kuchni. - Wiesz co? Może byś tak zadzwoniła do mamy i uspokoiła ją, że dobrze się czujesz, a ja tymczasem zrobię ci specjalną, świąteczną kanapkę z włoską kiełbasą, dobrze?

- Kocham cię! - wyszeptała. Andy znów ją pocałował, a wtedy wybrała numer telefonu swoich rodziców. Słuchawkę podniósł jej ojciec, w tle słychać było wrzaski dzieci.

- Tatusiu, to ja... Tak mi przykro...

- Martwiłem się o ciebie. Wstyd mi, że nie domyśliłem się, co teraz przeżywasz.

- Nie martw się. Może ten wieczór dobrze mi zrobił, przykro mi tylko, że zepsułam wam święto.

- Nie tak bardzo. - Ojciec uśmiechnął się do żony i próbował mimicznie dać jej znać, że rozmawia z Dianą. - Dzięki temu zyskaliśmy nowy temat do plotek i od razu zrobiło się ciekawiej.

Żartował, ale matce Diany wcale nie było do śmiechu. Telefon od córki przyniósł jej tylko nieznaczną ulgę.

- Obiecuj mi, że zadzwonisz do nas, ilekroć będziesz nas potrzebować, dobrze? - poprosił.

- Dobrze - zapewniła, czując się, jakby wróciła do lat dzieciństwa. Spojrzała na Andyego, który zdjął marynarkę, zawinał rękawy koszuli i wyglądał na bardzo zajętego, a także - nareszcie - szczęśliwego.

- Pamiętaj, że zawsze możesz na nas liczyć - zapewnił ojciec. Oczy Diany wypełniły się łzami, tak samo jak matki, która słyszała, co mówił ojciec.

- Wiem, tatusiu i bardzo się cieszę. Powiedz mamie i dziewczętom, że je przepraszam, dobrze?

- Oczywiście, ale uważaj na siebie. - On też miał łzy w oczach. Kochał córkę z całego serca i cierpiał razem z nią.

- Ty też, tatusiu, dbaj o siebie. Kocham cię! - Odkładając słuchawkę, przypomniała sobie własny ślub. Zawsze była zżyta z ojcem i to się nie zmieniło, choć nie wtajemniczyła go teraz w szczegóły własnego nieszczęścia. Wiedziała jednak, że w każdej chwili mogła to zrobić i ojciec powiedział prawdę, gdy zapewniał, że zawsze może na niego liczyć.

- Służę uprzejmie, do wyboru salami, pastrami albo bologna! - zaanonsował uroczyście Andy, że ścierką przewieszoną po kelnersku przez jedno ramię i z półmiskiem kanapek w drugiej ręce. Zachowywał się, jakby chciał uczcić jakieś ważne wydarzenie, i tak właśnie było. Tego dnia odnaleźli siebie nawzajem, co miało duże znaczenie, bo mało brakowało, a byłoby już za późno. Tak jakby spadali w przepaść i w ostatniej chwili zdążyli

uchwycić się skały.

Charlie upiekł dla Barbie pysznego indyka. Tym razem została z nim w domu, bo gryzły ją wyrzuty sumienia, że tak wystawiła go do wiatru w rocznicę ich ślubu. Ale Charlie czuł pewien niedosyt, nie od dziś zresztą, chyba od jej wypadu do Las Vegas w Święto Pracy albo i wcześniej. Wróciła stamtąd, tęskniąc za atrakcjami wielkiego miasta i gronem dawnych przyjaciół. Próbowwała wyciągnąć Charliego na tańce, ale był na to zbyt zmęczony, zresztą nigdy nie tańczył dobrze. Wiecznie też narzekała, wytykając Charliemu wszystkie jego niedociągnięcia, powtarzała, jaki z niego prymityw i jak niegustownie się ubiera. To ostatnie było krzyczącą niesprawiedliwością, bo Charlie wciąż kupował jej nowe rzeczy, zaniedbując siebie. Coraz częściej więc dochodził do wniosku, że Mark miał rację i że nie powinien był puszczać jej samej do Las Vegas.

Od czasu powrotu z Las Vegas coraz częściej też się zdarzało, że całymi dniami przebywała w towarzystwie swoich koleżanek, chodziła z nimi do kina i na kolacyjki, a czasem dzwoniła do Charliego, zawiadamiając go, że zostaje na noc u Judi. Nie protestował głośno, lecz nie był tym zachwycony, a kiedy poskarżył się Markowi - ten przypomniał mu swoje poprzednie pouczenia, żeby trzymał ją krócej albo gorzko tego pożałuje.

Charlie wciąż sobie wmawiał, że wszystko się zmieni, jeśli tylko doczekają się dziecka. Może wtedy Barbie się ustatkuje, przestanie myśleć o głupstwach i wywietrzeją jej z głowy miraż o karierze w Hollywood? Od czerwca nie poruszał z nią tego tematu, ale starannie przestrzegał kalendarzyka dni płodnych i niepłodnych. W odpowiednie dni przynosił do domu szampana, bo kiedy wypija dostatecznie dużo - nie przypominała mu o zabezpieczeniach. Czasem dla pewności robił to nawet dwa razy w ciągu jednej nocy, ale i tak nic z tego nie wychodziło. Raz spytał ją nawet, czy bierze pigułki, ale wykręciła się podchwytliwym pytaniem, czy chciałby, żeby brała. Musiał więc opowiedzieć jej bajeczkę, że przeczytał właśnie artykuł o szkodliwości pigułek antykoncepcyjnych dla kobiet palących, a ona przecież paliła. Zapewniła go jednak solennie, że nie zażywa tych środków, tyle że nadal nie zachodziła w ciążę.

Mark podał mu nazwisko specjalisty, który pomógł jego szwagrowi. Charlie zapisał się do niego na wizytę w poniedziałek po Święcie Dziękczynienia. Wziął sobie bowiem do serca ironiczną uwagę Barbie, że nie zachodzi z nim w ciążę, choć nie stosuje żadnych zabezpieczeń. Postanowił więc sprawdzić, jak się sprawy mają.

- Świetnie ci wyszedł ten indyk! - pochwaliła tymczasem Barbie.

Ucieszył się, bo rzeczywiście dołożył starań - zrobił nadzienie, sos żurawinowy, a na jarzynkę słodki groszek z małymi cebulkami i bulwy osypane anżełką. Na deser kupił placek

z owocami i podał go na ciepło z lodami waniliowymi.

- Powinieneś założyć własną restaurację! - Barbie nie szczędziła mu komplementów, kiedy nalewał kawę. Zapaliła papierosa, ale sprawiała wrażenie, jakby myślami była zupełnie gdzie indziej.

- O czym tak myślisz? - zapytał ją ze smutkiem. Wyglądała tak pięknie, ale zdawała się coraz bardziej oddalać od niego. Był tego świadomy, ale nie wiedział, jak ma przeciwdziałać.

- o niczym specjalnym... no, chociażby o tym, jaką pyszną kolację właśnie zjedliśmy!  
- Uśmiechnęła się do niego poprzez kłęby dymu. - Zawsze jesteś dla mnie taki dobry, Charlie!  
Domyślił się jednak, że wcale nie o tym myślała.

- Staram się, jak mogę. Jesteś dla mnie wszystkim, Barb! - zapewnił, ale bynajmniej nie sprawił jej tym przyjemności. Nie lubiła, kiedy mówił jej takie rzeczy, bo wprawiał ją tym w zakłopotanie. Wcale nie chciała być wszystkim ani dla niego, ani dla nikogo innego, bo z tym wiązała się zbyt wielka odpowiedzialność. - Chciałbym, żebyś była szczęśliwa.

- Jestem szczęśliwa! - wymamrotała beznamiętnie.

- Naprawdę? Bo czasem mam wrażenie, że wcale tak nie jest. Widocznie straszny ze mnie głab.

- Ależ skąd! - Zarumieniła się. - Może raczej ja czasem chcę zbyt wiele. Nie zwracam na to uwagi.

- A czego ty chcesz, Barb? - Wiedział to aż nadto dobrze. Na de wszystko pragnęła zostać aktorką i nie chciała mieć dzieci. Natomiast o innych swoich marzeniach nigdy nie wspominała. Zdawała się żyć z dnia na dzień i nie myślała o przyszłości.

- Czasem sama nie wiem, czego chcę. Może na tym polega kłopot ze mną? - odpowiadała wymijająco. - Oczywiście chciałabym zostać aktorką. Chcę mieć dużo przyjaciół, wolności i mocnych wrażeń.

- A co ze mną? - przypomniał jej ze smutkiem. Zreflektowała się, że nie wspomniała o nim i znów się zarumieniła.

- Oczywiście, że pragnę także ciebie. Jesteśmy przecież małżeństwem.

- Na pewno?

- Zgłupiałeś, czy co? Pewnie, że jesteśmy.

- A czym dla ciebie jest małżeństwo, Barb? Bo jakoś nie pasują mi do tego rzeczy, które wymieniałaś.

- Dlaczego nie? - Udała naiwną, ale dobrze знаła odpowiedź. Nie była tylko gotowa do konfrontacji swoich marzeń z rzeczywistością, a on chyba też nie.

- Bo ja wiem? Wydaje mi się po prostu, że małżeństwo nie da się pogodzić z wolnością i mocnymi wrażeniami, chociaż jeśli się ktoś uprze... Dla chcącego nic trudnego.

Obserwował, jak zdusiła papierosa i zapaliła następnego. Miał ochotę zapytać ją, czy jest z nim szczęśliwa, ale bał się ewentualnej odpowiedzi. Wciąż jeszcze sobie wmawiał, że dziecko scementowałoby ich związek na zawsze.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W poniedziałek po Święcie Dziękczynienia Charlie wziął w pracy wolny dzień i pojechał do Los Angeles. Nie poinformował Barbie, po co tam jedzie, ale ona nawet nie zauważyła jego nieobecności. Miała tego dnia próbę prezentacji kostiumów kąpielowych, więc od rana zajmowała się manicure i fryzurą, a że w łazience nastawiła na cały regulator radio - nie zwróciła uwagi, kiedy Charlie wyszedł. Nie zainteresowała się też, dlaczego założył najlepszy garnitur i wyglądał na zdenerwowanego. Za wołał do niej, że wychodzi, ale nie zareagowała.

Przez całą drogę do Los Angeles rozmyślał i doszedł do wniosku, że stopniowo ją traci. Wprawdzie nie wspominała o chęci odejścia, ale myślami zdawała się przebywać zupełnie w innym świecie. Jeszcze bardziej niż przedtem zajmowała się głównie sobą. Nie było w tym złej woli, ale i nie ułatwiało wspólnego życia. Zapominała o umówionych terminach, pozostawiała na widocznych miejscach swoje kosmetyki, a małżeńska sypialnia przypominała pobożowisko, wszędzie rozrzuciła części garderoby. Charlie przymykał na to oko, bo szalał na jej punkcie, ale zdawał sobie sprawę, że, według słów Marka, rozpuścił ją jak dziadowski bicz.

Niczego od niej nie wymagał, nie pytał nawet, co robi z pieniędzmi zarobionymi za prezentowanie strojów. Wydawała je zwykle na ciuchy, kiedy udawała się z Judi po zakupy. Oczekiwał od niej tylko jednego i tego właśnie nie chciała mu dać. Żaden podstęp z tych, jakie obmyślali wspólnie z Markiem, też nie dał rezultatów. Liczył, że jego wyjazd do Los Angeles pomoże ustalić, co jest u niego nie w porządku. Wyleczy to, a wtedy Barbie będzie się miała z pyszna! Zacierał ręce już na samą myśl o tym, kiedy parkował samochód na Wiltshire Boulevard.

Zaskoczył go wesoły wystrój gabinetu doktora Pattengilla. Na ścianach wisały barwne reprodukcje, w donicach stały kwitnące rośliny, nawet ściany pomalowane były na żywe kolory. Nie przypominało to miejsca, w którym mówi się szeptem, więc Charlie rozluźnił się nieco, podając pielęgniarce swoje nazwisko. Nikt go nie uprzedził, jak wyglądają badania, więc nie miał pojęcia, co będą z nim wyrabiać - może od razu włożą mu lód do majtek? Uśmiechnął się na samą myśl o tym, ale nie mógł się skupić na przeglądaniu ilustrowanych pism wyłożonych w poczekalni, dopóki nie wywołano jego nazwiska.

Doktor Pattengill wstał na powitanie. Był wysokim, barczystym mężczyzną po czterdziestce, o ciemnych włosach i piwnych oczach. Jego życzliwe, a zarazem mądre

spojrzenie w połączeniu z tweedową marynarką i jaskrawym krawatem wzbudzało sympatię, toteż Charlie poczuł, że z miejsca go polubił.

- Pan Winwood, prawda? Nazywam się Peter Pattengill. Charlie zaproponował lekarzowi, żeby zwracał się do niego po imieniu, a doktor zapytał, czy nie napiłby się kawy. Podziękował, gdyż był zanadto zdenerwowany, aby przełknąć cokolwiek. Wyglądał na wystraszonego chłopca, na oko zbyt młodego, aby zostać pacjentem doktora Pattengilla - urologa specjalizującego się w zaburzeniach rozrodu.

- No więc, Charlie, co mogę dla ciebie zrobić?

- Jeszcze nie wiem... - wyjąkał Charlie niepewnie. - Słyszałem, że pan doktor każe ludziom nosić lód w majtkach...

Pod życzliwym spojrzeniem doktora zarumienił się jak burak.

- To brzmi rzeczywiście śmiesznie, ale jest bardzo skuteczne - wyjaśnił z uśmiechem Peter Pattengill. - Chodzi o to, że obniżenie temperatury jąder znacznie poprawia płodność. Na razie jednak, panie Winwood... to znaczy Charlie... spiszemy historię twoich dolegliwości.

Wypytał dokładnie Charliego o choroby przebyte w dzieciństwie i młodości, szczególnie nacisk kładąc na świnkę i choroby weneryczne. Na wszystkie te pytania Charlie odpowiedział przecząco.

- I pewnie teraz chcielibyście z żoną mieć dziecko? - sprecyzował dla pełnej jasności, bo Charlie krępował się powiedzieć mu to wprost.

- Nnno... tak.

Peter uśmiechnął się szeroko i wrócił na swoje miejsce.

- A więc porozmawiajmy poważnie. Sam chyba wiesz, że do tego tanga trzeba dwojga, prawda?

Charlie roześmiał się i z większą już swobodą przystąpił do dalszych wyjaśnień.

- Prawdę mówiąc, to ja bardziej chcę tego dziecka niż ona.

- Czy to znaczy, że stosuje środki antykoncepcyjne? - Peter Pattengill na chwilę przestał pisać.

- Jeśli więcej wypije, to nie... - Charlie uświadomił sobie nagle, do czego się przyznał, ale wiedział, że wobec lekarza nie tylko może, ale powinien być szczery.

- Rozumiem. Cóż, można i tak.

- Panie doktorze, ja wiem, że źle robię, ale jestem pewien, że gdy już będzie miała dziecko, na pewno je pokocha.

- Może jednak powinieneś z nią porozmawiać? Sądzę, że przy jej współpracy poszłoby wam łatwiej.

- Wie pan, niby idzie nam łatwo, tyle że z tego nic nie wychodzi.

- A czy ty też pijesz razem z nią? - Doktor przyglądał mu się podejrzliwie.

Charlie jednak z poważną miną potrząsnął głową. Wyglądał jak uczeń na wagarach.

- Ja nie. Wiem, to paskudnie upijać kobietę, ale wierzyłem, że któregoś dnia sama mi za to podziękuje. Ale i tak nic z tego nie wychodzi, więc przyjechałem, by się upewnić, czy u mnie z tymi rzeczami wszystko w porządku. Wie pan doktor, czy mam dobre nasienie i tak dalej...

Lekarz się uśmiechnął, rozbrojony jego naiwnością, ale do pełnego obrazu sytuacji brakowało mu jeszcze paru szczegółów.

- Od jak dawna jesteście małżeństwem? - spytał.

- Od siedemnastu miesięcy. Jakies pięć miesięcy temu zacząłem notować jej cykle, ale to też niczego nie zmieniło.

- Aha, rozumiem. - Doktor zanotował coś w karcie i spojrzał na Charliego, jakby chcąc dodać mu otuchy. - To jeszcze nie jest długo. Często do poczęcia dziecka trzeba roku lub dwóch, albo i więcej, jeśli partnerka nie współpracuje. Zdziwiło mnie, dlaczego widzę tu tylko połowę pary. To tak, jakbym uzyskał tylko połowę informacji, bo problem, jeśli w ogóle jest, może równie dobrze dotyczyć twojej żony.

- Myślałem, że jeśli pan doktor mnie zbada i wszystko będzie w porządku, to może ona przyjedzie kiedy indziej? - Nie bardzo wyobrażał sobie, w jaki sposób miałby ją do tego nakłonić, ale liczył, że już ten pierwszy krok rozwieje jego obawy. - Sama się kiedyś dziwiła, że nie zachodzi w ciążę, chociaż nie stosujemy żadnych środków.

- A czy twoja żona była już kiedyś w ciąży?

- Nie przypuszczam - odpowiedział Charlie pewnym tonem.

- No więc zaczynamy. - Doktor Pattengill wstał, a Charlie zrobił to samo, choć nie miał bladego pojęcia, co go czeka. Pojawiła się pielęgniarka i zaprowadziła go do pomieszczenia z sufitowym oknem i abstrakcyjnymi malowidłami na ścianach. Wręczyła mu próbkę i wskazała cały stos pisemek w rodzaju „Playboya”, „Hustlera” i innych, o których nawet nie słyszał.

- Chcemy pobrać próbkę pańskiego nasienia, panie Winwood - poinformowała go uprzejmie. - Proszę się nie spieszyć, a kiedy pan będzie gotów, proszę nacisnąć dzwonek.

Drzwi już się za nią zamknęły, a Charlie stał jeszcze z rozdziawioną gębą i oczami jak spodki. Niby wiedział, co powinien teraz zrobić, ale drażniło go, że mówiono tu o takich sprawach w sposób suchy i zasadniczy. Proszę, tu jest próbka, a pan ma się w nią spuścić i już! Wiedział jednak, że przyjechał tu po to, aby otrzymać odpowiedź na dręczące go pytania,

więc nie miał innego wyjścia.

Z westchnieniem usiadł, rozpiął spodnie i sięgnął po jeden ze „świerszczyków”, choć czuł się przy tym głupio. Trochę potrwało, zanim mógł zadzwonić na pielęgniarkę. Odczekał zresztą dłużej, niż musiał, bo chciał najpierw ochłonać, aby wręczyć jej próbkę najbardziej nonszalanckim ruchem, na jaki go było stać. Siostra jednak odebrała ją od niego dyskretnie i bez komentarzy.

Po chwili zjawił się także doktor Pattengill, aby zbadać stan powrózków nasiennych Charliego, których dysfunkcja też mogła powodować niepłodność. Laborantka pobrała jeszcze od niego krew dla oznaczenia poziomu hormonów. Po kilku dniach Charlie miał otrzymać wyniki badań laboratoryjnych nasienia, a na razie doktor zapewnił go, że nie widzi powodów do niepokoju, którego źródło upatrywał jedynie w nerwowości i niecierpliwości pacjenta. Charlie wydawał mu się zupełnie zdrowy, więc zapisał go na następną wizytę w przyszłym tygodniu. Poprosił go jedynie, aby przywiózł ze sobą próbkę świeżego nasienia.

Po wyjściu z gabinetu lekarskiego Charlie poczuł ogromną ulgę. Wprawdzie Pattengill wydał mu się sympatyczny, niemniej rozmowa z nim, zważywszy na towarzyszące jej okoliczności, kosztowała go masę nerwów. Nie był też zachwycony sposobem pobierania próbki nasienia i cieszył się, że tym razem będzie mógł to zrobić u siebie w domu. Otrzymał nawet w tym celu specjalną buteleczkę.

Po powrocie do domu natychmiast zadzwonił do Marka, aby jeszcze raz podziękować za lekarza.

- No i jak było? - zainteresował się Mark.

- Na razie fajnie, to rzeczywiście w porządku facet.

- I co, wydał ci świadectwo zdrowia? - Mark niepokoił się, bo wprawdzie Charlie wyglądał na zdrowego, ale przecież jego szwagier też wydawał się całkiem zdrowy.

- Jeszcze nie, dopiero za tydzień. Muszę poczekać na wyniki badań.

- Więc nie kazał ci jeszcze nosić lodu w majtkach? Charlie roześmiał się dobrodusznie. Położył się na kanapie i zrzucił buty. Cała ta wyprawa porządnie go zmordowała.

- Niewykluczone, że każe mi to zrobić w przyszłym tygodniu.

- Mam nadzieję, że nie. Wierz mi, chłopie, że wszystko będzie w porządku. Już ja znam się na tym. Do zobaczenia jutro!

- Dziękuję ci, Mark... za wszystko!

- Nie ma sprawy.

Mark miał szczerą nadzieję, że wizyta u lekarza rozwiąże wszystkie problemy

Charliego. Uważał go za wielkie dziecko, ale sądził, że zasługuje na to, czego tak pragnął. - No i co tam widać? - Brad niecierpliwił się, bo Pilar przeprowadzała właśnie test ciążowy. Na podobnej zasadzie oznaczała poziom hormonów, którego wzrost wskazywał na moment owulacji.

- Na razie jeszcze nic. Nie upłynęło tyle czasu, ile trzeba. - Pilar patrzyła na zegarek, a Brad czekał pod drzwiami łazienki. - Idź stąd, bo tylko mnie denerwujesz.

- Ani myślę. Muszę się przekonać, czy dobrze nafaszerowałam indyka.

- A pfe, jak możesz! - Sama jednak z niecierpliwości przebierała nogami. Jeszcze sześćdziesiąt sekund... pięćdziesiąt pięć... czterdzieści... już prawie minął czas i nic się nie działo, aż tu nagle... Pilar pomyślała, że stał się cud i spełniły się jej marzenia, bo wskaźnik zabarwił się na kolor jaskrawoniebieski! Pokazała go Bradowi, czując, że oczy ma pełne łez, bo to oznaczało, że jest w ciąży.

- O Boże! - westchnęła, ale nagle poczuła niepokój. - A jeżeli ten pozytywny wynik o niczym nie świadczy? Podobno to się czasem zdarza!

- E tam, na pewno nic się nie zdarzyło. - Wziął ją w ramiona i przytulił. Nie spodziewał się, że ich życie może się zmienić tak dalece ani że potrafi darzyć taką miłością kobietę i jej mające się urodzić dziecko. - Kocham cię, Pilar.... Sama nie wiesz, jak bardzo!

- Nie mogę w to uwierzyć! - szeptała. - Nie przypuszczałam, że to jednak coś pomoże. Te pigułki, testy, gabinet z pornosami i „świerszczykami”... O rany!

- Wiesz co, lepiej nie mówmy o tym temu dzieciakowi, gdy dorośnie. Wymyślimy bajeczkę o księżycowej nocy, wielkiej miłości i tak dalej. Tę maszynkę do nadziewania indyka chyba też możemy sobie odpuścić.

- Może i masz rację! - Roześmiała się.

A kiedy szli już do sypialni, Brad nagle poczuł gwałtowny przypływ pożądania, jakby chciał uczynić to poczęte już dziecko jeszcze bardziej swoim. Pociągnął ją na łóżko i wycisnął na jej ustach długi, namiętny pocałunek. Poczuł przy tym, jakby jej piersi zrobiły się pełniejsze i twardsze. Zauważył to już kilka dni temu i podejrzewał, że jest to już oznaka ciąży.

Pilar też go pragnęła, więc spędzili razem upojne chwile. Dopiero po wszystkim odezwało się w niej poczucie winy.

- Nie uważasz, że to może zaszkodzić dziecku?

- Nie przypuszczam. - Powiedział to tak głębokim i zmysłowym głosem, że nie mogła się powstrzymać od sięgnięcia ręką do tej części jego ciała, która dawała jej tak wielką przyjemność. - Przecież ciąża jest stanem normalnym.

- Jeśli to normalne, to czemu takie trudne?

- Bo nic, co dobre, nie jest łatwe. Złapać ciebie też nie od razu mi się udało.

Pocałował ją znów, a potem oboje wstali i zabrali się do przygotowywania śniadania. Mimo grudnia dzień był tak pogodny i ciepły, że siedzieli na tarasie w samych koszulkach i spodenkach. Dziecka mogli się spodziewać w sierpniu.

- Zobaczymy, co będzie, jak Nancy się dowie! - Pilar uśmiechnęła się znad porcji jajecznicy. Odczuwała ostatnio dziki apetyt. - Pewnie ją zatka, co?

Rozśmieszyła ją sama myśl o tym, a i Brad podzielał jej wesoły nastrój. Nigdy dotąd nie czuli się tak szczęśliwi.

- Delikatnie powiedziane. Przecież przez całe lata zarzekałaś się jak żaba błota, że nie chcesz mieć dzieci. Teraz będziesz musiała wszystkim się tłumaczyć.

Pilar już sobie wyobrażała, co na to powie matka, ale zdążyła się przyzwycząić do jej komentarzy. Jedyną osobą, z którą chciała się naprawdę podzielić tą wiadomością, była Marina. Wiedziała, że przyjaciółka szczerze się ucieszy i będzie ją wspierać duchowo.

- Dzieciom powiemy na święta - postanowiła z promiennym uśmiechem.

Nazajutrz Pilar odwiedziła doktor Ward i usłyszała od niej, że nie ma się czym martwić. Mogła śmiało pracować, grać w tenisa czy współżyć z mężem, byleby się nie przemęczała, dużo odpoczywała i racjonalnie odżywiała. Z tym akurat nie było problemów, bo Pilar i tak prowadziła zdrowy tryb życia. Miała zamiar pracować do końca, potem wziąć kilka miesięcy urlopu, i znów wrócić do pracy. Nie wyobrażała sobie siedzenia w domu dłużej, niż to konieczne.

Zaplanowała wszystko dokładnie. Początkowo będzie sama zajmować się dzieckiem, a potem zatrudni jakąś miłą dziewczynę do opieki nad nim. Na koniec marca lub początek kwietnia miała wyznaczony termin badań prenatalnych dla wykluczenia wad wrodzonych, takich jak rozszczep kręgosłupa lub zespół Downa. Na podstawie tych badań mogła - gdyby sobie tego życzyła - poznać płeć przyszłego dziecka. Przy okazji świątecznych zakupów zaopatrywała się już w różne drobiazgi dla dzidziusia, kupiła na przykład piękny, angielski wózek, jaki zamówiła u Saksa, z białą emaliowaną gondolą i granatową składaną budką.

- Przygotowania idą pełną parą, co? - drażnił się z nią Brad. Rzeczywiście, nie wiedziała, jak wytrzyma do sierpnia. Kiedy przy wigilijnym lunchu podzieliła się miłą wiadomością ze swoją sekretarką i współpracownikami - ci o mało nie pospadali z krzeseł. Pilar zaśmiewała się serdecznie na widok ich zdziwionych min.

- Ale was замуrowało!

- Przyznaj się, żartujesz, prawda? - Nie mogli uwierzyć. Pilar znana była jako

wojująca feministka, jedna z pierwszych zwolenniczek legalizacji aborcji w stanie Kalifornia. Co jej odbiło? Czyżby dolegliwości wieku przekwitania rzuciły się jej na głowę?

- Ani trochę. Po prostu kiedyś przyszło mi na myśl, jakby to było smutno, gdybyśmy nigdy nie doczekali się dzieci.

- Ma pani szczęście, że jeszcze nie było za późno! - zauważyła dyskretnie sekretarka, która owdowiała w wieku lat czterdziestu jeden, a kiedy dwa lata później poślubiła „mężczyznę swojego życia”, za wszelką cenę chciała mieć z nim dziecko. Przedtem ani on nie był ojcem, ani ona matką, a wszystkie próby poczęcia dziecka okazały się daremne. Na domiar złego mąż nie chciał na wet słyszeć o adopcji.

Alicja i Bruce szczerze cieszyli się szczęściem Pilar, a Marina wręcz promieniała z radości.

- Czuję się, jakbym wygrała w totka - opowiadała im Pilar. - Prawdę mówiąc, nie przypuszczałam, że nam się uda. To takie proste dla piętnastolatki, która traci cnotę na tylnym siedzeniu w samochodzie, ale im dalej w las, tym trudniej. Człowiek przestrzega terminów, robi badania, a i tak w najlepszym razie może liczyć na osiem, góra dziesięć procent prawdopodobieństwa, że się uda. I jeśli tak się stanie, to cud!

W jej przypadku jednak stał się ten cud. Zapewniła jeszcze swoich kolegów, że będzie pracować do końca i wszyscy doszli do wniosku, że Pilar Coleman zawsze osiągała to, czego chciała.

Nie można było tego powiedzieć o Charliem, który z niedowierzaniem słuchał słów doktora Pattengilla. Dowiedział się właśnie od niego, że liczebność jego plemników oszacowano na niespełna cztery miliony. Przez mniej więcej pięć sekund myślał, że to dobra wiadomość, dopóki lekarz nie wyprowadził go z błędu.

- Normalna liczebność to co najmniej czterdzieści milionów, Charlie - wyjaśnił, patrząc na niego ze współczuciem. - Cztery miliony to o wiele za mało.

Na domiar złego okazało się jeszcze, że gęstość jego nasienia wynosi mniej niż milion plemników na mililitr, co stanowi pięć procent normy. Z tej liczby mniej niż dwa procent przejawiało normalną ruchliwość, podczas gdy do zapłodnienia potrzebne było przynajmniej pięćdziesiąt procent.

- Czy można coś z tym zrobić, panie doktorze? - zapytał z nieśmiałym uśmiechem.

- Moglibyśmy spróbować kuracji hormonalnej, ale masz tak słabą liczebność plemników, że wątpię, aby to cokolwiek pomogło. Dla pewności przeprowadzimy zaraz następne badanie. - Doktor też się uśmiechnął i wręczył mu probówkę. - Powtórzmy je w przyszłym tygodniu. Zanim otrzymamy wyniki, przeprowadzimy jeszcze kilka innych badań,

by się dowiedzieć, czy tak słaba jakość twojego nasienia nie jest spowodowana niedrożnością nasieniowodów.

- A jeśli są niedrożne? - Charlie pod piegami zbladł jak płótno. Nie spodziewał się takiego werdyktu. Okazało się, że Barb miała rację. Nie zachodziła w ciążę, ponieważ to on miał słabe nasienie.

- W takim przypadku mamy do dyspozycji kilka możliwości. Będziemy mogli wykonać biopsję twoich jąder albo wazeografię. Do tego jednak jeszcze daleko, a zresztą nie sądzę, aby to było potrzebne. Przeprowadzę raczej próbę z pomarańczowym barwnikiem, aby wykryć przyczynę braku ruchliwości plemników. No i jeszcze próbę z jajem samicy chomika. Na pewno o tym słyszałeś, jeśli ktokolwiek z twoich znajomych miał problemy z płodnością.

- Obawiam się, że nie... - wyjąkał Charlie z lękiem. Co on zamierzał z nim wyprawiać?

- Bierze się komórkę jajową samicy chomika i polewa twoim nasieniem. To próba na penetrację plemników, która jest zarazem sprawdzianem ich zdolności do zapłodnienia.

- Nigdy nie miałem chomika, nawet jako dziecko! - wyznał Charlie ze smutkiem, na co lekarz uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Dobrze, już dobrze, w przyszłym tygodniu będziemy wiedzieć więcej.

Tydzień poprzedzający święta Bożego Narodzenia okazał się najgorszym tygodniem w życiu Charliego. Przyjechał powtórnie do doktora Pattengilla i usłyszał od niego diagnozę równoznaczną z wyrokiem śmierci na jego małżeństwo. Drugie badanie nasienia dało wynik jeszcze gorszy niż pierwsze, a trzecie - praktycznie bliski zeru. Te plemniki, które dały się zauważyć w polu widzenia, cechowały się słabą ruchliwością, a ponieważ wykluczono niedrożność nasieniowodów, nie to było przyczyną tak kiepskiej jakości nasienia. Próba z chomikiem również dała wynik negatywny, czemu doktor Pattengill nawet się nie dziwił. Co gorsza, w tej sprawie nic nie można było zrobić. Poziom hormonów we krwi Charliego okazał się tak niski, że żadna wspomagająca kuracja niczego by tu nie zmieniła.

- Niestety, Charlie, musisz inaczej zaplanować przyszłość swojej rodziny - oznajmił mu delikatnie doktor. - Przykro mi, ale takim nasieniem nikogo nie zapłodnisz.

- I nie ma żadnej nadziei? - Charliemu nagle zaczęło braknąć powietrza, jakby po raz pierwszy po latach odezwała się jego astma.

- Tak sądzę.

Przyjął to jak wyrok i pożałował, że w ogóle poddał się badaniom. Chociaż z drugiej strony może lepiej znać prawdę niż się łudzić?

- Naprawdę nie może pan doktor mi pomóc? Nie ma na to lekarstwa?



- Chciałbym, żeby było, Charlie, ale, niestety. Nigdy nie spłodzisz dziecka, ale możesz je przecież adoptować. Jeśli twoja żona zechce, można będzie ją sztucznie zapłodnić sperma dawcy, abyś i ty mógł uczestniczyć w akcie urodzin. Zresztą jest wiele małżeństw bezdzietnych i dobrze im z tym, bo mają więcej czasu i przeżywają mniej stresów. Powinieneś porozmawiać z żoną oraz zdecydować się na wybór któregoś wariantu. W razie potrzeby chętnie służymy profesjonalnym doradztwem.

Charlie tępo wpatrywał się w okno i próbował wyobrazić sobie taką sytuację. Wróci do domu i powie Barbie: „Cześć, kochanie, od dziś nie musisz się już martwić, że zrobię ci dzieciaka. Właśnie dowiedziałem się, że jestem bezpłodny. Co tam masz dla mnie na kolację?”. Wiedział przecież, że ona nigdy nie zgodzi się na adopcję ani tym bardziej na sztuczne zapłodnienie. Na samą myśl o tym chciałoby mu się śmiać, gdyby bardziej nie chciało mu się płakać!

- Nie wiem, co mam powiedzieć... - zaczął, gdy podniósł wzrok na doktora.

- Nie musisz nic mówić. I tak spadło na ciebie zbyt wiele ciosów naraz. Czujesz się, jakbyś usłyszał wyrok śmierci, prawda?

- Skąd pan doktor wie? - wykrztusił Charlie przez zaciśnięte gardło. - Z tamtej strony biurka to wygląda zupełnie inaczej!

- Widzisz, zwykle nie mówię tego moim pacjentom, ale jedziemy na jednym wózku. Mam jeszcze gorsze wyniki niż ty, klasyczną azoospermię, czyli zero żywych plemników. Dlatego wiem doskonale, co czujesz, ale nie ma sytuacji bez wyjścia. To, że nie jesteś w stanie zapłodnić żony, nie oznacza, że nie możesz mieć rodziny. Z moją żoną mamy czworo dzieci i wszystkie są adoptowane. Możesz też wybrać wariant rodziny bez dzieci. Wybór należy do ciebie.

Charlie podziękował doktorowi, pożegnał się i opuścił gabinet. Peter Pattengill nie okazał się jednak takim cudotwórcą, jak zapewniał Mark. No cóż, Charliemu nie pomógłby nawet cud. Nie pozostało mu już nic. Nie znał swoich rodziców, nie miał nigdy prawdziwej rodziny, teraz dowiedział się, że nie będzie miał dzieci, a coraz częściej podejrzewał, że utracił też Barbę. Oddalała się od niego coraz bardziej, czasem prawie wcale jej nie widywał. Albo był w pracy, albo ona na próbie czy na mieście z koleżankami... A co może jej teraz powiedzieć? Że jest bezpłodny i może jej najwyżej zaproponować sztuczne zapłodnienie? Dla niej to byłby numer sezonu!

Przesiedział pół godziny w samochodzie, zanim zapalił silnik i ruszył do domu. Po drodze mijał świątecznie udekorowane wystawy, których widok boleśnie go ranił. Przypominały mu bowiem lata spędzone w domu dziecka, kiedy z okna widział w domach po

drugiej stronie ulicy ubrane choinki i rodziny przy świątecznym stole. Zawsze marzył, aby mieć taką rodzinę, a teraz został pozbawiony nawet tego. Życie spłatało mu okrutnego figla.

W domu nie zastał Barbie, ale tym razem przynajmniej zostawiła mu kartkę z informacją, że ma zajęcia z gry aklurskiej i nie wróci przed północą. Może to i lepiej, bo nie mógłby spojrzeć jej w oczy? Nalał sobie dużą szklankę whisky i zanim Barbie wróciła do domu, był już zalany w trupa.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia Pilar zadzwoniła do matki, aby złożyć jej życzenia. Korciło ją, aby przy okazji pochwalić się swoim odmiennym stanem, ale opanowała tę pokusę. „wiedziała bowiem, że podświadomie chciałaby przede wszystkim udowodnić matce, że wcale nie jest za stara na posiadanie dzieci. Ograniczyła się tylko do przekazania matce życzeń. Za dzwoniła także do Mariny, która spędzała święta w Toronto, u jednej ze swoich licznych sióstr.

Po południu Brad i Pilar wspólnie z Toddem, Nancy, Tommym i małym Adamem rozpakowywali prezenty. Pilar oczywiście dogadzała wszystkim, a szczególnie małemu, który dostał od niej olbrzymiego misia, huśtawkę, kilka uroczych ubranek z butik w Los Angeles i konia na biegunach, którego zamówiła specjalnie w Nowym Jorku. Cieszyła się, że Todd wyrósł na takiego przystojnego mężczyznę. Opowiadał im szczegółowo o swojej pracy i dziewczynie w Chicago.

Zjedli razem pyszny obiad z szampanem, a przy deserze Brad uśmiechnął się porozumiewawczo do Pilar. Ona ruchem głowy dała do zrozumienia, że wie, o co mu chodzi.

- Słuchajcie, mam wam wszystkim coś do powiedzenia - ogłosiła. - Wiem, że to was zaskoczy, ale życie pełne jest cudownych niespodzianek.

Podczas gdy to mówiła, Adam wesoło gaworzył w swym wysokim krzeselku. Matka włożyła mu czerwone aksamitne ubranko, które Pilar wręczyła jej jeszcze przed świętami.

- Czyżbyś miała zamiar zostać sędzią? - zapytał Todd. - Kurczę, ale będę miał utytułowaną rodzinę! - Przeprowadzacie się do nowego domu? - Nancy powiedziała to z nadzieją, że ojciec nie sprzeda starego domu, tylko zostawi go jej.

- Coś znacznie lepszego! - uśmiechnęła się Pilar. - Po pierwsze, nie zamierzam zostać sędzią. Jeden sędzia w rodzinie wystarczy, nie będę robić ojcu konkurencji.

Uśmiechnęła się do niego czule i nabrała dużo powietrza w płuca.

- A po drugie, będziemy mieli dziecko! W pokoju zapanowała cisza, przzerwana nerwowym śmiechem Nancy.

- No nie, ty chyba nie mówisz serio!

- Owszem, mówię.

- Przecież jesteś na to za stara! - wyrwało się Nancy. Jej ojcu przypomniało to okres, kiedy jako mała, rozpieszczona dziewczynka sprzeciwiała się jego znajomości z Pilar.

- Sama mi opowiadałaś o twoich znajomych, które były starsze ode mnie, kiedy

urodziły pierwsze dziecko - odpowiedziała spokojnie Pilar. - Radziłaś mi, żebym pomyślała o tym, zanim nie będzie za późno. No więc pomyślałam.

Nancy stanowczo nie lubiła, kiedy przypominano jej własne słowa!

- Ale ja nie przypuszczałam, że ty i tatuś... Czy nie uważacie, że jesteście już za starzy na dziecko? - powtórzyła z uporem.

- Nie, wcale tak nie uważamy - zaprzeczył z naciskiem Brad. - I najwidoczniej matka Natura zgadza się z nami.

Cieszył się z własnego późnego ojcostwa i z radości Pilar, więc nie chciał, aby Nancy popsukała wszystko swą zazdrością. Powinno jej wystarczyć, że ma własne życie, męża i dziecko.

- Rozumiem, że to dla was wszystkich niespodzianka, ale jesteśmy szczęśliwi i mamy nadzieję, że wy też. A naszemu małemu Adasiowi przyda się nowy wujek albo ciocia! - Roześmiał się wesoło.

Todd wznosił toast.

- Och, tato, jak wy nas zawsze zaskakujecie! No, ale jeśli chcieliście tego, to i ja jestem szczęśliwy. Ja tam nie chciałbym mieć dzieci, jeśli miałyby z nich wyrosnąć takie aparaty jak my, ale wasze zdrowie!

Tommy też dołączył się z życzeniami, tylko Nancy straciła humor i nie odzyskała go już do końca wizyty. Warknęła na Tommyego, żeby wziął dziecko na ręce, ze łzami w oczach pocałowała ojca na pożegnanie, a Pilar nawet nie podziękowała za prezenty!

- Widziałeś, jaka zła się zrobiła? - zagadnęła Pilar po wyjściu gości.

- Żadna głupia smarkuła nie będzie wtrącać się w nasze sprawy! - oświadczył Brad.

Nie próbował nigdy kontrolować życia swoich dzieci i od nich wymagał tego samego. Tak on, jak Pilar byli dorośli i nie mieli zamiaru nikomu spowiadać się ze swoich czynów. Brad gorąco pragnął, żeby Pilar miała to dziecko, bo wiedział, ile to dla niej znaczy, a czy było na to zbyt późno, czy nie, to tylko ich problem i niczyj więcej.

- Może ona się boi, że zechce z nią rywalizować? - zastanawiała się głośno Pilar, sprząając ze stołu. Brudne naczynia zostawiła w zlewie, bo nazajutrz miała przyjść pomoc domowa, która je pozmywa.

- Może i tak, ale czas najwyższy, aby zrozumiała, że ziemia nie kręci się wokół niej. Mam nadzieję, że Tommy i Todd po rządnie ją ustawią! - Todd wziął kilka dni urlopu w związku ze świętami.

- Och, Todd zachował się cudownie, chociaż na pewno też był zaskoczony.

- Na pewno, ale przy tym dostatecznie rozsądny, aby rozumieć, że w niczym mu to nie

zagrozi. Nancy kiedyś też to zrozumie, ale najpierw zdąży jeszcze nieźle zatruć nam życie, jeśli jej na to pozwolimy. Nie chcę, aby cię denerwowała, szczególnie teraz, słyszysz?

- Tak jest. Wasza Dostojność! - żartowała, idąc razem z nim do sypialni.

- A dopóki ta gówniara nie nauczy się dobrych manier, nie chcę jej widzieć!

- Na pewno się zreflektuje, kiedy tylko otrząśnie się z zaskoczenia.

- No więc lepiej niech to zrobi albo będzie miała przechlapane u własnego ojca. Piętnaście lat temu narobiła nam tyle kłopotów, że wystarczy na więcej niż jedno życie. Jeśli będzie trzeba, sam jej o tym przypomnę, ale mam nadzieję, że nie będę musiał.

- W przyszłym tygodniu zadzwonię do niej i zaproszę na lunch, może przestanie się jeżyć.

- To ona powinna zadzwonić do ciebie! - burknął Brad. Nancy zaskoczyła ich oboje, bo jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniła z przeprosinami. Przypuszczalnie mąż i brat zmusili ją, aby przyznała, że zachowała się skandalicznie wobec macochy, nie miała prawa oceniać jej postępowania. Z płaczem przekonywała Pilar, jak bardzo jej przykro, w rezultacie Pilar też się popłakała.

- To wszystko przez ciebie, bo gdyby Adam nie był taki słodki, to nie wiem, czy zdecydowałabym się na dziecko - zapewniała, choć tak ona, jak Brad, wiedzieli doskonale, że miała ku temu więcej powodów.

- Naprawdę bardzo mi przykro, tym bardziej że byłaś taka miła dla mnie, kiedy powiedziałam ci o Adamie!

- Nie myśl już o tym! - pocieszała ją Pilar przez łzy. - Umówmy się, że jesteś mi winna sernik.

Następnego dnia Pilar z samego rana znalazła na schodkach przed domem różowe pudełko z sernikiem w środku i różową różą na wierzchu. Popłakała się ze wzruszenia i pokazała je Bradowi, który ucieszył się, że Nancy tak szybko zmądrzała.

- Teraz musisz tylko odpoczywać, żebyś urodziła zdrowe dziecko! - pouczał żonę, ale do sierpnia pozostało im jeszcze osiem miesięcy, które zdawały się nie mieć końca.

Diana i Andy spędzili święta Bożego Narodzenia na Hawajach, w Mauna Kea. Dzień w dzień wygrzewali się na plaży i chyba tego właśnie było im trzeba. Przedtem, we wrześniu, wspólny weekend w La Jolla zupełnie się nie udał i ze zgrozą myśleli, jak mało brakowało do kompletnego rozpadu ich małżeństwa. Wydawało się, że nic ich już nie łączy, nie mają sobie nic do powiedzenia ani niczego już nie oczekują. Przez cztery miesiące rozpaczliwie próbowali utrzymać się na powierzchni, ale pierwsza iskierka nadziei zaświtała im dopiero w Święto Dziękczynienia.

Trzeba było dwóch dni leżenia na plaży, aby zaczęli poruszać inne tematy oprócz jedzenia i pogody. Miejsce idealnie nadawało się do odzyskania utraconej równowagi duchowej, gdyż w pokojach nie zainstalowano telewizorów, w okolicy nie było co zwiedzać ani dokąd pojechać. Pozostawało jedynie plażowanie, co siłą rzeczy zbliżyło małżonków do siebie.

W dzień Bożego Narodzenia zasiedli do świątecznej kolacji we wspólnej jadalni, a potem, trzymając się za ręce, poszli oglądać zachód słońca na plaży.

- Wydaje mi się, jakbyśmy w tym roku polecieeli na Księżyc i z powrotem - odezwała się Diana. Po półtora roku małżeństwa nie mogła już być pewna, czego właściwie chce ani dokąd zmierza.

- Też się tak czułem - przyznał, kiedy usiedli na białym piasku i obserwowali fale rozbijające się o brzeg. Po zmroku na płyciznę przyływały wielkie płaszczyki i goście hotelowi wylęgali tłumnie, aby je obserwować. - Najważniejsze jednak, że jakoś przez to przeszliśmy i nadal możemy ze sobą rozmawiać, trzymać się za ręce i tak dalej... A to już dobrze, Di, bo znaczy, że wyszliśmy z tego obronną ręką!

- Ale za jaką cenę? - szepnęła ze smutkiem.

Musiała zrezygnować ze swoich marzeń, więc czego miała jeszcze oczekiwać? Pragnęła w życiu jedynie dziecka... ale pragnęła także zatrzymać przy sobie Andyego, a on przecież pozostał przy niej. Straciła tylko szansę na macierzyństwo, ale Andy miał rację, gdy mówił, że od tego się nie umiera.

- Może to doda nam sił do dalszego marszu?

Wciąż kochał Dianę, tylko nie wiedział, jak do niej trafić. Od miesięcy bowiem zamknęła się w sobie. Do pracy wychodziła co raz wcześniej, a wracała coraz później. Po powrocie do domu przeważnie kładła się od razu do łóżka i zasypiała natychmiast, ledwo przyłożyła głowę do poduszki. Nie chciała rozmawiać ani z nim, ani ze swoimi rodzicami, siostrami czy przyjaciółkami, a w pracy brała delegacje tak często, jak tylko mogła. Andy ze dwa razy chciał jej towarzyszyć, ale wymawiała się, że jest bardzo zajęta - unikała wszelkich okazji do kontaktu z nim.

- Przede wszystkim musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, dokąd zmierzamy? - zaczął z wahaniem, niepewny, czy nie za wcześnie jeszcze, aby poruszać ten temat. - Czy chcesz nadal być ze mną? Czy mamy jeszcze szansę, aby powrócić do dawnych, dobrych czasów? Po prostu nie wiem, czego właściwie chcesz.

Zdawał sobie sprawę, do jakiej tragicznej sytuacji doszło, je żeli pod romantycznym słońcem Hawajów musi pytać własną żonę, czy chce się z nim rozwieść. Miała na sobie białą

bawełnianą sukienkę, z którą pięknie harmonizowała dwudniowa opalenizna, a ciemne włosy kusząco powiewały na wietrze. Nadal jej pragnął i uważał za piękną, ale sądził, że ona już nie chce jego.

- A ty czego chcesz? - odpowiedziała mu pytaniem na pytanie. - Ja nadal uważam, że nie mam prawa zawiązywać ci życia. Zaslugujesz na więcej, niż jestem w stanie ci dać.

A więc chciała od niego odejść ze względu na niego. Pewnie potem żyłaby samotnie, poświęcając się wyłącznie pracy zawodowej. Uważała, że już nigdy nie wyjdzie za mąż. W wieku dwudziestu ośmiu lat była gotowa zrezygnować ze wspólnej przyszłości, gdyby tylko on tego chciał, ale wcale nie chciał.

- Bzdury pleciesz i wiesz o tym.

- Nic już nie wiem, ani tego, co jest słuszne, ani co mam robić, ani czego chcę. Wiem tylko, czego nie mam. - Rozważała nawet możliwość rzucenia pracy i wyjazdu do Europy.

- A kochasz mnie? - zapytał cichym głosem, przysuwając się bliżej. Kiedy spoglądał w jej oczy, przepełnione smutkiem, widział w nich jedynie puste i wypalone wnętrza. Chwilami miał wrażenie, że nie pozostało tam nic oprócz popiołów.

- O tak, kocham cię i zawsze będę kochała... - wyszeptwała. - Ale to nie znaczy, że mam prawo cię zatrzymać. Nie mam ci nic do ofiarowania poza sobą, a to bardzo niewiele...

- Nieprawda! - zaprzeczył. - Zupełnie niepotrzebnie pograżasz się w pracy i rozpamiętywaniu. Mógłbym pomóc ci wyjść z tego dołka, gdybyś tylko pozwoliła.

Od kilku tygodni Andy uczęszczał na seanse psychoterapeutyczne, więc czuł się podbudowany moralnie.

- I co wtedy? - zapytała, bo cała ta dyskusja wydała się jej bezowocna.

- Wtedy będziemy mieli siebie, a to więcej, niż się niejednemu wydaje. Kochamy się i mamy dużo do ofiarowania tak sobie, jak i naszym bliskim. W końcu świat nie kręci się tylko wokół dzieci! Przecież nawet gdybyśmy je mieli, prędzej czy później by dorosły i opuściły nasz dom, a może pokłóciłyby się z nami albo zginęły w wypadku... W życiu nie ma nic pewnego, nawet dzieci nie są dane raz na zawsze..

Problem Diany polegał jednak na tym, że widziała dzieci wszędzie - na ulicach, w supermarkecie, a nawet w windzie w jej miejscu pracy. Matki prowadziły je za rączki albo utulały w ramionach, co jej nie miało być już nigdy dane. Na jej drodze co rusz stawały ciężarne kobiety z wielkimi brzuchami, pielęgnujące nadzieje, których nie miała już zaznać. Z bólem serca musiała się tego wyrzec, ale uważała za niesprawiedliwe, że i Andy musiałby obejść się bez tego.

- A niby dlaczego miałbyś nie założyć normalnej rodziny tylko dlatego, że ja nie

mogę?

- Ponieważ cię kocham, głuptasku! Zresztą nigdzie nie jest napisane, że nie możemy mieć normalnej rodziny. Są na to inne sposoby.

- Nie jestem pewna, czy mogłabym zdobyć się na coś takiego.

- Ja też nie, ale nie musimy przecież w tej chwili podejmować decyzji. Powinniśmy tylko dobrze to sobie przemyśleć i zrobić coś, zanim nie będzie za późno. Nie chcę cię stracić, Kochanie...

- Ani ja ciebie. - Łzy cisnęły się jej do oczu, więc odwróciła głowę, ale długo nie wytrzymała w tej pozycji, bo przez ramię Andyego widziała bawiące się na plaży dzieci, a tego widoku nie mogła znieść.

- Chcę cię mieć z powrotem przy sobie... w moich snach... w moich ramionach... w moim łóżku... w moim życiu... w mojej przyszłości! Boże, jak mi cię brakowało! - Przytulił ją mocniej, czując ciepło jej ciała. - Potrzebuję cię, maleńka...

- Ja ciebie też - wyznała z płaczem. Potrzebowała go może nawet jeszcze bardziej, po prostu nie mogła żyć bez niego. Tym czasem mało brakowało, a utraciłaby go na zawsze.

- Proszę cię, spróbujmy jeszcze raz... - Spojrzał na nią, a ona z uśmiechem przytaknęła. - Może nie zawsze będzie nam łatwo, może czasem nie wszystko zdołam zrozumieć, ale przynajmniej będę się starał. A gdyby mi nie wyszło, po prostu powiedz. Powoli, trzymając się za ręce, wrócili do pokoju hotelowego. Tej nocy po raz pierwszy od miesiący kochali się tak namiętnie, jak nigdy przedtem!

Święta Charliego i Barbary były jakieś... dziwne. W każdym razie Charlie nie mógł znaleźć na nie lepszego określenia. Inne niż normalnie, a może nawet zaskakujące. Przygotował jak zwykle świąteczny obiad, ale Barbie od samego rana wyskoczyła do Judi, aby, jak się tłumaczyła, wręczyć jej prezent. Tym razem jednak Charlie się cieszył, że został sam. Męczył go kac, ponieważ ostatnio tego popijał. Wiedział o tym, ale inaczej nie mógł przetrwać informacji uzyskanej od doktora Pattengilla. Dobijała go świadomość, że nigdy nie zapłodni żony. Pamiętał wprawdzie, co na ten temat powiedział mu doktor, ale nie obchodziło go, ile dzieci adoptowali Pattengillowie. Chciał mieć własne dziecko, zrodzone z Barb, i to już! Ba, ale nie mógł. Niby wiedział o tym, ale wciąż nie przyjmował tego do wiadomości.

Barbie wróciła o czwartej, dziwnie ożywiona. Najwidoczniej zdążyła wcześniej wypić parę drinków, bo żartowała i zaczepiała Charliego, kiedy podlewał indyka, choć nie miał tego dnia na stroju do zabawy. Nie mogąc go inaczej rozruszać, zdjęła z siebie wszystko z wyjątkiem czarnych koronkowych majteczek i czółenek na wysokich obcasach. Na gołe ciało włożyła krótkie futerko z lisów, które dostała od Charliego, i pokazała mu się w tym stroju.



Wyglądała tak zabawnie, a zarazem uroczo, że musiał się roześmiać.

- Jesteś głupiutką gąską, wiesz? - Pociągnął ją do siebie na kanapę i pocałował. - Ale ja i tak cię kocham.

- Ja ciebie też kocham! - wyznała tajemniczym tonem. Do obiadu Charlie podał jej ulubioną markę szampana, indyk udał się nad podziw, więc pod wieczór humor mu się poprawił. Barbie przebrała się w różowy atłasowy szlafrok, który dostała od niego na urodziny i usiadła mu na kolanach.

- Wesołych Świąt, Barb! - wyrecytował, całując ją w szyję. Zaraz jednak odsunęła się od niego i czule spojrzała mu w oczy. W tym spojrzeniu Charlie zauważył coś dziwnego, ale za nim się zorientował, co to było - pocałowała go.

- Mam ci coś do powiedzenia - wyszeptwała.

- Ja też. Chodźmy do sypialni, to ci powiem.

- Ja pierwsza! - mruknęła z łobuzerskim uśmieszkiem. - Na pewno spodoba ci się to, co usłyszysz!

Rozbawiony, usiadł na krześle i czekał. Już samo przebywanie w jej towarzystwie wprawiało go w lepszy nastrój.

- Tylko żeby to była dobra wiadomość! - przestrzegł żartobliwie. - Bo jeśli nie, to nie będę czekał, aż dojdziemy do sypialni!

Barbie zwlekała z odpowiedzią i milczenie przeciągało się w nieskończoność. W końcu wyznała z niepewnym uśmiechem:

- Jestem w ciąży.

Ze zdumienia początkowo zaniemówił, a potem pobladł.

- Mówisz serio?

- No pewnie. W takich sprawach się nie żartuje. - Wyglądało to jednak na okrutny żart, zważywszy, co powiedział doktor Pattengill.

- Jesteś tego pewna? - A może doktor się pomylił i to wcale nie było jego nasienie... - Po czym poznałaś, że to to?

- O rany, co to, śledztwo? - obruszyła się, schodząc z jego kolan i odpalając papierosa od jednej ze świec na stole. - A myślałam, że się ucieszysz, kiedy ci powiem! Oczywiście, że jestem pewna, bo dwa dni temu byłam u lekarza.

- Kochanie, tak mi przykro! - Zamknął oczy, żeby nie widziała napływających do nich łez. - Po prostu nie rozumiem...

Trzymał ją w objęciach i płakał. Patrzyła na niego zdumiona. A on nie wiedział, czy paść na kolana i dziękować Bogu, czy raczej zrobić jej piekielną awanturę? Zanim jednak

postawi jej jakikolwiek zarzut, musi się najpierw upewnić.

Przez resztę dnia zachowywał dziwny spokój. Kiedy zmywał naczynia po obiedzie, Barbie wykonała kilka telefonów. Nie rozumiała, dlaczego nie zareagował na jej rewelacje tak, jak się spodziewała. On zaś, kiedy już się położyli, modlił się, aby wynik badań okazał się pomyłką, i to dziecko było jego. Zanim jednak otworzył przed nią serce, wolał jeszcze raz zapytać doktora Pattengilla.

Doktor mógł go przyjąć dopiero za trzy dni, które dla Charliego wlokły się niemiłosiernie. Przez ten czas prawie nie widywał Barbie, gdyż umawiała się na mieście z koleżankami, robiła zakupy, a raz nawet oświadczyła, że ma przerwę, mimo że był to pierwszy dzień po świętach. Nie kwestionował jej prawdomówności, bo najpierw chciał się skonsultować z Pattengillem. Kiedy jednak usiadł już po przeciwnej stronie biurka w jego gabinecie, lekarz zdecydowanie potrząsnął przecząco głową.

- Nie przypuszczam, Charlie, aby to było możliwe. Chciałbym ci powiedzieć, że widziałem w życiu dziwniejsze zdarzenia, ale w twoim przypadku jest to wysoce nieprawdopodobne. Owszem, nieraz zadziwiali mnie pacjenci, których leczyłem z powodu niepłodności, ale wierz mi, Charlie, nie wierzę, byś mógł spłodzić to dziecko. Naprawdę mi przykro.

A więc sprawy miały się tak, jak od początku podejrzewał. Nagle wszystko zaczęło mu się układać w jedną całość - te jej powroty w późnych godzinach nocnych, które tłumaczyła odwiedzinami u Judi bądź „wieczorami panieńskimi”, te tajemnicze „próby” i „zajęcia”, z których nic nie wynikało, bo przecież od miesiący już nie dostała żadnej roli... Teraz po prostu wiedział, że dziecko, które nosiła pod sercem, nie było jego.

Wracał od lekarza powoli i prawie z przykrością zobaczył, że Barbie jest w domu. Rozmawiała akurat z kimś przez telefon, ale odłożyła słuchawkę, kiedy tylko go spostrzegła.

- Z kim rozmawiałaś? - spytał niezobowiązująco, jakby liczył, że naprawdę mu powie.

- Ach, to tylko Judi. Pochwaliłam się, że będziemy mieli dziecko.

- Aha. - Odwrócił się, aby nie widziała wyrazu jego twarzy. Wolałby nie mówić jej tego, co miał do powiedzenia, ale przecież musiał. Powoli, jakby miał nadzieję, że tymczasem nastąpi koniec świata, obrócił się do niej. - Musimy porozmawiać.

Usiadł naprzeciw niej, przy czym zauważył, że wyglądała dziś szczególnie pociągająco.

- Coś się stało? - Spojrzała na niego z przestachem. Rozprostowała nogi, zapaliła kolejnego papierosa i czekała na odpowiedź.

- I owszem.

- Wylali cię z pracy? - Ta wizja przejęła ją szczerym lękiem, więc odetchnęła z ulgą, kiedy potrząsnął głową. Ale co jeszcze mogło się stać, by wymagało to takich wstępów? Przecież nie zrobił skoku w bok, na to był zbyt przyzwyczajony!

- Ba, żeby to było takie proste! - westchnął. - Jakiś czas temu, zaraz po Święcie Dziękczynienia, pojechałem do lekarza...

- Jakiego lekarza? - spytała z pewną obawą.

- Endokrynologa, specjalisty - wyjaśnił z naciskiem. - Dziwiłaś się, pamiętasz, dlaczego nie zachodzisz w ciążę, chociaż wcale nie uważaliśmy. Mnie to też zaniepokoiło, więc postanowiłem zbadać, jak się sprawy mają. No i już wiem!

- Co wiesz? - Siliła się na obojętny ton, ale serce się w niej tłukło, bo domyślała się odpowiedzi.

- Że jestem nieplodny.

- Co ci ten głupek nagadał! - Wstała i zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju. - Może jeszcze chciałby sprawdzić, czy rzeczywiście jestem w ciąży?

- A jesteś? - Przecież mogła go okłamać! Jakże chciałby w to uwierzyć!

- No, chyba wyraźnie powiedziałam, że jestem. Mam zrobić test, żeby cię przekonać? To już trzeci miesiąc. - Charlie rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć, co robiła pod koniec października. - Ten twój doktorek chyba zwariował!

- On nie, już prędzej ja! - zaprotestował stanowczo. - Co jest grane, Barb? Czyje to dziecko?

- Twoje! - palnęła, ale zaraz odwróciła oczy, spuściła głowę i zaczęła płakać. - Zresztą mniejsza o to, czyje... Wiem, że zrobiłam ci świństwo. Przepraszam cię, Charlie.

On jednak wiedział, że gdyby prawda nie wyszła na jaw, oszukiwałyby go nadal.

- Myślałem, że nie chcesz mieć dzieci, więc dlaczego tym razem...

- No, bo... zresztą nie wiem. - Doszła jednak do wniosku, że już za późno na kłamstwa, skoro Charlie i tak znał prawdę. - Może dlatego, że tyle razy w życiu usuwałam ciążę, a ty tak bardzo chciałeś mieć dziecko... Może już się starzeję albo mam za miękkie serce, albo jestem po prostu głupia?

- Czyje to dziecko? - Zadawał jej te pytania z bólem serca, bo wiedział, że i tak są bezcelowe. Zadręczał tylko siebie i ją.

- Takiego jednego faceta, którego znałam jeszcze z Vegas, tylko w październiku przeprowadził się tutaj... Obiecywał, że załatwi mi angaż, bo ma znajomości w Vegas, więc poszłam z nim raz czy drugi... Myślałam po prostu, że... - Głos jej się załamał.

- Kochasz go czy poszłaś z nim tylko dla angażu, a może chciałaś się zabawić? Co ten

facet znaczy dla ciebie?

- Nic - rzuciła, nie patrząc mu w oczy.

Charlie przypuszczał, że tamten facet miał to coś, czego jemu brakowało. Może Barbie nigdy go naprawdę nie kochała, a całe ich małżeństwo było jedną wielką pomyłką? Tak marzył o prawdziwej rodzinie, ale czy miał do tego prawo? Jak mógł stworzyć dziecku odpowiednie warunki, skoro sam nigdy takich nie miał? Co w ogóle o tym wiedział?

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał z żalem, chlapiąc jak mały chłopiec.

- Ponieważ mnie wystraszyłeś! - odpowiedziała, tym razem chyba szczerze. - Żądałeś ode mnie tego, od czego udało mi się uciec. Chciałeś mieć dzieci, dużą rodzinę, a mnie to zwisa i po wiewa. Nie chcę być do niczego uwiązana.

Słuchał jej, i łzy ściekały mu po policzkach. W tej chwili rozpadały się w proch i pył wszystkie jego marzenia, a ona o tym wiedziała.

- Pewnie chciałbyś wiedzieć, dlaczego taka jestem, co? Może nawet powinieneś to wiedzieć. Owszem, miałam taką niby normalną rodzinę, matkę, ojca, braci i siostry... I wiesz co? Mój braciszek dmuchał mnie przez siedem lat, a mamuśka przymykała na to oczy, bo niby był trudnym dzieckiem i musiał „spuścić parę”... Pierwszą skrobankę miałam w wieku trzynastu lat, też dzięki niemu, a rok później dwie następne. Potem do akcji wkroczył tatuś... Fajna rodzinka, co? Dlatego uciekłam do Vegas i od walałam numerki przez rok, dopóki nie dostałam angażu w rewii... Zrobiłam wtedy jeszcze dwie skrobanki, a jedną już tutaj, kiedy przeleciał mnie mój agent. Dlatego nie chciałam tego dziecka, ale wydawało mi się, że ty chcesz.

Owszem, chciał, ale swoje, nie czyjeś. To, co mu powiedziała, sprawiło mu prawdziwy ból.

- Naprawdę nie wiem, co ci mam powiedzieć, Barb. Przepraszam cię za wszystko. Chyba oboje mieliśmy po prostu pecha.

- Aha. - Wysiąkała nos i zapaliła następnego papierosa. - Nie powinnam była w ogóle za ciebie wychodzić. Wmawiałam sobie, że potrafię być taka, jakiej pragnąłeś, ale po prostu nie potrafię. Dostawałam kota, kiedy musiałam zgrywać twoją słodką, małą żoneczkę i patrzeć, jak dla mnie sprzątasz i gotujesz obiady. Ja chromolę obiady, Charlie, ja chcę się bawić!

Porażony brutalną wymową tych słów, Charlie aż przymknął oczy. Nie mógł uwierzyć w to, co mówiła, ale wiedział, że mówi prawdę. A kiedy otworzył oczy - zadał sobie pytanie, czy w ogóle przedtem znał kobietę, którą poślubił.

- No więc co zamierzasz teraz zrobić?

- Jeszcze nie wiem. Pewnie na razie zamieszkać z Judi.

- A co z dzieckiem?

- To żaden problem. Wiem, co się robi w takich wypadkach. - Wzruszyła ramionami, jakby mówiła o czymś bez znaczenia. Charlie zaś za wszelką cenę chciał zapamiętać, jak uroczo wyglądała, kiedy po raz pierwszy przekazała mu tę nowinę.

- Dobrze, a ten twój facet? Może chciałby, żebyś urodziła to dziecko?

- Nawet mu o tym nie wspomniałam. On ma żonę i trójkę własnych dzieciaków, więc wątpię, aby był zachwycony.

- Naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć. - Charlie czuł, że całe jego życie zostało przewrócone do góry nogami. Nie był w stanie myśleć, a co dopiero podejmować ważne decyzje! - Czy nie mogłabyś dać mi jeszcze trochę czasu?

- Po co? - spytała ze zdziwieniem.

- Żebym mógł to sobie porządnie poukładać. W tej chwili nie wiem, co mam o tym myśleć, co właściwie czuję ani co powinienem ci powiedzieć.

- Nie musisz mi nic mówić - wyznała ściszym głosem, bo po raz pierwszy w życiu czuła się winna. - Ja cię doskonale rozumiem.

Teraz już Charlie rozplakał się na dobre, bo poczuł się jak ostatni idiota. Ona bowiem okazała się w porównaniu z nim twardsza i zahartowana życiem, a on potrafił tylko płakać tak samo jak wtedy, gdy ludzie, którzy go adoptowali, oświadczyli, że nie mogą podjąć się trudu wychowywania dziecka z astmą... Nie przestawał płakać, dopóki Barbie nie wzięła go w ramiona i nie utuliła. Po pewnym czasie poszła do sypialni spakować swoje rzeczy. Zaraz potem zamówiła taksówkę i kazała się zawieźć do mieszkania Judi.

Charlie przepłakał resztę dnia, bo to, co się stało, przekraczało jego wyobrażenia. Nie miał odwagi zadzwonić do Marka, bo wiedział, co usłyszy - że z tą dziewczyną miał tylko krzyż pański i chwala Bogu, że się jej pozbył. Ale jeśli to była prawda, dlaczego w takim razie nie poczuł się choć trochę lepiej? Przeciwnie, nigdy w życiu nie czuł się tak źle. Mało tego, że okazał się bez płodny, to jeszcze rzuciła go ukochana żona.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Brad i Pilar spędzili sylwestra w gronie przyjaciół. Wszystkich zaskoczyła rewelacja o ciąży Pilar. W ciągu minionego roku przebyła długą drogę - od zagorzałej starej panny do żony i matki. Dwadzieścia lat temu głosiła zupełnie inne poglądy, ale w obecnym, nowym wcieleniu też było jej do twarzy.

Po kolacji całe towarzystwo tańczyło pod melodie ze starych musicali, a o północy wszyscy złożyli sobie życzenia i wzniesli toast szampanem. O wpół do drugiej Brad i Pilar zdecydowali się na powrót do domu, gdyż Pilar czuła się bardziej zmęczona niż zwykle. Przedtem lubiła długie, nocne posiedzenia, ale miała już dość niekończących się rozmów o swojej ciąży. Poza tym ostatnio stwierdziła, że ciąża potęguje u niej senność.

- Jacy ci ludzie są zabawni! - komentowała w drodze powrotnej. - Widziałeś ich miny, kiedy oznajmiłam, że jestem w ciąży? Najpierw myśleli, że żartuję, potem ich zatkało, wreszcie zaczęli się oburzać. Można było boki zrywać!

- Sama jesteś zabawna! - Brad się uśmiechnął, ale równocześnie zauważył, że wzdrygnęła się, kiedy pomagał jej wysiąść z wozu. - Źle się czujesz?

- Bo ja wiem... złapał mnie jakiś skurcz...

- Gdzie?

- Gdzieś w brzuchu - rzuciła niedbale, bo przed kilkoma dniami miała podobne skurcze i konsultowała się w tej sprawie z doktor Ward, która je zbagatelizowała. Uspokoila, że takie skurcze na początku ciąży są zjawiskiem normalnym, związanym z powiększaniem się macicy. Tak więc Pilar była spokojna, ale wieszając rzeczy do szafy, poczuła następny skurcz, tym razem silniejszy. Po nim jej wnętrznościami targnął jeszcze jeden i jeszcze... aż poczuła, jak coś ciepłego cieknie jej po nodze. Spojrzała w dół i spostrzegła krew.

- O Boże... - wyszeptała i zawołała Brada, a zanim przyszedł, stała sparaliżowana strachem, plamiąc krwią dywan. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, ale była pewna, że to nic dobrego. Brad od razu ocenił sytuację i zaciągnął ją do łazienki, gdzie ułożył na dywaniku ze stosem ręczników podłożonych pod biodra. Nie zatamowało to krwawienia, więc Pilar wpadła w panikę.

- Czy to znaczy, że tracę dziecko?

- Nie wiem, kochanie. Na razie nie ruszaj się, a ja zadzwonię po lekarza.

Oczywiście nie było mowy o konsultacji z doktor Ward, droga do Los Angeles zajęłaby zbyt dużo czasu. Brad skoczył do sypialni i stamtąd zadzwonił do ginekologa, który

kiedyś opiekował się Pilar. Ten kazał jak najszybciej wieźć ją do szpitala i zapewnił, że będzie tam na nich czekał. Zdążył tylko uspokoić Brada, że miał już ciężarne pacjentki, u których mimo krwawienia udało się utrzymać ciążę. Doktor Parker był lekarzem starej daty, liczył sobie około siedemdziesiątki, ale Brad zawsze go lubił.

Powtórzył Pilar zapewnienia doktora, kiedy pędził na złamanie karku, wioząc ją do szpitala, owiniętą w ręczniki i koc. Jednak zanim wsiadła do samochodu, zostawiała za sobą krwawy ślad, a do szpitala dojechała blada i wystraszona. Krzyczała z bólu, kiedy lekarz próbował ją zbadać, więc ginekolog tylko pokręcił głową i wyjaśnił Bradowi, że Pilar poroniła. Chciał ogłędnie dać jej to do zrozumienia, ale ona tylko wodziła przerażonym wzrokiem od niego do Brada.

- Czy moje dziecko umrze? - pytała trwożnie.

- Obawiam się, że już nie żyje - wyjaśnił, trzymając ją za jedną rękę, a Brad za drugą.

- Takie rzeczy się zdarzają i nie zawsze można temu zapobiec.

Rzeczywiście, Helen Ward już kilka tygodni temu przestrzegła Pilar, że starsze wiekiem matki są bardziej podatne na poronienia. I to się stało. Pilar płakała rozpaczliwie nie tyle z bólu, ile z żalu, że nie urodzi dziecka, którego tak pragnęła. Uważała, że stała się jej krzywda.

- Zabierzemy panią na oddział i zrobimy zabieg, by oczyścić macicę i zatamować krwawienie. Na razie jednak musimy poczekać godzinę lub dwie, bo jest pani po obfitej kolacji. Tymczasem siostra da pani coś na uśmierzanie bólu.

To coś, co podała jej pielęgniarka, wiele nie pomogło, więc przez następne dwie godziny Pilar zaciskała zęby, żeby nie krzyczeć przy kolejnych skurczach. Nie przypuszczała dotąd, że bóle mogą być tak silne. Kiedy wieźli ją na zabieg, była kompletnie wyczerpana i zaczynała wpadać w histerię. Zamęczała Brada uporczywymi pytaniami, co będzie, jeśli się okaże, że jej dziecko jednak żyje? W takim przypadku zabieg, który chcą jej zrobić, będzie równoznaczny z aborcją! Brad uspokajał ją, powtarzając słowa doktora Parkera, że dziecko i tak straciła, a zabieg jest nie zbędny, by usunąć resztki martwej tkanki.

- To nie jest żadna martwa tkanka, tylko moje dziecko! - wrzasnęła na niego, nie panując już nad sobą.

- Wiem, wiem, kochanie... - powtarzał bezradnie, towarzysząc jej w drodze do sali operacyjnej. Lekarz skierował go do sali, na którą miała wrócić po zabiegu. Gdy ją tam przywieziono, nie odezwała się ani słowem, przez cały czas płakała. Przeplakała całą noc. Brad czuwał przy niej, ale nie mógł pomóc.

- To dla niej ciężkie przeżycie - wyjaśnił doktor Parker. - Po ronienu są jednym z

największych nieszczęść naszych czasów, choć na ogół się ich nie docenia. Nam się wydaje, że kobiety po winny się po tym szybko otrząsnąć, a to przecież jest śmierć i trzeba miesięcy albo i lat, żeby doszły do siebie. Czasem mogą już nigdy nie wrócić do normy, a pani Pilar jest już w takim wieku, że nie wiadomo, czy jeszcze dochowa się dziecka.

- W każdym razie będziemy próbować - Brad zapewnił bardziej siebie niż lekarza. - Udało nam się raz, uda i drugi.

- Niech pan jej to powie, ale proszę się liczyć z tym, że nie prędko odzyska dobry nastrój, częściowo z powodu straty dziecka, a trochę pod wpływem hormonów.

Po odejściu lekarza Brad uświadomił sobie, że i on czuje wielki smutek. Także i jemu zbierało się na płacz z żalu nad nią i za utraconym dzieckiem. Po południu przywiózł Pilar do domu i natychmiast zapakował do łóżka. Prosił, żeby przeleżała chociaż kilka dni, ale zaraz tego samego wieczoru zadzwoniła Nancy. Chciała poinformować macochę, jakie piękne łóżeczko widziała dla jej przyszłego dziecka.

- Nnnn... nie mogę teraz z tobą rozmawiać... - wykrztusiła przez łzy Pilar i oddała aparat Bradowi. Ten wyszedł z nim do drugiego pokoju i tam wyjaśnił córce, co się stało. Nancy przerażona odłożyła słuchawkę. Było jej żal ojca i macochy, ale znowu pomyślała, że Pilar jest już za stara, żeby jeszcze raz próbować.

Pierwszy dzień nowego roku Brad i Pilar spędzili w smutku i samotności, rozmyślając o dziecku i nadziei, którą utracili.

Charlie obudził się już piętnaście po szóstej. Nie spał przez pół nocy i zdołał zasnąć dopiero około czwartej, ale w tych dniach w ogóle słabo spał. Dzięki tym nieprzespanym nocom podjął decyzję, jak ustosunkuje się do postępu Barbie. Jasne, że nie był nim zachwycony i miał zamiar wymóc na niej przyrzeczenie, że takie ekscesy więcej się nie powtórzą, ale przecież nie mógł jej teraz opuścić. Nadal ją kochał, a ona go potrzebowała, zresztą może dziecko scementuje na nowo ich związek?

Było jeszcze za wcześnie, żeby dzwonić, więc wziął prysznic, ogolił się i do dziewiątej nerwowo spacerował po pokoju. Potem wsiadł do samochodu i podjechał pod dom, gdzie mieszkała Judi. Już od trzech dni nie rozmawiał z Barb, a kiedy odchodziła - nie wiedział, co ma jej powiedzieć. O dziwo, żałował nawet, że w ogóle odwiedził doktora Pattengilla. Gdyby nie wiedział o swojej niepłodności, uwierzyłby, że dziecko jest jego. Teraz nie było to już takie proste. Chociaż może było?

Nacisnął guzik domofonu, ale dopiero po jakiejś minucie włączył się brzęczyk sygnalizujący otwarcie drzwi wejściowych. Na górze otworzyła mu Judi, którą jego widok wyraźnie zaskoczył. Chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Oprócz



niej w mieszkaniu znajdował się chłopak, z którym chodziła od czerwca, i współlokatorka, która zajęła miejsce Barbie od czasu jej ślubu z Charliem.

Judi czuła się niezręcznie, podobnie zresztą jak Charlie. Oboje przecież wiedzieli, co zaszło, a Charlie był świadomy, że Judi musiała kryć Barbie podczas jej schadzek z kochankiem. Lojalność wobec Barbie pozwalała jej okłamywać Charliego, ale czuła się głupio, że wyszło tak, jak wyszło. Barbie powiedziała jej od razu o ciąży i Judi radziła jej, by po cichu ją usunęła, nie mówiąc nic nikomu. Barbie początkowo też miała taki zamiar, ale wiedziała, jak bardzo Charlie pragnął dziecka. Umyśliła więc sobie, że przekona go o jego ojcostwie i w ten sposób nie będzie musiała robić kolejnej skrobanki.

- Cześć, Charlie - przywitała go Judi. - Zaraz zawołam Barbie. Nie musiała jednak tego robić, bo Barbie stała za nią. Była blada, wyglądała na zmęczoną i nieszczęśliwą.

- Cześć! - odezwał się do niej Charlie, czując się jak chłopak na pierwszej randce. Tymczasem Judi i jej współlokatorzy dyskretnie wycofali się do kuchni. - Przepraszam, że nie zadzwoniłem. Potrzebowałem czasu, żeby wszystko sobie przemyśleć.

- To tak samo jak ja - odpowiedziała ze łzami w oczach, tłumiąc w gardle szloch. Nie mogła spojrzeć mu w oczy, bo wiedziała, jak podle z nim postąpiła.

- Może usiądziemy? - zaproponował Charlie, który w tych dniach jakby nagle wydorósł, a nawet się postarzał.

Barbie nie chciała, aby w kuchni słyszano ich rozmowę, więc zaciągnęła Charliego do sypialni Judi. Usiadła tam na rozbabranym łóżku, a Charlie niepewnie przysiadł na brzeżku jedynego krzesła. Przyglądał się stamtąd kobiecie, którą dwa lata temu poślubił. Przebyli razem długą drogę, która na większości etapów była całkiem znośna. Tyle tylko, że nigdy nie czuł się naprawdę żonaty, ale miał pewność, że wkrótce to się zmieni. Przecież mając dziecko, będą musieli trzymać się razem.

- Chcę uznać to dziecko, Barb - oświadczył. - Długo o tym myślałem, ale sądzę, że to ma sens. W końcu ten, kto by mnie adoptował, też nie byłby moim krewnym, więc i to małżeństwo nie musi wiedzieć, że nie jestem jego ojcem. Wystarczy, jeśli w metryce urodzenia będzie napisane, że jestem.

Uśmiechnął się do niej, gotów przebaczyć jej wszystko. Wziął ją za rękę, ale nie dała się trzymać dłużej niż przez chwilę. Płakała i potrząsała głową. Próbował ją przekonać, że jeszcze wszystko między nimi może wrócić do normy, ale nie chciała go słuchać. - Wczoraj usunęłam ciążę - wyrzuciła w końcu. Charlie poczuł się, jakby dostał pałką w łeb. Nie przypuszczał, że można coś takiego zrobić tak szybko.

- Chyba żartujesz? - wykrztusił, ale to raczej nie był temat do żartów. Po prostu nie

przyszło mu do głowy nic innego, co mogłoby przerwać tę męczącą ciszę. - Ale dlaczego? - dodał jeszcze. Sytuacja kompletnie go przerastała i wiedział o tym.

- Charlie, ja nie mogłam urodzić tego dziecka. To nie byłoby w porządku ani wobec ciebie, ani wobec mnie, ani nawet wobec tamtego. Ono przez całe swoje życie przypominałoby ci, że cię oszukałam. A ja... - Podniosła na niego oczy pełne łez. - Widzisz, prawda jest taka, że choćbym miała nie wiem jakie wyrzuty sumienia, po prostu nie chcę mieć dziecka. Ani twojego, ani niczyjego.

- Dlaczego? Przecież dziecko byłoby największym szczęściem, jakie mogłoby nas spotkać. A teraz będziemy musieli je adoptować.

Mówił o tym ze smutkiem, gdyż liczył, że dziecko rozwiąże ich problemy. Teraz widział już tylko jedno wyjście z sytuacji. Z jednej strony czuł ulgę, z drugiej - najgłębszą rozpacz.

- Charlie... - wyszeptała tak cicho, że ledwo dosłyszalnie. - Ja już nie wrócę do ciebie! Spuściła głowę, bo po tym, co powiedziała, nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

- Co takiego? - Pod piegami zbladł jak płótno. - Coś ty po wiedziała?

Zmusiła się, aby znów podnieść wzrok na niego.

- Charlie, kocham cię... Byłbyś wymarzoną mężem dla każdej innej kobiety, ale ja... Ja po prostu nie nadaję się do małżeństwa. Przedtem nie zdawałam sobie z tego sprawy, a potem myślałam, że się jakoś przemogę, ale dostawałam kota, ilekroć musiałam zostać z tobą wieczorem w domu. Zaraz po naszym ślubie cieszyłam się, że nareszcie jakiś porządny człowiek się mną za opiekuje... - Teraz łzy toczyły się jak groch po jej policzkach. - Wydawało mi się to snem, ale niedługo ten sen zamienił się w koszmar! Nie chcę się ciągle przed kimś tłumaczyć ani przeżyć całego życia uwiązana do jednego faceta, a już na pewno nie chcę ubrać się w bachora! Ani twojego, ani czyjegokolwiek, ani tym bardziej adoptowanego! Umówiłam się już z moim lekarzem na sterylizację, żeby nie robić ciągle skrobaneł.

- Dlaczego przynajmniej nie porozmawiałaś o tym ze mną? Oczywiście miał na myśli dziecko, jakby ono mogło zapobiec wszystkiemu, co zapowiedziała. Przecież nie mogła mówić serio,

że do niego nie wróci.

- To nie było twoje dziecko, a ja nie chciałam go urodzić.

- To nie w porządku! - wykrztusił przez łzy, ale co właściwie było w porządku? Ani to, co się stało, ani całe jego życie, odkąd opuścili go rodzice. A teraz ona chciała go opuścić, jak ci wszyscy ludzie z rodzin zastępczych, którzy zajmowali się nim przez jakiś czas, ale

potem zdecydowali, że wprawdzie jest miły, ale nie potrafią go pokochać. Czyżby miał w sobie coś, przez co nie po trafił zdobyć niczyjej miłości? Płakał teraz jak dziecko i powtarzał:  
- Tak mi przykro...

Chciał ją przeprosić za swoje odczucia i za te niemęskie łzy, ale Barbie tylko przecząco kręciła głową. Przez niego czuła się winna, choć była już absolutnie przekonana o słuszności swego postępowania. Właściwie powinna była to zrobić dawno, kiedy wdała się w romans z tym bubkiem z Vegas.

- A może wrócisz ze mną do domu, przynajmniej na jakiś czas? - Próbował rozpaczliwie ją przekonać. - Żylibyśmy w takim partnerskim związku, mogłabyś przychodzić i wychodzić, kiedy chcesz. Nie musiałabyś mi się opowiadać, a ja o nic bym cię nie pytał.

Jednak słysząc własne słowa, sam się sobie dziwił, jak mogły mu przejść przez gardło. Wiedział przecież dobrze, że nie wytrzymałby długo takiej sytuacji, a Barbie wiedziała o tym jeszcze lepiej. Zresztą była już zdecydowana i nie zamierzała zmienić zdania.

- Nie mogę się na to zgodzić, Charlie - powtórzyła z uporem. - To nie byłoby uczciwe wobec żadnego z nas.

- No więc jakie masz plany? - spytał, bo martwił się o nią. Potrzebowała opieki, nie była taka silna, za jaką chciała uchodzić.

- Judi chce zrezygnować z pracy tutaj. Wrócimy razem do Vegas.

- Po co? Żeby przez następne pięć lat stać w ostatnim rzędzie chóru? A co potem? Co zrobisz, kiedy już będziesz za stara, że by latać z gołymi cyckami po wybiegu?

- Pewnie dam sobie wstrzyknąć silikon, żeby pokazywać je dłużej! Zresztą nie wiem, Charlie. Wiem tylko jedno, że nie jestem taką kobietą, jakiej chcesz i na jaką zasługujesz. Wolę zestarzeć się na wybiegu.

- Nie wierzę! - Wstał i podszedł do okna, za którym rozciągał się widok równie nudny i bezbarwny, jak miało wyglądać odtąd jego życie. - Naprawdę nie chcesz wrócić ze mną do domu?

Podniósł na nią oczy, na co ona stanowczym ruchem potrząsnęła głową. Żadne z nich już nie płakało, ale Charlie czuł się w tej chwili tak, jakby olbrzym przyłożył mu pięścią w splot słoneczny.

- Zasługujesz na coś lepszego, niż jestem w stanie ci dać! Do ciebie pasuje jakaś miła dziewczyna, która zachwyciłaby się wszystkim, co byś jej zaofiarował i z chęcią siedziała w domu i pilnowała garów. Adoptowalibyście dwójkę dzieci i bylibyście szczęśliwi.

- Dziękuję, że tak dokładnie wszystko zaplanowałaś! - mruknął z goryczą. W tej chwili miał pewność, że już nigdy nie ożeni się powtórnie. Jasne, nie mógł zmusić jej do

powrotu, ale też nikt nie zmusi go, by jeszcze raz przeszedł przez to samo.

- Przepraszam cię, Charlie... - powiedziała, odprowadzając go do drzwi. Patrzyła za nim, jak schodził po schodach, ale ani razu się nie odwrócił. Po prostu nie mógł. Za bardzo przypominało mu to sytuację, kiedy rodzice zastępczy odsyłali go z powrotem do domu dziecka.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Do końca stycznia Charlie miał wrażenie, że porusza się po omacku. Chodził regularnie do pracy, ale spakował rzeczy Barbie, wystawił je na klatkę schodową, a sam przeprowadził się do mieszkania w Palms. Pierwszą noc strawił tam na rozmyślaniach, jak do tego doszło. Czyżby żądał od niej za wiele? Ale czy pragnienie posiadania dziecka to takie wygórowane wymaganie? I czy to możliwe, by kobieta po prostu nie chciała być mężatką?

Pod koniec miesiąca Barbie zawiadomiła Charliego, że wystąpiła o rozwód, a kilka dni później zadzwoniła, że wyjeżdża do Vegas. Zapewniła go, że poda mu swój adres, aby mogli sfinalizować rozwód. Mówiła sucho i rzeczowo, w przeciwieństwie do Charliego, który płakał jeszcze przez godzinę po odwieszeniu słuchawki i nawet Mark nie był w stanie go pocieszyć.

Stary kumpel próbował go przekonać, że „tego kwiatu jest pół świata” i że na drugi raz lepiej będzie, jeśli Charlie poszuka sobie partnerki o podobnym stosunku do życia jak on. Nie wypomnił mu oczywiście, że Barbie od początku mu się nie podobała. Przypomnił natomiast, że sam miał podobne przejścia. Przecież i jego żona opuściła go dla innego faceta i uciekła do Kalifornii.

- A myśmy do tego mieli dzieci! - podkreślił. Chciał dać Charliemu do zrozumienia, że sam był w gorszej sytuacji.

Jednak Charliemu uzmysłowiło to tylko, jak bezbarwne było jego dotychczasowe życie i jaka nieciekawa rysowała się przed nim przyszłość. Nie chciał z nikim się umawiać, a wysiłki Marka, aby wprowadzić go między ludzi, spełzły na niczym. Nie dał się namówić nawet na grę w kręgle, bo uważał, że jeszcze na to za wcześnie. Najpierw musiał na nowo przemyśleć całe swoje życie.

Usiłował wmówić sobie, że bez dzieci będzie mu się żyło lepiej i może to łaska boska, że okazał się nieplodny? W gruncie rzeczy, co właściwie wiedział o dzieciach? Sam nie miał normalnego dzieciństwa, więc skąd przekonanie, że swoim dzieciom potrafiłby stworzyć normalny dom? Zwierzył się z tych przemyśleń Markowi, który poradził mu, żeby się raczej stuknął w czoło. Przykro mu było patrzeć na przyjaciela w takim stanie ducha i chętnie wysłałby go do psychiatry. Poleciał mu nawet jednego, który praktykował w Valley, ale Charlie nie chciał o tym słyszeć.

- Źle myślisz, stary! - powiedział Mark, gdy obaj wychodzili z pracy. - Może właśnie byłbyś najlepszym ojcem na świecie, bo dobrze wiesz, czego dziecku potrzeba, i twój

problem polega tylko na tym, że wybrałeś nieodpowiednią dziewczynę. Jej się marzyło życie w światłach rampy, a tobie - szczęśliwa rodzina. Kiedyś znajdziesz właściwą partnerkę, ustabilizujesz się, tylko pamiętaj, że twoje życie się nie skończyło. Potrzebujesz jedynie czasu na zagojenie ran.

Mark mówił prawdę, ale Charlie nie chciał tego słuchać.

- Nie mam zamiaru nikogo sobie szukać! - zarzekał się. - Co tu mówić o żeniactwie, kiedy jeszcze nawet się nie rozwiodłem?

- To dlatego nie chcesz zagrać ze mną w kręgle ani wyskoczyć na piwo i pizzę? - Mark udał zdziwienie. - Myślisz, że chcę umówić się z tobą na randkę? Owszem, przystojniak z ciebie, ale nie jesteś akurat w moim typie, zresztą nie chciałbym robić Ginie przykrości...

Tu już Charlie nie wytrzymał i parsknął śmiechem, co oznaczało, że chwyt poskutkował. Mark obdarzył go przyjacielskim szturchańcem i poradził:

- Po prostu wyluzuj się, dobrze?

- Dobra, spróbuję... - mruknął Charlie i po raz pierwszy od dłuższego czasu się uśmiechnął.

W ciągu najbliższych dni dał się Markowi zaprosić na kolację, a w weekend zgodził się nawet zagrać z nim w kręgle. Powoli wracała mu chęć do życia, choć nadal nie mógł myśleć o Barbie bez urazy. Wciąż nie rozumiał, jak mogła tak zaprzepaścić ich małżeństwo. Jednak stopniowo, krok po kroku, wysuwał się ze swej skorupy. Doszło do tego, że w weekendy zaczął grywać w baseball w towarzystwie dwunastoletnich wychowanków domu dziecka.

Przez pierwszy miesiąc po stracie dziecka Pilar nie mogła otrząsnąć się z przygnębienia. Wzięła urlop, ale nie chciała nikogo widywać, tylko snuła się bez celu po domu w nocnej koszuli. Brad zachęcał ją do spotkań z przyjaciółmi, ale nawet Marinie udało się to dopiero za którymś podejściem.

Przyniosła jej naręczę książek o poronieniach, długotrwałych stanach przygnębienia i wstrząsach psychicznych. Uważała bowiem, że informacja jest najlepszym lekarstwem, ale Pilar była innego zdania.

- Nie chcę dowiadywać się od kogoś, jak się naprawdę czuję czy jak powinnam się czuć!

- Ale może chciałabyś się dowiedzieć, co zrobić, żeby poczuć się lepiej i wrócić do normy? - Marina nie ustępowała.

- O jakiej normie mówisz? Do jakiej normy może wrócić kobieta w średnim wieku, która podejmowała w życiu różne głupie decyzje i przez to nigdy nie będzie mogła mieć

dzieci?

- No, no, tylko mi się nie użalaj nad sobą! - Marina ofuknęła ją żartobliwie.

- Chyba mam do tego prawo?

- A jakże, masz, byleby tylko nie przeszło ci to w nawyk. Po myśl o Bradzie, on też ciężko to przeżył. - Wspomniała Brada, bo to on uprosił Marinę, żeby ją odwiedziła. Pilar nie odbierała telefonów i nie podchodziła, gdy ją proszono.

- Cóż takiego przeżywał? On przynajmniej ma swoje dzieci.

- Nawet jeśli nie on, to jest więcej osób, które dobrze znają ten ból. Nie ty jedna poroniłaś, choć teraz może ci się tak wydawać. Są kobiety, które rodzą martwe dzieci, tracą je już w niemowlęctwie albo i później, kiedy zdążyły je lepiej poznać i pokochać. To chyba najgorsze, co może człowieka spotkać.

- Masz rację i dlatego tak się głupio czuję! - przyznała Pilar, wycierając łzy. - Może to śmieszne, ale wydaje mi się, jakbym straciła dziecko, które już znałam i pokochałam... takiego gotowego, małego człowieczka... Tymczasem ono nie żyje i już go nigdy nie poznam.

- Tego już nie, ale możesz mieć inne dziecko. To ci pomoże, chociaż nie wróci życia tamtemu.

- Myślę, że to jedyne, co mi może pomóc - wyznała szczerze Pilar. - O niczym innym nie marzę tak bardzo, jak o tym, żeby znów zająć w ciążę. - Z impetem wydmuchała nos w garść chusteczek higienicznych.

- Może jeszcze tak się stanie... - Marina obdarzyła ją współczującym uśmiechem. Nie lubiła dawać nikomu złudnych nadziei, ale trudno było w tej chwili ocenić, czy Pilar jest zdolna do utrzymania ciąży.

- Może tak, a może nie. I co wtedy?

- Wtedy będziesz żyć dalej i robić swoje. Przedtem radziłaś sobie całkiem nieźle, więc i teraz musisz. Dzieci to jeszcze nie wszystko. - Po chwili przypomniała sobie jednak pewne zdarzenie, o którym chciała opowiedzieć Pilar. - Słuchaj, byłabym za pomnią! Przecież moja matka poroniła dziewiątą ciążę, chyba dwumiesięczną. Wydawałoby się, że przy ośmiorgu dzieciach jedno więcej czy mniej nie robi różnicy, ale trzeba ci było widzieć, jak rozpaczała! Leżała w łóżku i płakała, a pozostała siódemka przewróciłaby dom do góry nogami, gdybym ich nie pilnowała. Mama urodziła potem jeszcze dwoje dzieci, ale nigdy nie przestała wspominać tego, które straciła. Potrafiła godzinami mówić o nim, jakby je znała.

- To jest właśnie to, co czuję! - Pilar ucieszyła się, że nareszcie ktoś ją zrozumiał. Od razu znalazła w dawno zmarłej matce Mariny bratnią duszę.

- To chyba jedna z tajemnic naszego życia, której nikt na prawdę nie zrozumie, dopóki

sam przez to nie przejdzie.

- Pewnie tak... - Pilar znowu posmutniała. - Ale to chyba najgorsze, co mogło mnie spotkać. - Mówiła to całkiem szczerze, bo serce jej się krajało za każdym razem, kiedy myślała o dziecku.

- No więc spróbuj pomyśleć o mojej matce. Po tamtym poronieniu urodziła jeszcze dwoje dzieci, a kiedy straciła tamto, miała chyba ze czterdzieści siedem lat.

- Przynajmniej ty dajesz mi nadzieję! - Pilar prawem kontrastu pomyślała o swojej matce. Nie poinformowała jej o tym, co się stało, bo wcześniej nie chwaliła się ciążą. I dobrze, bo teraz matka nie omieszkałaby jej przypomnieć, że zawczasu ją uprzedzała i że w jej wieku za późno już na dziecko. W tej chwili zresztą Pilar gotowa była przyznać jej rację.

Rozpaczała tak jeszcze przez kilka tygodni, przygotowując Brada nieomal o utratę zmysłów. W pracy Alice i Bruce przejęli jej sprawy, terminy rozpraw odroczone, a klientów poinformowano, że pani mecenas jest chora. Toteż wszyscy martwili się stanem jej zdrowia.

Nancy próbowała ją nieco rozerwać, ale przyniosła ze sobą małego Adama, czym jeszcze pogorszyła sprawę, bo Pilar dostała ataku hysterii. Kiedy Brad wrócił do domu, napadła na niego, żądając, aby Adam nie pokazywał się w ich domu, póki nie do rośnie, bo nie może patrzeć na żadne dziecko.

- Daj spokój, Pilar - mitygował ją Brad, który miał już tego serdecznie dość. - Tak nie można!

- Niby dlaczego? - Wiedziała przecież, że od dłuższego czasu niedojadała i niedosypiała, schudła o dziesięć funtów i wyglądała o pięć lat starzej.

- Bo tylko sobie szkodzisz, a w przyszłym miesiącu zaczynamy od nowa. Musisz wziąć się w garść, kochanie.

Cóż, kiedy nie mogła! Cały czas czuła się tak, jakby dźwigała na barkach ciężkie brzemie, chwilami wręcz odechciewało się jej żyć. Brad, chcąc ją trochę rozruszać, wyciągnął ją na weekend do San Francisco i trzeba trafu, że właśnie wtedy dostała okres. Mąż rozśmieszał ją przypomnieniami, że za dwa tygodnie mają wyznaczoną wizytę u doktor Ward, gdzie znów będą oglądać świńskie filmy i „nadziewać indyka”. Do końca pobytu żartował, że zabierze ją na Broadway, aby dokupić trochę utensyliów do kolekcji pani doktor.

- No wiesz, Bradfordzie, jesteś chyba zboczony! - Udawała, że się gorszy. - Gdyby przewodniczący sądu wiedział o twoich kosmatych myślach, wylałby cię z pracy!

- I dobrze, wtedy mógłbym kochać się z tobą przez cały dzień! - Śmiał się, niezrażony, ale w tym okresie Pilar takie żarty nie śmieszyły. Próbowała opisać swój stan ducha zarówno Bradowi, jak psychoterapeucie. Uważała bowiem, że poronienie dowiodło jej nieprzydatności



do roli matki. „Stracić dziecko” oznaczało dla niej to samo, co zostawić je w autobusie czy w parku.

Trudno było z nią dyskutować, gdyż nie używała argumentów racjonalnych, tylko emocjonalne. Rozsądek podpowiadał jej to samo, co powtarzał Brad - że powinni próbować do skutku. Ale serce przepojone było wyłącznie żalem po stracie tego dziecka, którego tak pragnęła i o którym nie umiała myśleć bez bólu.

Diana nie chciała kusić losu, kiedy wrócili z Andym z urlopu. Spędzili ze sobą cudowne dni na Hawajach, a do domu przyjechali wyraźnie odmienieni. Mając świadomość, jak wyboistą drogę przebyli, Diana wolała nie prowokować zadrażeń. Postanowiła przez jakiś czas nie widywać swojej rodziny, aby nie narażać się na kłopotliwe pytania. Z Samantą nie rozmawiała prawie od dwóch miesięcy, ale czuła, że nie mogłaby znieść widoku jej dziecka.

W pracy szło jej dobrze i znów zaczęła odczuwać satysfakcję. Od czasu do czasu chętnie plotkowała z Eloise, choć stosunki między nimi wyraźnie się ochłodziły. Eloise liczyła, że z czasem wrócą do dawnej poufałości, ale Diana wciąż zamykała się w sobie, unikając zwierzeń na temat życia i małżeństwa. Przez pierwszy tydzień po powrocie z wycieczki chętnie wracała z pracy do domu, gdyż spieszno jej było do Andyego. On też wydzwaniał do niej z biura trzy lub cztery razy dziennie. Wspólny wyjazd zbliżył ich do siebie, życie biegło im leniwie i spokojnie, bo Diana jeszcze nie czuła się na siłach przyjmować gości. Andy zresztą nie nakłaniał jej do tego, a Bili i Denise też nie odzywali się już od miesięcy. Andy wytłumaczył Billowi, że Dianie trudno byłoby znieść widok ciężarnej kobiety. Chyba to zrozumiał, gdyż obaj panowie nadal grywali razem w tenisa, choć rzadko mieli na to czas.

Diana zazwyczaj nie zawracała sobie głowy sprawdzaniem wiadomości nagranych na automatycznej sekretarce. Przywykła już do sytuacji, że mało kto do nich dzwonił, wyjąwszy jej matkę i braci Andyego. Jednak któregoś dnia w połowie stycznia wróciła do domu wcześniej i wcisnęła przycisk, aby podczas przygotowywania obiadu odsłuchać nagrania. Dzwoniła, co było do przewidzenia, jej matka, potem jakaś akwizytorka czasopism, a trzy wiadomości były przeznaczone dla Andyego. Jedną zostawił Bili, zawiadamiając o turnieju tenisowym w ich klubie, drugą brat Andyego Nick, a trzecia pochodziła od kobiety.

Kobieta miała bardzo zmysłowy głos i sugerowała, że Andy już wie, o co chodzi. Prosiła tylko, aby do niej zadzwonił, i po dała swój numer telefonu oraz nazwisko: Wanda Williams. Diana zareagowała na tę informację śmiechem, bo nawet w najbardziej kryzysowych momentach ich pożycia nigdy nie posądzała Andyego o zdradę. Nie

przypuszczała także, aby był na tyle głupi, żeby zachęcać swoje ewentualne sympatie do pozostawiania wiadomości na sekretarce. Podejrzewała, że może to być raczej aktorka występująca w jednym z programów organizowanych przez jego agencję. Incydent ten nie zaniepokoił więc jej, raczej ubawił, ale dostarczył tematu do żartów przy kolacji.

- Co to za dama z takim seksownym głosem, która do ciebie dziś dzwoniła?

- Że co? - Andy, wyraźnie podenerwowany, sięgnął po chleb.

- Chyba słyszałeś? Kto to jest? - indagowała z uśmiechem. Zazwyczaj Andy umiał wychodzić z takich sytuacji obronną ręką, ale dziś jakoś mu to nie wychodziło.

- O co ci chodzi? To znajoma mojego brata. Przyjechała tu na jakiś czas i chciała, żebym pomógł jej wybrać samochód.

- Akurat samochód! - Diana roześmiała mu się w nos. - Co za bzdury! No już, wyduś, kto to jest ta Wanda Williams? - Wymówiła jej nazwisko z taką samą intonacją jak w nagraniu, ale Andyego wcale to nie rozśmieszyło.

- Nie wiem. Jakaś kobieta. W życiu jej nie widziałem. Wystarczy?

- Głos ma jak z Randki na telefon. Prosiła, żebyś do niej za dzwonił.

- Aha, rozumiem. - Zdążył już zjeść trzy kromki chleba, co świadczyło o jego zdenerwowaniu. Zaniepokoiło to Dianę.

- I co, zadzwonisz do niej? Oczywiście w sprawie samochodu? - Diana wyraźnie się z nim drażniła, co zaczynało wyprowadzać go z równowagi. - Może... Jeszcze zobaczę.

- O nie! - Cała ta historia nie trzymała się kupy, a Diana nie lubiła, kiedy wciskano jej jakieś bajeczki. - Andy, co tu jest grane?

- Może to moja sprawa, do cholery? Czy nie wolno mi już mieć życia prywatnego?

- Wolno, ale nie z kobietami.

- Przysięgam, że nie kręcę z nią, wystarczy?

- No więc co z nią robisz? - Diana nie rozumiała, dlaczego Andy tak się płacze, gdy chodziło o tę dziewczynę. Czyżby coś ukrywał?

- To znajoma mojego kolegi z pracy. Prosiła go, żeby mnie z nią umówił, bo ma jakiś problem do przedyskutowania... - Wolał nie ujawniać przed Dianą, że to Bili Bennington skontaktował go ze swoją byłą dziewczyną.

- No więc dlaczego mnie okłamałeś, że to znajoma twego brata?

- Daj spokój, Diano. Nie przyciskaj mnie do muru, dobrze?

- A niby dlaczego? - Poderwała się z miejsca. Teraz już całkiem otwarcie podejrzewała, że Andy ukrył przed nią jakiś romans. - Co ty kombinujesz?

- Słuchaj... - Za wszelką cenę próbował wykręcić się od szczerej odpowiedzi. Widział

jednak, że mu to się nie uda. - Nie chciałem ci teraz o tym mówić, bo myślałem, że najpierw z nią porozmawiam i zorientuję się, co to za jedna.

- Pięknie. I co to ma być? Randka?

- Ależ skąd! Ona wynajmuje się jako matka zastępcza. Już w zeszłym roku urodziła dla kogoś dziecko i chętnie zrobiłaby to znowu. Chciałem jej się przyjrzeć i dopiero potem spytałem cię o zdanie. - Bąkał to nieśmiało, spodziewając się gwałtownej reakcji żony.

- Co takiego? Wybierasz już matkę zastępczą, a mnie nawet nie raczyłeś uprzedzić? A jeśli będzie trzeba, to prześpisz się z nią, tak? Andy, na miłość boską, jak mogłeś zrobić coś podobnego?

- Przecież ci mówię, że na razie chciałem z nią tylko porozmawiać! A to, o czym mówisz, i tak załatwia się przez sztuczną inseminację i dobrze o tym wiesz.

- Dobrze, ale po co się w ogóle do tego bierzesz? Przecież się umówiliśmy, że przez najbliższe kilka miesięcy nie będziemy po ruszać tego tematu?

- Wiem, ale teraz akurat nadarzyła się okazja, a takich ludzi często się nie spotyka. No, a zanim ty się zdecydujesz, ona może już nosić dziecko dla kogoś innego.

- Kim ona jest?

- Chyba aktorką. Nie uznaje aborcji, natomiast łatwo zachodzi w ciążę i cieszy się, jeśli tym sposobem może wyrządzić komuś przysługę.

- Jakie to miłe z jej strony! A ile sobie życzy za tę przysługę?

- Dwadzieścia pięć patyków.

- A co, jeśli zmieni zdanie i zechce zatrzymać dziecko?

- Nie będzie mogła, bo zawrzemy umowę obwarowaną żelaznymi klauzulami. Zresztą przy tamtym dziecku nie robiła trudności. Spotkałem się z tymi ludźmi, dla których urodziła córeczkę. Urocze dziecko, szaleją za nią. Kochanie, proszę cię, pozwól mi przynajmniej porozmawiać!

- Ani mi się waż! Skąd wiesz, czy to nie jest narkomanka albo czy nie cierpi na jakąś dziedziczną chorobę? A jeśli nie zechce się zrzec dziecka? Nawet mnie nie proś o coś takiego!

Oparła głowę na stole i płakała, choć bardziej chciało jej się krzyczeć. Jak mógł stawiać ją w takiej sytuacji? Zrobili przecież dopiero pierwszy krok na drodze do odbudowy ich związku, nie była jeszcze gotowa do tego typu działań.

- Kochanie, to przecież ty chciałeś urodzić moje dziecko, więc chyba i ja mam prawo do tego? Wydaje mi się, że to lepsze niż adopcja, przynajmniej w połowie to dziecko będzie rzeczywiście nasze.

- To co, chcesz zrobić eksperyment naukowy? - Utkwiła w nim wzrok pełen nienawiści. - Jak śmiałeś mnie wpakować w coś takiego? Nienawidzę cię!

- Mam takie samo prawo do dziecka jak ty. To znaczy, oboje mamy, ale to przede wszystkim ty chciałaś je mieć.

- Tak, ale nie w ten sposób. Wiesz, w jakim stresie byśmy żyli, zanim byłoby po wszystkim? Zresztą, nie chcę, żebyś zapładniał jakąś obcą kobietę, bo mogłaby się zakochać w tobie i twoim dziecku. - Di, ona jest mężatką!

- No to co? W takim razie wszyscy macie fioła; ty, ona i jej mąż.

- A ty jedna jesteś normalna? - przyciął złośliwie.

- Może i jestem.

- W każdym razie nie wyglądasz na taką. - Rzeczywiście, sprawiała wrażenie osoby bliskiej obłędu. - Słuchaj, w tym tygodniu mam zamiar jednak z nią porozmawiać. Chcę spytać o jej warunki i przekonać się, co to za jedna. Muszę wiedzieć coś więcej. I chciałbym, żebyś przy tym była.

- O nie, ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie stawiaj mnie pod ścianą, proszę! - Ledwo się pozbierała po przeżytym szoku. Nie chciała ryzykować drugi raz tego samego.

- Myślałem, że jesteś silniejsza - rzekł spokojnie. Zależało mu, żeby przeprowadzić ten zabieg, bo pragnął dziecka. Diany też pragnął, ale przede wszystkim chciał mieć normalną rodzinę. A skoro ma szansę na dziecko swojej krwi - tym lepiej.

- A ja myślę, że jesteś świnią! - rzuciła mu w twarz i zamknęła się w łazience. Zanim wyszła, Andy zdążył już zadzwonić do Wandy Williams i umówić się z nią na następny dzień w restauracji „The Ivy”. Miał wrażenie, że to nie jest najodpowiedniejsze miejsce, ale to Wanda je wybrała.

- Pójdiesz tam ze mną? - spytał Dianę rankiem tego samego dnia, ale potrząsnęła przecząco głową. Zanim wyszedł do pracy, ponowił propozycję, ale tym razem w ogóle nie zareagowała. W agencji Bili zapytał go, czy udało mu się przekonać żonę, i Andy musiał zgodnie z prawdą przyznać, że Diana wpadła w szał. Nie przypuszczał, aby w ogóle zechciała spotkać się z kandydatką na matkę zastępczą. Bili spieszył się na ważne spotkanie, więc tylko życzył mu powodzenia.

Diana tymczasem siedziała w pracy, ale nie mogła się skupić, bo przez cały czas myślała, jak wygląda ta kobieta. W którymś momencie nie wytrzymała, zamówiła taksówkę i kazała się zawieźć do umówionej restauracji. Przybyła tam w pół godziny po Andym i Williamsach, ponieważ kobieta stawiała się na spotkanie z mężem. Andy, zaskoczony pojawieniem się Diany, przedstawił ją Williamsom.

Małżonkowie byli schludnie ubrani i nie wyglądali na ociężałych umyślowo ani na narkomanów. Wanda okazała się nie brzydką kobietą, i mówiła dużo o tym, że zależy jej na zrobieniu czegoś „pożytecznego”. John natomiast sprawiał wrażenie, jakby to wszystko mało go obchodziło. Oczywiście poza pieniędzmi, gdyż małżonkowie życzyli sobie pokrycia kosztów opieki lekarskiej, uzupełnienia garderoby Wandy i wyrównania jej utraconych dwumiesięcznych zarobków, niezależnie od honorarium rzędu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. W zamian Wanda deklarowała gotowość podpisania umowy gwarantującej nieużywanie przez nią alkoholu i narkotyków oraz unikanie ryzyka przez cały okres trwania ciąży. Zobowiązywała się też do oddania im dziecka zaraz po urodzeniu.

- A co będzie, jeśli pani w ostatniej chwili zechce jednak za trzymać dziecko? - spytała Diana, która tymczasem zamówiła sobie kawę.

- Na pewno tego nie zrobię - odpowiedziała szczerze Wanda, dodając coś na temat niesprzeciwiania się swojej karmie, czyli przeznaczeniu. Jej mąż wyjaśnił, że małżonka interesuje się religiami Wschodu.

- Nie przepada za dziećmi - dodał. - Tego ostatniego też nie chciała zatrzymać.

- A co pan będzie czuł, kiedy pańska żona zostanie zapłodniona nasieniem mojego męża? - zaatakowała go frontalnie Diana.

- Myślę, że pani mąż nie robiłby tego, gdyby nie musiał - od powiedział filozoficznie John, spoglądając wymownie na Dianę. Oczywiście natychmiast pojęła aluzję, ale nie dała tego po sobie poznać. - Uważam, że to jej sprawa, jeśli chce coś takiego zrobić.

Diana nie mogła się oprzeć wrażeniu, że oboje mieli nierówno pod sufitem, choć na zewnątrz wyglądali na zupełnie normalnych. Może dlatego cały projekt wydawał się jej tak odstręczający

Zjedli lunch, ale sprawę pozostawili nierozstrzygniętą, bo Andy obiecał, że zadzwoni do nich za kilka dni, kiedy przedyskutują wszystko z Dianą.

- Muszę jeszcze przeprowadzić wywiad z innym kandydatem - dodała Wanda. - Umówiłam się z nim na jutro.

- Ona to robi tylko dla ludzi, których lubi - wyjaśnił jej mąż, wbijając oskarżycielskie spojrzenie w Dianę. Najwidoczniej nie wzbudziła wystarczającej sympatii pani Williams, co stawiało pod znakiem zapytania całe przedsięwzięcie. Diane z kolei robiło się słabo na samą myśl, że tych dwoje popaprańców przeprowadzało z nią „wywiad”!

Williamsowie wyszli z restauracji przed nimi, więc Diana miała szansę jeszcze raz zaatakować Andyego:

- Jak mogłeś zrobić nam coś takiego?

- A jak ty mogłaś być dla niego taka niemiła? Po co wspominałaś o moim nasieniu?  
Teraz mogą nas zdyskwalifikować jako kandydatów!

- Nie wierzę. - Gniewnie błysnęła oczyma. - Przecież nawijała ci o swojej karmie, a ty masz zrobić jej dziecko. Tfu, co za obrzydliwość!

- Mam zamiar zadzwonić do doktora Johnstona i spytać go, jak się do tego zabrać.

- Ja w każdym razie nie mam zamiaru się w to włączyć i chcę, żebyś to wiedział,

- Twoja sprawa. Przecież nie proszę cię, abys to finansowała! - Diana wiedziała, że pieniądze na pokrycie kosztów całej operacji Andy będzie musiał pożyczyć od rodziców. Zastanawiała się, jak się z tego przed nimi wytłumaczy.

- Myślę, że ci odbiło. A w ogóle to żalosne, kiedy ludzie tacy jak my próbują za wszelką cenę mieć dzieci.

Wiedziała, że istnieje prostsze rozwiązanie i żałowała, że nie zastosowała go wcześniej. Na razie tylko potrząsnęła głową i bez słowa wyszła z restauracji. Wsiadła do taksówki i kazała się zawieźć do domu. Kiedy Andy wrócił po pracy, spostrzegł, że znikły jej wszystkie rzeczy, a na stole kuchennym została karteczka:

„Drogi Andy, powinnam była zrobić to już dużo wcześniej, bo teraz tak głupio wyszło. Tobie nie trzeba matki zastępczej, tylko prawdziwej żony, takiej, która może urodzić ci dziecko. Życzę ci powodzenia, bo cię kocham. Mój adwokat skontaktuje się z tobą. Pozdrawiam - Diana”. Andy stał jak wryty i wpatrywał się tępo w kartkę.

Jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił do jej rodziców, aby sprawdzić, czy nie wróciła do nich - okazało się jednak, że nie.

Oczywiście matka Diany od razu wyczuła, że coś się musiało stać, była jednak na tyle dyskretna, że nie zadawała żadnych pytań. Ani ona, ani ojciec nie widzieli Diany od czasu jej pamiętnego wyskoku w Święto Dziękczynienia, ale regularnie rozmawiali z nią przez telefon.

Tymczasem Diana przeniosła się najpierw do hotelu, a potem wynajęła mieszkanie. Wiedziała już, że nie powinna się dłużej oszukiwać, bo sytuacja, w jakiej oboje się znaleźli, była nienormalna. Ten nieszczęsny lunch w „The Ivy” uświadomił jej to wyraźnie. Oboje się wygłupili, a już najbardziej Andy. Jak mógł myśleć o zapłodnieniu tej zwariowanej baby?

Andy codziennie wydzwaniał do Diany pod jej numer w pracy, ale nie odbierała telefonów. Kiedy chciał z nią porozmawiać - unikała go. Wszystko wskazywało na to, że skończył się zarówno ich cudowny sen, jak i towarzyszące mu koszmary.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- No to jazda - zarządziła Pilar, włączając magnetowid. Na ekranie dwie kobiety oddawały się wyszukanym pieszczotom. Brad przyglądał się temu z niepewnym uśmiechem, czując się niewiarygodnie głupio.

- Nie jestem pewien, czy to odpowiedni film - zażartował smętnie.

- Cicho, już nic nie gadaj! - Pilar się roześmiała, bo ze wszystkich sił starała się robić dobrą minę do złej gry. Doktor Ward uprzedziła ją, że może powtórnie zająć w ciążę dopiero po dziesięciu lub dwunastu próbach, ale i tym razem nie ma gwarancji, że donosi ciążę.

Gdy Brad oglądał film, Pilar stopniowo zdjęła z niego wszystko, co miał na sobie. Sama też się rozebrała, podniecając go delikatnymi pieszczotami. W niedługim czasie mieli już gotową porcję nasienia, którą odebrała pielęgniarka, ale Pilar nie mogła powstrzymać się od docinków:

- Może kupimy sobie taką kasetę? Bo widzę, że ten film dobrze ci robi!

Oboje wiedzieli, że droga do upragnionego celu nie będzie łatwa. Wprawdzie zabieg sztucznego zapłodnienia udał się bez problemów, ale doktor Ward ostrzegła, że rzadko bywa skuteczny za pierwszym razem. Pilar musiała znów zacząć przyjmować chlomifen, który wprowadzał ją w stan stałego napięcia nerwowego. Przeżywała więc ciężki okres i nieraz zastanawiała się, czy kiedykolwiek otrząśnie się po tamtym poronieniu. Nie mogła przestać o nim myśleć i nawet kiedy ból zdawał się słabnąć - niewiele było trzeba, aby powrócił. Wystarczyło, że zobaczyła matkę z dzieckiem na ręku, kobietę w ciąży, dziecięce ciuszki na wystawie sklepowej albo ktoś ze znajomych, kto nie wiedział o nie szczęściu, gratulował jej błogosławionego stanu. Dopiero teraz się przekonała, jak nierozsądnie postąpiła, rozpowiadając o ciąży. Musiała tłumaczyć się przed każdym z osobna i wysłuchiwać albo przeprosin, albo niedyskretnych pytań w rodzaju, czy to był chłopiec, czy dziewczynka i jak to było duże.

Brad, chcąc, aby się rozerwała, zabrał ją na zakupy, a na noc zatrzymali się w hotelu Beverly Wiltshire. Postarał się, aby ten wypad miał odświętny charakter, a ponieważ następnego dnia przypadały walentynki - zamówił dwa tuziny czerwonych róż z dostawą do hotelu.

Dołączony do bukietu bilecik głosił: „Od kochającego Brada”, toteż Pilar popłakała się, kiedy go przeczytała. Poniewczasie doszła do wniosku, że chyba chce od życia za dużo. W końcu może po siadanie dziecka nie jest aż takie ważne i niepotrzebnie tak usilnie do tego

dążyła? Ze swoich przemyśleń zwierzyła się Bradowi.

- Na razie poczekajmy i zobaczymy, co się stanie - poradził. - Chyba że miałabyś z tego powodu być nieszczęśliwa, wtedy lepiej dajmy sobie spokój. To już zależy od ciebie.

- Jesteś dla mnie taki dobry! - wyznała, przytulając się do niego. Wciąż cierpiała, ale równocześnie była mu wdzięczna za to, że trwał przy niej.

Wypożyczyli sobie wideokasetę z filmem erotycznym i oglądali ją, jedząc czekoladki wliczone w cenę pokoju.

- Uważaj, bo to ci może wejść w nawyk! - żartobliwie przestrzegł Brad.

- Co, czekoladki? - Zrobiła niewinną minę, na co Brad się roześmiał.

- Nie, ale takie filmy!

Po filmie poszli razem do łóżka i kochali się, dopóki nie zasnęli w swoich objęciach. Nadal jednak nie mieli gotowych odpowiedzi na dręczące ich pytania.

Na walentynki Charlie kupił kwiaty swojej koleżance z pracy, która pomagała mu w przygotowywaniu sprawozdań. Ta potężnie zbudowana kobieta miała bardzo czułe serce i wzruszyła się do łez, kiedy ofiarował jej wiązaną różowych i czerwonych goździków przybranych gipsówką. Wiedziała, że jest akurat w trakcie procesu rozwodowego i było jej strasznie żal tego miłego chłopca, który wyglądał na samotnego.

W czasie przerwy na lunch kupił sobie kanapkę i wyszedł do parku Palms, niedaleko Westwood Yillage. Przyglądał się tam spacerującym starszkom, całującym się kochankom i bawiącym się dzieciom. Właśnie z uwagi na dzieci tu przychodził.

Zwrócił uwagę na dziewczynkę z długimi blond warkoczami, błękitnymi oczami i ujmującym uśmiechem, która bawiła się z matką. Grała z nią w berka i w klasy, skakała przez skakankę. Matka była równie ładna jak ona. Drobną blondyneczką, miała długie, rozpuszczone włosy, duże niebieskie oczy i figurę dziecka.

Po jakimś czasie matka z córką zaczęły grać w piłkę, ale żadna z nich nie umiała celnie rzucać ani chwytać. Charlie dawno już skończył jeść kanapkę i obserwował je z uśmiechem. W pewnej chwili piłka potoczyła się w jego stronę. Odrzucił ją grającym, za co mu podziękowały, a mała dziewczynka uśmiechnęła się szeroko, ukazując brak przednich zębów.

- A gdzie się podziały twoje ząbki? - zapytał Charlie.

- Zabrała je wróżka od zębów i zostawiła mi po dolarze za każdy. Razem dostałam osiem dolarów! - pochwaliła się mała.

- To kupa pieniędzy! - Charlie jęknął z zachwytem. Matka dziewczynki uśmiechnęła się do niego. Z tym uśmiechem ładząco przypominała małą, tyle tylko, że miała zęby.



Charlie nie omieszkał tego zauważyć.

- Dobrze, że ta wróżka od zębów nie zabrała ich także pani! Młoda kobieta się roześmiała.

- Moje byłyby cokolwiek droższe! Mogła się cieszyć raczej z tego, że nie wybił ich jej były mąż, za nim od niej odszedł. Tego oczywiście nie powiedziała Charliemu.

- Kupię za te pieniążki prezent dla mojej mamusi! - pochwaliła się dziewczynka, a potem zaprosiła Charliego do wspólnej zabawy.

Wahał się przez chwilę.

- Uprzedzam, że ja też nie umiem rzucać zbyt celnie piłką! A w ogóle to mam na imię Charlie.

- A ja Annabelle - przedstawiła się dziewczynka. - Ale wszyscy mówią do mnie Annie.

- Jestem Beth - dodała ściszym głosem jej matka, przyglądając się uważnie Charliemu. Zachowywała się ostrożnie, lecz przyjaźnie. Pograli trochę razem w piłkę, potem w klasy, w końcu Charlie, acz niechętnie, musiał wracać do pracy.

- Może się jeszcze zobaczymy - rzucił na odchodnym, choć nie bardzo na to liczył. Nie spytał nawet o ich nazwisko ani numer telefonu, choć od razu je polubił. Po co miał się interesować nieznaną kobietą z dzieckiem? Odkąd Barbie odeszła, nie umawiał się z nikim na randki i nawet nie miał na to ochoty. Przy puszczał zresztą, że mama Annie jest mężatką. Musiał jednak przyznać, że była słodka.

- Cześć, Charlie! - Annie machała za nim ręką. - Miłych walentynek!

- Dziękuję! - odrzyknął i przez dalszą część dnia czuł się już lepiej. Ta matka z córką miały w sobie coś takiego, co jeszcze długo rozjaśniało jego codzienną wegetację.

Poszukiwanie nowego miejsca pobytu Diany zajęło Andyemu miesiąc. A kiedy już zdobył jej adres, początkowo nie był pewien, co zrobić z tą informacją. Adwokat Diany oświadczył mu zdecydowanie, że pani Douglas ma zamiar rozwiązać to małżeństwo. Po osiemnastu miesiącach trwania związku obficie znaczonego łzami nie chciała więcej widzieć Andyego. Owszem, życzyła mu dobrze, ale wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że wszystko skończone.

Od tego czasu jeszcze kilka razy dzwonił do niej do pracy, ale Diana wciąż nie odbierała telefonów. Stale więc wracał myślami do tego idiotycznego lunchu z kandydatką na matkę zastępczą i jej mężem. Najwyraźniej był to ostatni gwóźdź do trumny ich małżeństwa. Wygłupili się - i ci „poszukiwacze nasienia”, i oni ze swym rozpaczliwym pragnieniem dziecka. W gruncie rzeczy zależało mu znacznie bardziej na Dianie niż na dziecku.

Na szczęście przypadkowo spotkali Seamus i Samanta zdradzili mu jej obecne miejsce pobytu. Okazało się, że wynajęła stary domek w Malibu, położony przy samej plaży, który kiedyś oglądali jeszcze przed ślubem. Pamiętał, że Diana zawsze chciała mieszkać nad morzem.

Adresu dowiedział się podstępem, gdy wmówił Seamusowi i Samancie, że musi podrzucić Dianie jakieś jej rzeczy. Ci oczywiście wyrazili mu swoje współczucie z powodu tego, co się stało.

- Wszystkiemu winne pech i głupota - tłumaczył im Andy. - Ona miała pecha, a ja byłem kosmicznie głupi.

- Może jeszcze jej przejdzie? - Samanta próbowała go pocieszać. Wyglądała, jakby miała lada chwila urodzić i rzeczywiście jechali właśnie z Seamusem na badanie kontrolne.

Przez dwa dni zastanawiał się, jaki użytek zrobić z otrzymanej informacji. Gdyby spróbował wpaść do niej, pewnie by go nie wpuściła. Ewentualnie mógł kręcić się po plaży, czekając, aż Diana wyjdzie się przejść, ale jeśli akurat nie miała ochoty na spacer? Dopiero na walentynki kupił tuzin czerwonych róż i gotów na wszystko pojechał do Malibu. Modlił się, aby ją zastać, ale nie było jej w domu. Położył więc róże na schodkach ganku wraz z bilecikiem, na którym napisał: „Kocham cię. Andy”. Wsiadł już do samochodu, gdy akurat nadjechała. Zobaczyła go i nie wysiadła z wozu. Wobec tego sam wysiadł i pod szedł do niej. Stał przy wozie dopóki, choć niechętnie, nie odsunęła szyby.

- Nie powinienesz być tu przyjeżdżać! - powiedziała stanowczo, nie patrząc mu w oczy. Wyglądała, jakby wyszczupiała, lecz dodało jej to tylko urody. Miała na sobie czarną sukienkę, elegancką, a równocześnie seksowną. W końcu wysiadła, ale wciąż stała przy samochodzie, jakby w razie czego zamierzała się w nim schronić. - Po co przyjechałeś?

Zauważyła wprawdzie kwiaty pod drzwiami, ale nie była pewna, czy to on je przyniósł. Jeśli tak, to nie chciała ich przyjąć. Miała już dość zadreczania się i jemu życzyła tego samego. Nad szedł najwyższy czas, aby z tym skończyć.

- Chciałem się z tobą zobaczyć - wyznał ze smutkiem. Wyglądał teraz zupełnie jak ten chłopiec, którego ongiś poślubiła, tylko lepiej. Miał dopiero trzydzieści cztery lata, a więc był jeszcze młodym, przystojnym blondynem, który nadal ją kochał.

- Czy mój adwokat nie powtórzył ci, co chcę zrobić?

- Powtórzył, ale ja z zasady nie słucham adwokatów. - Roześmiał się, więc i ona musiała się mimo woli uśmiechnąć. - Zresztą w ogóle mało kogo słucham. Chyba wiesz o tym.

- A szkoda, bo czasem dobrze by ci to zrobiło. Zaoszczędził byś sobie wielu kłopotów.

- Naprawdę? Ciekawe jak? - Udał niewiniątka, ale przede wszystkim nie posiadał się ze szczęścia, że ją widzi i jest blisko niej. Chętnie spowodowałby, żeby mówiła jak najdłużej. Delikatny powiew morskiej bryzy przynosił zapach jej perfum. Używała „Caleche”, od Hermesa, które najbardziej na niej lubił.

- Na przykład przestałbyś walić głową w mur. - Próbowwała sobie wmówić, że jego obecność nie robi na niej wrażenia. Chciała się w ten sposób sprawdzić.

- A kiedy lubię.

- Ale to nie ma sensu, Andy.

- Przyniosłem ci kwiaty... - zaczął z innej beczki. Nie bardzo wiedział, co innego ma powiedzieć, a nie chciał się dać tak łatwo spławić.

- Tego też nie powinieneś robić - skarciła go ze smutkiem. - Naprawdę mógłbyś dać już sobie spokój. Za pięć miesięcy odzyskasz wolność i będziesz mógł ułożyć sobie nowe życie beze mnie.

- Kiedy ja wcale nie chcę.

- Oboje tego chcemy - oświadczyła stanowczo.

- Nie wmawiaj mi, czego ja chcę, dobrze? - warknął. - Chcę ciebie i koniec, do jasnej cholery! Nie potrzebuję żadnych pieprzonych matek zastępczych. W głowie mi się nie mieści, jak mogłem wtedy być takim idiotą! I nie chcę żadnego dziecka, chcę tylko ciebie! Proszę cię, Di, daj mi jeszcze jedną szansę. Ja tak cię kocham... - Chciał jeszcze dodać, że nie może bez niej żyć, ale lzy wzbierające w gardle stłumiły ostatnie słowa.

- Ja też nie chcę dziecka. - Kłamała i oboje o tym wiedzieli. Gdyby jakiś czarownik dotknięciem różdżki mógł sprawić, aby zaszła w ciążę, skorzystałaby z tego natychmiast. Nie chciała już jednak nawet dopuszczać do siebie takich myśli. - Nie chcę także być mężatką, bo nie mam do tego prawa.

Próbowwała nadać swojemu głosowi przekonujące brzmienie, bo sama już prawie w to uwierzyła. - W życiu nie słyszałem podobnego głupstwa! A niby dlaczego? Bo nie możesz zajść w ciążę? No i co z tego? Myślisz, że tylko ludzie płodni mogą się pobierać?

- Powinni pobierać się między sobą, aby nikomu nie sprawiać zawodu.

- Aleś wymyśliła! Że też wcześniej na to nie wpadłem! - szydził Andy. - Di, nie bądź dzieckiem. Przeszliśmy ciężki kryzys, ale świat się na tym nie kończy. Wciąż mamy szansę wyjść z tego obronną ręką.

- To nie my przeszliśmy kryzys, tylko ja - poprawiła.

- A ja tymczasem latałem jak kot z pęcherzem, wynajdując jakąś szurniętą buddystkę w charakterze matki zastępczej? Dobrze więc, oboje zachowywaliśmy się jak wariaci i co z

tego? Po wiem więcej, to był najgorszy okres w moim życiu, ale mamy go już za sobą. Przed nami reszta życia i nie możemy zrezygnować z siebie tylko dlatego, że trochę nam odbiło.

- Dlatego nie chcę, aby jeszcze kiedyś nam odbijało - podchwyciła. - Tak samo nie chcę robić wielu rzeczy tylko dlatego, że „tak wypada”. Nie chcę chodzić na chrzciny, pepkówki i do szpitali, w których rodzą się dzieci. Samanta wczoraj urodziła swoje i wiesz, co zrobiłam? Zadzwoiłam do niej i uprzedziłam, że nie wybieram się na żadną imprezę z tej okazji. No i dobrze! Tylko w ten sposób może jakoś zdołam przeżyć najgorszy okres, a jeśli nie, to trudno! Nie mam zamiaru sama cierpieć i unieszczęśliwiać kogoś, kto mógłby mieć dzieci, a przeze mnie ich nie ma. Chromolę wszystkie matki zastępcze i dawczynie jajeczek, chcę żyć swoim życiem! A życie nie kończy się na małżeństwie i dzieciach, mam na szczęście jeszcze swoją pracę.

Andy słuchał tej tyrady i na nowo przetrawiał niektóre kwestie. Jedne z nich miały sens, inne nie. Z całą pewnością praca nie mogła nikomu zastąpić męża i dzieci!

- A niby za co masz być w ten sposób ukarana? Przecież nie zrobiłaś nic takiego, aby skazywać się na samotność do końca życia. W tym, co się zdarzyło, nie było twojej winy, więc po co jeszcze pogarszać sytuację?

- Dlaczego myślisz, że jestem samotna?

- Bo obgryzasz paznokcie, a dopóki byłaś szczęśliwa, nigdy tego nie robiłaś.

- A idź do diabła! - Uśmiechnęła się mimo woli. - Po prostu miałam ostatnio kupę roboty.

W tym momencie zorientowała się, że rozmawiają tak już od godziny, przez cały czas stojąc na dworze przy samochodzie. W gruncie rzeczy co szkodziło zaprosić go do środka? Przez półtora roku byli małżeństwem, a żyli ze sobą jeszcze dłużej, więc do czegoś to w końcu zobowiązywało.

Andy się zdziwił, kiedy zaprosiła go do domu, wstawiła do flakonu róże i podziękowała mu.

- Może się czegoś napijesz? - zaproponowała.

- Nie, dziękuję, ale wiesz, na co naprawdę miałbym ochotę?

- Na co? - spytała prawie z lękiem.

- Na spacer z tobą po plaży. Zgadzasz się?

Kiwnęła potakująco głową, po czym zmieniła buty i włożyła cieplejszą kurtkę, a Andyemu pożyczyła jego własny stary sweter, który miała tu ze sobą.

- Popatrz, a ja się zastanawiałem, gdzie się podział! - Zaśmiał się, bo lubił swoje stare rzeczy, do których się przywiązywał.

- Sam mi go dałeś, kiedy jeszcze chodziliśmy ze sobą.

- Widać wtedy byłem sprytniejszy niż teraz!

- Może oboje byliśmy.

Wyszli prosto na plażę. Andy dopiero teraz zaczął się zastanawiać, dlaczego tak mało się starali, aby znaleźć tu jakiś dom. Ta plaża wyglądała nie tylko pięknie, lecz miała w sobie coś kojącego, może z powodu większej bliskości natury.

Przez dłuższy czas spacerowali w milczeniu, rozkoszując się widokiem oceanu i pieszczotą wiatru na twarzach. Kiedy Andy, nic nie mówiąc, wziął ją za rękę, nie przerwała spaceru. Podniosła tylko oczy na niego, jakby chcąc sobie przypomnieć, kto to przy niej idzie. Tego jednak nie musiała sobie przypominać, bo dobrze wiedziała, że jest to mężczyzna, którego kiedyś tak kochała i który uczynił ją szczęśliwą, dopóki wszystko nie zaczęło się gmatwać.

- Chyba było ci ciężko, prawda? - zagadnął, kiedy przysiedli pod wydumą, z dala od wynajętego przez nią domku.

- Jeszcze jak! I miałeś rację, początkowo czułam się trochę samotna, ale za to ile nowego dowiedziałam się o sobie! Przez tę obsesję na punkcie rodzenia dzieci nigdy nie miałam czasu za stanowić się, kim właściwie jestem i czego chcę. - Więc czego właściwie chcesz, Di?

- Chcę żyć pełnią życia i w takim związku, którego trwałość nie zależy od posiadania dziecka. Myślę, że wciąż chciałabym je mieć, ale już nie jestem taka pewna, że bez niego nie mogłabym żyć. Może potrzebowałam właśnie tego doświadczenia, by się o tym przekonać? Sama jeszcze dobrze nie wiem, muszę to sobie wszystko poukładać. -i tak jednak przebyła długą drogę od czasu, kiedy odeszła od Andyego. - Zawsze miałam kompleksy, kiedy porównywałam się z matką i siostrami. Wciąż mi wytykały, że jestem inna niż one! Nie wiedziałam, dlaczego tak uważają, przecież ja też myślałam przede wszystkim o rodzinie, a później i o dziecku, ale teraz wiem. Interesowały mnie także inne rzeczy. Pracowałam ciężiej od nich, bo chciałam być najlepsza. Dlatego teraz tak cierpiałam, bo coś mi się nie udało, nie osiągnęłam tego, co chciałam. To tak, jakbym zawiodła.

Dokonała tym sposobem szczerzej samooceny i Andy podziwiał jej uczciwość.

- To nieważne - zapewnił. - Liczy się to, że robiłaś, co mogłaś. Nikogo nie zawiodłaś.

Bardzo chciała uwierzyć, że miał rację. On w tym czasie całą siłą woli panował nad sobą, aby trzymać ręce przy sobie. Jednak mimo obietnic, które sam sobie składał, nie mógł się powstrzymać, aby jej nie pocałować, ona zaś wcale się nie broniła. Oczy jej zwilgotniały.

- Wiesz przecież, że nadal cię Kocham - szepnęła mu do ucha. - To się nigdy nie

zmieni. Myślałam tylko, że będzie lepiej dla nas, gdy się rozstaniemy.

Nagle zaśmiała się w głos, jakby sobie coś przypomniała.

- Chyba najgorzej zdołowała mnie ta Wanda. Wtedy diabli wzięli całe moje poczucie humoru, a szkoda, bo po dwóch dniach mogłam już się z tego śmiać. Aż chciałam do ciebie za dzwonić i powiedzieć ci to.

- I szkoda, żeś tego nie zrobiła! - westchnął. Tak rozpaczliwie pragnął kontaktu z nią, że gdyby usłyszał jej głos w telefonie - chyba by oszalał. - A wiesz, że ta Wanda wybrała w końcu tego drugiego kandydata? Jej mąż oświadczył, że twoja karma jej nie odpowiadała.

- A daj jej Boże czworaczki! Powiedz, czemu ludzie pakują się w coś takiego? - Patrzyła w stronę horyzontu, gdzie wznosiła się już popielata mgiełka, a słońce coraz głębiej wpadało do wody.

- Chodzi ci o poszukiwanie matek zastępczych? Po prostu są zdesperowani, tak jak my byliśmy. Myślę, że nasza Wanda uważa się prawie za Matkę Teresę.

- Chyba jednak większą rolę odgrywają pieniądze. Ci, co mają coś do zaoferowania, wykorzystują desperację tych, którzy chcą to kupić.

- Widać takie jest życie. W gruncie rzeczy dobrze, że miałaś wtedy taką fatalną karmę, bo dopiero byśmy się wkopali!

- Och, wtedy zupełnie odchodziłam od zmysłów! - wyznała, ale w tej chwili wyglądała już na osobę w pełni władz umysłowych. Chyba nigdy przedtem Andy nie kochał jej tak jak właśnie teraz!

Powoli wrócili do jej domku i przegadali jeszcze kilka godzin, nareszcie także na tematy niezwiązane z posiadaniem bądź nie posiadaniem dziecka. Mówili o tym, co przeoczyli w czasie trwania ich małżeństwa.

Tak się zagadali, że nie zaprzęтали sobie głowy kolacją. Kiedy Andy zbierał się do wyjścia - oboje ze zdziwieniem zauważyli, że dochodziła północ.

- Może byśmy wyskoczyli gdzieś jutro wieczorem? - zaproponował nieśmiało, w obawie, aby jej nie zezłościć i nie sprowokować odmowy. Okazało się jednak, że Diana nie miała nic przeciwko temu.

- Z przyjemnością! - zgodziła się skwapliwie.

- To co, skoczmy do „Chianti”? - Była to mała włoska restauracyjka na Melrose, oferująca świetną kuchnię, gdzie przedtem chętnie bywali. - A potem może do kina?

- To brzmi zachęcająco.

Pocałował ją, zadowolony z odpowiedzi i rozstali się, radośni jak dzieci. Diana odprowadziła Andyego wzrokiem i pomachała mu ręką na pożegnanie. Kiedy już znikł jej z

oczu, długo jeszcze stała na tarasie, wpatrując się tęsknie w ocean.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Charlie przychodził teraz częściej do parku Palms, licząc, że spotka tam Annabelle i Beth. I rzeczywiście je spotykał, a potem nieraz jeszcze rozmawiali i grali razem w piłkę. Charlie nie odważył się dotąd zapytać Beth o numer telefonu. Trudno mu było zgadnąć, czy jest mężatką, ponieważ nie nosiła obrączki. Nie wspominała także o rozwodzie. Charlie lubił nawet przyglądać się im z daleka. Zwłaszcza Annie była urocza ze swoim rozbrajającym, szczerbatym uśmiechem i entuzjazmem, z jakim podchodziła do wszystkiego. Przyjemnie rozmawiało mu się też z jej matką i chętnie obserwował, z jaką miłością odnosili się do siebie nawzajem.

Kiedy na początku marca spotkali się po raz trzeci - czuli się już jak starzy znajomi. Wtedy dopiero Beth zaczęła się przed nim otwierać. Opowiedziała mu, że Annabelle chodzi do szkoły, a ona pracuje w klinice Uniwersytetu Los Angeles jako sanitariuszka. Zawsze marzyła o zdobyciu kwalifikacji dyplomowanej pielęgniarce, ale nie miała możliwości ukończenia szkoły. Mimo że z Charliem poznali się dopiero przed kilkoma tygodniami - czuł się w jej towarzystwie zadziwiająco swobodnie, gdy razem siedzieli na ławce, przyglądając się Annabelle grającej w klasy. Zawczasu już kupił dla niej lizaka i przyniósł go ze sobą do parku. Teraz prawie codziennie jadł tam swój lunch, licząc, że je spotka.

- Mam katar! - obwieściła Annie, podbiegając do ławki. Nie wpłynęło to jednak w żadnym stopniu na jej dobry nastrój, bo po chwili pobiegła na huśtawkę. Dzięki temu Charlie miał szansę swobodnie porozmawiać z jej matką.

- Ona jest urocza! - powiedział szczerze.

- Tak, to bardzo miłe dziecko - przyznała Beth, ale zaraz do dała ze wstydliwym uśmiechem: - Dziękuję ci, że jesteś dla niej taki dobry. Te cukierki, gumy, lizaki... Musisz bardzo lubić dzieci!

- Rzeczywiście lubię - potwierdził.

- A masz własne?

- Jeszcze nie... - Zaczął się plątać, ale zaraz sprostował: - To znaczy, prawda jest taka, że chyba nigdy nie będę miał, ale to długa historia...

Beth zachodziła w głowę, czy to ma znaczyć, że jego żona nie mogła mieć dzieci, czy że w ogóle nie miał żony, ale krępowała się spytać o to wprost. Charlie też nie rozwiązał jej wątpliwości, tylko dodał:

- Może kiedyś zaadoptuję jakieś dziecko albo i kilkoro. Jestem sierotą, więc wiem, co



to znaczy pragnąć rodziny i nie mieć jej. - Nie wspomniał, ile rodzin zastępczych zaliczył, i ilu kandydatów na rodziców oddawało go z powrotem do domu dziecka z powodu jego uczuleń i astmy. Najsympatyczniejsi z nich mieli kota, na którego sierść był uczulony, ale opiekunowie orzekli, że nie mają serca pozbyć się kota, więc pozbyli się Charliego. - Dla dziecka to ciężkie przeżycie... Chciałbym pomóc jakiemuś biedakowi tego uniknąć.

Uśmiechnął się na samą myśl o tym, gdyż ostatnio dużo myślał o adopcji dziecka jako samotny ojciec. Wiedział, że istniały już takie precedensy i czekał tylko, aż zaoszczędzi więcej pieniędzy.

- To bardzo ładnie z twojej strony - pochwaliła Beth. - Ja też jestem sierotą. Moi rodzice zmarli, kiedy miałam dwanaście lat. Wtedy zaopiekowała się mną ciotka, ale uciekłam od niej, bo byłam taka głupia, żeby w wieku szesnastu lat wyjść za mąż. Związałam się z pijakiem, który bił mnie i zdradzał... doprawdy nie wiem, co mnie przy nim trzymało? Może tylko to, że kiedy już chciałam odejść, okazało się, że jestem w ciąży z Annie? Miałam osiemnaście lat, kiedy ją urodziłam.

To oznaczało, że teraz miała dwadzieścia cztery, ale robiła wrażenie dużo dojrzałej niż większość dziewczyn w tym wieku. Z całą pewnością była dobrą matką. - Więc jak się w końcu od niego uwolniłaś? - Charliego przerażała sama myśl, że ktoś mógł bić kobietę, szczególnie tak ładną i miłą.

- To on ode mnie odszedł i nigdy więcej się nie odezwał. Przypuszczałam, że znalazł sobie inną, ale sześć miesięcy później dowiedziałam się, że zginął w bójce. Annie miała wtedy rok. Wróciłam tutaj i podjęłam pracę w szpitalu. Biorę nocne dyżury, żeby w dzień zajmować się Annie. W nocy czuwa nad nią sąsiadka. Dzięki temu nie muszę wynajmować opiekunki.

- To całkiem korzystny układ.

- Owszem, zupełnie dobrze się sprawdza. Chciałabym jeszcze skończyć tę szkołę pielęgniarstwa.

Słuchając jej wynurzeń, Charlie postanowił, że musi jakoś jej pomóc.

- Gdzie mieszkasz? - Koniecznie chciał się dowiedzieć o niej czegoś więcej.

- Na „Montanie”, to kilka domów stąd. - Podała mu dokładny adres. Charlie słyszał coś o tej dzielnicy Santa Monica, zamieszkaanej przez ubogą ludność. Miał nadzieję, że żyło się im tam bezpiecznie.

- Może zjadłabyś kiedyś ze mną kolację? - zaproponował, obserwując z daleka Annie na huśtawce. - Mogłabyś zabrać ze sobą Annabelle. Czy ona lubi pizzę?

- Ach, uwielbia!

- No to może jutro wieczorem?

- Świetnie, bo w szpitalu mam być dopiero o jedenastej. Z domu wychodzę o dziesiątej, a wracam o wpół do ósmej rano. Akurat mam czas przygotować Annie śniadanie i wyprawić ją do szkoły. Zanim ją odbiorę, mogę przespać się kilka godzin. W ten sposób jakoś sobie radzimy.

Matka i córka wypracowały sobie własny plan dnia, który w ich sytuacji dobrze się sprawdzał. Charliemu jednak żal było Beth, która dźwigała na swoich barkach zbyt duży ciężar.

- Nie sądzę, abyś się dostatecznie wysypiała - zauważył oględnie.

- Nie potrzebuję dużo snu. Wystarczą mi trzy godziny, kiedy Annie jest w szkole, a potem krótka drzemka przed wyjściem do pracy.

- To nie masz zbyt dużo czasu dla siebie.

Annie przybiegła do nich w podskokach. Widać było, że czuła się już lepiej, a jeszcze bardziej poprawiła jej samopoczucie wiadomość o zaproszeniu na pizzę.

- Z Charliem? - wykrzyknęła z niedowierzaniem i zachwytem. Beth potwierdziła i widać było, że sprawiło jej to przyjemność, była przecież jeszcze młoda i ładna, a w jej życiu od tak dawna brakowało mężczyzny... - Ojejku, a czy możemy jeszcze pójść na lody? - zapytała Annie, na co Charlie się roześmiał.

- No pewnie! - Już samo przebywanie w ich towarzystwie sprawiło mu przyjemność, a kiedy odprowadzał wzrokiem dziewczynkę biegnącą w stronę huśtawek, z jednej strony marzył, żeby mieć takie dziecko, a z drugiej zdawał sobie sprawę, że wcale nie musi mieć własnego. Na swojej drodze życiowej spotykał wiele dzieci, które tak samo chwytały go za serce jak ta urocza dziewczynka. Zaczynał też dostrzegać zalety swojej niezależności. Wymieniając uśmiechy z Beth, oboje równocześnie zaczęli myśleć o swojej przyszłości.

Tym razem Pilar nie miała odwagi przeprowadzić testu ciążowego natychmiast, gdy tylko spóźnił się jej okres. Obawiała się, że po przebytych poronieniu jej organizm mógł jeszcze nie dojść do normy. Lekarka uprzedzała, że ma niewielkie szansę na powtórne zajście w ciążę. Czekala więc jeszcze przez tydzień, aż w końcu Brad się zdenerwował i zagroził, że jeśli sama nie wykona testu, on go zrobi.

- Nie chcę wiedzieć! - wymawiała się z żalem.

- Ale ja chcę!

- Na pewno nie jestem w ciąży.

Brad jednak miał inne zdanie na ten temat. Zauważył bowiem, że od pewnego czasu Pilar szybciej się męczy, a piersi jej nabrzmiały i stały się wrażliwsze na dotyk.

- Zrób test! - nalegał, ale ona się wykręcała, że nie ma siły, aby powtórnie przeżywać to samo. Od czasu ostatniej miesiączki przestała przyjmować chlomifen i nie chciała wznowić kuracji, gdyż uważała ją za nazbyt stresującą.

Brad powiadomił o tym jej ginekologa, doktora Parkera, który zaproponował, żeby Brad przywiózł żonę do jego gabinetu, wtedy sam ją zbada. Już w trakcie badania podejrzewał ciążę, a podejrzenie to potwierdził test ciążowy na próbce moczu. Pilar z całą pewnością była przy nadziei!

Z radości nogi się pod nią ugięły, a Brad pęczniał z dumy. Po tym wszystkim, co przeszła, szczerze pragnął, aby urodziła to dziecko. Lekarz przepisał jej czopki na podtrzymanie ciąży, ale resztę musiał pozostawić matce Naturze. Uprzedził tylko, że Pilar może znów poronić. Nikt nie był bowiem w stanie przewidzieć, co będzie dalej.

- W takim razie nie wychodzę z łóżka przez najbliższe trzy miesiące! - zapowiedziała z przestraczem, ale doktor Parker uspokoił ją, że nie jest to konieczne. Zadzwonili jeszcze do doktor Ward, aby ją powiadomić, że Pilar jest w ciąży. W drodze powrotnej do domu Brad dowodził, że to zasługa oglądanego wtedy filmu.

- Jesteś niepoprawny! - Pilar czuła radosne podniecenie, ale i lęk, że znów może stracić upragnione dziecko. Tym razem umówili się więc z Bradem, że nie będą nikomu wspominać o ciąży, dopóki nie minie przynajmniej dwanaście tygodni, czyli okres największego zagrożenia. Jeszcze w nocy, w łóżku, wyliczała Bradowi, ile nieszczęść może czyhać na dziecko w jej łonie nawet po tym okresie. Może się urodzić przedwcześnie albo martwe, z zespołem Downa, co było wysoko prawdopodobne w jej wieku, lub z rozszczepem kręgosłupa... W którymś momencie Brad miał dość tej wyliczanki.

- Daj już spokój i nie nabijaj sobie głowy głupstwami! Dzieciak może też mieć płaskie stopy, niski iloraz inteligencji, a kiedy się zestarzeje, zapadnie na Alzheimera, co? Lepiej odpoczywaj, kochanie, bo wpadniesz w histerię, nim urodzisz to dziecko.

Jednak oboje byli bliscy hysterii, gdy po dziewięciu tygodniach ciąży zobaczyli wynik badania USG. Doktor Parker też nie wierzył własnym oczom, bo obraz nie pozostawiał wątpliwości, że Pilar nosi w łonie bliźnięta, i to dwujajowe! Na ekranie widać było dwa worki owodniowe i dwa bijące serduszka, więc Pilar popłakała się z radości.

- Boże, co my teraz zrobimy? - zastanawiała się z przejęciem, bo fakt posiadania dwojga dzieci zupełnie ją oszołomił. - Będziemy musieli wszystko kupować podwójnie!

- Przede wszystkim musimy przekonać jedną mamuszkę, żeby się tak bardzo nie przejmowała! - zapowiedział stanowczo doktor. - I to przez całe siedem miesięcy, bo inaczej mogą być kłopoty. Chyba nie chciałyby pani stracić tej dwójki zuchów?

- Chryste, tylko nie to! - jęknęła Pilar, pewna, że drugi raz już by tego nie zniosła.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Poczynając od marca, Andy i Diana spędzali coraz więcej czasu na plaży. Po miesiącu Diana pozwoliła mu nawet spędzić z sobą noc.

- Nie chcę wracać do tamtego domu! - zarzekała się, a on rozumiał, że przynajmniej na razie nie ma sensu tego forsować. Potrzebowała więcej czasu, a na razie w jej małym domku w Malibu także było im dobrze.

Codziennie wracał tam prosto z pracy, przywożąc Dianie drobne upominki i kwiaty. Ona czasem czekała na niego z obiadem, ale częściej chodzili coś zjeść do swoich ulubionych lokali. Oboje leczyli rany i odkrywali siebie na nowo, uświadamiając sobie przy okazji, jak wiele znaczyli jedno dla drugiego.

Na początku kwietnia Diana zgodziła się na powrót do ich starego domu, zdziwiona, jak bardzo się za nim stęskniła.

- To taki miły, stary dom! - powiedziała, rozglądając się wokół. Minęły trzy miesiące, odkąd się wyprowadziła.

- Właśnie tak uważaliśmy, kiedyśmy go kupowali - zaznaczył dyskretnie Andy.

Spędzili w nim kilka dni, a potem stwierdzili, że brakuje im Malibu. Wrócili więc do domku Diany, gdzie mile płynął im czas, bo czuli się młodo i na luzie. Którejś nocy w środku kwietnia Diana zadziwiła Andyego, bo wyznała mu, że właściwie dobrze jej i bez dziecka.

- Mówisz poważnie? - zapytał. Ostatnio spędzali razem wszystkie noce. Czuł się więc szczęśliwy jak nigdy, a Diana wyglądała na zadowoloną i odprężoną - tak jakby stała się kimś zupełnie innym.

- No... wydaje mi się, że tak. Mamy tyle swobody. Możemy robić, co chcemy, nie spieszyć się do domu, żeby zluzować nianię... Mogę siedzieć u fryzjera, jak długo zechcę, jeść z tobą kolację o dziesiątej wieczór... Przeżyć w ten sposób całe życie może byłoby egoizmem, ale na razie bardzo mi się to podoba.

- Hurrra! - wykrzyknął, ale w tejże chwili zadzwonił telefon. Andy odebrał go, kiedy odwiesił słuchawkę, był blady i spojrzał na Dianę jakoś dziwnie.

- Kto dzwonił? - zapytała.

- Mój stary kumpel. - Spróbował ją zbyć, co wydało jej się podejrzane.

- Stało się coś złego?

- Nie wiem - odpowiedział szczerze, ale z tajemniczym wyrazem twarzy.

- Przez chwilę myślałam, że to była nasza urocza Wanda! - Zaśmiała się, a Andy

zrobił głupią minę.

- Nawet się bardzo nie pomyliłaś! - mruknął, nerwowo przechadzając się po pokoju.

Diana obserwowwała go z niepokojem.

- Co to ma znaczyć? - spytała z przerażeniem. - Chyba nie chcesz zrobić nas znowu w jakąś matkę zastępczą? Przecież umówiliśmy się, że nie będziemy już do tego wracać, przynajmniej na razie, a może i nigdy!

W rzeczywistości nie podjęli żadnych wiążących decyzji, ale chwilami Diana wręcz uważała, że może bez dziecka byłaby szczęśliwsza?

- To co innego - wyjaśnił. Usiadł i spojrzał jej w oczy. - Jeszcze we wrześniu, kiedy dowiedzieliśmy się... to znaczy, doktor Johnston powiedział..

- ...że jestem niepłodna! - dokończyła krótko i rzeczowo.

- No więc wtedy rozmawiałem z moim kolegą ze studiów, który zajmuje się pośrednictwem w sprawach adopcyjnych. Po wiedziałem mu otwarcie, że nie chcę nic robić na łąpu-capu, ale interesowałoby mnie dziecko od zdrowej, wartościowej matki. Od tamtej pory zdążyłem już o tym zapomnieć, a teraz właśnie zadzwonił. Andy uważnie śledził wyraz twarzy Diany, bo nie chciał jej do niczego zmuszać, ale musieli szybko podjąć decyzję. Na dziecko czekały przecież inne bezdzietne pary i tylko po znajomości kolega Andyego chciał ich załatwić poza kolejką. Liczył, że do jutra rana powiadomią go o swojej decyzji, bo dziewczyna, która zgodziła się oddać dziecko do adopcji, mogła urodzić lada chwila.

- I co powiedział? - Diana wysłuchiwała spokojnie opowieści Andyego.

Matką była dwudziestodwuletnia dziewczyna, która po raz pierwszy zaszła w ciążę, ale zorientowała się o tym za późno, by ją usunąć. Zaliczała właśnie ostatni rok studiów w Stanfordzie, a jej partner studiował medycynę na Uniwersytecie San Francisco. Żadne z nich nie było przygotowane do roli rodziców. Chcą się zrzec praw do dziecka, pod warunkiem, że trafi w dobre ręce, a Eric Jones, kolega Andyego, uważał jego i Dianę za idealnych kandydatów na rodziców.

Przez całą noc dyskutowali na ten temat, wysuwając argumenty przemawiające za lub przeciw adopcji. Ostateczną decyzję podjęli dopiero nazajutrz rano.

- A jeśli jeszcze zmienią zdanie? - pytała ze strachem Diana.

- Mają do tego prawo, dopóki nie podpiszą dokumentów ostatecznego zrzeczenia się dziecka - odpowiedział szczerze Andy.

- A jak długo może trwać, zanim się zdecydują?

- Mają termin do sześciu miesięcy, ale jeśli zechcą, mogą sfinalizować to wcześniej.

- Aha, rozumiem. - Kiwała głową, jakby potwierdzała to, co mówił. - Nie, ja nie mogę

pakować się w coś takiego! Wyobraź sobie, co by było, gdyby potem chcieli mi je odebrać. Naprawdę, Andy, nie mogę! ...

Oczy jej wypełniły się łzami. Andy nie zamierzał wywierać na nią żadnej presji. Rozumiał doskonale jej motyw.

- W porządku, kochanie, chciałem tylko, żebyś wiedziała, jak sprawy się mają. Uważam, że byłoby nieuczciwe z mojej strony, gdybym ci tego nie powiedział.

- Wiem, ale czy mnie nie znienawidzisz, jeśli się na to nie zgodzę? Po prostu nie czuję się na siłach.

- Jak mógłbym cię znienawidzić? Myślałem tylko, że gdybyśmy chcieli adoptować dziecko, to trafia się nam wspaniała szansa. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że musimy to zrobić. Wybór należy do ciebie.

- Dopiero co stanęłam jakoś na nogi i ledwo uratowaliśmy nasz związek, więc nie chciałam tego zaprzepaścić.

- Rozumiem - przyznał i naprawdę ją rozumiał. Spędzili razem spokojną noc, ale gdy Andy obudził się rano - nie znalazł Dianę przy swoim boku. Czym prędzej wstał i poszedł jej szukać. Znalazł ją w kuchni, w kiepskim nastroju.

- Dobrze się czujesz? - zapytał i wtedy zauważył jej bladość. Od jak dawna nie spała i czy tej nocy w ogóle zmrużyła oczy?

- Nie, wręcz fatalnie - odpowiedziała.

- Coś ci doskwiera? - zaniepokoił się i odetchnął z ulgą, kiedy z bladym uśmiechem potrząsnęła głową.

- Nie, ale chyba cholernie się boję. - Domyślił się już, o co chodzi, kiedy dokończyła myśl: - Andy, ja chcę to zrobić.

- Wziąć to dziecko? - spytał i wstrzymał oddech. On też tego chciał, ale bał się zniechęcić Dianę. Ze swej strony wiedział, że teraz, kiedy trochę już doszła do siebie, dziecko byłoby idealnym uzupełnieniem ich małżeństwa.

- Tak. Zadzwoń do tej firmy.

Była tak spięta, że ledwo mogła mówić, kiedy Andy dzwonił do Erica Jonesa w San Francisco. Usłyszał zaspany głos, chociaż była już ósma rano.

- Chcemy zaadoptować to dziecko - oświadczył zwięźle, w pełni przekonany, że postępuje słusznie. Miał tylko nadzieję, że dziecko będzie zdrowe, a jego biologiczni rodzice nie zmienią zdania w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. Wiedział, że to by Dianę wykończyło, a przypuszczalnie zniszczyło także ich związek.

- No, to się lepiej pospieszcie! - poradził Eric, a w jego głosie dało się wyczuć

zadowolenie. - Ona rodzi już od godziny. Złapicie teraz jakiś samolot?

- Pewnie! - Andy usiłował zachować spokój. Odłożył słuchawkę, pocałował Dianę i oznajmił: - Poród się zaczął, musimy lecieć do San Francisco.

- Teraz? - Słuchała ze zdumieniem, jak łączył się z liniami lotniczymi.

- Tak, teraz! - Poprosił, aby spakowała najniezbędniejsze rzeczy ich obojga. Po pięciu minutach dołączył już do niej i jedną ręką wyrzucał z szafy to, co chciał zabrać, a drugą się golił. Diana przypatrywała się temu z uśmiechem.

- Co my najlepszego robimy? Jeszcze wczoraj wciskałam ci, że mogę doskonale obejść się bez dziecka, a dziś lecimy jak opętani do San Francisco po dzieciaka!

W którymś momencie znów obleciał ją strach, bo przyszła jej do głowy jeszcze jedna możliwość.

- A co będzie, jeśli ich znienawidzimy albo oni nas?

- Wtedy wrócimy do domu i przypomnę ci, jak mówiłaś wczoraj, że fajnie jest bez dzieci.

- Boże, w co my się pakujemy? - jęknęła, nakładając szare spodnie i czarne mokasyny. Życie znów zaczęło przypominać karkołomną jazdę kolejką górską, a ona nie była wcale pewna, czy tego chce. Stopniowo zaczynała otrzasać się z odrętwienia, co było nieuniknione, bo jeśli miała pokochać to dziecko - musiała otworzyć się na tę miłość.

- Spójrz na to od jaśniejszej strony - poradził Andy, wrzucając do walizki maszynkę do golenia. - Zawsze to lepsze niż lunch w towarzystwie Wandy.

- Czy ty przynajmniej wiesz, jak cię kocham? - Zadała mu to retoryczne pytanie, podczas gdy zamykał walizkę.

- Jeśli mnie kochasz, to zapnij spodnie i włóż bluzkę.

- No, no, nie drażnij kobiety, która spodziewa się dziecka! - Włożyła jedwabną bluzkę i granatowy rozpinany sweter.

Oboje wiedzieli, że nie zapomną nigdy tych chwil w swoim życiu. W rekordowym czasie popędzili na lotnisko, zdążyli na właściwy samolot i wylądowali w San Francisco o wpół do dwunastej w południe.

Eric wytłumaczył im, jak trafić do Szpitala Dziecięcego na California Street. Zgodnie z obietnicą czekał na nich w holu.

- Wszystko przebiega według planu. - Odprowadził ich do poczekalni i tam zostawił. Andy przechadzał się nerwowo w kółko, gdy tymczasem Diana siedziała spokojnie i wpatrywała się w drzwi, choć nie miała pewności, co właściwie spodziewa się za nimi zobaczyć. Po chwili wrócił Eric w towarzystwie młodego człowieka, którego przedstawił jako



Edwarda, ojca mającego się narodzić dziecka. Chłopak okazał się całkiem przystojny, a co śmieszniejsze - trochę podobny do Andyego. Atletycznie zbudowany blondyn o wyrazistych rysach rozmawiał z nimi przy jaźnie i inteligentnie. Przekazał im, że Eric wyrażał się o nich w samych superlatywach, więc razem z Jane pozytywnie zapatrują się na oddanie im dziecka.

- Jesteście pewni, że nie zechcecie go zatrzymać? - zapytała Diana. - Macie pojęcie, co wtedy działoby się z moim sercem?

- Na pewno nie zrobimy tego, pani Douglas... przepraszam, Dianu. Jane wie, że nie może go zatrzymać, choć przez pewien czas nawet chciała. Píše akurat pracę magisterską, a ja studiuję medycynę, więc nie damy rady. Wprawdzie nasi rodzice pomagają nam, ale nie przypuszczam, żeby zgodzili się na utrzymywanie dziecka. Nawet nie śmiałybym im tego proponować. Prawda jest taka, że w tej chwili nie możemy sobie pozwolić na dziecko. We właściwym czasie będziemy je mieć na pewno.

Diana nie była zbyt zachwycona nonszalancją oraz pewnością siebie, z jaką traktował te sprawy. Ciekawe, skąd wiedział, że „we właściwym czasie” wszystko ułoży się jak należy? Godził się na oddanie dziecka w przeświadczeniu, że kiedy indziej, bez kłopotów, pocnie inne. A gdyby spotkało ich to, co Dianę? Nie wycofamy się z umowy, powiedział i sprawiał wrażenie, że mówi serio.

- Z pewnością tak będzie - podsumował go trzeźwo Andy. Zadał mu następnie kilka pytań o zdrowie jego i Jane, ich rodzin, a także o ewentualne nałogi. Z kolei Edward wypytał go o poglądy, styl życia i stosunek do dzieci. Eric miał rację - obie rodziny idealnie pasowały do siebie. Potem jednak Edward za dziwił ich, mówiąc:

- Jane bardzo chciałyby was poznać.

- My ją też - zapewnił Andy, mając na myśli spotkanie po urodzeniu dziecka. Okazało się jednak, że Edward chce ich wprowadzić za drzwi z napisem: „Trakt porodowy, obcym wstęp wzbroniony”.

- Mamy tam wejść teraz? - zapytała z przerażeniem Diana. Wyobraziła sobie, co sama by czuła, gdyby ktoś obcy asystował jej przy badaniach. Tu wprawdzie zachodziły przyjemniejsze okoliczności, niemniej jednak uważała poród za akt o charakterze bardzo intymnym.

- Ona nie będzie miała nic przeciwko temu - zaręczył Edward. Akcja porodowa trwała już sześć godzin i przedłużała się, toteż lekarze myśleli już o podaniu jej środka przyspieszającego poród.

Edward, jak przystało na studenta medycyny, poruszał się po szpitalu swobodnie, więc śmiało wprowadził Douglasów do sali porodowej. Jane - ładna, ciemnowłosa dziewczyna -

leżała na łóżku, ciężko dysząc. Spostrzegła wchodzących. Wiedziała, kim są, bo Edward zawniosował ją o tym uprzedził. Wtedy właśnie po wiedziała mu, że chce ich poznać.

- Cześć! - bąknęła nieśmiało, ale rzeczywiście sprawiała wrażenie, jakby nie czuła się skrępowana ich wizytą.

Edward przedstawił ich, a oni zauważyli jego opiekuńczy stosunek do dziewczyny, która wyglądała bardzo młodo i była tak podobna do Diany, zwłaszcza z oczu, że Andy aż się zdziwił.

Podczas gdy rozmawiali, nasiliły się skurcze. Diana uważała, że powinni teraz wyjść, ale Jane gestem dała jej do zrozumienia, aby została. Andy czuł się trochę niezręcznie, ale młoda para zachowywała się w ich towarzystwie tak swobodnie, że wkrótce i oni przestali się krępować.

- To już był duży ból! - jęknęła Jane. Edward fachowym okiem spojrzał na monitor rejestrujący ruchy płodu i ocenił sytuację.

- Widocznie skurcze są coraz częstsze. Kto wie, może nie trzeba będzie żadnych środków?

- Może... - Jane uśmiechnęła się do Diany, jakby wytworzyła się już między nimi jakaś więź. Kiedy chwycił ją następny ból - po szukała ręki Diany. Taka sytuacja utrzymywała się mniej więcej do godziny czwartej po południu; Jane wyglądała na wycieńczoną, bo bóle wysysały jej siły, a nie dawały konkretnych wyników.

- To chyba nigdy się nie skończy! - narzekała. Diana, jakby była jej matką, gładziła ją po włosach i uspokajała, nie zastanawiając się nawet nad sytuacją, w jakiej się znalazła. Oto jeszcze wczoraj nie wiedziała nawet o istnieniu tej dziewczyny, a teraz miała przyjąć jej dziecko. Edward zamienił z Jane jeszcze kilka słów na osobności i po tej rozmowie przekazał Erikowi, że zarówno on, jak i ona, w pełni akceptują Douglasów jako przybranych rodziców ich dziecka. Eric zapytał o to samo Andyego i Dianę - ci udzielili mu takiej samej odpowiedzi.

A zatem sprawa była załatwiona. Do szczęścia brakowało im tylko dziecka.

O piątej przyszedł lekarz, aby zbadać Jane. Andy w tym czasie wyszedł do holu, by porozmawiać z Edwardem, ale Jane poprosiła Dianę, by przy niej została. Wyzwoliło to w Dianie instynkt macierzyński i opiekuńczy.

- Trzymaj się, Jane! - powtarzała jej łagodnie. - Jeszcze trochę, to już długo nie potrwa.

Dziwiła się, dlaczego dziewczyna nie otrzymuje żadnych środków przeciwbólowych, ale pielęgniarka wyjaśniła, że skurcze nie są jeszcze takie, jakie być powinny.

- Będziesz się dobrze opiekować moim dzieckiem, prawda? - spytała nerwowo, kiedy chwycił ją następny kurcz.

- Pokocham je jak swoje, przyrzekam! - zapewniła Diana. Chciała jeszcze dodać, że pozwoli jej widywać dziecko, kiedy zechce, ale wiedziała, że ani ona, ani Andy wcale sobie tego nie życzyli.

- Kocham cię, Jane, i kocham twoje dziecko - szeptała jej przy kolejnych falach bólu.

Jane potakiwała, ale bóle tak się nasiliły, że zaczęła krzyczeć. O szóstej odeszły wody, a bóle stały się coraz trudniejsze do zniesienia. Jane zaczynała już tracić kontakt z otoczeniem i Diana nie była pewna, czy ją jeszcze poznaje, ale kiedy chciała wyjść na chwilę - kurczowo uchwyciła ją za rękę. Najwidoczniej potrzebowała jej obecności.

- Nie odchodź... nie odchodź... - dyszała w coraz krótszych przerwach między bólami.

Edward stał po jednej jej stronie, a Diana po drugiej. W końcu położna orzekła, że Jane już może zacząć przeć. W tym momencie zjawił się także lekarz, a Dianie i Andyemu wręczono zielone fartuchy i spodnie.

- A to co znowu? - zdziwił się Andy.

- Jane życzy sobie, abyście oboje asystowali przy porodzie - wyjaśnił Edward.

Przebrali się więc w łazience i biegiem podążyli w ślad za Jane, wiezioną na wózku do porodówki. Przeniesiono ją tam na łóżko porodowe, przykryto i umieszczono nogi w uchwytach. Od razu wszystko nabrało szybszego tempa. Jane krzyczała, lekarze i położne krzatali się jak w ukropie. Diana przeleżała się, że zaszły jakieś komplikacje, ale mimo chaotycznej bieganiny wszyscy zachowywali spokój. Ona też miała co robić, bo musiała zabawiać Jane rozmową, podczas gdy Edward trzymał ją za ramiona i podpowiadał, kiedy ma przeć zgodnie ze wskazówkami lekarza. Jane posłusznie parła, a Diana w którymś momencie zauważyła, że do sali wprowadzono już wózek dla dziecka. A więc zaraz będzie koniec. Rzuciła okiem na wiszący na sali zegar. Ze zdziwieniem spostrzegła, że dochodziła północ.

- No, Jane, już niewiele brakuje - pochwalił ją doktor. - Po przyj jeszcze mocniej ze dwa razy...

Równocześnie przywołał Dianę ruchem ręki. Wiedział doskonale, co ona tu robi, więc chciał, aby zobaczyła, jak główka dziecka wychyla się na świat. I rzeczywiście, między nogami Jane widoczna już była mała główka o ciemnych włoskach, a matka parła ze wszystkich sił, aż rozległ się oczekiwany przez wszystkich krzyk. Małeństwo spojrzało ciekawymi światła oczkami na Dianę, która wydała okrzyk zachwyty, a Andy uronił kilka łez.

Położnik owinął dziewczynkę w pieluszkę i podał Dianie, choć z Jane wciąż łączyła jej pewność. Diana zalała się łzami, przez które niewiele widziała.

Stali z Andym ramię w ramię, podziwiając cud narodzin, który ziścił się na ich oczach. Potem, gdy tylko pępowina została przecięta, Diana delikatnie podała dziecko Jane. W końcu na pracowała się tak ciężko przy wydaniu go na świat, że miała prawo przez chwilę je potrzymać! Jane jednak skorzystała z tego prawa rzeczywiście tylko przez chwilę, po czym zaraz przekazała dziecko Edwardowi. Płakała przy tym i wyglądała na kompletnie wyczerpaną. Edward popatrzył na córkę wzrokiem zupełnie wypranym z emocji i zaraz oddał ją położnej.

Dziecko zważono, zmierzono i poddano wstępnym badaniom. Okazało się, że miała idealne wyniki, typowe dla zdrowego noworodka. Ważyła trzy kilogramy, a mierzyła pięćdziesiąt centymetrów. Tak więc, po dwóch latach cierpień, Diana doczekała się upragnionego dziecka. Maleństwo z wózeczka patrzyło dużymi, zdziwionymi oczkami na swoich nowych rodziców, a oni wpatrywali się w nie z nabożnym podziwem, nie wiedząc, jak wyrazić swą wdzięczność Jane i Edwardowi.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nazajutrz Diana i Andy biegali po mieście, kupując pieluszki, malutkie koszulki, skarpetki, buciczki, czapeczki, kocyki i całe mnóstwo innych rzeczy, o których słyszeli, że mogą być potrzebne. Dziecko mieli odebrać w poniedziałek rano, a tymczasem umówili się z Edwardem i Jane, aby podpisać wstępną umowę.

Jane wyglądała lepiej niż wczoraj o północy, ale widać było, że przeżyła ciężki wstrząs. Żywo zareagowała na widok Diany, ale choć planowała, że podziękuje jej za opiekę nad córeczką, to skończyło się na tym, że rozplakała się w ramionach Edwarda. Widząc to, Diana poczuła się tak, jakby im odbierała to dziecko na siłę, i także się rozplakała.

- Naprawdę, bardzo mi przykro! - zapewniała przez łzy. - Obiecuję ci, że zrobimy wszystko, aby miała u nas jak najlepiej... i żeby była szczęśliwa!

Uścisnęła Jane na pożegnanie i Andy szybko wyprowadził ją z pokoju, bo sam już nie mógł powstrzymać łez. Postanowili, że po drodze wstąpią na oddział noworodków, aby rzucić okiem na małą. Cieszyli się, że tu zajrzeli. Śpiąca dziewczynka wydała się im malutka i piękna. Zamienili kilka słów z opiekującym się nią lekarzem pediatrą, który poinformował ich, jaką mieszankę dziecko otrzymuje, jak często trzeba ją będzie karmić i jak pielęgnować nie zagojony pępek. Doradzał także wizytę kontrolną u ich lekarza rodzinnego, na co Diana zrobiła tylko głupią minę i postanowiła skonsultować się ze swymi siostrami.

- Zadzwoń do Samanty - zdecydowała i uśmiechnęła się, bo od tygodni nie rozmawiała z siostrą, głównie dlatego, żeby nie wysłuchiwać peanów na cześć jej dziecka. - Masz pojęcie, jak się zdziwi?

Śmiała się jeszcze w windzie, kiedy już opuszczali szpital, a potem przeszli spacerkiem na Sacramento Street, aby coś zjeść. Ostatnie dwa dni były wprawdzie cudowne, ale jednak męczące, a nazajutrz rano mieli już odebrać dziecko. Jane wychodziła wtedy ze szpitala, ale postanowiła nie widywać więcej dziecka, zbyt dużo ją to kosztowało.

- Chyba nie zmieni zdania, prawda? - Diana była bardzo nie spokojna.

Andy nie odpowiedział jej od razu, tylko po chwili namysłu.

- Nie przypuszczam, ale musimy się liczyć z taką możliwością, dopóki nie podpiszemy z nimi ostatecznej umowy. Teoretycznie mogą do ostatniej chwili zmienić zdanie, ale wyglądali mi na zdecydowanych, przynajmniej Edward. Myślę, że ona też, ale dla niej to cięższe przeżycie.

Diana nie mogła sobie wyobrazić, jak można oddać własne dziecko w obce ręce i

cieszyła się, że ją to nigdy nie spotka. Musiała jeszcze omówić z Andym parę istotnych kwestii, jak na przykład imię dla dziecka. Nie podjęli jeszcze ostatecznej decyzji, ale najbardziej podobało im się imię Hilary.

Tego ranka oboje zadzwonili do swoich instytucji i uprzedzili, że z powodu choroby nie stawiają się w pracy.

Andy planował wzięcie jeszcze przynajmniej jednego wolnego dnia, a Diana myślała o dłuższym urlopie, a może nawet o złożeniu wymówienia. Na razie jeszcze nie skonkretyzowała swoich planów.

W szpitalu czekał na nich Eric Jones, który miał dalsze dokumenty do podpisania. Widział się już z Edwardem i Jane, którzy na szczęście opuścili szpital wcześniej. Douglasowie mieli więc ten etap czynności adopcyjnych za sobą i mogli swobodnie zająć się dzieckiem.

Im wyżej wznosiła się winda - tym większe podniecenie ogarniało Dianę. Przyniosła ze sobą wiklinowy koszyk wyłożony białą szydełkową koronką, a w wynajętym samochodzie zamontowali już fotelik. Robili wszystko, aby podkreślić, jak wielkim wydarzeniem jest dla nich powrót do domu z własnym dzieckiem. Wybrali nawet imiona dla małej - Hilary Diana.

Małeństwo spało, kiedy Andy i Diana, narzuciwszy fartuchy na okrycia, weszli na oddział noworodków. Pielęgniarka pouczyła Dianę, jak ubierać i przewijać małą, kiedy podawać jej mieszankę, a kiedy roztwór glukozy.

Dziewczynka na rękach pielęgniarki otworzyła buzię i ziewnęła, popatrzyła zaspanymi oczkami na Dianę i Andyego, ale podczas ubierania znów je zamknęła. Diana poczuła wtedy, jak wzbiera w niej taka miłość, jakiej nigdy nie czuła do nikogo, nawet do Andyego. Ze łzami w oczach włożyła małej różową sukieneczkę, także same buczki i wsunęła ją w ciepły śpiworek. Do tego dopasowała wdzięczny czepeczek przybrany różowymi różyczkami, toteż małeństwo, gdy je podniosła w górę, wyglądało zachwycająco. A Andyemu Diana nigdy nie wydała się równie piękna.

- No, mamuśka, chodźmy - zachęcił ją łagodnie. Wyszli do holu, gdzie czekał na nich Eric Jones z informacją, że dziecko zostało już wypisane ze szpitala. A zatem należało już do nich!

Oboje uściskali Erika i podziękowali mu serdecznie, a on od prowadził ich do wynajętego samochodu, którego bagażnik wypełniały trzy pudła z ciuszkami dla niemowlaka i wielki pluszowy miś kupiony przez Andyego. Diana zapięła pas i na pożegnanie krzyknęła do Erika:

- Dziękujemy za wszystko!

On zaś machał za nimi jeszcze wtedy, gdy wóz już ruszył. Miło było patrzeć na taką szczęśliwą rodzinę.

Diana rozsiadła się wygodnie na tylnym siedzeniu obok dziecka i popatrywała stamtąd na Andyego. Wprost trudno jej było uwierzyć, że tyle wydarzyło się w czasie krótszym niż czterdzieści osiem godzin.

- Masz pojęcie, że to się stało naprawdę? - spytała z promiennym uśmiechem. Jednak małe paluszki zaciskające się wokół jej palca dowodziły, że są prawdziwe, a mała Hilary wyglądała jak wzór doskonałości.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć! - wyznał Andy szeptem, bo bał się obudzić maleństwo. Przez całą drogę na lotnisko przyglądał się Dianie z uśmiechem. - A co planujesz zrobić ze swoją pracą?

Pytanie było jak najbardziej na czasie, gdyż Diana zdążyła się zaangażować w pracę redakcyjną, a tu nagle wszystko stanęło na głowie.

- Nie jestem pewna, ale chyba wezmę urlop macierzyński - wyznała.

- Już widzę, jak się twoja naczelna ucieszy! - zakpił Andy, ale sam też miał zamiar wziąć przynajmniej tydzień urlopu, aby po móc Dianie i lepiej poznać córkę. Ich córkę - jak to dziwnie brzmiało! Oboje musieli się przyzwyczaić do nowej sytuacji. Dianie było przykro, że jej radość wiązała się z bólem Jane, ale w końcu Jane sama tego chciała.

Zanim wsiedli do samolotu, Hilary się obudziła, więc Diana przewinęła ją i napoiła roztworem glukozy. Mała znowu zasnęła. Przez cały lot Diana trzymała ją w ramionach, czując przy piersi ciepło śpiącego maleństwa, a w sercu wzbierającą miłość, jakiej nie przeżywała nigdy dotąd.

- Nie wiem, która z was jest szczęśliwsza, ty czy panna Hilary? - żartował Andy, delektując się drinkiem podanym przez stewardesę. Uważał, że mu się to w pełni należało.

Do domu dotarli już po południu, ale Diana miała wrażenie, jakby wróciła tu po wielu latach. Tyle się w ich życiu zmieniło od telefonu w piątkowy wieczór, aż trudno im było uwierzyć, że minęły dopiero trzy dni.

- W którym pokoju ją położymy?

- Myślę, że w naszym. Nie chciałabym, żeby spała zbyt daleko od nas, a w nocy tak czy siak będę musiała wstawać, żeby ją nakarmić.

- Tak, wiem, po prostu nie chcesz oddalić się od niej ani na chwilę! - Andy parsknął śmiechem. Nie dziwił się jej jednak, bo sam, stawiając koszyczek z dzidziusiem przy łóżku, pomyślał, że to dziecko już wrosło mu w serce.

Wieczorem Diana zadzwoniła do swojej młodszej siostry Samanty, aby poleciła jej

dobrego pediatrę. Skłamała, że potrzebuje takiego specjalisty dla koleżanki, ale szkoda, że Sam nie mogła widzieć jej łobuzerskiego uśmiechu! Sam podała jej nazwisko lekarza, ale zdziwiła się, bo Diana, jakby nigdy nic, spytała o zdrowie jej dziecka i zaproponowała, aby nazajutrz do niej wpadła.

Samanta, świadoma nadwrażliwości Diany na tym punkcie, rozmawiała z nią bardzo ostrożnie, ważąc każde słowo.

- Widzisz, Di, nie mam z kim zostawić małego, bo Seamus pracuje teraz nad nowym obrazem... Mogę przyjść jedynie wtedy, kiedy starsze są w przedszkolu, ale musiałabym przynieść małego ze sobą...

Spodziewała się, że Diana się na to nie zgodzi, bo dotychczas tylko raz widziała jej synka zaraz po urodzeniu, a i to z daleka.

- Ależ proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu! - zaszczębiotała radośnie Diana, co Samancie wydało się mocno podejrzanym.

- Jesteś tego pewna? - spytała na wszelki wypadek.

- Oczywiście, jestem teraz bardzo pozytywnie nastawiona do dzieci.

- A co, lepiej się czujesz? - Samanta nie dowierzała, pomna, jak przeraził ją wybuch Diany w Święto Dziękczynienia. Jednak podczas miesięcy, które minęły od tamtego czasu, stopniowo zaczęła rozumieć, jak wielkie katusze przeżywała wtenczas Diana i jak bezdusznie potraktowała ją reszta rodziny.

- Owszem, nawet dużo lepiej - uspokoiła ją Diana. - Porozmawiamy o tym jutro.

W następnej kolejności zadzwoniła do matki. Zawiodła się nieco, gdyż nie zastała ojca w domu, ale zaprosiła matkę na kawę o tej samej porze co Samantę. Zaprosiła także Gayle i tak się złożyło, że i ona bez przeszkód mogła do niej przyjść. Diana nie mówiła matce ani siostrze, jaki jest powód tego niespodziewanego zaproszenia, ale gdy odwiesiła słuchawkę po rozmowie z Gayle, uśmiechała się od ucha do ucha. Nareszcie udało się jej dorównać siostrze i wstąpić do „klubu matek”.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa, kochanie - szeptał do niej Andy, kiedy leżeli w łóżku. Nigdy dotąd nie widział jej tak rozpromienionej, więc dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo musiała pragnąć tego dziecka. Zaskoczyła go również jego własna reakcja, bo okazało się, że to, iż mała nie jest z nim biologicznie spokrewniona, wcale mu nie przeszkadza. Zachwycił się nią, a gdy pierwszej nocy się obudziła - oboje na wyścigi rzucili się do niej z butelką. Potem już umawiali się, kto będzie wstawał, a rano Diana była wprawdzie zmęczona, lecz szczęśliwa.

- Wczoraj wieczór zapomniałaś do kogoś zadzwonić! - mruknął, kiedy rozespany



wracał do łóżka. Dzwonił właśnie do swojej agencji, zawiadamiając, że nie przyjdzie do pracy ani dziś, ani prawdopodobnie jutro. Jako powód podał, że jeszcze nie czuje się dobrze, a resztę obiecał wyjaśnić kiedy indziej.

- A do kogo jeszcze miałam zadzwonić? - Diana wzięła jego słowa za dobrą monetę i serio próbowała to sobie przypomnieć. Zadzwoniła przecież do matki i obu swoich sióstr, a z ojcem skontaktuje się, kiedy ten wróci. Może chodziło o Eloise? Ostatnio jednak nie były już z sobą tak zaprzyjaźnione jak kiedyś. - Jakoś nikt nie przychodzi mi na myśl...

- Jak to? A nasza słodka Wanda Williams?

- Ach, ty łobuzie! - Diana roześmiała się tak głośno, że aż Hilary zaczęła płakać. Czym prędzej więc nakarmiła ją, wykąpała i przebrała w jeden ze świeżo kupionych komplecików. Zanim nadeszli zaproszeni goście, wiedziała już na pewno, że nie jest ważne, co teraz pomyśli jej rodzina ani jak zareaguje, gdy zobaczy dziecko. Nie, najważniejsza była teraz ta mała istotka, która z czasem miała wyrosnąć na kobietę. To na nią tak długo czekali, o nią modlili się, walczyli i o mało nie zniszczyli siebie nawzajem. Diana oczywiście liczyła, że jej rodzina pokocha małą Hilary, ale jeżeli nie - to mniejsza z tym!

Teraz już miała świadomość, że nie zawiodła jako matka, tylko doszła do macierzyństwa inną drogą niż większość kobiet. Poradziła sobie z problemem pozornie nie do pokonania i dalej szła przez życie, które niosło z sobą radości i smutki, ale czasem także nadzwyczajne dary. Takim darem dla Diany stała się mała Hilary; kto wie, czy nie najcenniejszym, jaki w swoim życiu otrzymała. Jej pojawienie się było czymś więcej niż zwycięstwem - raczej błogosławieństwem!

Gdy z czułością patrzyła na śpiące dziecko - zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Pierwszym gościem okazała się jej matka.

- Jak się masz, kochanie? - spytała z troską, a w jej oczach Diana zauważyła niepokój.

- Dziękuję, świetnie.

- To dlaczego nie jesteś w pracy? - Matka usiadła sztywno na kanapie w swym nowym, granatowym kostiumie od Adolfa i fryzurą prosto od fryzjera. Dłonie zaciskała nerwowo na uchwycie od torebki.

- Ależ mam, nie denerwuj się! Wzięłam po prostu urlop.

- Jak to, nie wspominałaś ani słowem, że wybierasz się na urlop. Wyjeżdżacie gdzieś z Andym? - Wiedziała przecież, że przez jakiś czas córka i zięć pozostawali w separacji, ale gdy znowu postanowili być razem, Diana natychmiast ją o tym powiadomiła. Matka nie chciała wtrącać się w sprawy młodych, podobnie jak nigdy nie poruszała z Dianą sprawy jej niepłodności. Do wiedziała się o tym od Samanty, a mąż Gayle, ginekolog Jack, po twierdził

ten fakt.

Diana chciała właśnie odpowiedzieć matce, że nigdzie się z Andym nie wybierają, gdy zadzwonił następny dzwonek. W drzwiach stała Samanta ze swoim dwumiesięcznym synkiem, rozkosznie śpiącym w foteliku. Diana uświadomiła sobie, że jeszcze kilka dni temu nie mogłaby na niego patrzeć, a teraz widziała w nim już tylko słodkiego dzidziusia.

- Coś się stało? - spytała siostra już od drzwi. Diana roześmiała się i pomogła jej postawić na podłodze nosidełko z dzieckiem. Samanta obserwowała ją z przerażeniem, gdyż zauważyła zasadniczą zmianę w jej zachowaniu. Zdawała się nie przejmować obecnością niemowlęcia, nabrała pewności siebie i zatraciła przesadną wrażliwość. Czyżby była w ciąży? Nie śmiała jednak o to pytać.

- Dopiero co mama pytała mnie o to samo. Podejrzewała, że siedzę w domu, ponieważ wyleli mnie z pracy!

W tym momencie dopiero Samanta dostrzegła matkę, co za skoczyło ją jeszcze bardziej. Diana zauważyła to i pospieszyła z wyjaśnieniem.

- Widzisz, po prostu wzięłam urlop i pomyślałam sobie, że fajnie byłoby się spotkać. Cieszę się, że cię widzę, Sam.

Matka obserwowała je z daleka i cieszyła się, że siostry przy jaźnie odnoszą się do siebie. Po dziesięciu minutach przybyła Gayle, narzekając na korki uliczne, swój samochód i brak miejsca do parkowania.

- Cóż to za okazja? - Rozejrzała się podejrzliwie po salonie. - Jakiś zjazd rodzinny?

- O nie, nic podobnego! - Diana roześmiała się swobodnie. - Chciałam tylko, żebyście coś zobaczyły. Usiądź, Gayle. - Samanta bowiem siedziała już na kanapie obok matki, trzymając na rękach dziecko. Diana zniknęła w sypialni, wyjęła Hilary z koszyczka i nie budząc jej, wzięła na ręce. Maleństwo przyłgnęło do niej całym ciepłym ciałkiem, więc niosła ją do salonu, okrywając główkę pocałunkami. Gdy zjawiła się z powrotem w salonie, Gayle wykrzyknęła ze zdziwieniem:

- O rany, to ty masz dziecko?

- Jak widać, mam. To jest Hilary. - Diana usiadła obok Samanty, a małą położyła sobie na kolanach, aby wszyscy mogli widzieć jej regularne rysy, aksamitną skórę i malutkie rączki z długimi, smukłymi paluszkami.

- Ależ ona jest śliczna! - zachwyciła się matka i ucałowała Dianę. - Kochanie, tak się cieszę!

- Ja też, mamo. - Diana oddała matce pocałunek. Samanta porwała ją w ramiona. Obie siostry na zmianę śmiały się i płakały, a Gayle przysunęła się, by popatrzeć na dziecko.

- Ale ci się udało! - wykrzyknęła. - Masz gotowego, ślicznego dzidziusia bez bólów porodowych, dodatkowych kilogramów i powyciąganych cycków! No, gdybym nie cieszyła się twoim szczęściem, chyba bym cię znienawidziła! Może teraz, po tym wszystkim, będziemy mogli się znowu zaprzyjaźnić? To był ciężki okres dla nas wszystkich, chyba to wiesz?

Mówiła w imieniu całej rodziny, ale wszyscy wiedzieli, że to właśnie ona i Diana wiecznie darły ze sobą koty Samanta, jako najmłodsza, była wykluczona z ich sporów.

- Tak mi przykro. - sumitowała się Diana, spuszczać oczy - Przechodziliśmy wtedy kryzys, ale teraz jest już po wszystkim.

- Skąd ona się wzięła? - zainteresowała się Samanta, podziwiając delikatne rysy małej.

- Z San Francisco. Urodziła się w niedzielę o wpół do pierwszej w południe.

- Ona jest cudowna! - Świeżo upieczona babcia rozplętała się w zachwytach. Nie mogła się już doczekać, kiedy opowie o tym nadzwyczajnym zdarzeniu mężowi i razem pójdą wybrać jakiś prezent dla dzidziusia. Nie wiedziała, jak zareaguje ojciec Diany, ale była pewna, że się ucieszy, zważywszy, jak jej współczuł.

Matka i siostry posiedziały jeszcze prawie dwie godziny, po czym z żalem wyszły, obcałowując na pożegnanie Dianę i Hilary. Prawie równocześnie wrócił Andy, który pojechał do swojej agencji tylko po to, aby zabrać jakieś dokumenty i poprosić o urlop do końca tygodnia. Przełożeni byli mile zaskoczeni dobrymi wiadomościami i poszli mu na rękę do tego stopnia, że sami zaproponowali, aby wziął jeszcze tydzień wolnego, jeśli tego potrzebuje. Andy zajrzał też do Billa Benningtona, aby pochwalić się dzieckiem.

- No, to może od czasu do czasu będziemy mogli machnąć partyjkę? - zażartował Bili. Rozumiał problemy Diany, bo Denise też miała kłopoty z ciążą. Lekarze kazali jej leżeć, gdyż obawiali się przedwczesnego porodu, a może nawet utraty dziecka. Mieli zamiar zezwolić jej na większą swobodę ruchu dopiero na miesiąc przed terminem porodu. - Kiedy będzie można zobaczyć tę małą? Za kilka lat, jak nasze dziewczyny podrosną, zagramy z nimi debła?

Wiedział już z badań USG, że też ma dziewczynkę, więc zapalał się już do wizji, jak to w przyszłości obaj będą wprowadzać swoje córki w świat. Andy roześmiał się i obiecał, że wpadną go odwiedzić, jeśli tylko Denise będzie czuła się dobrze.

W domu Diana czekała na niego z długą listą sprawunków. On jednak najpierw był ciekaw, jak udały się odwiedziny matki i sióstr. Z miny Diany wnioskował, że chyba dobrze.

- No i jak poszło? - spytał konspiracyjnym szeptem. - Księżniczka zachowała się jak należy?

- Bez zarzutu. One wszystkie były nią zachwycone.

- Dziwisz się? - Spoglądał z podziwem na małą, śpiącą spokojnie w koszyku, kontemplując każdy jej ruch, każdy fragmencik ciała. Nagle coś sobie przypomniał. - Dzwoniłaś może do swojej redakcji?

- Próbowałam, ale nie zastałam nikogo kompetentnego. Będę chyba musiała sama tam pójść i wszystko wytłumaczyć. - Wiedziała, że ma swojej szefowej dużo do powiedzenia, bo należało się jej wyjaśnienie, dlaczego to wszystko stało się tak nagle.

Kiedy jeszcze tego samego dnia osobiście udała się do firmy, wzruszyła się wyrozumiałością przełożonych. Redaktorka na czelna zaproponowała jej urlop macierzyński w pełnym wymiarze pięciu miesięcy i obiecała powrót na poprzednie stanowisko po jego zakończeniu. Tego właśnie Diana chciała, choć wcześniej zastanawiała się, czy zdoła pogodzić pracę z wychowywaniem dziecka. Początkowo planowała całkowicie zrezygnować z pracy, później myślała o zatrudnieniu w niepełnym wymiarze godzin, choć wtedy nie mogłaby już piastować stanowiska starszego redaktora. Na razie nie miała w tej sprawie wyrobionego poglądu. Zyskała pięć miesięcy, który mogła poświęcić opiece nad Hilary i bardziej dalekosiężnym planom na przyszłość.

Podziękowała szefowej za życzliwość i poszła opróżnić swój pokój, którego firma potrzebowała dla pracownika zastępującego ją podczas jej nieobecności. W ciągu godziny zapakowała wszystko do pudeł i poleciła portierowi, aby zniósł je do jej samochodu. Wychodząc, zajrzała do Eloise, która akurat wyjmowała suflet z piekarnika.

- O, to wygląda zachwycająco! - pochwaliła wypiek, którego zapach rozszedł się po całym pokoju.

- Ty też. - Eloise się uśmiechnęła. - Dawno cię nie widziałam. Napijesz się kawy?

- No, może szybko...

- Już ci nalewam.

Diana usiadła przy ladzie kuchennej działu kulinarnego, a Eloise podała jej parującą filiżankę i spodeczek z porcją sufletu.

- Nie wypróbowałam jeszcze tego przepisu - uprzedziła. - Skosztuj i powiedz, co o tym myślisz.

Diana włożyła kęs do ust i przymknęła oczy. Na jej twarzy odmalował się absolutny zachwyty.

- Pycha!

- To dobrze. A co u ciebie słychać? - Wiedziała, co Diana przeżywała przez ostatni rok, bo kiedyś spotkały się przypadkiem i powiedziały sobie wszystko. Wtedy Diana była tak przygnębiona, że odsunęła się od większości znajomych. - Wyglądasz świetnie.

Prawda przedstawiała się tak, że Diana wypiękniała, odkąd zesła się z powrotem z Andym. Sprawiała wrażenie, jakby na nowo wstąpiło w nią życie, ponadto przestała uzależniać swoje szczęście od faktu posiadania dziecka. Równocześnie jednak spoważniała, co świadczyło, że przejścia nie minęły bez śladu.

- Miło mi. - Diana z łobuzerskim uśmiechem popijała kawę. - A wiesz, że od niedzieli mamy dziecko?

- Co macie? Czy ja dobrze słyszę?

- Owszem, dobrze. To dziewczynka, nazywa się Hilary. Urodziła się w niedzielę i chcemy ją adoptować.

- No, to się wam udało. - Eloise ucieszyła się z radości przyjaciółki. Wiedziała, że ona i Andy otrzymali wspaniały dar, i że na pewno będą kochać to dziecko.

- Dostałam pięć miesięcy urlopu macierzyńskiego, ale potem wrócę do pracy. Możesz przychodzić w odwiedziny do małej, a ja będę z powrotem w firmie pod koniec roku.

- Tylko że mnie tu nie będzie - rzekła ze smutkiem Eloise. - Dostałam lepszą pracę w Nowym Jorku, więc dziś rano złożyłam wypowiedzenie. Wyjeżdżam za dwa tygodnie. Właśnie chciałam ci to powiedzieć.

- Będzie mi ciebie brakować - szepnęła Diana. Zawsze szanowała Eloise i żałowała, że nie zdążyła poznać jej lepiej, ale w ubiegłym roku tyle się wydarzyło, że zabrakło miejsca na przyjaźń. Eloise dobrze to rozumiała.

- Mnie ciebie także. Odwiedzisz mnie w Nowym Jorku, ale przed wyjazdem chciałabym zobaczyć tego dzidziusia. Zadzwoń do ciebie w tym tygodniu.

- Świetnie! - Diana dopiła kawę i uściskała serdecznie Eloise.

Po drodze do domu myślała, że będzie jej brakować towarzystwa koleżanek z redakcji. Ale im bardziej zbliżała się do domu, tym więcej myśli poświęcała dziecku, a pismo, w którym pracowała, mogło równie dobrze istnieć na innej planecie.

W maju Charlie i Beth znali się już od dwóch miesięcy, a jemu wydawało się, że zna ją od wieków. Mogli rozmawiać o wszystkim, więc opowiedział jej o swoim dzieciństwie i wyniesionych z tamtego okresu urazach, które spotęgowały jego pragnienie posiadania prawdziwego domu i rodziny. Wspominał też o swym nieszczęśliwym małżeństwie z Barbarą i o tym, jak boleśnie przeżył jej odejście. Od tamtej pory zdążył to i owo przemyśleć i skłaniał się teraz ku przypuszczeniu, że związek z nią był po prostu wielką pomyłką.

Do tej pory nie wspominał Beth o swojej bezpłodności. Bał się bowiem, że gdy wyzna Beth prawdę - ona odejdzie, a zbyt wiele w życiu stracił, by ryzykować jeszcze i tę utratę.

W Dzień Matki zaprosił obie na późne śniadanie w Marina Del Rey. Wcześniej

wyskoczył razem z Annie po kwiaty dla Beth, do których dołączył laurkę, jaką Annie wymalowała w szkole. Po południu poszli na plażę, gdzie grali w piłkę, śmiali się, rozmawiali. Charlie okazał się wspaniałym kompanem dla Annie, a kiedy mała odbiegła, aby przyłączyć się do zabawy innych dzieci, Beth skorzystała z okazji i zadała mu pytanie, które od dawna cisnęło się jej na usta.

- Charlie, jak to się stało, że dotąd nie miałeś własnych dzieci? - rzuciła obojętnie, leżąc na piasku z głową na jego piersi. Dlatego od razu poczuła, jak usztywnił się, słysząc to pytanie.

- Bo ja wiem? Pewnie brakowało mi czasu albo pieniędzy. - Próbował ją zbyć, co było zupełnie do niego niepodobne. Tym bardziej że wcześniej wspominał jej o swoich nieporozumieniach z Barbie, spowodowanych tym, że nie chciała mieć dzieci, a w końcu zaszła w ciążę z kim innym. - Nie sądzę, abym się kiedyś jeszcze ożenił. A nawet wiem na pewno, że nie - dodał.

Beth spojrzała na niego z nieśmiałym uśmiechem, bo przecież nie czekała na jego oświadczenia. Po prostu chciała wiedzieć coś więcej o jego przeszłości, interesowało ją wszystko, co go do tyczyło.

- Nie dlatego pytam, że chcę zaciągnąć cię do ołtarza! - wyjaśniła. - Pytałam tylko, dlaczego nie miałeś dotąd dzieci?

Zadała to pytanie tonem całkowicie niezobowiązującym, ale Charlie był wyraźnie spięty. Zaczęła się już zastanawiać, czy nie powiedziała czegoś niestosownego, gdy Charlie podniósł się z piasku i usiadł prosto. Doszedł właśnie do wniosku, że zanadto polubił Beth, aby ją oszukiwać. Postanowił, że lepiej powiedzieć prawdę od razu, żeby nie traciła z nim czasu na darmo.

- Nie mogę mieć dzieci, Beth. Dowiedziałem się o tym pół roku temu, przed samym Bożym Narodzeniem. Robili mi różne badania, które wykazały, że jestem bezpłodny. Bardzo to przeżyłem.

Ciężar tego wyznania przytłoczył go. Z lękiem oczekiwał jej reakcji. Wiedział jednak, że postąpił wobec niej uczciwie.

- Och, Charlie... - Pożałowała, że w ogóle zadała mu to pytanie, ale szczerze mu współczuła. Wyciągnęła do niego rękę, ale tym razem on nie ujął jej w swoją, tylko zachował dziwny dystans.

- Może powinienem był powiedzieć ci o tym wcześniej, ale wydawało mi się, że takich rzeczy nie mówi się na pierwszej randce. - „Ani w ogóle” - dodał w myśli.

- Pewnie, że powinieneś! - Usiłowała żartować. - Wtedy nie zawracalibyśmy sobie

głowy gumkami! - Oboje używali prezerwatyw, gdyż w początkowym okresie znajomości uważali to za celowe. Beth ponadto stosowała krążek, czego Charlie nigdy jej nie odradzał. Teraz wydawało się to śmieszne, ale jej, a nie jemu.

- Nic się przecież nie stało. - Próbowała załagodzić sytuację, ale przypomniała sobie coś jeszcze. - Dlaczego mówisz, że nie chcesz się więcej żenić?

- Wydaje mi się, że nie mam prawa. Weźmy na przykład ciebie. Masz taką śliczną dziewczynkę, więc pewnie zechcesz mieć jeszcze dzieci.

- A skąd wiesz, że zechcę? I czy w ogóle mogę?

- A nie możesz? - spytał ze zdziwieniem. Widział, jak kochała Annie, więc nie mógł uwierzyć, że nie chciałaby mieć więcej dzieci.

- No nie, oczywiście mogę! - wyznała szczerze. - To by zależało od tego, za kogo bym wyszła, jeśli w ogóle za kogoś wyjdę. Ale prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy chcę mieć więcej. Annie w zupełności mi wystarczy, tym bardziej że sama byłam jedynaczką i dobrze mi z tym było. Zresztą czasem ledwo daję radę utrzymać siebie i Annie.

Charlie dawno już to zauważył i dlatego starał się jak najczęściej przynosić im przynajmniej drobne upominki i od czasu do czasu zapraszać do restauracji.

- Ale gdybyś wyszła za mąż, twój mąż na pewno chciałby mieć dzieci. Ja na jego miejscu bym chciał... - zaczął ze smutkiem. - Myślę, że któregoś dnia uda mi się adoptować małego chłopczyka. Już odkładam na to pieniądze, bo teraz pozwalają samotnym rodzicom na adopcję. Chciałbym przygarnąć takiego dzieciaka, który inaczej nie miałby szans wyrwania się z jakiejś cholernej instytucji dobroczynnej, bo nikt go nie chciał pokochać. A może nawet więcej takich dzieciaków... - Na przykład ile? - spytała nerwowo.

- Bo ja wiem? Może dwoje albo troje... Na razie to tylko marzenie, ale myślałem o tym nawet wtedy, kiedy sądziłem jeszcze, że będę mógł mieć własne dzieci.

- A jesteś pewien, że nie będziesz mógł?

- Niestety. Badał mnie jeden mądry doktor w Beverly Hills i orzekł, że nie mam szans. Myślę, że miał rację, bo do tej pory nigdy specjalnie nie uważałem, a jakoś nic z tego nie wyszło.

- No to co, przecież to nic takiego - próbowała go pocieszyć. Współczuła mu, ale nie uważała tego za tragedię i miała nadzieję, że on też jest podobnego zdania. W każdym razie niepłodność Charliego nie podważała pozytywnej opinii Beth o jego męskości.

- Może i nic, ale porządnie mnie to trząchnęło! - wyznał. - Tak strasznie chciałem dochować się własnych dzieci! Próbowałem za wszelką cenę zrobić dziecko Barbie, żeby ratować nasze małżeństwo, a udało się to komu innemu! - dokończył z gorzką ironią.

Ostatnio jednak jakby mniej się tym przejmował, bo zaczął podchodzić do sprawy filozoficznie. Owszem, ciężko przeżył rozpad swojego małżeństwa, ale odkąd poznał Beth i Annie, martwił się raczej tym, że jego miłość do Beth nie miała perspektyw. Wydawało mu się bowiem - bez względu na to, co ona o tym myślała - że nie ma prawa zawiązywać jej życia i pozbawiać możliwości posiadania dzieci. Wprawdzie twierdziła, że nie przykłada do tego wagi, ale była jeszcze tak młoda, że mogła z czasem zmienić zdanie.

- Nie powinieneś się tym gryźć - oświadczyła tymczasem Beth. - Myślę, że kobieta, która naprawdę cię pokocha, nie będzie oceniać cię na podstawie tego, czy możesz mieć dzieci, czy nie.

- Tak sądzisz? - spytał, wyraźnie zaskoczony. Znów leżeli przytuleni na piasku, a Beth złożyła głowę na jego ramieniu. - Nie jestem pewien, czy masz rację.

- W każdym razie dla mnie to nie ma znaczenia.

- A powinno mieć! - pouczył ją Charlie ojcowskim tonem. - Jesteś jeszcze za młoda, żeby marnować swoje życie.

- Tylko mi nie mów, co mam robić! - Beth się zdenerwowała. - Zrobię, co zechcę, a właśnie chcę ci powiedzieć, że nie przeszkadza mi to, że nie możesz mieć dzieci!

Wypowiedziała to zdanie tak głośno i z takim naciskiem, że Charlie aż drgnął i rozejrzał się, czy ktoś nie usłyszał. Na szczęście nikt w otoczeniu nie zwracał na nich uwagi, a Annie też od biegła gdzieś dalej.

- Może rozplakatujesz to na wszystkich ulicach? - burknął zgryźliwie.

- Przepraszam - dodała już łagodniejszym tonem i opadła na piasek obok niego. - Ale mówiłam serio!

- Naprawdę? - Obrócił się na brzuch, ukrył twarz w dłoniach i obserwował ją przez palce.

- Tak.

Zmieniało to w znacznym stopniu jego sytuację, gdyż pozwalało mu myśleć poważnie o przyszłości. Nadal jednak uważał, że to nie w porządku poślubić tak młodą dziewczynę, nie dając jej możliwości ponownego zostania matką. Wprawdzie doktor Pattengill sugerował mu skorzystanie z usług dawców nasienia, ale wiedział, że nigdy nie zgodziłby się na coś takiego. Jeżeli jednak Beth mówi serio, że wystarczy jej Annie, albo jeśli kiedyś zaadoptowałiby dziecko... Z uśmiechem przetoczył się po piasku do Beth i pocałował ją.



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Drugą rocznicę ślubu Andy i Diana świętowali w domu. Nie mieli bowiem nikogo zaufanego, komu mogliby śmiało powierzyć dziecko, zresztą Diana nawet nie chciała nigdzie wychodzić.

- Jesteś tego pewna? - zapytał Andy, gdyż miał wyrzuty sumienia, że nie zabiera nigdzie żony. Musiał jednak przyznać, że z przyjemnością zostawał w domu z nią i słodkim maleństwem.

Diana była na urlopie macierzyńskim i z radością opiekowała się Hilary. Musiała jednak postanowić, co zrobi, kiedy urlop się skończy. Nie miała nic przeciwko siedzeniu w domu, ale na dłuższą metę wołała jednak wrócić do pracy, choćby na pół etatu. Myślała już nawet o zmianie posady na taką o nienormowanym czasie pracy. Miała trzy miesiące na podjęcie decyzji.

Andy był teraz bardzo zapracowany, bo pojawiło się sporo nowych seriali i musiał pilnować podpisywania umów z nowymi gwiazdami.

Bili Bennington wziął długi urlop, bo Denise urodziła dziecko przed czasem, pod koniec maja. Poród był powikłany, ale w końcu dziecko znalazło się w domu i oboje delektowali się rodzicielstwem.

Diana mogła już służyć Denise radą, bo uważała się za doświadczoną matkę. Sama wiele skorzystała z rad Gayle i Samanty, zasięgała też konsultacji doskonałego pediatry. Jednak w większości przypadków kierowała się instynktem, bo, jak od początku twierdził jej ojciec, wychowanie dzieci opiera się głównie na zdrowym rozsądku. Rozpłakał się, kiedy pierwszy raz zobaczył maleństwo i dziękował Bogu, że jego córka znalazła wreszcie ukojenie. Ocierając łzy, wylewnie uściskał Dianę i uśmiechnął się do maleństwa.

- Odwaliłaś kawał dobrej roboty! - Ta pochwała zaniepokoiła Dianę. Czyżby do jej ojca nie dotarło, że nie urodziła tego dziecka? A może o tym zapomniał?

- Tato, ja jej sama nie urodziłam! - przypomniała mu delikatnie.

- Przecież wiem, głuptasku! - Ojciec się roześmiał. - Ale ją masz, przywiozłaś ją do nas. To prawdziwe błogosławieństwo Boże, nie tylko dla ciebie i Andyego, ale dla nas wszystkich.

Długo stał nad koszyczkiem i przyglądał się malej, a potem pochylił się, aby ją pocałować. Już zbierał się do odejścia, a jeszcze zapewniał córkę i zięcia, że ich dziecko jest najśłodszym dzidziusiem, jakiego kiedykolwiek widział. Ton jego głosu świadczył, że mówił

poważnie.

Na początku czerwca wyprawili chrzciny małej Hilary w domu rodziców Diany w Pasadenie. W tych dniach wszystko i wszyscy kręcili się wokół dziecka, aż Andy zauważył, że Diana wygląda na zmęczoną. Przypuszczał, że głównym powodem był niedostatek snu, gdyż w pierwszym miesiącu życia Hilary często miewała kolki, więc Diana musiała wstawać do niej trzy lub cztery razy w ciągu nocy. Teraz mała czuła się już dobrze, czego nie można było powiedzieć o Dianie. W dzień rocznicy ślubu nie za dała sobie nawet tyle trudu, żeby się umalować. Andy zaczynał już żałować, że zrezygnował z wynajmowania domku na plaży. Odkąd mieli dziecko, byłoby im trudno go utrzymać, ale mile wspominali spędzone tam radosne chwile.

- Dobrze się czujesz? - spytał z niepokojem, chociaż Diana wyglądała na szczęśliwą.

- Tak, jestem tylko zmęczona. Ostatniej nocy Hilary budziła się co dwie godziny.

- Może powinniśmy przyjąć jakąś miłą dziewczynę do pomocy?

- Nawet o tym nie wspominaj! - Diana spojrzała na niego spode łba. Nie chciała dopuścić nikogo do opieki nad dzieckiem. Zbyt długo na nie czekała i za wiele ją kosztowało wyrzeczeń, aby pozwoliła obcej kobiecie dotknąć ukochanej kruszynki. Jedynym człowiekiem, któremu na to pozwalała, był mąż. - Wobec tego ja dziś przejmuję dyżur, żebyś mogła się wyspać, bo widzę, że potrzebujesz tego.

Gdy ona układała małą do snu, on przygotował kolację, a potem długo jeszcze rozmawiali na temat zmian, jakie zaszły w ich życiu. Mieli wrażenie, że Hilary jest z nimi od zawsze.

Tego wieczoru położyli się spać wcześniej. Andy miał ochotę na seks, ale Diana spała już, zanim wyszedł z łazienki. Przez chwilę przyglądał się jej z uśmiechem, potem postawił koszyk z dzieckiem po swojej stronie łóżka, żeby słyszeć, kiedy się obudzi i zacznie domagać się butelki.

Nazajutrz rano Diana wyglądała jednak jeszcze gorzej, mimo iż dobrze przespała całą noc. Kiedy Andy nalewał jej kawy, zauważył, że na twarzy zrobiła się całkiem zielona.

- Chyba złapałam grypę - poskarżyła się i zaraz zaczęła się zamartwiać, że zarazi dziecko. - Może powinnam nakładać maskę?

- Ona jest bardziej odporna, niż myślisz! Zresztą, jeśli złapałaś grypę, to i tak już ją zaraziłaś.

Była sobota, więc Andy zajął się Hilary. Diana całe popołudnie przespała, ale obudziła się z ciężką głową i choć ugotowała kolację dla Andyego, sama prawie nic nie jadła. Twierdziła, że nie jest głodna.

Do poniedziałku sytuacja nie uległa zmianie. Diana nie miała wprawdzie gorączki, lecz wyglądała mizernie. Andy przed wyjściem do pracy zachęcił ją, aby poszła do lekarza.

- Nawet na to nie licz. Nachodziłam się tyle po lekarzach, że wystarczy mi do końca życia!

- Ależ ja nie mam na myśli ginekologa, tylko zwykłego lekarza! - powiedział, ale nie dała się przekonać. Mijały dni, podczas których raz wyglądała lepiej, raz gorzej, co nie zawsze miało związek z długością snu. Cóż z tego, że Andy martwił się o nią, kiedy puszczała jego słowa mimo uszu?

- Nie bądź idiotką! - warknął w końcu przed piknikiem rodzinnym z okazji Czwartego Lipca, który miał się odbyć w Pasadenie. - Rozumiesz chyba, że i ja, i Hilary potrzebujemy ciebie. Już od miesiąca kiepsko się czujesz, więc najwyższy czas, żebyś coś z tym zrobiła. Od tego niedosypiania i niedojadania wpadniesz w anemię.

- Ciekawe, jak sobie z tym radzą inne matki? - zastanawiała się, bo złe samopoczucie, czego na dłuższą metę nie mogła ukryć, coraz bardziej ją przygnębiało. - Chyba jednak dobrze, bo nie widziałam, żeby Samanta kiedykolwiek powłóczyła nogami.

Podczas pikniku Andy zwierzył się ze swych niepokojów szwagrowi Diany, Jackowi. Poprosił go, aby namówił Dianę na wizytę u lekarza. Jack wykorzystał więc moment, kiedy po lunchu odeszła na bok, aby nakarmić dziecko.

- Andy martwi się o ciebie - rzucił mimochodem.

- Nie ma powodów. Nic mi nie dolega. - Próbowała go spławić, ale uprzedzony przez Andyego nie pozwolił na to.

- No, w każdym razie nie wyglądasz na piękną i szczęśliwą młodą matkę wspaniałego dzidziusia! - Pamiętał, w jakim uprzednio żyła stresie i jak się ucieszył, kiedy Gayle powiedziała mu o adoptowanym dziecku. - Co ci szkodzi zbadać sobie krew?

Próbował wytrwale, bo Andy go o to prosił, przewidując, że Diana może się zaciąć w uporze. I chyba tak właśnie było.

- Co mi właściwie chcesz wmówić? Że jestem zmęczona? O tym wiem i bez ciebie. A badań przesłałam już tyle, że mam ich po uszy.

- Dobrze wiesz, że nie chodzi mi o takie badania, tylko zwyczajne, kontrolne. To nic wielkiego.

- Może dla ciebie, ale nie dla mnie.

- No więc może wpadłabyś do mnie? Zrobię ci analizę krwi, żeby sprawdzić, czy nie wdała się jakaś mikroinfekcja albo czy nie masz anemii. Przepiszę ci też witaminy.

- No, może... - zgodziła się w końcu, ale na wszelki wypadek na odchodnym Jack

przypomniał jej jeszcze raz:

- A więc jutro widzimy się w moim gabinecie! Uważała, że to bezsens, ale następnego ranka, kiedy Andy wyszedł do pracy, w łazience zrobiło się jej słabo i przez godzinę wymiotowała, podczas gdy Hilary w sypialni darła się wniebogłosy. Wstrząsana mdłościami, nie mogąc się podnieść, szeptała tylko bezradnie: „Dobrze, kochanie, już idę...” Toteż godzinę później, razem z dzieckiem, znalazła się w gabinecie swego szwagra.

Rada nierada, musiała mu opowiedzieć, co przydarzyło się jej rano, a zdarzało się także wcześniej. Podejrzała, że po tylu przejściach mogła się nabawić wrzodu żołądka. Jack uważnie się jej przyglądał, a kiedy skończyła - zadał kilka pytań. Interesowało go, jaki kolor miała zwymiotowana treść, czy przypominała fusy od kawy i czy kiedykolwiek zdarzyło się jej wymiotować krwią. Na wszystkie pytania Diana odpowiedziała przecząco.

- O co ci właściwie chodzi? - zapytała niespokojnie.

- Chcę po prostu zweryfikować twoją hipotezę dotyczącą wrzodu i upewnić się, czy nie zwracałaś nigdy świeżej ani zastarzałej krwi - wyjaśnił. Był wprawdzie ginekologiem, ale musiał posiadać także wiedzę z zakresu medycyny ogólnej. - Gdybym podejrzewał wrzód, zleciłbym oczywiście wykonanie gastroskopii, ale myślę, że na razie nie musimy zawracać sobie tym głowy.

Pobrał jej krew, wykonał kilka notatek, osłuchał ją i przystąpił do omacywania brzucha oraz podbrzusza. W którymś momencie spojrzął na nią znad okularów.

- A to co? - spytał, wyczuwając pod palcami małą wypukłość w dole brzucha. - Miałaś to już wcześniej?

- Nie wiem. - Z przestraszeniem sięgnęła ręką w dół, aby samej tego dotknąć. Pamiętała, że od jakiegoś czasu coś tam czuła, ale nie mogła sobie przypomnieć, od jak dawna. Zanim była zmęczona, aby o tym myśleć. - W każdym razie od niedawna. Może odkąd mamy dziecko...

Jack zmarszczył czoło, jeszcze raz omacał podejrzaną wypukłość i zaczął jakoś dziwnie przypatrywać się Dianie.

- Kiedy ostatni raz miałaś okres? - zapytał z innej beczki. Tego też nie mogła sobie dokładnie przypomnieć, ale nie sądziła, aby to miało jakieś znaczenie.

- Chyba jeszcze przed urodzeniem Hilary... To znaczy, może ze dwa miesiące temu. Czy coś podejrzewasz? Może mam tam ja kiś guz?

Tego tylko brakowało! Po tym wszystkim, co przeszła, mogło się teraz okazać, że miała raka! Ciekawe, jak zakomunikowałyby to Andyemu? „Kochanie, przykro mi, ale będę musiała umrzeć i zostawić cię samego z dzieckiem”? Na samą myśl o tym łzy nabiegły jej do

oczu, ale Jack uspokajająco poklepał ją po ręku.

- Może to, a może co innego. Jak oceniasz swoje szansę na zajście w ciążę?

- Och, daj spokój! - burknęła. - Lekarz powiedział, że najwyżej jedną na dziesięć tysięcy, czy może nawet na dziesięć milionów? Nie pamiętam dokładnie.

- Ale zupełnie tego nie wykluczył, prawda? Gdybyś nie była moją szwagierką, natychmiast bym cię zbadał. Co ty na to, że bym poprosił tu moją koleżankę ginekologa, która cię zbada? Dla pewności sprawdzimy także moc. Przynajmniej po to, aby wykluczyć prawdopodobieństwo ciąży. Nie chcę stwarzać ci złudnych nadziei, ale to tłumaczyłoby wszystkie twoje objawy.

- Tak samo jak rak. - Spojrzała na niego spode łba.

- Cóż za trafne porównanie! - Poklepał ją po nodze i mimo jej gniewnych pomruków wyszedł na chwilę z gabinetu.

Diana była wściekła na niego, że znów ożywił upiory przeszłości. Dostyc już wycierpiała, nie chciała wracać do tego tematu. Ciąża, myślałby kto!

Jack wrócił w towarzystwie ładnej, młodej kobiety. Przedstawił ją Dianie, która z trudem zdobyła się na uprzejmość.

- Chcielibyśmy wykluczyć ciążę - wyjaśnił swojej współpracownicy. - U mojej szwagierki stwierdzono nieplodność lub przynajmniej nikłą możliwość zajścia w ciążę, ale zauważyłem u niej pewne niepokojące objawy.

- A czy przeprowadziłeś już test ciążowy?

Jack przecząco pokręcił głową. Poleciał Dianie, by się położyła i wskazał koleżance na jej podbrzusze. Kiedy ucisnął to miejsce, Diana poczuła coś w rodzaju skurczu.

- Boli? - zapytał.

- Aha - mruknęła, patrząc w ścianę. Uważała, że nie mieli prawa tak z nią postępować.

- Zbadaj ją, Louise, dobrze? - poprosił Jack.

- Ależ oczywiście - zgodziła się, toteż podziękował jej i wyszedł z gabinetu. Louise pomogła Dianie usadowić się w fotelu ginekologicznym. Przypomniało jej to poprzednie badania, więc zaczęła drzeć na całym ciele. Louise udała, że tego nie zauważa, spokojnie nałożyła rękawice i przystąpiła do badania.

- Z kim konsultowała się pani z powodu nieplodności?

- Z doktorem Alexandrem Johnstonem.

- To rzeczywiście świetny specjalista. I co stwierdził?

- Że jestem nieplodna.

- A nie powiedział dlaczego? - Uważał, że spirala, której używałam podczas studiów,

spowodowała stan zapalny. Nie miałam żadnych dolegliwości, ale stwierdził u mnie niedrożne jajowody i zrosty w jajnikach.

Louise kontynuowała badanie. Diana miała już tego dość.

- Spodziewam się, że w związku z tym wykluczył możliwość zapłodnienia in vitro? - zapytała lekarka. Diana przytaknęła.

- I pewnie zaproponował usługi dawczyni jajeczek? Diana aż się wzdrygnęła na to wspomnienie.

- Tak, ale to nas nie interesowało - wyjaśniła. - Adoptowaliśmy już małą dziewczynkę.

Louise z uśmiechem spojrzała we wskazanym kierunku.

- Rzeczywiście, śliczna. - Na tym badanie się skończyło, ale zanim Diana zdążyła spytać o cokolwiek - do gabinetu wrócił Jack i spojrzał pytająco na koleżankę.

- No i jak?

Louise spojrzała na nich niepewnie.

- Nie chciałabym podważać autorytetu moich kolegów... - zaczęła ostrożnie. Wystraszona Diana oczekiwała najgorszego. - Wydaje mi się jednak, że doktor Johnston się pomylił. Wygląda mi to na dziesięcioletnią ciążę, a może nawet nieco starszą. Gdybym nie wiedziała, że pacjentka miała z tym problemy, diagnoza byłaby jednoznaczna. Kiedy miała ostatnią miesiączkę?

- Mówi, że dokładnie nie pamięta, ale chyba koniec marca albo początek kwietnia.

- No więc jest w ciąży od jakichś trzech miesięcy.

- Co takiego? - wykrzyknęła zdumiona Diana. - Czy państwo robicie ze mnie żarty? Jack, przynajmniej ty nie rób mi czegoś takiego!

- Diano, daję ci słowo honoru, że mówię serio. Louise przeprosiła i zostawiła ich samych, a Jack polecił Dianie, aby poszła do ubikacji i nasiusiła do zlewki. Na uzyskanej próbce moczu wykonał test ciążowy, który dał wynik pozytywny. Potwierdziło to ich diagnozę. Diana bezsprzecznie była w ciąży.

- Ależ to niemożliwe... - powtarzała, gdyż ciągle nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. Gabinet szwagra opuszczała z za mętlem w głowie; prosiła tylko Jacka, aby nikomu nie wyjawiał tej radosnej nowiny, dopóki ona nie uczyni tego pierwsza.

Wprost od niego pojechała do agencji, gdzie pracował Andy. Akurat uczestniczył w konferencji, gdy Diana wtargnęła do sekretariatu w dżinsach i z dzieckiem w nosidełku.

- Muszę się z nim widzieć, natychmiast! - oznajmiła sekretarce, która z jej wyrazu twarzy wywnioskowała, że Diana mówi poważnie. Wśliznęła się więc za zamknięte drzwi sali konferencyjnej i wywołała Andyego. Przybiegł zaniepokojony.

- Co się stało? Nie daj Boże, coś z dzieckiem? - Z niepokojem spoglądał na Dianę i zauważył, że jest wprawdzie blada, ale opanowana.

- Skąd, z nią wszystko w porządku, ale muszę z tobą zaraz po rozmawiać. I to w cztery oczy.

- No więc chodź do mojego pokoju.

Odebrał od niej dziecko i weszli do gabinetu, którego wystrój stanowiło drewno i szkło, z fantastycznym widokiem z okna. Dopiero tam, z troską w oczach, przyjrzał się jej dokładniej

- A teraz powiedz, co się właściwie stało? Był przeświadczony, że musiało się stać coś strasznego. Diana najpierw nie wiedziała, od czego zacząć, a wreszcie wypala;

- Jestem w ciąży!

- Mówisz serio? - Patrzył na nią z niedowierzaniem, a potem uśmiechnął się niepewnie: - Eee, pewnie żartujesz!

Z jego ust nie znikł uśmiech nawet wtedy, kiedy Diana przecząco pokręciła głową i dodała:

- To już trzeci miesiąc, masz pojęcie?

- Kochanie, tak się cieszę... - bąkał zmieszany. - Zaraz zaraz... Trzeci miesiąc, to znaczy, że to musiało się stać wtedy kiedy przywieźliśmy Hillie z San Francisco! O rany, ale heca

Nie był jednak aż tak zdziwiony, jak przypuszczała, bo słyszał już o kobietach, które zachodziły w ciążę dopiero wtedy, gdy po wielu nieudanych próbach decydowały się na adopcję,

- Jak to, wtedy byłam przecież tak zmęczona, że nie miałam ochoty na te rzeczy! - przypomniała sobie Diana.

- Ciekawe, bo myślałem, że to ja - zażartował. - Chyba że to się stało przez zapylenie?

- Nie przypuszczam.

- Coś podobnego, wprost nie mogę uwierzyć! Kiedy masz termin? - Nie jestem pewna. Jack coś mówił, ale byłam tak oszołomiona, że nie słuchałam. Chyba około dziesiątego stycznia.

- Niech ja skonam! Musimy koniecznie powiadomić o tym Johnstona.

- A niech gęś kopnie Johnstona! - odburknęła i zniecierpliwiona rzuciła się Andyemu na szyję. Z radości podniósł ją i przetańczył z nią dookoła pokoju.

- Super! Hurra! - wykrzykiwał. - Będziemy mieć dzidziusia! Nagle spowaźniał i przypomniał sobie, o co powinien był przede wszystkim zapytać.

- A jak się teraz czujesz? Bo chyba już wiemy, skąd się brały tamte dolegliwości, prawda?

- Jack zapewnił, że najgorsze mam za sobą - uspokoiła go. - Twierdzi, że za tydzień lub dwa powinnam się czuć zupełnie dobrze.

- W takim razie musimy to uczcić i wyskoczyć gdzieś wieczorem. Może do „L0rangerie”? Smarkatą najwyżej zostawimy w szatni.

Pocałował ją jeszcze raz i wrócił na konferencję. Natomiast Diana została jeszcze trochę, kontemplując widok z okna jego gabinetu, aby trochę dojść do siebie.

Pilar starała się nie przejmować ciążą, zwłaszcza odkąd pomyślnie przeszła badania prenatalne w czerwcu. Bała się ich śmiertelnie, ale wszystko poszło gładko. Polegało to na pobraniu płynu owodniowego za pomocą dwóch długich igieł, z każdego pęcherza płodowego oddzielnie. Dzięki tym badaniom dowiedziała się, że bliźnięta są zdrowe oraz że są chłopcem i dziewczynką.

Doszła więc do wniosku, że to dobry moment, aby poinformować o ciąży matkę. Zadzwoiła do niej w sobotę po południu, licząc w skrytości ducha, że podczas weekendu nie zostanie jej w domu. Tymczasem pani doktor pełniła w domu dyżur pod telefonem, bo miała na swoim oddziale dwoje ciężko chorych dzieci, więc podniosła słuchawkę zaraz po pierwszym dzwonku.

- Ach, to ty! - Na telefon od córki zareagowała wyraźnym zaskoczeniem. - Myślałam, że dzwonią ze szpitala. Co tam u ciebie?

Pilar od razu przypomniała sobie własne dzieciństwo, kiedy matka zawsze miała na głowie setki niezmiernie ważnych spraw, w których tylko jej przeszkadzała. Teraz jednak to ona miała jej do powiedzenia coś ważnego i była ciekawa, jak matka zareaguje.

- Wszystko w porządku, mamó. A ty jak się miewasz?

- Jak zawsze, mam mnóstwo pracy. Co porabia Brad?

- Dziękuję, ma się całkiem dobrze, ale posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć.

- Co, źle się czujesz? - Pilar była mile zaskoczona, bo w głosie matki wyczuła coś w rodzaju troski.

- Skąd, czuję się świetnie, ale wiesz co? Jestem w ciąży! Okrasiła tę wiadomość uśmiechem, bo raptem pomyślała, że matka ucieszy się z tego tak samo jak ona. Tymczasem w słuchawce zapadła cisza, którą przerwał lodowaty głos Elizabeth Graham.

- Czyś ty zwariowała? Przecież uprzedzałam cię zaraz po ślubie, że i ty, i Brad jesteście za starzy, by nawet myśleć o dzieciach!

- Nasi lekarze są innego zdania. Skonsultowaliśmy się z nimi, zanim zdecydowałam



się na ciążę.

- Więc to było planowane?

- Tak.

- Czyste szaleństwo! - Pani doktor miała już sześćdziesiąt dziewięć lat, więc reprezentowała raczej konserwatywne poglądy.

Pilar poczuła się tak, jakby została spoliczkowana, chociaż rozmowy z matką nigdy nie wyglądały inaczej. Zawsze jednak, kompletnie irracjonalnie, spodziewała się czegoś innego.

- Powiem ci więcej. - Szokowanie własnej matki zaczęło ją w końcu bawić. - Będę miała bliźniaki!

- Chryste Panie! Pewnie brałaś środki hormonalne?

- Owszem, brałam. - Teraz Pilar wyraźnie prowokowała matkę. W tym momencie wszedł Brad, zauważył jej złośliwy uśmiech i pogroził jej palcem. Pilar bowiem, jak niegrzeczne dziecko, znalazła osobliwą uciechę w denerwowaniu matki.

- Ciekawam, co za idiota ci je przepisał?

- Mamo, jesteśmy pod opieką jednej z najlepszych specjalistek w tej dziedzinie. - Jak ona się nazywa? Nie znam się wprawdzie na ginekologii, ale mogę zasięgnąć informacji.

- Nie musisz, bo ma świetne referencje. To doktor Helen Ward z Los Angeles. Wszyscy wyrażają się o niej w samych superlatywach.

- Chyba jednak nie jest zbyt mądra, jeśli zachęca czterdziestoczteroletnie kobiety do zachodzenia w ciążę. Ja robię wszystko, aby je zniechęcić, bo owoce tych błędów później trafiają do mnie i wierz mi, że z tego wynikają same dramaty.

- No, chyba nie wszyscy twoi pacjenci mają matki po czterdziestce? Chyba przynajmniej niektórzy muszą być dziećmi młodych matek?

- Oczywiście, ale pamiętaj, Pilar, że za poprawianie natury przeważnie płaci się wysoką cenę.

- Na razie, chwalić Boga, wszystko rozwija się dobrze. Badania wykazały, że bliźnięta są zdrowe i bez wad genetycznych.

- A czy cię przynajmniej uprzedzili, że takie badania wiążą się z ryzykiem infekcji albo poronienia?

Zamiast pogratulować córce, snuła wciąż nowe apokaliptyczne wizje. Pilar jednak nie spodziewała się już po niej niczego innego. Zrobiła, co do niej należało - przekazała matce wiadomość, a reszta jej nie obchodziła.

- Oczywiście, że nas uprzedzono, ale teraz niebezpieczeństwo minęło, wszystko

wypadło pozytywnie.

- Miło mi to słyszeć. - Elizabeth Graham zrobiła długą pauzę, a potem dodała: - Doprawdy, nie wiem, co ci mam powiedzieć, Pilar. Wolałabym, żebyś tego nie robiła, bo to nierozsądne i ryzykowne, ale widać ktoś ci źle doradził. Pomyśl, jakbyś się czuła, gdybyś straciła te maleństwa. Po co narażać się na taki stres?

Pilar pomyślała o swoim poprzednim poronieniu. Wprawdzie myśli jej zaprzętała teraz aktualna ciąża, ale i tamta strata pozostawiła bliznę w sercu.

- Proszę cię, mamó, nie mów tak! - wyszeptała słabym głosem. - Wszystko będzie dobrze.

- Obyś miała rację! - Nie darowała sobie jednak i dodała: - W każdym razie Bradowi chyba na stare lata całkiem odbiło. Ten przytyk Pilar mogła skwitować już tylko wybuchem śmiechu. Po odłożeniu słuchawki powtórzyła Bradowi „diagnozę” matki. Na szczęście rozśmieszyło go to tak samo jak ją.

- A miałem nadzieję, że tego nie zauważy!

- No, mój panie, chyba nie doceniasz mojej matki! Przed panią doktor Graham nic się nie ukryje!

- Wyobrażam sobie, jak ją zatkało, kiedy się dowiedziała, że zostanie babcią. Słyszałem, jak ją podpuszczałaś, ale postaw się w jej położeniu. Żyła sobie spokojnie jako niezależna, wyzwolona kobieta, a ty nagle zafundowałaś jej od razu dwoje wnucząt. Masz pojęcie, jak ciężko jej przetrwać taki pasztet?

- Już ty jej nie broń, bo to kobieta bez serca.

- No, może nie jest aż tak źle! Na pewno jest świetną lekarką i przypuszczalnie wartościowym człowiekiem, tylko nie odpowiada ani twoim, ani moim wyobrażeniom o dobrej matce. To po prostu nie jej działka.

- Mówisz zupełnie jak mój psychiatra! - prychnęła Pilar, ale po chwili pocałowała Brada. Odwaliła pańszczyznę, a teraz mogła poświęcić się tylko mężowi i dzieciom.

Pierwsze urodziny Adama wypadały w lipcu. Pilar była w piątym miesiącu ciąży, ale choć wyglądała na ósmy - wszystko przebiegało pozytywnie. Lekarze nakazali jej jednak dużo odpoczywać, by uniknąć ryzyka przedwczesnego porodu.

- Jak się czujesz? - spytała Marina, kiedy ją któregoś dnia odwiedziła. Pilar spróbowała usiąść w łóżku, co przypominało za pasy z nosorożcem.

- Jakbym miała w środku trzecią wojnę światową! - odpowiedziała ze śmiechem. - Te maluchy prawie bez przerwy się tłuką i kopią, że prawie brzuch mi pęka.

Rzeczywiście, brzuch miała już tak wielki, że nawet przejście przez drzwi stawało się

ryzykiem.

- Ty chyba nigdy niczego nie robisz połowicznie, tylko od razu idziesz na całość! - skomentował kiedyś Brad, gdy zobaczył ją w wannie. W jej karykaturalnie rozdętym brzuchu widać było kłębiące się rączki, łokcie, kolanka i nóżki. Pilar początkowo była tym zachwycona, ale w środzku lata stawało się to coraz bardziej nieprzyjemne. Pod koniec września czuła się coraz gorzej. Nękała ją zgaga, a brzuch wyglądał, jakby miał lada chwila pęknąć, cierpiała na bóle krzyża. Skóra była napięta i spękana, kostki u nóg opuchnięte, a ilekroć próbowała przejść się dalej niż na taras - chwytały ją skurcze. Bała się więc oddalać od domu, a z biegiem czasu - nawet od sypialni, aby nie podrażnić macicy i nie sprowokować przedwczesnego porodu. Współpracownicy z zespołu przysyłali jej akta do domu, ale jaką użyteczną pracę mogła wykonywać, leżąc w łóżku?

Do terminu porodu brakowało jeszcze sześciu tygodni. Te sześć tygodni wlokło się niemiłosiernie, ale nawet gdy narzekała - wiedziała, że warto pocierpieć.

- Nie będę więcej oglądać z tobą świńskich filmów! - burczała którejś nocy, kiedy nawet w łóżku nie mogła już znaleźć wygodnej pozycji.

- Tak się zwykle kończy zabawa z dużymi chłopcami! - Brad śmiał się, masując jej obrzękłe kostki.

- Nie masz się czym chwalić.

- Wcale się nie chwale. - Próbował pomasować także jej brzuch, ale poczuł pod ręką solidnego kopniaka i po chwili w brzuchu znowu się zakłębiło. - Kurczę, czy ci gówniarze nigdy nie mają dość?

- Chyba nie. Wydaje mi się, że zasypiają tylko wtedy, gdy chodzę, a wiesz, że teraz coraz mniej się ruszam.

Brad śmiał się, obserwując ruchy bliźniaków, ale czasem było mu po prostu żal Pilar. Widział, jakie cierpi niewygody, a tak niewiele mógł jej pomóc. Niepokoił się także o pomyślny przebieg porodu, choć nie dzielił się swymi obawami z Pilar. Rozmawiał natomiast poważnie z doktorem Parkerem, który na razie nie widział potrzeby cesarskiego cięcia, ale był zdecydowany je wykonać, gdyby stwierdził jakąkolwiek nieprawidłowość.

W październiku Pilar zamówiła wizyty domowe instruktorki ze szkoły rodzenia, a Brad coraz częściej się dziwił, jak ona to wytrzymuje. Była w trzydziestym czwartym tygodniu ciąży, a doktor Parker miał nadzieję, że do porodu nie dojdzie przed trzydziestym szóstym.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Październik okazał się wyjątkowo ciężkim miesiącem dla Andyego i Diany. Była już w szóstym miesiącu ciąży, a Jane i Edward jeszcze nie podpisali ostatecznego aktu zrzeczenia się dziecka. Eric jednak zapewniał, że rozmawiał z nimi i że z ich strony nie wystąpią żadne trudności.

Tymczasem we wtorek rano Eric zadzwonił, ale chciał mówić tylko z Andym. Ten zaś nie przerywał mu, tylko przez cały czas słuchał i ani razu nie odwrócił się w stronę Diany. Poznała po tym, że musiało się stać coś niedobrego. Nawet mała Hilary, gdy przytuliła ją mocniej do siebie, wyczuła napięcie matki i zaczęła płakać. A kiedy Andy odwiesił słuchawkę - jeszcze zanim otworzył usta, Diana już wiedziała, że nie ma do przekazania dobrej wiadomości.

- Nie podpisali zrzeczenia, tak? - odgadła.

Andy ze łzami w oczach potrząsnął przecząco głową.

- Nie, prosili jeszcze o kilka dni do namysłu. Chcieliby też przyjechać, żeby zobaczyć małą.

Powtarzał te wieści z najwyższą niechęcią, ale przecież musiała o tym wiedzieć. Problem tkwił w tym, że Jane nie mogła się na nic zdecydować. Sama nie wiedziała, czy chce kontynuować naukę, nadal nie była pewna, czy postąpiła słusznie, oddając dziecko do adopcji. Wątpliwości te wydawały się uzasadnione, ale nie dla Diany i Andyego.

- Edward jest absolutnie zdecydowany. To tylko Jane prosiła o czas do namysłu i chciała jeszcze raz zobaczyć dziecko. Powiedziała to Erikowi. - Ależ ona nie ma prawa! - Diana zerwała się na równe nogi. - Przecież oddali nam Hilary, więc nie mogą jej teraz odebrać!

Ledwo wypowiedziała te słowa, a łzy puściły się jej ciurkiem z oczu.

- Niestety, kochanie - tłumaczył jej łagodnie Andy. - Dopóki nie podpisali papierów, mogą zrobić, co zechcą.

- Nie możesz im na to pozwolić! - szlochała Diana, tuląc Hilary w objęciach.

Andy delikatnie odebrał jej małą i wziął ją na rękę.

- Tylko spokojnie, najdroższa! - Zdążył już mocno pokochać Hilary, ale obawiał się teraz, by przez nią Diana nie straciła ich wspólnego dziecka. - Musimy uzbroić się w cierpliwość i czekać na dalszy rozwój wypadków.

- Jak możesz tak mówić? - krzyknęła na niego. Pokochała Hilary jak własne dziecko i

wiedziała, że nawet tego, które ma się urodzić, nie będzie kochać bardziej. Ta dziewczynka była jej pierwszą miłością i za nic w świecie nie chciała jej oddać. - Nie chcę, żeby ona tu przyjeżdżała!

Tymczasem Eric zadzwonił znów, aby uprzedzić, że Jane i Edward są już w drodze do nich. Z rozmowy telefonicznej z Jane wnioskował, że była rozstrojona, więc uważał, iż najlepiej będzie, jeśli Andy i Diana zachowają spokój i pozwolą jej zobaczyć dziecko.

- Ja to rozumiem - zapewnił Andy starego kumpla - ale nie wiem, czy dam radę przekonać Dianę. Wpada w histerię, gdy tylko o tym wspomnę.

Poinformował także Erika o ciąży Diany, co stworzyło dodatkowy problem. Kiedy bowiem Jane dowiedziała się o tym, wpadła w popłoch, że mając własne dziecko, Diana i Andy mogą w przyszłości wyróżniać je na niekorzyść Hilary.

- Czemu to życie tak się czasem komplikuje? - westchnął Andy.

- Inaczej byłoby nudne! - Ale dla Diany było to bardzo ciężkie przeżycie.

Stało na tym, że Edward i Jane zatrzymali się na dwa dni w pobliskim motelu i coraz to wpadali w odwiedziny. Jane upierała się, aby brać dziecko na ręce, co doprowadzało Dianę do szału. Obawiała się bowiem, że Jane skorzysta z okazji, porwie małą i ucieknie z nią. Oczywiście do niczego takiego nie doszło, bo Jane przez większość czasu tylko siedziała i płakała, a Edward prawie się nie odzywał. Stosunki między młodymi wydawały się obecnie bardziej napięte, Jane zachowywała się bardziej nerwowo. Następnego dnia Diana dowiedziała się dlaczego, bo Jane przyznała się jej, że właśnie usunęła ciążę. Zrobiła to, gdyż nie chciała przeżywać kolejnego porodu, lecz zmieniło to jej pogląd na zrzeczenie się dziecka. Zaczęła mieć wątpliwości, czy postąpiła słusznie, decydując się na oddanie małej do adopcji. Żywiła bowiem głębokie przekonanie, że zaszła ponownie w ciążę z poczucia winy, a to oznaczało, że w rzeczywistości chciała mieć dziecko.

- A więc teraz chcesz mieć moje? - wybuchnęła Diana. - Ona jest już nasza. To my wstawaliśmy do niej po cztery razy każdej nocy, siedzieliśmy przy niej, kiedy chorowała, nosimy ją na rękach, przytulamy i kochamy!

- Ale ja nosiłam ją przez dziewięć miesięcy pod sercem! - oburzyła się Jane.

Obaj mężczyźni spoglądali na nią bezradnie.

- Wiem o tym. - Diana za wszelką cenę próbowała się opanować. - Zawsze będę ci wdzięczna za to, co dla nas zrobiłaś, ale teraz nie możesz jej tak po prostu nam zabrać. Jak to sobie wyobrażasz: najpierw mówisz „Macie, weźcie ją i kochajcie”, a potem „Och, przepraszam, zmieniłam zdanie, bo właśnie zrobiłam skrobankę”? Myślisz tylko o sobie, a co z nią? Czy w ciągu tych pięciu miesięcy coś się u ciebie zmieniło? Przedtem nie miałaś

warunków na dziecko, a teraz nagle masz? Niby dlaczego sądzisz raptem, że zaopiekujesz się nią lepiej niż my?

- Może po prostu dlatego, że jestem jej matką? - wyznała nie śmiało Jane. - Nie chcę robić czegoś, czego będę żałować przez całe życie.

Mówiła to szczerze, więc i Diana chciała być wobec niej szczerą, tym bardziej że miała już większe doświadczenie życiowe.

- Tak czy inaczej będziesz żałować - rzekła trzeźwo. - Wszyscy nieraz rozmyślamy, co by było, gdyby było i tak dalej. Wiem, że rozstanie się z dzieckiem jest dramatem dla każdej kobiety, ale pięć miesięcy temu byłaś pewna, że tego chcesz.

- Oboje chcieliśmy - wtrącił Edward. - Ja zresztą chcę nadal, tylko Jane jeszcze się namyśla. Osobiście był zdania, że skoro raz się zdecydowała, nie powinna teraz zmieniać zdania. Tłumaczył jej to niejednokrotnie, ale dopiero teraz przeraziła się tego, co zrobiła. Jeszcze wychodząc, powtarzała:

- No, nie wiem. Po prostu nie wiem...

Diana chciała już krzyknąć, biec za nią i prosić ją, aby nie znęcała się nad nimi w ten sposób. Przez całą resztę dnia miała potem skurcze, co bardzo niepokoiło Andyego.

W nocy Edward jeszcze bardziej ich przestraszył, bo zadzwonił i spytał, czy on i Jane mogliby jeszcze raz przyjść. Jane miała jakoby coś ważnego do powiedzenia.

- O tej porze? - zdumiał się Andy, a Diana śmiertelnie pobałdła.

- Chce odebrać nam dziecko, prawda? To ci powiedział? - do pytywała się nerwowo.

- Uspokój się, Dianko. Nic takiego nie powiedział. Przekazał nam tylko, że Jane ma nam coś ważnego do powiedzenia.

- Boże, dlaczego ona tak nas dręczy?

- Ponieważ ona też musi podjąć życiową decyzję - odpowiedział, ale oboje zdawali sobie sprawę, że dzieje się straszna nie sprawiedliwość. Nie chcieli nawet myśleć o oddaniu Hilary. Życie jednak było pełne niesprawiedliwości, więc modlili się, aby Jane pozostała przy swojej pierwszej decyzji.

Oczekiwanie dłużyło się w nieskończoność, ale o wpół do pierwszej w nocy zadzwonił wreszcie dzwonek u drzwi. Jane, blada i przygnębiona, wyglądała jakby dopiero przestała płakać. Edward z kolei sprawiał wrażenie zdenerwowanego. W ciągu ostatnich dwóch dni zaczynał już tracić cierpliwość i chciał jak najszybciej wracać do San Francisco.

Diana zaprosiła ich do środka, ale Jane przecząco potrząsała głową i nie chciała się ruszyć od progu. W końcu zaczęła płakać, powtarzając „Tak mi przykro...”. Kiedy podniosła na nich oczy, Diana przygotowała się na najgorsze. Bezwiednie chwyciła się za brzuch, aby

chronić przynajmniej to dziecko.

- Tak mi przykro... - wykrztusiła znów Jane zdławionym od łez głosem. - Wiem, że dla was było to ciężkie przeżycie, ale musiałam się upewnić. Właściwie zawsze wiedziałam, że nie mogłam... to znaczy, że nie mogę jej zatrzymać.

Diana kurczowo uchwyciła się ramienia Andyego, a on na wszelki wypadek otoczył ją ramieniem w talii.

- Wracamy do San Francisco - oświadczyła Jane, podając kopertę. - Podpisaliśmy te papiery.

Diana się rozpląkała, natomiast Jane wyglądała na bardziej opanowaną niż w ciągu ostatnich dni. Jej wzrok wędrował od Diany do Andyego.

- Czy mogłabym zobaczyć ją jeszcze raz? - poprosiła. - Przrzekam, że nie będę już więcej próbowała nawiązać z nią kontaktu. Ona jest już wasza, tylko jeszcze ten jeden, jedyny raz!

Wzbudzała już tylko współczucie, więc Diana nie mogła jej odmówić. Zaprowadziła Jane na górę, gdzie Hilary smacznie spała w nowym łóżeczku. Andy i Diana postawili je w kącie swojej sypialni, bo woleli nad nią czuwać, choć oczywiście mała miała już urządzony własny pokój, pełny pluszowych zwierzaków i innych zabawek, które przynosili w prezencie odwiedzający.

Jane stanęła nad jej łóżeczkiem z oczami pełnymi łez. Delikatnie musnęła palcami policzek dziewczynki, jakby udzielała jej błogosławieństwa.

- Śpij słodko, moja najdroższa! - wyszeptła. - Zawsze będę cię kochać!

Obie kobiety płakały. Jane stała jeszcze chwilę nad łóżeczkiem, potem pocałowała małą. Diana poczuła dziwny ucisk w gardle, ale Jane zawahała się tylko na chwilę, po czym bez słowa wymknęła się z sypialni. Na pożegnanie uścisnęła rękę Diany i poszła do samochodu, a za nią Edward. Mimo że drzwi za mknęły się już za nimi, Diana wciąż nie mogła przestać płakać. Targały nią mieszane uczucia - z jednej strony czuła się trochę winna i żal jej było Jane, a równocześnie cieszyła się, że Hilary już na zawsze zostanie z nimi. Nie mogła sobie poradzić z tym zalewem sprzecznych emocji, więc tylko przyłgnęła kurczowo do ramienia Andyego.

- Chodźmy spać! - Andy powoli odprowadził ją do sypialni, troskliwie podtrzymując, aby nie osłabła z nadmiaru wrażeń. Dochodziła już druga, a miniony dzień był ciężki dla obojga.

Przekonał ją, aby przez cały następny dzień pozostała w łóżku, sam zajmował się dzieckiem. Eric Jones osobiście przyleciał, aby zabrać papiery. Stwierdził, że są kompletne i

podpisane prawidłowo. Nic już nie stało na przeszkodzie, aby Hilary Diana Douglas pozostała u swych przybranych rodziców.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że już po wszystkim! - westchnęła Diana po odjeździe Erika. Nikt już teraz nie mógł za wrócić, oświadczyć, że zmienił zdanie i odebrać jej dziecka.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Na początku listopada bliźnięta Pilar i Brada wyraźnie szykowały się do przyjścia na świat. Przez ostatni miesiąc Pilar wstawiała już tylko do łazienki i nawet w tych krótkich chwilach od razu łapały ją skurcze. Bezczyenne leżenie w łóżku nudziło ją, a do tego jeszcze się denerwowała, czy któreś z maluchów nie udusi się pępowiną lub nie zrobi sobie jakiejś innej krzywdy.

Z Bradem ćwiczyła oddychanie, wyuczone w szkole rodzenia. Jednak przed samym Halloween ruchy prawie ustały, bo bliźniętom było już ciasno. Pilar wyglądała, jakby połknęła słońca, a kiedy przypadkiem spojrzała na swoje odbicie w lustrze - uznała, że ma w środku „dziecko na dziecku, a na tym dziecku jeszcze jedno dziecko”.

- To jeszcze byłby komplement! - żartował Brad, pomagając jej wyjść z wanny.

Doszło bowiem do tego, że już nie mogła bez pomocy wykapać się, włożyć butów czy nawet papuci, a w pierwszym tygodniu listopada samodzielnie zejść z sedesu. Marina, kiedy tylko mogła, wpadała, aby jej pomóc, a Nancy dotrzymywała macosze towarzystwa pod nieobecność Brada. Gratulowała Pilar wytrwałości, ale szczerze deklarowała, że nie zamieniłaby się z nią za żadne skarby świata. Kiedy bowiem inne kobiety szczerze korzystały z uciech życia - biedna Pilar, rozdęta jak balon, lada chwila mogła eksplodować dziećmi!

Matka często do niej dzwoniła i zdawała się już godzić z ciężą córki. Proponowała jej przyjazd i pomoc, ale Pilar nie paliła się do tego. Gdy narzekała, że już od pół roku nie była u fryzjera - Brad przypominał jej, że dla takiego celu warto trochę pocierpieć. Pilar wiedziała o tym doskonale, tylko deprymowało ją leżenie i czekanie na poród.

Bliźniaki rozwijały się prawidłowo, ale przy okazji kolejnej wizyty domowej doktor Parker zauważył, że jedno z nich jest nieco większe. Przypuszczał więc, że to chłopak. Wspomnił też, że kompletuje już zespół lekarzy do asysty przy porodzie. Z uwagi na jej wiek i ciężę mnogą wolał mieć pod ręką jeszcze jednego położnika i dwóch pediatrów do opieki nad noworodkami.

- Widzę, że szykuje się cała impreza! - Brad próbował żartami rozładować atmosferę, bo zauważył, że wzmianka o zespole przeraziła Pilar. Mogło to oznaczać, że jej ginekolog przewiduje konieczność wykonania cesarskiego cięcia. Wprawdzie na razie nie widział takiej potrzeby, ale uważał, że należy być przygotowanym na wszystko. Powodowało to, że im bardziej zbliżał się termin porodu, tym bardziej Pilar stawała się nerwowa.

Doktor Parker dawał jej do zrozumienia, że nie dopuści do przenoszenia płodów, bo wiązało się to ze zbyt dużym ryzykiem. Pierwsze skurcze pojawiły się na tydzień przed terminem. Doktor kazał jej wstać i spacerować po domu, aby przyspieszyć akcję porodową. Pilar przekonała się wtedy, jak bardzo opadła z sił po tak długotrwałym leżeniu. Nogi ugięły się pod nią, a brzuch tak jej ciążył, że o chodzeniu na dłuższą metę nie było mowy.

W późniejszych godzinach popołudniowych bóle zaczęły pojawiać się regularnie, ale ustąpiły, gdy Brad zaparzył jej filiżankę herbaty. Wiedziała jednak, że wkrótce powrócą i ta nieuchronność stanowiła dla niej największą udrękę.

- Boże, jak chciałabym, żeby było już po wszystkim! - westchnęła. Nic się jednak nie działo do chwili, kiedy odeszły wody. Wprawdzie skurcze wciąż nie wracały, ale doktor Parker na wszelki wypadek zalecił jej przyjazd do szpitala. Wołał, aby po zostawała pod obserwacją.

Pilar wcale nie była tym zachwycona.

- Co tu jest do obserwowania? - sarknęła, kiedy Brad wiozł ją do miejscowego szpitala.  
- Przecież nic się nie dzieje. Po co ten szpital?

Naprawdę jednak Brad z ulgą oddawał żonę w ręce fachowego personelu. Wołał nie stawać w obliczu samodzielnego odbioru porodu w domu, zwłaszcza że to były bliźniaki. Wystarczało mu aż nadto, że zgodził się przy tym asystować, choć czuł się mocno niepewnie. Przystał na prośbę Pilar, bo go potrzebowała.

Doktor Parker zbadał ją i trzeba trafu, że akurat wtedy odczuła lekki skurcz. Równocześnie doktor stwierdził powiększające się rozwarście szyjki, z czego wywnioskował, że blisko już do rozwiązania.

- Niedługo coś się zacznie - zapowiedział i udał się do domu, zapewniając, że będzie uchwytany pod telefonem i w razie potrzeby zjawi się natychmiast. Na razie więc Pilar i Brad posiedzieli trochę przed telewizorem, a Pilar nawet przysnęła. Obudziło ją dopiero dziwne uczucie, jakby silnego ucisku. Wystraszona za wołała Brada, a ten natychmiast sprowadził położną.

- No, pani Coleman, chyba się zaczyna! - oznajmiła z uśmiechem siostra i pobiegła zawiadomić lekarza.

Przyszedł ten, który właśnie miał dyżur i chciał ją zbadać, ale Pilar nie chciała się zgodzić. Gdy ją przekonywał - poczuła silny skurcz, tak potworny, jakby cały jej olbrzymi brzuch dostał się w szczękę ogromnego imadła. Ścisnęła więc Brada za rękę i próbowała sobie przypomnieć wyuczony rytm oddychania, podczas gdy jakiś niewidzialny mechanizm podniósł w górę jej łóżko.

- Boże, jakie to było okropne! - jęknęła, kiedy ból ustąpił. Wystarczył jeden silniejszy skurcz, aby włosy jej zwilgotniały, a w gardle zaschło. Następny przyszedł, zanim lekarz dyżurny powtórnie ją zbadał. Tymczasem położna zawiadomiła doktora Parkera, że u Pilar Coleman rozpoczęła się akcja porodowa.

Skurcze nasiliły się do tego stopnia, że Pilar przestała panować nad sobą. Tymczasem do sali weszło jeszcze dwóch lekarzy, a dwie pielęgniarki zaczęły zakładać jej wenflon. Trzecia opięła ją pasem monitora kardiogramu, który miał kontrolować tętno płodów i nasilenie skurczów. Ucisk pasa spowodował, że te ostatnie wydały się jeszcze trudniejsze do zniesienia.

Pilar czuła się zupełnie jak zwierzę schwymane w sidła, równocześnie patroszone żywcem i szarpane ze wszystkich stron. Działo się z nią stanowczo za dużo rzeczy naraz i, co gorsza, wymykały się spod kontroli. - Brad... ja już nie mogę! - krzyczała. - Powiedz im, żeby dali mi spokój!

Najchętniej uwolniłaby się z krępującego pasa i wyrwała z żyły wenflon, ale dla dobra dzieci nikt nie mógł się na to zgodzić ani zostawić jej w spokoju. Brad przyglądał się temu biernie z poczuciem całkowitej bezradności.

Próbował interweniować w tej sprawie u położnej oddziałowej, a także u doktora Parkera, kiedy wreszcie się pojawił.

- Czy nie można czegoś zrobić, żeby się tak nie męczyła? Z tym monitorem bardzo jej niewygodnie, a po każdym badaniu jeszcze bardziej ją boli!

- Wiem, wiem. - Lekarz pokiwał głową. - Jeśli jednak mamy nie robić cesarki, to przez cały czas musimy wiedzieć, co się z tymi dziećmi dzieje. A gdybyśmy musieli ją zrobić, to tym bardziej. Nie możemy działać w ciemno.

Dopiero po tej przemowie zwrócił się do pacjentki z krzepiącym uśmiechem:

- No i jak tam leci?

- Jak krew z nosa! - warknęła i nagle zrobiło się jej niedobrze. Odtąd chwytały ją mdłości przy każdym skurczu, a odczuwany poprzednio ucisk nasilał się, jakby prowokował parcie. Po myślała z nadzieją, że może powinna już zacząć przeć i zaraz wszystko się skończy, ale gdy spytała o to położną - ta odrzekła, że do tego jeszcze daleko.

- Dajcie mi coś na ten ból! - wychrypiała, kiedy lekarz znalazł się blisko jej głowy. Słowa z trudnością wydobywały się z jej wyschniętego gardła. - Jakieś lekarstwo...

- Zaraz o tym pomyślimy... - burknął i chciał odejść, ale uczepiła się rękawa jego fartucha i zaczęła płakać.

- Kiedy ja chcę już! - Próbowała się podnieść, ale monitor, i następny skurcz przykuły

ją do miejsca. Mogła jedynie kurczowo ścisnąć rękę Brada i jęczeć: - Boże, dlaczego nikt nie chce mnie wysłuchać?

- Słucham cię, kochanie! - powiedział szybko Brad, ale Pilar nie słuchała.

Wokół niej kręciło się przecież tyle osób i działo się tyle rzeczy naraz, dlaczego więc nie miała na nic wpływu? Mogła jedynie łkać w przerwach między skurczami i krzyczeć podczas nich.

- Powiedz im, żeby coś zrobili... - błagała Brada, ale on mógł tylko powtarzać machinalnie:

- Wiem, kochanie, wiem...

W gruncie rzeczy zaczął w końcu żałować, że zrobił w to wszystko ją i siebie. Musiał teraz przypatrywać się biernie cierpieniom Pilar i nie mógł jej w niczym ulżyć!

- Wieźcie ją na porodówkę! - polecił drugi położnik. - Na wszelki wypadek musimy być przygotowani do cesarki.

- Masz rację - zgodził się lekarz prowadzący Pilar.

W pokoju wszczął się ruch, pojawiły się nowe urządzenia, co dla Pilar oznaczało nowe badania.

Powieźli ją na wózku przez korytarz, chociaż błagała, aby po czekali przynajmniej na przerwę między bólami. Lekarze jednak spieszyli się, bo zgodnie z przewidywaniami doktora Parkera wypadki toczyły się teraz coraz szybciej. Zespół przyjmujący po ród myślał przede wszystkim o bezpieczeństwie dzieci, a nie o wygodzie matki. Dochodziła już pierwsza w nocy, Bradowi wydawało się, że to nigdy się nie skończy.

Na porodówce przeniesiono Pilar z wózka na łóżko porodowe, umieszczono jej nogi w uchwytach i przykryto płachtami. Pielęgniarka założyła jej kroplówkę i unieruchomiła rękę. Pilar narzekała na niewygodę tej pozycji, tym bardziej że do skurczów dołączyły się wściekle bóle w krzyżach i karku. Nikt jednak nie słuchał jej skarg, gdyż personel zajmował się ważniejszymi sprawami. W pomieszczeniu znajdowało się, oprócz dwóch lekarzy prowadzących Pilar, także troje pediatrów, kilku stażystów i cała armia położnych.

- Co oni wszyscy tu robią? - wychrypiła Pilar w przerwie między bólami.

Monitor był przez cały czas włączony, a położna zaczęła sprawdzać rozwarcie szyjki. Stwierdziła, że wynosi już dziesięć centymetrów i że rodząca może zacząć przeć.

- No, nareszcie! - ucieszyła się cała ekipa, ale Pilar zrozumiała z tego tylko to, że nie zamierzają podać jej żadnych środków uśmierzających.

- Dlaczego nie dacie mi środka przeciwbólowego? - jęczała.

- Ponieważ mogłoby to zaszkodzić dzieciom! - oświadczyła stanowczo położna. W

następnej chwili Pilar nie była już w stanie o nic prosić, musiała tylko przeć, nie zważając na ból.

Dla Brada ten widok był trudny do zniesienia. Na komendę lekarza lub położnej Pilar parła, potem krzyczała z bólu, a ledwo ustąpił jeden skurcz - zaczynał się następny. Wtedy znów parła i krzyczała... i tak bez końca. Nie rozumiał, dlaczego nie chcą dać jej żadnego środka przeciwbólowego, ale doktor upierał się, że może to spowolnić czynności życiowe płodów.

Mijały godziny, podczas których Pilar parła, ale nic z tego nie wynikało. Kiedy Brad spojrział na zegarek - nie mógł uwierzyć, że dochodziła już czwarta nad ranem. Zastanawiał się właśnie, jak długo Pilar jeszcze wytrzyma, gdy na sali wszczął się nowy ruch. Wtóczono dwa inkubatory, a krąg ludzi w maskach zacieśnił się wokół rodzącej. Pilar krzyczała prawie bez przerwy, a w którymś momencie cały personel zaczął na nią pokrzykiwać, ponaglać i dopingować, aż między jej nogami ukazała się główka pierwszego dziecka i jego krzyk złął się z jękiem matki.

- Chłopak! - zaanonsował lekarz.

Brada zaniepokoiła siność skóry dziecka, ale położna zapewniła, że to niegroźny objaw i zaraz minie. Tak też się stało. Położna zademonstrowała go Pilar, ale matka była zbyt wyczerpana, by popatrzeć na niego. Bóle bowiem nie ustawały, a następne znajdowało się w niekorzystnej pozycji. Brad nie mógł już na to patrzeć, modlił się tylko, żeby Pilar wytrzymała.

- Trzymaj się, kochanie... jeszcze trochę... to już niedługo... - powtarzał i miał nadzieję, że nie kłamał.

- Och, Brad... to takie straszne... - łkała Pilar.

- Wiem, kochanie, ale zaraz będzie po wszystkim - zapewniał. Jednak drugie dziecko okazało się jeszcze bardziej odporne niż pierwsze. Około piątej obaj ginekolodzy zaczęli się naradzać.

- Jeżeli dziewczynka zaraz się nie urodzi, będziemy musieli robić cesarkę - przekazali Bradowi efekt swoich przemyśleń.

- Czy tak byłoby lżej dla niej? - spytał cicho, aby Pilar go nie słyszała, ale parła teraz tak intensywnie i cierpiała takie bóle, że i tak nic do niej nie docierało.

- W pewnym sensie tak, bo dostanie narkozę, ale potem rekonwalescencja trwa dłużej. Wszystko zależy od tego, jak zachowa się dziecko w ciągu najbliższych kilku minut.

Tymczasem pierwsze dziecko przeszło już wstępne badania i leżało w inkubatorze, krzycząc wniebogłosy.

- Zróbcie, co będzie dla niej najlepsze - prosił zdesperowany Brad.

- Spróbuję najpierw wydobyć dziecko - zdecydował lekarz i zaczął operować kleszczami. Ciągnął, a jednocześnie naciskał brzuch Pilar, ale już miał zamiar zrezygnować, gdy dziecko po woli wysunęło się spomiędzy nóg matki. Pilar była już półprzytomna, gdy nagle zobaczyła malutką dziewczynkę, o połowę mniejszą niż brat. Małeństwo trwoźnie rozejrzało się dookoła, jakby szukało matki. Pilar musiała wyczuć to instynktownie, bo podniosła głowę.

- Boże, jakaż ona śliczna! - westchnęła i uśmiechnęła się do Brada przez łyży. Całkiem opadła z sił, ale wiedziała, że warto było, bo miała przecież dwoje cudownych dzieci!

Tymczasem dwie pielęgniarki zaraz po odcięciu pępowiny za brały dziecko do inkubatora, gdzie zajął się nim pediatra. Na sali jednak zrobiło się dziwnie cicho i nie było słychać drugiego krzyku.

- Co z nią? Wszystko w porządku? - Pilar wypytywała każdego, kto się nawinął, lecz nagle wszyscy zrobili się strasznie zajęci. Brad widział z daleka, jak jego syn w inkubatorze żwawo fika nogami, pilnowany przez dwie pielęgniarki. Nie widział natomiast, co się dzieje z córką, odszedł więc na chwilę od łóżka Pilar. Wtedy ujrzał, jak wokół małej uwija się cała ekipa, próbując udrożnić jej drogi oddechowe. Lekarz wykonywał sztuczne oddechanie i masaż serca, ale żadne czynności reanimacyjne nie przynosiły skutku. Dziecko leżało nieruchomo, a Brad spoglądał w twarz doktora z niemym przerażeniem. Cóż, u Boga Ojca, miał teraz powiedzieć Pilar?

- Brad, czy one są zdrowe? Ja ich nie słyszę! ... - wołała do niego z łóżka porodowego.

- Tak, tak, w porządku! - odpowiedział szybko, nieswoim głosem. Równocześnie, choć nieco za późno, ktoś zrobił Pilar zastrzyk, po którym prawie natychmiast zapadła w półsen. Brad tymczasem stanął oko w oko z lekarzem.

- Jak mogło do tego dojść? - spytał ponuro, bo wobec tej tragedii nawet narodziny zdrowego syna stanowiły zbyt słabą pociechę. - Trudno powiedzieć. Była bardzo mała i utraciła dużo krwi na korzyść brata. Czasem to się zdarza, nazywamy takie zjawisko transfuzją między bliźniętami. To ją osłabiło, a że przy tym płuca nie były dostatecznie rozwinięte, nie dała rady przeżyć szoku porodowego. Może jednak powinienem był zrobić cesarkę? ... - Zamyślił się smętnie.

Brad cieszył się, że żona, oszołomiona lekami, spała nareszcie spokojnie. Nadal jednak nie miał pojęcia, co jej powie, kiedy się obudzi. Stanowczo za szybko następowały te zmiany od radości do smutku!

Wszyscy obecni pediatrzy zgodzili się z położniczką, że zmarła dziewczynka musiała

mieć jakąś wadę w rozwoju płuc, o której nikt nie wiedział ani nie podejrzewał jej wystąpienia. W trakcie porodu jej serce pracowało normalnie, ale widocznie z powodu utraty dużej ilości krwi na korzyść braciszka nie przetrzymała trudu przyjścia na świat i oddzielenia od matki. Zespół przyjmujący poród wykonał wszelkie możliwe zabiegi reanimacyjne i nie było w tym niczyjej winy, że nie przyniosły one skutku.

Brad przyjął te fakty do wiadomości, ale nadal nie rozumiał, jak mogło do tego dojść. W czasie, gdy Pilar przeniesiono do sali poporodowej, wciąż przyglądał się małej dziewczynce. Skraplał ją obficie łzami, bo małość wydawało mu się tak doskonale ukształtowane.

Jej mały braciszek kwilił żałośnie, jakby rozumiał, że stało się coś strasznego. Zdążył się przecież przyzwyczaić, że przez cały czas miał siostrę przy sobie.

Brad machinalnie wsadził rękę do inkubatora i dotknął ciała dziewczynki. Była jeszcze ciepła, więc zmagął się z pokusą wzięcia jej na rękę. Nadal nie wiedział, jak ma powiedzieć Pilar, że jedno z bliźniąt nie żyje. Obudzi się w przekonaniu, że czekają na nią dwa cudowne twory boskie, a będzie musiała stanąć twarzą w twarz z tragedią, która przydarzyła się w przeciągu jednej chwili.

- Przepraszam pana... - Stała przed nim pielęgniarka. Ktoś musiał wynieść z sali zwłoki dziecka, załatwić formalności związane z pogrzebem. - Jeśli chciałby pan zobaczyć się z żoną, to właśnie się obudziła.

- Dziękuję - odpowiedział machinalnie, ale aż poszarzał na twarzy. Jeszcze raz dotknął małej rączki i odszedł niechętnie, bo wydawało mu się, że zmarła córeczka wciąż go potrzebuje, choć rozsądek podpowiadał, że to niemożliwe. - Jak ona się czuje? - spytał pielęgniarki, idąc za nią do sali poporodowej.

- Na pewno już znacznie lepiej! - Siostra się uśmiechnęła, ale Brad przypuszczał, że to dobre samopoczucie Pilar nie potrwa długo.

- Gdzie one są? - spytała od razu słabym głosem. Trudy po roku wyszały z niej siły akurat wtedy, kiedy najbardziej ich potrzebowała. Brad na samą myśl o tym nie mógł powstrzymać łez.

- Wiesz, jak cię kocham? Byłaś taka dzielna! - powiedział, aby zyskać na czasie.

- Gdzie są dzieci?

- Jeszcze na porodówce. - Po raz pierwszy w ciągu ich wieloletniego pożycia powiedział jej nieprawdę, ale czuł, że nie mógł inaczej postąpić. Za wcześnie było jeszcze, aby dowiedziała się, że jej mała córeczka, której buzię zdążyła zobaczyć, powiększyła grono aniołków. Chłopczyk za to wyglądał na silniejszego i lepiej przygotowanego do życia. -

Niedługo ci je przyniosą - dodał jeszcze, więc Pilar ponownie zapadła w sen.

Jednak następnego dnia nie dało się już ukryć prawdy. Doktor oznajmił ją Pilar z samego rana, kiedy przyszedł do niej z Bradem. Siedziała w łóżku i przez chwilę Brad myślał, że ten wstrząs ją zabije, bo zbladła śmiertelnie i osunęłyby się na poduszki, gdyby jej nie podtrzymał.

- Powiedzcie, że to nieprawda! - wykrzyknęła. - Kłamiecie! Kierowała te oskarżenia pod adresem męża i lekarza, który właśnie w prostych słowach poinformował ją, że maleńka córeczka umarła zaraz po narodzeniu, bo miała niedostatecznie rozwinięte płuca. Był zdania, że dziewczynka po prostu nie mogła przeżyć.

- To nieprawda! - krzyczała Pilar. - Zabiliście ją! Przecież widziałam, że urodziła się żywa. Spojrzała na mnie!

- Zgadza się, mogła spojrzeć - potwierdził doktor. - Jednak ani razu nie krzyknęła, bo nie potrafiła zaczerpnąć oddechu. Proszę mi wierzyć, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby ją ratować.

- Chcę ją zobaczyć! - Pilar próbowała zwlec się z łóżka, ale po chwili sama pojęła, że jest na to zbyt słaba. - Gdzie ona jest? Za prowadźcie mnie do niej!

Brad rzucił doktorowi rozpaczliwe spojrzenie, ale ten nie uważał bynajmniej prośby Pilar za coś niewłaściwego. W swojej szpitalnej praktyce miewał już takie przypadki i wiedział, że po kazanie zmarłego dziecka bliskim, aby mogli je pożegnać, często poprawiało ich samopoczucie. Mała leżała już w kostnicy, ale nic nie stało na przeszkodzie, aby matka mogła ją jeszcze zobaczyć przed pogrzebem.

- Za chwilę przyniesiemy ją pani do pokoju - obiecał. Pilar szlochała przytulona do męża, próbując przyjąć do wiadomości, że nie było jej dane nawet potrzymać córeczki na rękach. - A czy nie chciałaby pani teraz zobaczyć syna?

Zaczęła już kręcić głową, ale na widok twarzy Brada wykonała gest przytakiwania. Mąż jej wyglądał bowiem na tak zdruzgotanego i przytłoczonego ciężarem niespodziewanych wydarzeń, że nie chciała dodatkowo pogarszać sytuacji. Właściwie naprawdę chciała tylko umrzeć, aby pójść za swoim zgastym dzieckiem.

- Zaraz go pani przyniosę. - Doktor wrócił po chwili z wrzeszczącym chłopakiem. Ważył prawie cztery kilogramy, co stanowiło nadzwyczajny wynik jak na bliźniaka, gdyż jego dużo mniejsza siostrzyczka ważyła niespełna dwa. W przeciwieństwie do niej miał wszystko, co było potrzebne do życia, a więc zaszedł tu klasyczny przypadek walki o byt - przeżył ten osobnik, który był lepiej przystosowany.

- Prawda, że jest piękny? - rzuciła w przestrzeń, jakby chłopca nie było przy niej. Nie



wyciągnęła też rękę po niego, tylko patrzyła na niego, jakby rozmyślając, dlaczego on żyje, a jego siostra bliźniaczka umarła. W końcu Brad nie wytrzymał i włożył go w ramiona matki. Pocałowała synka, zalewając się łzami. Kiedy pielęgniarka zabrała chłopca, Pilar ponownie poprosiła o po kazanie jej zmarłej córeczki.

Zawieziono więc ją na wózku piętro niżej, do pustego pokoju, chłodnego i sterylnie czystego. Po chwili ktoś przywiózł, jeszcze w tym samym inkubatorze, małe ciało zawinięte w kocyk. Widać było tylko słodką, niewinną twarzyczkę, która nadal wyglądała jak pogrążona w głębokim śnie.

- Chciałabym ją potrzymać - zwróciła się do Brada, więc wyjął małą z inkubatora i podał matce, która nie zdążyła wziąć jej na ręce za życia. Teraz wodziła ustami po jej oczkach, buzi, po liczkach i rączkach, całowała każdy malutki paluszek z osobna, jakby chciała tchnąć w nią życie. Widać było, że nie pogodziła się z tym, co się stało wczorajszej nocy.

- Kocham cię! - szeptała czule. - Kochałam cię już wcześniej i zawsze cię będę kochać, moje najdroższe maleństwo!

Kiedy podniosła oczy na Brada - zobaczyła, że płakał jak bóbr, aż go trzęsło.

- Tak mi przykro... - powtarzał. - Tak mi przykro... Pilar delikatnie dotknęła jego ręki.

- Chciałam nazwać ją Grace - powiedziała cichym głosem. - Grace Elizabeth, po mojej matce. Niech tak zostanie. Grace Elizabeth Coleman.

Brad pokiwał głową, choć ciężko mu było pogodzić się z myślą, że te imiona będą widniały tylko na nagrobku ich dziecka. Pilar przez dłuższą chwilę siedziała jeszcze z martwym niemowlęciem w ramionach, wpatrzona w buzię dziewczynki, jakby chciała ją dobrze zapamiętać, może na wypadek, gdyby kiedyś spotkały się w niebie? W końcu jednak pielęgniarka przyszła, że by ją zawieźć z powrotem na salę, musiała więc zostawić swoje dziecko, którym mieli się teraz zająć, zawiadomieni przez Brada, pracownicy zakładu pogrzebowego...

- Śpij spokojnie, aniołku! - Pilar jeszcze raz ucałowała małą i pożegnała ją, opuszczając pokój z rozdartym sercem. Czuła, że jakaś jej część pójdzie do ziemi razem z tym dzieckiem.

Tymczasem w jej pokoju na górze synek spał spokojnie w swoim łóżeczku, pod opieką pielęgniarki. Ta czekała z ponurą miną, bo przecież знаła cel jej wyprawy. Pomogła Pilar położyć się i po dała jej śpiące dziecko.

- Na razie nie chcę... - broniła się Pilar, ale pielęgniarka po wiedziała stanowczo:

- On pani potrzebuje i pani jego też.

Nie dopuszczając sprzeciwu wyszła, pozostawiając chłopca z rodzicami. Tak długo walczyli o niego, a kiedy w końcu przyszedł na świat - oprócz radości przyniósł ze sobą także smutek. Nie z jego winy przecież umarła mała Grace, więc kiedy Pilar trzymała go w ramionach - coraz bardziej topniało jej serce. Był rozkoszny, tłuściutki i zapowiadał się na krzepkiego chłopaka, podczas gdy jego wątpa siostrzyczka nadawała się tylko na aniołka, toteż prędko wróciła do nieba, tam skąd przyszła.

Pilar i Brad przeżyli cały ten dzień z mieszanymi uczuciami - gniew mieszał się z radosnym podnieceniem, a smutek z rozczarowaniem. Najważniejsze jednak, że byli razem. Nancy szlochała w ramionach Pilar, nie umiejąc ubrać w słowa swoich uczuć, ale łzy wystarczyły za wszystko. Płakał także Tommy, zapewniając ich o swoim najgłębszym współczuciu. Kiedy Todd, nic nie wiedząc o śmierci Grace, zadzwonił z gratulacjami - Brad przekazał mu smutną wiadomość. Wreszcie, korzystając z okazji, kiedy na chwilę została sama, Pilar zadzwoniła do matki. I tu spotkała ją największa niespodzianka, gdyż z oschłej i zasadniczej pani doktor matka przeobraziła się nagle w osieroconą babcię zmarłego dziecka. Rozmawiały blisko godzinę i płakały razem. Najbardziej jednak matka Pilar, kiedy opowiedziała jej o swoim pierwszym synu, który jeszcze przed jej urodzeniem zmarł na „śmierć łóżeczkową”.

- Miał ledwie pięć miesięcy, ale wciąż wydaje mi się, że nigdy potem nie byłam już taka sama. Wyrzucałam sobie, że za mało czasu mu poświęcałam, a kiedy zaszłam w ciążę z tobą, bałam się, że i ciebie może to samo spotkać. Dlatego unikałam jak ognia zbyt bliskości z tobą, żeby do nikogo więcej nie przywiązać się tak, jak do niego... Pilar, kochanie, tak mi strasznie przykro! ... - Matka szlochała w słuchawkę. - Chyba wiesz, że zawsze cię kochałam...

Mówiła głosem tłumionym przez łzy, ale i Pilar musiała się pilnować, by nie ujawniać emocji, jakie wzbierały w niej przez ponad czterdzieści lat.

- Mamo, ja cię też kocham, ale dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

- Wtedy były inne czasy. Ani twój ojciec, ani ja nigdy nie wracaliśmy do tego tematu, bo nie wypadało rozmawiać o takich przykrych sprawach! To była kosmiczna głupota z naszej strony, bo najgorsze, co może się człowiekowi zdarzyć, to nie mieć się przed kim wyżalić. Cóż, musiałam jakoś nauczyć się z tym żyć. Cieszyłam się przynajmniej, że byłaś dziewczynką, bo nie przypominałaś mi o moim starszym synu... Miał na imię Andrew, a wołaliśmy go Andy...

Wspominała te dawno minione zdarzenia ze smutkiem, a równocześnie z taką żarliwością, jakby wszystko działo się nie dawno. Pilar od razu inaczej spojrzała na kobietę,

która prawie pięćdziesiąt lat kryła w sobie ból po stracie dziecka. Wyjaśniało to wiele jej zachowań niezrozumiałych wówczas dla córki. Dobrze, że choć poniewczasie, nareszcie się o tym dowiedziała.

- Licz się z tym, że nie tak łatwo to przebolejesz - uprzedzała matka. - To może trwać długo, dłużej, niż ci się teraz wydaje i nigdy całkiem nie minie. Nawet jeśli na jakiś czas uda ci się za pomnieć, zawsze może zdarzyć się coś, co ci o tym przypomni. Życie jednak będzie toczyć się dalej, więc musisz robić swoje, jakby nigdy nic, jeśli nie ze względu na siebie, to dla Brada i tego małego chłopca. Z czasem ból osłabnie, ale blizna w sercu po zostanie na zawsze.

Podczas tej rozmowy obie płakały i Pilar pierwszy raz w życiu niechętnie odłożyła słuchawkę. Odniosła bowiem wrażenie, że dopiero teraz naprawdę poznała matkę. Poprosiła ją, by nie przyjeżdżała na pogrzeb, bo wiedziała, że byłoby to dla niej bolesnym przeżyciem. I tym razem, o dziwo, Elizabeth Graham nawet się z nią nie spierała. Zastrzegła tylko:

- Pamiętaj, że gdybyś mnie potrzebowała, to w ciągu sześciu godzin mogę być u ciebie. Wystarczy tylko zadzwonić i jestem.

Nie mogła sprawić córce większej radości! Szkoda tylko, że trzeba było dopiero takiej tragedii, aby przełamać obcość między nimi.

Tymczasem jej mały synek to spał, to się budził, a wtedy głośnym krzykiem wzywał matkę. Uspokajał się, kiedy Pilar lub Brad brali go na ręce, jakby już ich znał i czuł się bezpiecznie w ich ramionach.

- Jak go nazwiemy? - spytał Brad jeszcze tego samego wieczoru. Dla dziewczynki już wcześniej wymyślili imię Grace, ale na imię dla chłopca jeszcze nie mieli pomysłu.

- Może Christian Andrew, co ty na to? - zaproponowała Pilar. Przyszło jej do głowy, aby drugie imię nadać małemu na pamiątkę jej zgasłego w niemowlęctwie brata, o którego istnieniu dowiedziała się dopiero dzisiaj. Po rozmowie z matką poinformowała o tym Brada. - Owszem, ładne! - uśmiechnął się przez łzy. Przepłakali chyba cały dzień, bo to, na co czekali z takim utęsknieniem, oprócz radości przyniosło im smutek.

- Życie składa się z radości i smutku - szepnęła Pilar, kiedy późnym wieczorem Brad usiadł przy niej. Nalegała, aby poszedł do domu, bo wyglądał na śmiertelnie zmęczonego, ale nie chciała zostawiać jej samej. Mało tego, pielęgniarka dostawiła w pokoju Pilar dodatkowe łóżko dla niego, gdyż uważała, że w takich chwilach małżonkowie powinni być razem. - Oczekujesz jednego, a dostajesz co innego. W życiu nie ma nic za darmo. Dobro, zło, marzenia i koszmary senne... wszystko tak się spleta, że trudno jest oddzielić jedno od drugiego.

Rzeczywiście, Christian obdarzył swoich rodziców radością, a Grace przysporzyła im cierpienia, choć oboje pojawili się na świecie prawie równocześnie. Pilar pragnęła tych dzieci bardziej niż cegokolwiek, lecz jedno straciła, zanim zdążyła się nim na cieszyć i to przytłumiło radość. Mimo to, spoglądając z czułością na śpiącego przy jej boku Christiana, doszła do wniosku, że jednak warto żyć. Z kolei Brad zastanawiał się, jak ona była w stanie przetrzymać takie cierpienia, w dodatku zakończone stratą dziecka?

- Takie właśnie jest życie - uzupełnił jej rozważania. - Po śmierci Natalie też myślałem, że się nie podźwignę... (Natalie była matką Nancy i Todda). A pięć lat później ty się pojawiłaś i dałaś mi tyle szczęścia... Bóg raz nas karze, a raz nagradza i pewnie Christian miał być tą nagrodą. Spadł na nas ciężki cios, ale może on nam osłodzi tę resztę życia, która nam została?

- Miejmy nadzieję - zgodziła się Pilar, ale patrząc na śpiącego malca nie mogła zatrzeć w pamięci obrazu innej dziecięcej buzi, której nie miała już nigdy zobaczyć, ale zapamiętać do końca życia.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Christian darł się, ile sił w płucach, kiedy razem z rodzicami opuszczał szpital. Pilar ubrała go w niebieskie śpioszki, owinęła w niebieski kocyk i trzymała na rękach, kiedy pielęgniarka zwoziła ją z piętra na wózku. Za nią salowa pchała stolik na kółkach zastawiony kwiatami. Większość znajomych wiedziała, że urodziła bliźnięta i dlatego zarzucili ją podwójnymi prezentami w wydaniu dla chłopca i dziewczynki - misiami, lalkami i ciuszkami w kolorach niebieskim i różowym.

Brad odwiózł żonę z dzieckiem do domu. Zawczasu wyniósł do garażu drugie łóżeczko, zanim razem wnieśli Christiana do jego pokoju. Nie udało mu się jednak całkiem uchronić Pilar od przykrych wspomnień, bo gdy sięgnęła do szuflady po niebieską koszulkę dla chłopczyka - znalazła tam także i różowe ubranka przygotowane dla dziewczynki. Serce jej się ścisnęło, kiedy zamykała szufladę - stanowczo za dużo smutnych przeżyć mieszało się z radosnymi. I jak miała zapomnieć, że urodziło się dwoje dzieci, a pozostało tylko jedno?

Christian okazał się pogodnym dzieckiem i chętnie ssał. Pilar produkowała tyle mleka, jakby jej organizm jeszcze nie przyjął do wiadomości faktu, że ma do wykarmienia tylko jedno dziecko. Karmiła go piersią, siedząc na bujanym fotelu w jego pokoju, a Brad przyglądał się jej z troską.

- Już ci lepiej? - dopytywał się, bo Pilar wydawała mu się nie tą samą kobietą, jaką była przed porodem i śmiercią Grace. Chwilami zaczynał nawet żałować, że w ogóle zdecydowali się na dziecko, tyle wiązało się z tym bolesnych przeżyć! - Nie wiem - odpowiedziała szczerze. Przyglądając się śpiącemu dziecku, dostrzegała w nim coraz to nowe cechy. Wydawał się równie doskonały jak Grace, ale stanowił jej przeciwieństwo - był krzepki, okrągłutki i zdrowy. W porównaniu z nim Grace była jego miniaturowką. - Próbuję tylko zrozumieć, jak mogło do tego dojść. Czy zrobiłam coś nie tak? Może nieprawidłowo się odżywiałam albo przez większość czasu leżałam na jednym boku? - Spojrzała na męża oczyma pełnymi łez.

- W przyszłości musimy uważać, aby nawet podświadomie nie obwiniać go za to - zauważył przytomnie Brad. - Nie możemy dawać mu do zrozumienia, że nam nie wystarcza. Trzeba sobie po prostu powiedzieć, że tak miało być.

Pocałował najpierw ją, potem Christiana, który był ślicznym dzieckiem i nie zasługiwał na życie ze świadomością, że witano go na tym świecie z mieszanymi uczuciami.

- Ależ ja go wcale nie obwiniam! - Pilar nawet nie próbowała tłumaczyć płaczu. -

Chciałabym tylko, żeby ona też tu była.

Na pewno w jakimś sensie mała Grace pozostawała nadal wśród swoich bliskich. Przynajmniej chcieli mieć taką nadzieję.

Pilar spała niespokojnie, a rano obudziła się z ciężkim sercem, bo wiedziała, w czym będzie musiała uczestniczyć.

Wzięła prysznic i nakarmiła synka, gdy tylko się obudził. Piersi miała tak nabrzmiące mlekiem, że zanim maluch chwycił brodawkę - mleko trysnęło mu na buzię. Dzieciak zaczął się krzywić tak komicznie, że mimo swego przygnębienia nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Usłyszał to Brad.

- Co tam się dzieje? - Wkroczył do sypialni już ubrany w ciemny garnitur. Po raz pierwszy w tych ciężkich dniach usłyszał jej śmiech i sprawiło mu to dużą przyjemność.

- No, bo popatrz, jakie ten smarkacz robi miny! Zupełnie jak ci przedwojenni komicy, bracia Marx... Chyba nawet jest podobny do Harpo.

- Czy ja wiem? Może raczej do Zeppo? - Brad się zaśmiał. Nie dowierzał sam sobie, że zdążył już bardzo tego dzieciaka po kochać. Takie to było niewinne maleństwo i tak od nich zależne! Nie pamiętał już, jak wyglądały jego dzieci w tym samym wieku ale przypuszczał, że ten chłopczyk, choć taki malutki, może wyczuwać, że stało się coś złego. Przecież przez dziewięć miesięcy dzielił z siostrą łono matki, więc pewnie po swojemu też musiał przeżywać jej zniknięcie. Ból, który stał się udziałem jego rodziców, nie ominął i jego.

- Prędko będziesz gotowa? - spytał.

Pilar, kładąc do łóżeczka najedzone dziecko, kiwnęła głową. I pomyśleć, gdyby od początku wiadomo było, że ma się urodzić tylko ten jeden chłopczyk, jakim świętem dla nich obojga stały by się jego narodziny! Tymczasem jego przyjście na świat wywołało w nich mieszane uczucia, a smutek skaził szczęście. Pilar za nic w świecie nie chciałaby jeszcze raz przeżywać takich uczuć. Już pokochała Christiana, ale i mała Grace na zawsze znalazła miejsce w jej sercu...

Ubrała się w czarną, wełnianą sukienkę nieodcinaną w talii, tę samą, którą nosiła do pracy w początkach ciąży. Dobrała do niej czarne rajstopy, pantofle i płaszcz, co w efekcie dało kompletny, żałobny strój. Spojrzała po sobie, a potem na Brada i zauważyła:

- Nie uważasz, że coś tu nie gra? Zamiast się cieszyć jednym, oplakujemy drugie!

Sytuację dodatkowo pogarszał fakt, że zbyt wielu ich znajomych wiedziało już o narodzinach bliźniąt i teraz trzeba było wszystkich wyprowadzać z błędu.

Brad położył Christiana w foteliku i umieścił go na siedzeniu samochodu. Na szczęście chłopczyk ani razu się nie obudził przez całą drogę do kościoła pod wezwaniem

Wszystkich Świętych w Montecito. Pilar milczała, bo wiedziała, że cokolwiek po wie - i tak nie umniejszy to jej bólu. Brad poklepał ją po ręku, kiedy zaparkował wóz przed kościołem, gdzie czekali już Nancy, Tommy i Marina. Tommy, podobnie jak Brad, włożył ciemny garnitur, a Nancy wyglądała na przygnębioną. Zabrała ze sobą Adama, ponieważ nie zdążyła znaleźć dla niego opiekunki. Dzieciak na widok Pilar i Brada radośnie się rozkrzyczał, co przez chwilę poprawiło wszystkim humory.

W kościele czekał już pastor i zaprosił przybyłych do środka. Na widok malutkiej białej trumienki przybranej konwaliami Pilar doznała wstrząsu. W jej gardle wezbrał tłumiony szloch.

- Nie wytrzymam tego dłużej! - szepnęła do Brada i ukryła twarz w dłoniach. Wraz z nią rozplakała się Nancy, że aż Tommy musiał odebrać od niej dziecko. Na szczęście przynajmniej Christian spał spokojnie.

Pastor w kazaniu przypomniał zebranym, że niezbadane są wyroki Pańskie. „Bóg dał, Bóg wziął, błogosławione niech będzie imię Jego” modlił się nad trumną, ale tym, którzy zaledwie przez chwilę zdążyli nacieszyć się tą małą dziewczynką, ból wydawał się zbyt trudny do zniesienia. Pilar jak we śnie szła wraz z konduktem żałobnym na cmentarz, który przy deszczowej pogodzie prezentował się wyjątkowo ponuro. Dopiero w ostatniej chwili wpadła w popłoch.

- Ja jej tu nie zostawię! - powtarzała, kurczowo trzymając się Brada. Towarzyszył im Tommy, a Marina taktownie trzymała się w pewnym oddaleniu. Nancy została z dziećmi w samochodzie, bo nie mogła dłużej znieść widoku trumienki otoczonej tyloma zrozpaczonymi twarzami. Dla wszystkich ten pogrzeb stanowił ciężkie przeżycie, ale najbardziej cierpieli Pilar i Brad.

Pastor jeszcze raz pobłogosławił małą Grace na jej ostatnią drogę, a Pilar złożyła na jej trumnie bukietek malutkich różowych różyczek. Stałaby tak w nieskończoność, wpatrując się w mogiłkę, gdyby Brad nie ujął jej łokcia i nie podprowadził do samochodu. Szła jak automat i przez całą drogę w milczeniu patrzyła przed siebie.

Brad nie wiedział, jak ją pocieszać i co w ogóle powinien po wiedzieć. Oczywiście bolał po stracie Grace, ale nie zdążył na wiązać z nią więzi uczuciowej. To Pilar nosiła pod sercem ją i jej brata przez dziewięć miesięcy.

- Myślę, że powinnaś się położyć - doradził, kiedy zostali już sami w domu, a Christian zaczął się niespokojnie kręcić w swoim koszyczku.

Posłusznie udała się do sypialni i tak, jak stała, w czarnej sukni, padła na łóżko. Nie odzywała się, tylko szklanym wzrokiem patrzyła w sufit. Nachodziły ją czarne myśli.

Dlaczego to nie ona umarła, tylko to niewinne dziecko? Przecież, gdyby miała możliwość wyboru, bez wahania poświęciłaby życie dla ratowania dziecka. Brad przeraził się, gdy mu to powtórzyła. Wprawdzie rozpaczał po stracie dziecka, ale to nie oznaczało, że wolałby stracić żonę. Sama wzmianka o takiej możliwości wyprowadziła go z równowagi.

- Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo cię potrzebujemy?

- Ty na pewno nie - odburknęła ponuro.

- A co z nim? - Wskazał gestem w kierunku pokoju dziecka. - Nie uważasz, że ma prawo do swojej matki? - Kiedy, zamiast odpowiedzi, bezradnie wzruszyła ramionami, dodał jeszcze: - Nawet mi tu nie opowiadaj takich głupstw!

Pilar jednak wpadła w głębokie przygnębienie. Nie chciała jeść ani pić, co miało wpływ na laktację i tylko rozdrażniło dziecko.

- On cię potrzebuje i ja też! - przypominał jej raz po raz Brad. - Musisz wziąć się w garść.

- Po co? - rzuciła obojętnie, wyglądając przez okno. W końcu Brad wmusił w nią filiżankę herbaty i kubek zupy. Wzmocniła się na tyle, że nakarmiła dziecko.

Tej nocy wstawiała do niego kilka razy, gdyż Brad, zmęczony po ciężkim dniu, mocno spał. Martwił się o stan psychiczny Pilar, ale nazajutrz zerwała się zaraz po wschodzie słońca i usiadła w bujanym fotelu, tuląc Christiana do piersi. Korzystała z tych pustych godzin nad ranem, aby rozmyślać o swoich dzieciach. Każde z nich stanowiło integralną całość i miało swoje życiowe zadanie do wykonania. Misja Grace już się zakończyła, podczas gdy Christian miał jeszcze całe życie przed sobą. On rzeczywiście potrzebował matki, podczas gdy przeznaczeniem Grace było przebywać z nią tylko przez chwilę. Zrozumiała, że nie może żyć wspomnieniami o córeczce; może najwyżej od czasu do czasu je przywołać. Po raz pierwszy od pięciu dni obecność syna przyniosła jej ukojenie. Cóż, że nie wszystko ułożyło się po jej myśli - widocznie tak miało być i musiała się z tym pogodzić.

- O, już wstałaś? - Brad, jeszcze zaspany, wyjrzał przez drzwi. Zaniepokoił się, gdy nie znalazł jej w łóżku. - Dobrze się czujesz?

Przytaknęła z uśmiechem, a minę miała równocześnie mądrą i smutną, z czym było jej, trzeba przyznać, bardzo do twarzy.

- Kocham cię! - wyszeptała, z czego Brad wywnioskował, że coś w niej pękło i powoli zaczęła dochodzić do siebie. - Ja cię też kocham! - Chciał jej powiedzieć także, jak bardzo mu przykro, ale nie umiał ubrać w słowa swoich uczuć.

W tym momencie Christian poruszył się, ziewnął, otworzył oczy i przyjrzał się uważnie rodzicom.



- Ale z niego chłop na schwał! - mruknął z dumą Brad.

- Z ciebie też.

Pocałowali się w porannym słońcu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Todd odwiedził ojca i macochę podczas Święta Dziękczynienia. Chciał zobaczyć synka Pilar, który miał już dwa i pół tygodnia, a że wiedział o nieszczęściu, jakie spotkało jego rodziców, chciał towarzyszyć im w tych ciężkich chwilach.

Pilar wyglądała już lepiej, ale była zbyt osłabiona, aby wychodzić z domu. Bała się też konfrontacji ze znajomymi, którym musiałaby wyjaśniać wszystko od początku, a nie czuła się na siłach jeszcze raz przeżywać tego samego.

Todd też początkowo nie wiedział, co ma jej powiedzieć, więc poprzestał tylko na powściągliwym wyznaniu, że jest mu bardzo przykro.

- Wyobrażam sobie, co przeżyliście! - Pamiętał, jak roztrzęsiony był ojciec, kiedy przez telefon zawiadamiał go o urodzeniu Christiana i śmierci Grace. Na miejscu natomiast dowiedział się, o ile ciężiej zniosła to Pilar.

- Tak, to było rzeczywiście straszne! - przyznała, chociaż czuła, że rany powoli zaczynają się goić. Nadal z bólem wspominała Grace, ale coraz swobodniej zachwycała się Christianem. Częściej także rozmawiała przez telefon z matką i korzystała z jej do świadczeń. Wciąż jednak nie chciała zaprosić jej do siebie, bo jeszcze nie miała ochoty widywać się z kimkolwiek.

- Życie nie jest takie proste, jak się wydaje - tłumaczyła Toddowi, wspominając, ile trudu ją kosztowało, żeby zająć w ciąży, a potem przyszło cierpienie spowodowane poronieniem i śmiercią małej Grace... - Człowiek coś planuje i ma nadzieję, że pójdzie mu gładko, a potem wszystko się wali. Potrzebowałam czterdziestu czterech lat, aby dojść do tego wniosku i wierz mi, że nie przyszło mi to łatwo.

Musiała przyznać, że rodzenie dzieci nie było jej najmocniejszą stroną. Dużo lepiej radziła sobie w pracy zawodowej, a także w małżeństwie z Bradem. W głębi serca czuła jednak, że gra była warta świeczki. Nie zrzekłaby się Christiana za żadne skarby świata, przeciwnie, uważała, że wart jest ceny, jaką za niego za płaciła.

- Co wy tam tak długo robicie? Rozwiązujecie problemy życiowe? - żartował Brad, przysiadając się do nich.

- Właśnie chciałam powiedzieć twojemu synowi, jak bardzo go kocham. - Pilar obdzieliła uśmiechami po równo pasierba i męża. - Udał ci się chłopak!

- No, proszę, a ja myślałem, że byłem rozpuszczonym smarkaczem! Todd się roześmiał. Wyrósł na przystojnego młodzieńca, podobnego do Brada.

- Byłeś całkiem w porządku - przyznał Brad, chociaż bez przekonania. - Teraz też można z tobą wytrzymać. Jak ci leci w Chicago?

- Nieźle, ale zastanawiałem się już, czy nie wrócić na Zachodnie Wybrzeże. Może udałoby mi się zaczepić gdzieś w Los Angeles albo San Francisco?

- Też wymyśliłeś! - prowokował go ojciec, a Pilar próbowała go zjednać życzliwym uśmiechem.

- Cieszylibyśmy się, gdybyś znów był blisko nas.

- Pewnie, w weekendy mógłbym popilnować wam dzidziusia.

- Nie ciesz się za bardzo! - przestrzegła Pilar Nancy. - Wiem, jak to wygląda, kiedy przyjeżdża do nas. Nie budzi się, gdy Adam płacze, za to pozwala mu bawić się telefonem albo poi go piwem, żeby był spokojny.

- I co z tego? Grunt, że mu się to podoba. Zgadnij, kto jest jego ukochanym wujkiem?

- No, nie ma zbyt dużego wyboru! - drażniła się z nim Nancy. Christian zaczął płakać i domagać się piersi. Pilar poszła go nakarmić, a zanim skończyła - pasierbowie zaczęli już zbierać się do odjazdu. Todd wylewnie wyczałował i wyściskał macochę.

- Wyglądasz świetnie, a mój braciszek jest super!

- Ty też. Miło mi, że przyjechałeś.

Todd też się z tego cieszył, bo wprawdzie ojciec wyraźnie się postarzał, a Pilar była wciąż smutna, jednak wszystko wskazywało, że po ciężkich przejściach oboje wrócą do równowagi.

- Myślisz, że będą próbowali jeszcze raz? - zagadnął Todd siostrę, kiedy wracali jej samochodem.

- Nie sądzę - rzekła Nancy i zaraz dodała poufnym szeptem: - Koleżanka leczyła się u tej samej specjalistki z Los Angeles, co oni. Mówiła, że widziała ich tam. Pilar nigdy mi się nie chwaliła, ale słyszałam, że miała duże kłopoty z zajściem w ciążę. Przy ludziach udawała, ale wiem, że kosztowało ją to masę wysiłku. A jeszcze do tego tamto dziecko im umarło...

Todd przytaknął, żal mu było Pilar. Zawsze ją lubił.

- Ale i tak na pewno uważają, że warto było - podsumował. Obejrzał się na tylne siedzenie, gdzie jego pucołowaty siostrzeniec spał smacznie w foteliku i dodał: - Z całą pewnością tak jest.

Nancy też obejrzała się na swego śpiącego synka. Ona wiedziała, że warto.

Na Święto Dziękczynienia Beth upiekła okazałego indyka. Właśnie podlewała go ostatni raz przed wyjęciem z pieca, kiedy w drzwiach stanął Charlie z czekoladowym indykiem dla Annie i bukietem kwiatów na świąteczny stół.

- Ojej, a to co? - wykrzyknęła, mile zaskoczona i wzruszona. Znali się od dziewięciu miesięcy, a Charlie ciągle zadziwiał ją swoją troskliwością. Gotował dla nich, robił zakupy, przynosił prezenty, zapraszał je obie do restauracji... ba, potrafił całymi godzinami czytać Annie! Mała uwielbiała go, a Beth przez całe życie marzyła o takim mężczyźnie.

- Miłego Dnia Dziękczynienia! - Uśmiechnął się do nich zza bukietu.

Annie od razu rzuciła się do odwijania czekoladowego indyka z kolorowej folii.

- Mogę go już zjeść? - dopominała się niecierpliwie, ale matka pozwoliła jej odgryźć tylko jeden kawałek, a resztę zostawić na deser. Napoczęła więc indyka od głowy.

- Może w czymś pomóc? - zaproponował, ale wszystko już było gotowe. Tym razem Beth chciała sama przygotować dla niego wykwinny posiłek. Zwykle nie chciało się jej szykować tradycyjnego dania tylko dla nich dwóch i w Święto Dziękczynienia jadały z Annie w restauracjach bądź u znajomych. Teraz jednak miała za co być wdzięczna Charliemu, bo odkąd pojawił się w ich życiu - wszystko zaczęło się lepiej układać. Nareszcie miała kogoś, kto o nią dbał i nie musiała już samotnie borykać się z przeciwnościami losu.

I rzeczywiście, kiedy Annie zachorowała - Charlie pomagał ją pielęgnować. Kiedy podczas strajku w szpitalu Beth nie otrzymywała wynagrodzenia, a właściciel mieszkania upominał się o czynsz - Charlie zapłacił za nią. Oczywiście, po rozpoczęciu normalnej pracy zwróciła mu wszystko, bo nie chciała go wykorzystywać, ale doceniła jego życzliwość.

Tej jesieni Charlie zaangażował się także w pomoc dzieciom z pobliskiego sierocińca. Sformował nawet drużynę piłkarską spośród wychowanków i każdej soboty rozgrywał z nimi mecze. Coraz częściej w rozmowach poruszał temat adopcji, bo nadal myślał o zaopiekowaniu się jakimś samotnym chłopcem, gdy tylko zgromadzi odpowiednie fundusze.

Beth jeszcze nikogo w swoim życiu nie kochała tak mocno, ale Charlie strzegł się jak ognia wszelkich aluzji na temat przyszłości. Wciąż mu się wydawało, że z powodu swojej niepłodności nie ma moralnego prawa zawiązywać życia żadnej kobiecie. Beth próbowała mu tłumaczyć, że nie przykładła wagi do tych spraw, zresztą niejedna kobieta byłaby z nim szczęśliwa, z dziećmi czy bez.

- Nie rozumiem, czemu robisz z tego taką wielką aferę? - spytała którejs nocy, kiedy Annie dawno już spała, a oni przeżywali upojne chwile. Byli tak dobranymi partnerami seksualnymi, aż dziw, że ich miłość nie wydawała owoców, choć Beth dobrze wiedziała, że jedno nie musi oznaczać drugiego. - Wiele osób nie może mieć dzieci i co z tego? A gdybym to ja nie mogła, czy to by coś między nami zmieniło?

Po raz pierwszy dokładnie przemyślał ten problem i musiał przyznać, że nie miałoby to wpływu na jego uczucia.

- Na pewno byłoby mi bardzo przykro... - bąkał ostrożnie. - Przecież wiem, jak lubisz dzieci... ale na pewno nie przestałbym cię kochać!

Po tym wyznaniu nie rozmawiali już więcej na ten temat. No, a przy świątecznym obiedzie usta się im nie zamykały. Indyk z nadzieniem, tłuczonymi kartoflami i zielonym groszkiem udał się nad podziw. Tym razem Beth dała z siebie wszystko, tak jak zwykle Charlie dla niej. Zauważyła tylko nieśmiało, że w jego wykonaniu pewnie to samo byłoby lepsze.

- Ależ skąd, przecież to pycha! - zaprzeczył skwapliwie. Najbardziej cieszyło go, że z tej okazji byli razem. Po obiedzie udali się na długi spacer. Annie przez cały czas to wybiegała daleko do przodu, to wracała do nich, dzięki czemu zdążyła porządnie się zmęczyć i już o ósmej wieczór poszła spać.

Beth i Charlie długo jeszcze oglądali telewizję. Charlie przy rządził pyszny popcorn, ale już w połowie pierwszego programu poczuł przypływ pożądania. Zaczęli więc baraszkować na kanapie i tak się w tym zatracili, że przestało ich interesować to, co działo się na ekranie. Annie spała już mocno, więc na palcach przemknęli do sypialni, gdzie już bez przeszkód oddawali się pieszczotom.

- Charlie, jak ty to robisz? - wydyszała Beth, kiedy już było po wszystkim. Z nikim przedtem nie przeżywała takich uniesień. On zaś coraz mocniej uświadamiał sobie, jak bardzo ją kocha, był pewny, że może jej zaufać i nie zawiedzie się tak jak na Barbie. Wiedział już, że tamten związek okazał się po prostu fatalną pomyłką. Beth odmieniła nie tylko jego życie, ale także poglądy na posiadanie dzieci. Zrozumiał nagle, że nie ma to aż tak wielkiego znaczenia, jak mu się wydawało. Wyzbył się wreszcie poczucia winy i zaczął myśleć nie o tym, czego nie mógł jej dać, ale o tym, co mógł i chciał.

- Chciałbym cię o coś zapytać - szepnął, leżąc przy niej tej nocy. Obróciła ku niemu twarz. - Przede wszystkim, chciałbym ci powiedzieć, jak bardzo cię Kocham...

Po tym wstępie zadrżała, bo знаła już jego zdanie na temat małżeństwa. Obawiała się, że Charlie zakomunikuje jej, iż, owszem, było miło, ale teraz odchodzi? Łzy napłynęły jej do oczu i nie chciała słuchać tego, co miał do powiedzenia.

- Nie musisz nic mówić, i tak cię Kocham! - wyrzuciła z siebie szybko, licząc, że zapobiegnie dalszemu ciągowi. Modliła się, żeby nie powiedział tego, czego się bała, ale kiedy spojrział na nią, minę miał poważną. - Ale jednak chciałbym cię o coś zapytać.

- Po co? - Patrzyła na niego rozszerzonymi ze strachu oczami.

- Ponieważ dużo dla mnie znaczysz i nie mam prawa rozporządzać twoim życiem.

- Och, nie mów takich rzeczy! ... Przecież tak nam dobrze razem... Och, Charlie, nie

rób tego...

- Czego? - Zdumiał się.

- Nie odchodź! - Zarzuciła mu ręce na szyję i wybuchnęła płaczem jak małe dziecko.

- Czy wyglądam, jakbym się gdzieś wybierał? - spytał, zaskoczony, ale i wzruszony jej reakcją. - Chciałem ci coś powiedzieć, ale nie na temat odchodzenia, tylko zostawania.

- Zostaniesz ze mną? - Zdumiona, odsunęła się od niego, z twarzą jeszcze mokrą od łez i z rozpromienionym wzrokiem. tak... - Zawahał się na ułamek sekundy, ale zaraz dokończył: - Beth, czy chcesz wyjść za mnie?

Uśmiechnęła się radośnie i pocałowała go z takim impetem, że aż łóżko się zatrzęsło.

- Tak, chcę! - szepnęła, kiedy wreszcie oderwała usta od jego ust dla zaczerpnięcia oddechu.

Charlie tak się ucieszył, że aż przeturlał się po łóżku wraz z nią.

- O Boże, jak fajnie! Kocham cię! No to kiedy bierzemy ślub? - Nagle posmutniał. - Jesteś tego pewna? Mimo że nie będziemy mogli mieć dzieci? - Wolał się jeszcze raz upewnić, aby dać jej ostatnią szansę odmowy.

- Zdawało mi się, że mieliśmy jakieś adoptować - przypomniała spokojnie.

- Mieliśmy? A kiedyśmy o tym mówili?

- No jak to, przecież sam powiedziałeś, że chcesz adoptować chłopczyka, a może nawet dwóch.

- Myślałem o tym, ale na wypadek, gdybym został sam. Teraz mam ciebie i Annie, więc muszę zapytać, czy chciałabyś adoptować jeszcze jakieś dziecko.

- Sądzę, że tak... - Zamyśliła się. - Pewnie, że wolałabym stworzyć dom jakiemuś biedactwu, które tego potrzebuje, niż po prostu przysporzyć światu jeszcze jedno dziecko. Tak, oczywiście, że bym tego chciała!

- Może najpierw pomówmy o ślubie, dobrze? Kiedy to ma być?

- Wszystko jedno! - Roześmiała się. - Może być nawet jutro albo za tydzień. Przed Bożym Narodzeniem chciałabym wziąć tydzień urlopu...

- O, właśnie. Boże Narodzenie! - Rozpromienił się. - Bardzo dobry okres. A o urlop się nie martw, bo nie będziesz już musiała pracować nocami. Możesz wziąć gdzieś pół etatu albo skończyć tę szkołę pielęgniarstwa, jak chciałaś.

Do ukończenia nauki brakowało jej jeszcze roku, ale Charlie na prowizjach zarabiał tak dobrze, że mogli sobie na to pozwolić.

- Rzeczywiście, najlepiej będzie na święta - postanowił.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

W Boże Narodzenie Charlie i Beth wzięli ślub w kościele metodystów w Westwood. Jedynym świadkiem była Annie, a po ceremonii zaprosili tylko szczupłe grono przyjaciół na obiad do małej restauracyjki. Wśród gości znalazł się oczywiście Mark z najnowsza sympatią, a więc wszystko odbyło się tak, jak życzyli sobie nowożeńcy. Niepotrzebna im była huczna impreza w Bel Air, bo tym razem Charlie nie musiał przed nikim się popisywać. Grunt, że zdobył kobietę swego życia, a do tego od razu gotowe dziecko, które postanowił przyjąć za swoje. Przedyskutował już z Beth pomysł adopcji Annie, której bardzo się to spodobało i oświadczyła, że chce nazywać się Annie Winwood.

W podróż poślubną pojechali do San Diego. Zwiedzili tam zoo i bazę marynarki wojennej, a zatrzymali się w przytulnym, małym hoteliku, który Charlie znał. Stamtąd odbywali we trójkę długie spacery po plaży. Charlie tak właśnie wyobrażał sobie szczęście, które w jego życie wniosła dopiero Beth.

Ona zaś dzięki niemu mogła rzucić uciążliwą pracę w szpitalu. Na razie znalazła zatrudnienie w sekretariacie szkoły, do której uczęszczała Annie, a od września zamierzała podjąć przerwana naukę pielęgniarstwa. A zatem wszystko układało się pomyślnie.

- Czy jesteś tak samo szczęśliwa jak ja? - Charlie zadał jej to pytanie podczas spaceru po plaży. W drugim dniu świąt Bożego Narodzenia pogoda była na tyle piękna, że mogli spacerować bosy po piasku, który nie ziębił nawet nówek Annie. Mała świetnie się bawiła, biegając tam i z powrotem jak szczeniak.

- Oj, chyba ja jestem szczęśliwsza! - Beth się uśmiechnęła. - Moje poprzednie małżeństwo to było wielkie rozczarowanie, ja byłam młoda i głupia, a on okazał się draniem! Nic dobrego mi nie przyniosło.

- Jak to nic? - poprawił ją Charlie. - Masz przecież Annie.

- No tak, oczywiście - zreflektowała się. - Podobno wszystko ma swoje dobre strony, tylko czasem trudno to od razu dostrzec.

Istotnie, Charlie wciąż nie mógł doszukać się dobrych stron swojego małżeństwa z Barbie. Przyniosło mu ono wyłącznie rozczarowania. Dobrze przynajmniej, że miał już to za sobą, a z Beth zaczynał nowe życie pod znakiem miłości, uczciwości, partnerstwa i czułości.

- Chciałbym tylko uczynić cię szczęśliwszą niż ty mnie - wyznał, obejmując ją troskliwie ramieniem. Uśmiechnęła się, bo przy nim czuła się tak bezpiecznie i

- Już to zrobiłeś - wyszeptała, ale w tym momencie Annie zaczęła ich gwałtownie

przywoływać.

- Chodźcie, zobaczcie, jakie muszle! - Wymachiwała rękami i starała się przekrzyczeć wiatr.

Młodzi małżonkowie roześmieli się i na wyścigi pobiegli do niej, a zimowe słońce opromieniało ich szczęście.

W domu Goodeów, jak co roku, podczas świąt panował wesoły rozgardiasz, tym razem może nawet większy niż zawsze. Gayle i Samanta gościły u rodziców wraz ze swymi mężami i dziećmi, ale do rodzinnego grona dołączyli także Diana i Andy. Diana była w dziewiątym miesiącu ciąży, ale nie mogła ani na chwilę spuścić z oka małej Hilary, która usiłowała stanąć na nóżki, chwytając się wszystkiego, co miała pod ręką i w ten sposób narażając się na liczne niebezpieczeństwa.

- Mój mały łobuziak! - zachwyciła się matka. Oboje z Andym mieli sto pociech z tą śliczną, pogodną dziewczynką. A zaledwie rok temu o tej porze nie mieli nawet nastroju na świąteczną wizytę u rodziny. Ich małżeństwo było wtedy poważnie zagrożone i niewiele brakowało, a nie uratowałby go nawet wspólny wyjazd na Hawaje. Wtedy właśnie, co Diana któregoś dnia przypomniała Andyemu, w ich życie wkroczyła zastępcza matka Wanda. Na szczęście znikła równie szybko, jak się pojawiła, a separacja małżonków, którą spowodowała, w ostatecznym efekcie wyszła im tylko na dobre. Zyskali małą Hilary, a wkrótce spodziewali się następnego dziecka. Oczywiście, całe ich dotychczasowe życie zostało przewrócone do góry nogami, ale Diana nigdy nie czuła się szczęśliwsza, tym bardziej że ciąża przebiegała prawidłowo, bez żadnych dolegliwości, a redaktorka naczelna wyraziła zgodę na przedłużenie urlopu macierzyńskiego aż do czerwca.

- No i co tam u ciebie? - zagadnął przyjaźnie Jack, widząc, jak Diana pomaga nakrywać do stołu jego żonie, która jednocześnie usiłuje zażegnać spór między dwojgiem swoich starszych dzieci.

- Dziękuję, wszystko w porządku. - Diana uśmiechnęła się do niego. Pamiętała, jak zdiagnozował u niej ciążę, a ona myślała, że sobie z niej żartuje.

- Oj, coś mi się wydaje, że lada dzień pęknie.

- Ależ mam jeszcze prawie trzy tygodnie! - zaprzeczyła z pewnością siebie.

Jack jednak kręcił głową i marszczył czoło, oglądając jej brzuch i obmacując go niczym dojrzały melon.

- Myślę, Di, że jesteś bliżej rozwiązania, niż ci się wydaje. Masz już dzieciaka prawie między nogami. Kiedy ostatni raz się badałaś?

- Na miłość boską, Jack, czy musisz nawet w święta zgrywać doktora Kildarea? -



warknęła jego żona.

- Zwróciłem jej tylko uwagę, że urodzi prędzej, niż myśli. Dziecko wyraźnie pcha się na świat.

- Akurat, mnie mówiłeś to samo, a i tak czekałam jeszcze dwa i pół tygodnia.

- Dobra, niech będzie, że jestem przewrażliwiony! - Zamachał rękami w powietrzu, ale zaraz poważniejszym tonem zwrócił się do Diany. - Słuchaj, ja nie żartuję. Naprawdę powinnaś w najbliższych dniach się przebadać. Jeszcze nigdy nie widziałem tak nisko ułożonego płodu u kobiety, u której nie rozpoczęła się akcja porodowa.

- To może ja już rodzę, tylko jeszcze o tym nie wiem? - Diana zażartowała, ale musiała mu obiecać, że zaraz w poniedziałek uda się do swojego ginekologa na badanie kontrolne.

- Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy! - Roześmiał się, a że nie pełnił dziś dyżuru pod telefonem, mógł sobie pozwolić na większy luz, więc poszedł napić się z teściem.

Diana i jej siostry pomagały matce, a kiedy indyk już się upiekł - mężczyźni pomogli go pokroić. Wkrótce na stół wjechały pełne półmiski. Wszystkim stołownikom w tym roku dopisywały humory. Dzieci, oczywiście, rozrabiały, ale nie przekraczały granic dobrego wychowania, ustały rodzinne spory i dawno już krewni wybaczyli Dianie jej wybuch podczas zeszłorocznego Święta Dziękczynienia, bo wiedzieli, co wtedy się z nią działo. Nawet Gayle zdawała się okazywać siostrze więcej zrozumienia i życzliwości. Teraz też zwróciła się do niej z troską:

- Przecież ty nic nie jesz!

- Nic już nie zmieszczę! - Diana kątem oka obserwowała Andyego, zatopionego w zajmującej rozmowie z Seamusem. Jego irlandzki szwagier umiał opowiadać niestworzone historie. Zazwyczaj nie miały one wiele wspólnego z prawdą, ale były zabawne.

Czuła bóle w kręgosłupie, więc uznała, że lepiej będzie, jeśli wstanie i porusza się trochę. Zaoferowała się z pomocą matce, kiedy ta udała się do kuchni przygotować drugie danie, ale Andy zwrócił uwagę na jej dziwne zachowanie i zauważył, że Jack też ją obserwuje. Odbyla bowiem kilka kursów do kuchni i z powrotem, rozcierając przy tym krzyż. Nawet Samanta szepnęła do Jacka:

- Ona jest dziwnie niespokojna!

Przytaknął, ale nie przerywał konsumpcji ani towarzyskiej pogawędki. Zresztą Diana po chwili jakby się uspokoiła, śmiała się, brała udział w rozmowie. W którymś momencie umilkła i popatrzyła na męża. On jednak nie zwrócił na to uwagi, więc przeprosiła sąsiadów przy stole i wyszła. Po kilku minutach wróciła, nic nikomu nie wyjaśniając.

Po deserze szepnęła Samancie, że nie najlepiej się czuje i pójdzie się położyć, ale prosiła siostrę, aby nikomu o tym nie mówiła. Przypuszczała, że to niestrawność. Mniej więcej po godzinie Andy zainteresował się, gdzie znikła żona i zaczął wypytywać:

- Hej, czy ktoś widział, gdzie jest Di?

- Poszła na górę i rzyga! - oświeciła go najstarsza siostrzenica, toteż Andy zerwał się i pobiegł na piętro. - Może ty też powinienes tam pójść? - Gayle pytająco spojrzała na Jacka.

- A zdawało mi się, że przedtem kazałaś mi pilnować swego nosa!

- Chyba się jednak myliłam.

- Eee, pewnie się przejadła. Zresztą, gdybym był potrzebny, wiedzą, gdzie mnie szukać. A nawet, gdyby się coś zaczęło, to przy pierwszym dziecku zdąży piechotą dojść do szpitala.

- Bardzo śmieszne! - skarciła go żona. - Nie pamiętasz, jak było ze mną?

Rzeczywiście, przy pierwszych dwojgu dzieciach Jack ledwo zdążył dowieźć Gayle do szpitala, a ostatnie odebrał w kuchni ich domu.

- Każda kobieta jest inna - mruknął.

Najlepszym dowodem na potwierdzenie tej tezy była sama Diana, którą autorytety medyczne uznały za bezpłodną, a na zajście w ciążę potrzebowała dwóch lat.

Jednak Andy zszedł na dół wyraźnie zaniepokojony.

- Mówi, że ją brzuch boli - relacjonował szeptem Jackowi. - Kilka razy wymiotowała i ma straszne kurcze. Chciałem zabrać ją do domu, ale boi się ruszyć. Może nadwerżyła sobie kręgosłup, kiedy pomagała mamie...

Jack nie czekał już, aż szwagier dokończy, tylko sadząc po dwa stopnie, popędził na górę. Andy czym prędzej podążył za nim.

- Co z tobą? - wołał Jack już od progu. - Podobno dziki indyk dziobnął cię w brzuch?

- Czuję się fatalnie - przyznała Diana i drgnęła, chwytając się za brzuch.

- Fatalnie to znaczy jak? - wypytywał spokojnie, ale już wiedział, co się dzieje. Zatkąło go, kiedy dotknął jej brzucha - po włoki były napięte jak skóra na bębnie i właśnie wstrząsał nimi silny skurcz.

- Niedobrze mi, mam skurcze i boli mnie w krzyżu... - Przekręciła się na bok i mocno uchwyciła ramy łóżka, bo znowu złapał ją atak bólu. - Pewnie mi coś zaszkodziło, ale nie mów mamie, dobrze...

Odwróciła ku niemu pobladłą twarz, ale zauważyła na jego wargach uśmiech.

- Chyba to jednak co innego. Wydaje mi się, że rodzisz.

- Już? - Spojrzała na niego zdumiona i przerażona. - Przecież to jeszcze za wcześnie!

- Obawiam się, że nie. - jak na zawołanie w tym momencie chwycił ją długi i silny skurcz. Jack mierzył czas jego trwania. Chciał także zbadać częstotliwość i zrobił to, bo następny atak pojawił się już po dwóch minutach. Wodził skupionym wzrokiem od niej do Andyego i z powrotem, wreszcie spytał: - Od jak dawna masz te skurcze?

- Czy ja wiem... - bąknęła niepewnie. - Właściwie od rana tak mnie jakoś kręciło po brzuchu, ale myślałam, że może zjadłam coś niedobrego... - Poczowała się głupio, bo okazało się, że akcja porodowa już trwała, a ona nie wiedziała o tym.

- A nie odeszły ci przypadkiem wody? Jack stwierdził, że poród wszedł w bardziej zaawansowaną fazę, niż myślał. Najchętniej zbadałby Dianę, ale nie był pewien, czy mu na to pozwoli.

- Nie - zaprzeczyła stanowczo. - Tylko od wczoraj rana mam taki mały wyciek, ale nic więcej.

Nagle obleciał ją strach, bo przypomniała sobie, jakie męki cierpiała Jane, wydając na świat Hilary. Wolałaby więc, aby Jack się mylił.

Jack znowu powiódł spojrzeniem od niej do Andyego i uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Dziewczyno kochana, to były właśnie twoje wody. One nie zawsze muszą tryskać jak z fontanny. Chyba będzie lepiej, jeśli zaraz pojedziesz do szpitala.

Diana rozpaczliwie odsuwała od siebie tę perspektywę. Uchwyciła się kurczowo ręki Jacka i prawie krzyczała:

- Nie! ... Jeszcze nie teraz! ...

Tym razem jednak ból był tak silny, że słowa uwięzły jej w gardle. Ciężko dyszała, usiłowała złapać oddech, a po minucie wiła się w kleszczach następnego bólu.

- Andy... Jack... co to jest? ... O Boże... zróbcie coś! - jęczała. Jack popędził do łazienki, błyskawicznie umył ręce i przy niósł tyle ręczników, ile udało mu się złapać. Podłożył je pod nią i delikatnie ją zbadał, czego nawet nie zauważyła, bo już tylko krzyczała i konwulsyjnie trzymała się ręki Andyego. Nagle poczuła palący ból, połączony z parciem tak silnym, jakby pociąg ekspresowy przebijał sobie tunel w jej ciele. - O Boże! ... Ono już idzie... już idzie!

Wystrasżonym wzrokiem wodziła od męża do szwagra, więc Jack potwierdził jej obawy.

- Tak, Di, to jest właśnie to. - Teraz już nie miał wątpliwości, że dziecko jest blisko, więc spokojnie udzielił instrukcji Andyemu: - Zadzwoń na pogotowie. Niech przyślą karetkę, bo kobieta rodzi w domu, ale jest przy niej lekarz i wszystko przebiega prawidłowo. Akcja musiała się rozwijać już od wczoraj, tylko ona tego nie zauważyła.

- Nie odchodź! - wołała Diana za Andym, ale Jack stanowczym ruchem głowy nakazał mu, aby nie zwracał uwagi na jej prośby.

Ledwo Andy pobiegł do telefonu, gdy ciałem Diany szarpnął dojmujący ból. Jack rozsunął szeroko jej nogi i między nimi zobaczył czubek główki noworodka.

- No, dawaj. Di!... Przyj porządnie! ... Musisz wypchnąć tego zucha!

- Nie mogę... to tak strasznie boli... o Jezu! ... Czy to się nigdy nie skończy?

Jasne jednak było, że taki ból nie może ustać, dopóki nie do kona się to, co się zaczęło. Dobrze, że wrócił Andy i poinformował, że karetka jest w drodze. Tymczasem goście zgromadzeni na dole bawili się, nieświadomi, co się dzieje. Po prostu nikt nie miał czasu, aby im o tym powiedzieć.

- Przyj, Di! - naglił Jack przy kolejnym skurczu. Nastąpiła po nim chwila przerwy, aż nagle Diana krzyknęła głośniej. Jack przytrzymał ją za nogi, Andy za ramiona i oto dziecko wyskoczyło wprost na ręce Jacka. Okazało się, że to chłopczyk, z gęstą ja sną czupryną, dziwnie podobny do swojej przybranej siostry. Diana spojrzała na niego z podziwem, a maluch odwzajemnił jej spojrzenie. Andy parsknął śmiechem, bo widok był jedyny w swoim rodzaju.

Diana opadła na posłanie, ale uśmiechała się do męża i koniecznie chciała dać mu do zrozumienia, jak bardzo go kocha. Rozpływała się w zachwytach nad dzidziusiem:

- Jaki on śliczny! I jaki podobny do ciebie!

Drżącymi wargami uśmiechnęła się także do Jacka.

- Teraz widzę, że chyba miałaś rację...

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem, a mały na rękach wujka wydał radosny krzyk. Równocześnie z nim rozległ się sygnał karetki pogotowia.

- Idź i wytłumacz im wszystko - polecił Jack Andyemu, który wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku. Przyszli przecież do rodziny na świąteczny obiad, a tymczasem wrócą do domu z dzieckiem. Nic nigdy nie układało się tak, jak planowali.

Andy zdążył tylko zbiec na dół i pochwalić się wszystkim, że ma syna, bo jego teść już otwierał drzwi sanitariuszom.

- Ona jest na górze! - krzyknął do nich, a goście podnieśli na niego zdziwiony wzrok.

- Dobrze się czuje? - zapytał ojciec Diany, a jej matka i siostry już pędziły po schodach na górę. Seamus klepnął Andyego po plecach.

- Ty to, chłopie, zawsze musisz iść na całość, co?

- Chyba tak.

Tymczasem Jack obmył Dianę i przeciął pępowinę przy użyciu narzędzi, które

przywieźli ze sobą sanitariusze pogotowia. Nie minęła chwila, a już znosili matkę z dzieckiem, ciepło okrytą, na noszach do karetki. Wszyscy zebrani na przyjęciu asystowali jej do drzwi, życząc powodzenia. Diana machała do nich ręką. Andy podziękował Jackowi i też wsiadł do karetki, aby towarzyszyć żonie. Samanta obiecała, że do powrotu Diany zaopiekuje się Hilary.

Dla Diany poród okazał się wielkim przeżyciem. Dobrze, że wszystko odbyło się tak szybko, ale nie przypuszczała, że będą to doznania o takiej sile.

- Wy to zawsze musicie narozrabiać! - mruzczał pod nosem ojciec Diany, zamykając drzwi. Jednak po odjeździe karetki otworzył szampana i nalał wszystkim, nawet po trochu dzieciom.

- Zdrowie Andyego, Diany i ich dzieci!

W oczach jego żony zalśniły łzy, bo wiedziała, ile cierpień i wysiłków kosztowało córkę i zięcia, zanim doczekali się dwojga tak wspaniałych dzieci. - To najśłodszy dzidzius, jakiego widziałam! - szeptała Diana do Andyego w karetkce. Bobas z zainteresowaniem rozglądał się dookoła dużymi błękitnymi oczkami.

- Poczekaj, niech Hilary go zobaczy! - żartował Andy. Trudno mu było uwierzyć, że w ciągu dziewięciu miesięcy dochowali się dwójki dzieci, prawie z dnia na dzień przechodząc od nie dostatku do obfitości w tym względzie.

Dianę z noworodkiem zatrzymano w szpitalu tylko przez noc, a nazajutrz wróciła już z synkiem do domu, gdzie czekała Hilary. Razem z Andym wybrali dla chłopca imię William, po ojcu Diany.

- Hillie i Billy, jak to fajnie brzmi! - Diana rozkoszowała się brzmieniem tych imion, podczas gdy mały Billy spał spokojnie w łóżeczku ustawionym w kącie ich sypialni. W domu były dzieci, których pragnęli od tak dawna - spłynął na nich deszcz łask bożych.

- Jesteś wspaniała! - szepnął jej w ucho Andy, wzmacniając pocałunkiem wymowę słów.

- Ty też! - Odwzajemniła pocałunek. Zdążyła już zapomnieć o wszystkich swoich dotychczasowych cierpieniach, ale wiedziała, że dzięki nim może bardziej cenić szczęście, jakiego teraz doznała.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W trzecią rocznicę ślubu Andy i Diana wybrali się na Hawaje i opalali się z dziećmi na plaży w Waikiki

Hilary miała już czternaście miesięcy i dreptała wszędzie za nimi, odkrywając świat. Wszystko ją zachwycało - i piasek, i morze, i rodzice, i jej braciszek William! Chłopczyk był już pięciomiesięcznym, tłustym blondaskiem, który umiał rozkosznie gruchać i gaworzyć, i często się śmiał. Diana miała z nimi pełne ręce roboty. Za dwa tygodnie kończył jej się urlop macierzyński. Zdecydowała, że wróci do pracy w „Today's Home” tylko na pół etatu.

Nie miała wielkiej ochoty odchodzić od dzieci, ale rozumiała, że musi wspomóc finansowo Andyego, bo przy dwojgu dzieciach znacznie wzrosły wydatki na utrzymanie. Zarobki za pracę w niepełnym wymiarze godzin nie wystarczą na luksusy, do jakich byli z Andym przyzwyczajeni, ale Diana chciała jak najwięcej czasu poświęcać dzieciom. Andy uszanował jej wybór, bo za długo czekała na spełnienie marzeń o macierzyństwie, aby teraz tracić czas poza domem. Nawet na te kilka godzin niechętnie oddalała się od dzieci, w końcu jednak zdecydowała się przyjąć do pomocy miłą niemiecką dziewczynę pracującą na zasadach „au pair”. Miała przychodzić w godzinach pracy Diany, była schludna i dość dobrze знаła angielski, bo już wcześniej pracowała w tym charakterze.

Andy ostatnio dostał awans, więc w swojej agencji miał więcej roboty niż przedtem, ale chętnie wracał do domu i rodziny. Cieszyła go radość malująca się na twarzy Diany. Nie przejmował się nawet wtedy, gdy zepsuła się pralka i pieluszki walały się po całym domu lub Hilary wykonała szminką matki piękne graffiti na ścianie sypialni. Wiedział, że najbliższe lata będą wypełnione mniej więcej taką treścią, ale oboje nauczyli się to cenić.

- Jakie pani ma śliczne dzieci! - pochwaliła je kobieta z Ohio, spotkana po południu na plaży w Waikiki. - W jakim są wieku?

- Czternaście miesięcy i pięć miesięcy. - Diana zareagowała uśmiechem na zdumienie kobiety. A ta była zdumiona, bo różnica wieku między jej dziećmi wynosiła trzynaście miesięcy i miała z nimi wystarczające urwanie głowy!

- Pani to dobrze, tak łatwo pani rodzi! - powiedziała nieznajoma całkiem poważnie. - Cudowna z was rodzina. Szczęść wam Boże!

- Dziękuję. - Diana uśmiechnęła się porozumiewawczo do Y”-”-

Któregoś czerwcowego popołudnia Charlie zabrał Beth i Annie do Rosemead. Celem

ich wyprawy okazał się ponuro wyglądający gmach z cegły przy małej, bocznej uliczce. Charlie zaparkował tam samochód bez słowa komentarza, ale Beth wiedziała, od jak dawna czekał na ten dzień. Annie także zdawała się wyczuwać doniosłość chwili, choć Beth nie była pewna, czy dziewczynka do końca rozumiała, co się dzieje.

Zakonnice prowadzące ośrodek zaprosiły ich, aby usiedli. Formalności trwały już od sześciu miesięcy i zakończyły się pozytywnie. Charlie i Beth uczestniczyli w licznych spotkaniach i szkoleniach, więc zdążyli już poznać tę instytucję. Widok sióstr zakonnych i szmer ich modlitw przywoływały wspomnienia bolesne dla Charliego. Zdążył w życiu zaliczyć kilka podobnych sierocińców, więc odgłosy te kojarzyły mu się z nieprzespanymi nocami na twardym łóżku w zimnej sypialni, gdzie dręczyły go koszmary senne i lęki przed nawrotami astmy. Nawet i teraz miał wrażenie, że w tym miejscu gorzej mu się oddycha, więc od ruchowo ścisnął ręce Beth i Annie.

- Byłeś tu już kiedyś? - spytała Annie scenicznym szeptem. - Tu jest tak nieprzyjemnie!

- No właśnie - podchwycił. - Po to tu jesteśmy, żeby wyciągnąć przynajmniej jedno biedne dziecko z tego nieprzyjemnego miejsca.

Widzieli już wcześniej to dziecko i Charlie od razu je polubił. Chłopczyk miał cztery lata, ale był mały na swój wiek. Od urodzenia borykał się z trudnościami w oddychaniu i mało tego, cierpiał na astmę. Siostry od razu uprzedzały, że gdyby panu Winwood to nie odpowiadało - miały do zaoferowania jeszcze dziewczynkę... Zdziwiły się jednak, kiedy pan Winwood oświadczył, że bynajmniej mu to nie przeszkadza.

Pracownicy socjalni ośrodka przeprowadzili z Charliem i Beth dokładny wywiad. Rozmawiali nawet z Annie i zawyrokowali, że rodzina Winwoodów jest w stanie zagwarantować chłopcu odpowiedni dom. Pewne trudności mogło stwarzać jedynie to, że nie był już małym dzieckiem i niezbędny będzie okres adaptacji.

- Wiemy, wiemy - zapewnił ich Charlie z olimpijskim spokojem. Przekonał się na własnej skórze, jak wygląda taki okres adaptacyjny. U kolejnych rodziców zastępczych starał się jak mógł, aby zasłużyć na ich miłość - nawet sprzątał i gotował, ale i tak odsyłano go z powrotem do domu dziecka. Pamiętał dobrze te powroty do przeraźliwie zimnych sypialni z żelaznymi łóżkami o wygniecionych materacach.

W końcu otworzyły się drzwi i pojawiły się w nich dwie zakonnice ze zgromadzenia sióstr dominikanek. Miały miłe twarze, a między sobą prowadziły małego chłopca, który ginął w fałdach ich habitów. Był drobny, blady, ubrany w sztruksowe spodnie, znoszony granatowy sweter i spłowiałe tenisówki. Włosy miał jaskraworude, a na przybyszów patrzył z

niemym przerażeniem. Przez cały ranek ukrywał się w swoim pokoju, przekonany, że zapowiedziani goście nie przyjdą. Zbyt wiele razy w swym krótkim życiu został oszukany przez dorosłych! Wprawdzie siostry uprzedziły go, że państwo Winwood przyjadą po niego, ale nie wierzył ich zapewnieniom. Słyszał, że mają go dokądś zabrać, ale nie wiedział dokąd ani na jak długo.

- Popatrz, Bernie, państwo Winwood przyszli po ciebie! - zwróciła się do niego wyższa z sióstr. Wciąż nie wierzył swoim oczom, ale wyglądało na to, że naprawdę przyszli! Spojrzał na nich pytającym wzrokiem, ale Charlie już wyszedł mu naprzeciw. - Cześć, Bernie! - przywitała go Annie, a chłopczyk z przejęcia aż się zasapał. Nieraz już miewał ataki duszności i umierał ze strachu, że nowi kandydaci na jego opiekunów zrezygnują, gdy się o tym dowiedzą.

Charlie ze łzami w oczach wyciągnął do niego rękę.

- Zabieramy cię do domu - oznajmił, gdy chłopiec wolno zbliżył się do niego. - Zostaniesz z nami na zawsze. Teraz ja będę twoim tatusiem, to twoja nowa mamusia, a Annie będzie twoją siostrzyczką.

- Na zawsze? Jak w prawdziwej rodzinie? - Chłopiec upewnił się, patrząc na nich niedowierzająco rozszerzonymi ze strachu oczami. Słyszał to już wcześniej, ale czterolatek nie rozumiał dokładnego znaczenia tych słów. Wystarczyła mu świadomość, że gdzieś z nimi pójdzie. Cieszył się nawet i na to.

- Właśnie - potwierdził Charlie, czując przyspieszone bicie serca. Pamiętał, jak to wyglądało w jego przypadku, tylko że wtedy nikt niczego mu nie obiecywał. Informowano go po prostu, że zostanie w nowym domu przez jakiś czas, a potem wróci, skąd przyszedł. Nic więc dziwnego, że mały Bernie też nie od razu mógł uwierzyć w swoje szczęście.

- Ale ja przecież nie mam rodziny! - sprostował. - Jestem sierotą.

- Już nie. - Charlie wyprowadził go z błędu. Tak on, jak Beth, byli gotowi stworzyć temu chłopcu prawdziwy dom. Siostry zawczasu poinformowały ich, że Bernie jest inteligentnym i niekłopotliwym dzieckiem, bardzo spragnionym miłości. Matka zrzekła się go zaraz po urodzeniu, a potem umieszczano go w różnych rodzinach zastępczych. Nikt jednak nie zdecydował się na jego adopcję, gdyż kandydaci na rodziców obawiali się przyjęcia pod swój dach dziecka z astmą. Po prostu nie chcieli brać sobie na głowę kłopotu!

- A mogę zabrać mojego misia? - spytał ostrożnie Bernie, spoglądając spod oka na Annie, która próbowała ośmielić go uśmiechem.

- Oczywiście, możesz wziąć ze sobą wszystkie swoje rzeczy - zapewnił go łagodnie Charlie.



- Zobaczysz, jakie mamy fajne zabawki - zachęcała go Annie, aż w końcu rudy chłopczyk powoli, krok po kroku, przysunął się do Charliego, jakby coś go do niego przyciągało. Najwidoczniej wyczuł, że z tym panem będzie bezpieczny, bo wiele ich łączyło.

- Chcę pójść z tobą! - oświadczył, na co Charlie porwał go na ręce. Pragnął powiedzieć mu, że będzie go bardzo kochał, ale tylko przycisnął chłopca do serca. Bernie przylgnął do niego kurczowo i wyszeptał mu w ucho to słowo, które Charlie przez całe życie najbardziej pragnął usłyszeć: - Tatusiu!

Oczy Charliego wypełniły się łzami, ale przez te łzy uśmiechał się do chłopca, który wtulił buzię w klapy jego marynarki. Beth i Annie patrzyły na to bez słowa.

Pilar i Brad spędzili trzecią rocznicę ślubu w zaciszu domowym, gdyż tego dnia chcieli być razem ze swoim synkiem. Christian wyrósł na rozkosznego, siedmiomiesięcznego bobasa, uwielbianego i rozpieszczanego przez wszystkich.

Pilar po czterech miesiącach zatrudniła do niego opiekunkę i wróciła do pracy. Pracowała tylko w godzinach przedpołudniowych. Czasami dumnie paradowała z wózcikiem po korytarzach sądu. Brad też chwalił się synkiem przed wszystkimi znajomymi, którzy nareszcie przestali zadawać nietaktowne pytania.

Wiele przeszli, zanim doczekali się tego dziecka. Brad nieraz powtarzał, że jest szczęśliwy z obecności synka w ich życiu, ale nie chciałby drugi raz przebywać tej drogi, choć Pilar droczyła się z nim, że stęskniła się już za świńskimi filmami u pani doktor Ward. Po urodzeniu się bliźniaków napisali do niej, informując ją o tym, jak również o śmierci jednego z dzieci. W rewanżu pani doktor przysłała im miły list, którego treść Pilar dobrze za pamiętała.

W tym liście przypominała im, że w życiu nie ma nic pewnego, a dotyczy to również płodności i bezpłodności. To właśnie przydarzyło się Pilar i Bradowi, choć w ostatnich miesiącach szalę zdecydowanie przeważały elementy pozytywne. Christian był dla nich źródłem nieustającej radości i Pilar dziękowała Bogu, że zdecydowała się założyć rodzinę, dopóki jeszcze miała szansę.

Matka przyjechała do niej, aby zobaczyć dziecko i od razu oszalała na jego punkcie. Po raz pierwszy w życiu Pilar cieszyła się z wizyty matki, bo obu im sprawiła przyjemność.

Nancy spodziewała się drugiego dziecka i liczyła, że tym razem będzie to dziewczynka. Pilar w końcu zdecydowała się po wiedzieć jej o drastycznej kuracji, jaką przeszła i pasierbica nie szczędziła pochwał dla jej determinacji, odwagi i wytrwałości.

- Trzeba było też trochę szaleństwa! - wspominała Pilar. - Wpadliśmy już w obsesję, jak hazardzista, który tak długo gra w ruletkę, aż straci wszystko albo wygra majątek.

- Ale ty wygrałaś! - rzekła Nancy, choć obie wiedziały, jaką cenę Pilar zapłaciła za to zwycięstwo. Po stracie Grace przez dłuższy czas nie umiała poświęcić wszystkich swoich myśli Christianowi. Potrzebowała czasu, aby móc szczerze się nim cieszyć.

Czasem wydaje mi się, jakby jego pierwsze miesiące przeszły mi koło nosa - powiedziała kiedyś do Brada. - To dlatego, że byłam wtedy tak bardzo obolała na duszy.

Wtedy też spakowała do wielkiego pudła wszystkie ubranka i zabawki przeznaczone pierwotnie dla dziewczynki. Oznaczyła je napisem „Grace” i Brad wyniósł skrzynię na strych. Nie miała na razie serca, by oddać je innemu dziecku, nie chciała wyrzucić z pamięci obrazu tej, która miała ich używać. Dopiero tuż przed rocznicą ślubu odzyskała dawną równowagę i zdobyła się, aby zajrzeć do tych pamiątek.

- Rok temu przynajmniej się nie nudziliśmy! - rzekła z uśmiechem. Rzeczywiście, był to przecież rok, kiedy zaszła w ciążę i urodziła bliźnięta!

- Za to teraz przynajmniej nie jesteś w ciąży! - przekomarzał się z nią Brad.

Ponieważ Pilar nie miała ochoty na żadne wyjście, uczcili rocznicę ślubu w domu. Pilar uskarżała się na zmęczenie, tym bardziej że w ostatnich tygodniach prowadziła dosyć trudną sprawę, Brad podśmiewał się z niej, że straciła dawną energię.

- Przedtem w sądzie nie pozostawiałaś na mnie suchej nitki, a potem szliśmy razem na tańce! - wspominał.

- Na to jestem już za stara! - wykręcała się ze śmiechem.

- W takim razie co ja mam powiedzieć? - zażartował, co przy jej wybuchem śmiechu. Miała czterdzieści pięć lat, on sześćdziesiąt cztery, ale nie wyglądał na tyle, a pracował więcej niż kiedykolwiek. Tymczasem ona ostatnio czuła się trochę gorzej, ale przyczynę tego upatrywała w karmieniu Christiana piersią przy równoczesnej pracy. Tak długo czekała na to dziecko, że chciała nacieszyć się nim, ile tylko mogła.

Od rocznicy ślubu upłynęły dwa tygodnie, a Pilar nadal czuła się zmęczona. Podjęła się bowiem prowadzenia trzech trudnych spraw. Jeden przypadek dotyczył adopcji, więc interesował ją ten temat. Drugi obejmował sesję wyjazdową w restauracji, a trzeci - spór o majątek ziemski w Montecito. Wszystkie trzy sprawy obfitowały w kruczki prawne, a klienci byli wyjątkowo kapryśni i wymagający.

Pilar omawiała z Bradem te sprawy do późnej nocy, a on na serio zaczął się o nią niepokoić. Wyglądała bowiem na wyczerpaną, a w trakcie rozmowy musiała jeszcze nakarmić dziecko.

- Nie sądzisz, że się przepracowujesz? - zagadnął, siadając przy niej w pokoju dzieciennym. - Może powinnaś trochę spażować albo odstawić go od piersi? - Rzadko

zdarzało mu się widywać Pilar w takim stanie!

- Traktuję karmienie jako środek antykoncepcyjny - zbyła go, chociaż nie powiedziała całej prawdy. Prawda zaś wyglądała tak, że karmienie piersią sprawiało jej przyjemność, a i małemu służyło nadzwyczajnie. - Prędzej zrezygnowałabym z pracy niż z tego!

Brad lubił obserwować, jak karmiła malucha, bo między matką a synkiem wytwarzała się widoczna więź, co wzruszało go do łez.

- No więc może zrezygnowałabyś z pracy na jakiś czas, przy najmniej dopóki on nie podrośnie?

- Nie mogę. - Potrząsnęła przecząco głową. - To nie byłoby w porządku wobec moich współpracowników. Wystarczy, że przez rok siedziałam w domu, a teraz też nie pracuję w pełnym wymiarze godzin.

Ale wcale tak nie było, bo Pilar często brała do domu akta i zajmowała się kilkoma sprawami równocześnie.

- W każdym razie wyglądasz na przemęczoną. Może powinnaś skonsultować się z lekarzem?

W lipcu Pilar rzeczywiście zdecydowała się na wizytę u lekarza. Opisała mu swoje objawy, zaznaczając przy tym, w jakim wieku jest Christian i że ciągle karmi go piersią. Wykluczyła możliwość ponownego zajścia w ciążę, gdyż zdecydowali z Bradem, że nie będą podejmować żadnych działań w tym kierunku. Zresztą doktor Ward uprzedziła ją, że w wieku czterdziestu pięciu lat ciąża jest prawie niemożliwa. Wprawdzie od urodzenia dziecka nie miała ani razu okresu, ale tak ona, jak lekarze, przy pisywali to przedłużającemu się karmieniu piersią. Zastanawiała się nawet, czy nie weszła od razu w okres przekwitania, co byłoby zjawiskiem nietypowym, ale zdarzały się już rzeczy dziwniejsze.

Lekarz wykonał kilka podstawowych badań, a wyniki przekazał telefonicznie do pracy. Zdiagnozował anemię i przepisał żelazo w tabletkach, które zmieniły smak mleka, co spowodowało, że Christian niechętnie ssał. Odstawiła więc lek i zapomniała o nim. Ponieważ lekarz nie wykrył u niej niczego poważnego - wybrała się z Bradem oglądać regaty. W którymś momencie Brada zaniepokoił dziwny wyraz jej twarzy, a po chwili zemdląca.

Przerażony Brad skłonił ją do powtórnej wizyty u tego samego lekarza, który tym razem przeprowadził bardziej szczegółowe badania.

Wyniki poraziły Pilar, gdyż nawet nie marzyła o poczęciu drugiego dziecka, a tymczasem okazało się, że jest w ciąży! Doktor przekazał jej tę wiadomość telefonicznie akurat wtedy, gdy korzystając z przerwy na lunch, wybierała się do domu, aby nakarmić syna. Nie omieszkał przy tym postraszyć ją ryzykiem poronienia i innymi niebezpieczeństwami

czyhającymi na kobiety ciężarne w jej wieku, jak możliwość urodzenia dziecka martwego, z zespołem Downa bądź innymi wadami wrodzonymi. Pilar w pełni zdawała sobie sprawę, że szansa urodzenia zdrowego dziecka jest niewiele większa niż wygranej na loterii, ale w końcu wszystko to było kwestią przeznaczenia.

Brad postukał właśnie młoteczką w stół sędziowski, ogłaszając przerwę w rozprawie. Zakończył akurat wysłuchiwanie wyjaśnień oskarżonego, który był przestępcą kryminalnym doprowadzonym z aresztu. Ze zdziwieniem spostrzegł, że jego wystąpieniu przysłuchiwała się z końca sali Pilar.

- Proszę oskarżoną o podejście do stołu - wyrecytował z udaną powagą, ponieważ sala sądowa już opustoszała. Przypomniało to Pilar dawne czasy, kiedy spotykali się na tej sali jako przeciwnicy. Odkąd poznali się przed dziewiętnastu laty, przeżyli wspólnie wiele tragicznych, podniosłych lub po prostu ciekawych wydarzeń.

- Co oskarżona ma na swoją obronę? - żartował nadal w tym samym duchu. Rozśmieszyło to ją i od razu poczuła się młodziej.

- A choćby to, że do twarzy ci w todze! - Przeszła na lekki ton, co wywołało na jego twarzy łobuzerski uśmiech.

- Czyżbyś przyszła odwiedzić mnie w moich apartamentach?

- Może i tak, ale najpierw powiem ci coś takiego, że w życiu w to nie uwierzysz.

- Cóż takiego? Chcesz się przyznać do winy czy udzielić wyjaśnień?

- Jedno i drugie. Chcę ci wyznać coś szokującego, ale w sumie to dobra wiadomość.

- Niech zgadnę. Rozbiłaś samochód i usiłujesz mi wmówić, że właściwie dobrze się stało, bo to był już stary gruchot?

- Tym razem akurat nie, ale to świetny pomysł. Wykorzystam go, kiedy będę potrzebowała nowego wozu.

- No więc, co takiego zmalowałaś? - Ponieważ na sali rozpraw nie było nikogo oprócz nich, Brad poczuł nieprzepartą ochotę, aby właśnie w tej chwili przyciągnąć Pilar do siebie i po całować.

- Obawiam się, że nie zmalowałaś tego sama, tylko przy twojej wydatnej pomocy.

Brad zmarszczył czoło, bo nie rozszyfrował tak zawoalowanej aluzji.

- Pewnie znowu oglądałaś świńskie filmy! - odpowiedziała mu, więc mógł już tylko się roześmiać.

- Co to właściwie ma znaczyć?

- To znaczy, panie sędzio, że bez żadnych nadzwyczajnych środków ani cudownych leków, bez niczyjej pomocy poza twoją... zaszłam w ciążę!

- Że co? - Spojrzał na nią, kompletnie oszołomiony. - To co słyszałeś.

Brad wyszedł zza stołu i wolnym krokiem podszedł do Pilar, niepewny, czy chciałby jeszcze raz przeżywać to samo, a równocześnie dziwnie szczęśliwy.

- Myślałem, że nie chcemy już więcej się w to pakować... - zaczął, spoglądając na nią z czułością.

- Ja też tak myślałam, ale widać tam na górze mieli wobec nas inne plany.

- A czy ty naprawdę tego chcesz? - spytał ostrożnie, bo za nic nie chciałby skazywać jej na ponowne cierpienia, gdyby sama sobie tego nie życzyła. Ona jednak patrzyła na niego zdecydowanym wzrokiem, bo po drodze zdążyła to wszystko przemyśleć.

- Pamiętasz, co powiedziała doktor Ward? Życie składa się z mieszanych uczuć. Tak, chcę tego!

Przymknęła oczy, nastawiając usta do pocałunku, który tym razem przeciągnął się ponad miarę. Przecież już dziewiętnaście lat temu Brad marzył, aby pocałować ją tak namiętnie tu, na tej sali sądowej, więc w końcu dopiął swego.